

Dobrzyński Andrzej

ZE WSPOMNIEŃ PROKURATORA

PRZEDMOWA

Ogromna popularność wszystkiego, co łączy się z przestępstwem, jest jedną z cech współczesnej kultury masowej. Powieści kryminalne, filmy, spektakle kryminalne w telewizji oto przejawy tego zainteresowania. Nie jest ono zresztą świeżej daty; Allan Edgar Poe, Conan Doyle, Agata Christie, Georges Simenon, James Bond, autorzy wydający powieści kryminalne w olbrzymich nakładach, znani są na całym świecie, dorabiający się ogromnych fortun. Obok nich zaś ogromna rzesza anonimowych autorów masowych „kryminałów” pozbawionych jakiegokolwiek wartości literackiej, a nieraz nawet i sensu, pisanych w fatalnym stylu, fatalnym językiem, drukowanych na fatalnym papierze i sprzedawanych w każdym kiosku.

Można zaryzykować twierdzenie, że telewizja nadaje niemal co dzień jakiś spektakl kryminalny, a w kinie widzowie zapełniają szelnie widownie na każdym kryminalnym filmie.

Skąd bierze się to tak powszechne zainteresowanie? Przecież przestępstwo jest jedynie marginesem życia społecznego i nawet w krajach gdzie mafia, „organized crime”, rządy gangów ulicznych w slumsach, kidnapęstwo są na porządku dziennym, przestępstwo mimo wszystko nie dominuje nad życiem społecznym.

Zjawisko to tym bardziej uderzające jest u nas, choć szczęśliwie nie mamy do czynienia z przestępczością w takiej skali jak tamte kraje. A jednak tanie kryminały zalewają rynek książkowy, a ekrany telewizyjne obfitują w różnego rodzaju „Kobry” cieszące się ogromną popularnością.

Na tym tle należy rozpatrywać książkę A. Dobrzyńskiego „Ze wspomnień prokuratora”, gdyż jest to kryminał z kategorii zupełnie innej, z kategorii stroniącej od sensacji, niezdrowego dreszczyku, jaki wywołuje zbrodnia. Jest to książka - o tym, jak walczy społeczeństwo z przestępstwem, bez jego demonizacji. Ot, zwyczajni ludzie naruszają prawo i zwyczajni prokuratorzy wykrywają przestępstwa. A może nie „zwyczajni prokuratorzy”, gdyż autor książki jest czymś więcej niż „stróżem prawa” operującym ustawą, jest psychologiem i socjologiem, przyglądającym się przestępcy okiem dociekliwego badacza, pytającego nie tylko „kto”, ale zwłaszcza „dlaczego”. I to czyni książkę tak bardzo ciekawą, choć opisane w niej sprawy są raczej codzienne, jak i codzienni są sprawcy tych czynów.

Ale opisane są nie jako zwykłe podanie faktów, lecz jako zjawisko psychologiczne i społeczne, którego korzenie tkwią gdzieś głęboko i autor stara się do nich dotrzeć, powiązać poszczególne fakty ze sobą i ukazać czytelnikowi skomplikowany nieraz mechanizm powstawania czynu.

Mamy tu do czynienia z różnymi rodzajami i typami przestępców. Najpierw są „przestępcy okolicznościowi”, niejako przypadkowi, którzy przez jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności weszli jednorazowo na drogę przestępstwa, następnie zbiorowisko ludzi wchodzących już częściej w konflikt z prawem karnym, dla nich milicja, prokurator i sąd to nie są rzeczy nadzwyczajne, a spotkanie z więzieniem jest pozbawione szoku, jakiego doznaje człowiek trafiający tam po raz pierwszy. Wreszcie mamy to, co prasa określa jako „margines społeczny”, spisując tę kategorię ludzi niejako na straty, gdyż panuje przekonanie, że tych ludzi już nic nie poprawi.

Granice są tu oczywiście płynne, ale grupy te dość wyraźnie się od siebie odcinają.

Autor różnice te widzi, ale jest raczej optymistą i upatruje w każdym przestępcy jakiś załączek czegoś lepszego, jakąś możliwość sprowadzenia tego człowieka na właściwą drogę.

Poza tym nie interesują go tak bardzo głośne i słynne „causes cślebres”, stanowiące kanwę „pitawali”, których autorami są zwłaszcza znani i wzięci adwokaci, mający na swym koncie sporo takich spraw, które przyniosły im sławę i majątek.

Natomiast codzienne zatargi z prawem na wszystkich terenach to codzienny chleb prokuratora, który nie rozwija swych talentów krasomówczych w sądzie, gdyż ani to forum nie jest już właściwie od czasu, gdy nie ma sądów przysięgłych, które można olśnić wspaniałym krasomówstwem, ani też sprawy do tego się nie nadają. Stąd obserwacje autora dotyczą raczej terenów pozasądowych, terenów działania sprawców, ich otoczenia, okoliczności prowadzących do przestępstwa i ich reagowania na zetknięcie się z wymiarem sprawiedliwości.

Książka jest właściwie pewnym rodzajem autobiografii, gdyż autor, jak sam przyznaje, w toku prowadzenia spraw dojrzał, nabierał doświadczenia, znajomości ludzi i ich motywów działania. Działania te są nieraz zupełnie irracjonalne, nieobliczalne i trudne do wytłumaczenia psychologicznie. Choćby taka sytuacja, opisana przez autora, gdzie stary, doświadczony łapownik, w dodatku człowiek na dość wysokim stanowisku, po uzgodnieniu z klientem wielotysięcznej łapówki nie przyjmuje jej, gdyż klientowi brak 300 zł, które obiecuje przynieść jutro. Ow łapownik każe mu przynieść całość jutro, a prokuratorowi po wykryciu sprawy wyjaśnia, że i tak dość się już poniżył biorąc łapówkę od „człowieka z niższej sfery” i nie może narażać swego honoru na szwank biorąc łapówkę w ratach. Albo inna, gdzie inżynier, któremu udowodniono w sposób

nie budzący wątpliwości branie łapówek, do końca procesu przeczy, choć wie, że to będzie kosztowało go kilka lat więzienia więcej, gdyż chce, by jego syn mógł mieć wątpliwości, czy czasem sąd się nie pomylił skazując ojca.

Takich przykładów jest dużo i właśnie one dodają uroku książce, sięgają głęboko w psychikę ludzką.

Autor widzi, że społeczeństwo nie dzieli się po prostu na „dobrych” i „złych”, że linia podziału nie jest ostra, przebiega przez różne warstwy społeczne i granice podziału nie są stałe, raz po raz grupy te się zacierają, uczciwy człowiek może jutro popełnić przestępstwo, człowiek uważany za przestępcę naraz objawia przebliski uczciwości. Bardzo dużą rolę grają tu okoliczności i nieraz można przez właściwe podejście wyprostować drogę człowieka ocierającego się już o przestępstwo.

I dalej, autor dostrzega dużą grupę ludzi oscylujących umiejętnie na granicy legalności, gdy sytuacje układają się tak, że jakieś małe manipulacje pozwalają na obejście prawa, na duże zyski wpadające w ręce niemal bez trudu — i co ważniejsze — niemal bez ryzyka.

Bardzo interesujące są obserwacje autora dotyczące roli prokuratora w społeczeństwie. Nawet w codziennym życiu między nim a jego otoczeniem, znajomymi, jest coś w rodzaju niewidzialnej ściany utrudniającej bezpośredni kontakt z ludźmi. Nie dlatego, żeby się go bali, by uważali, że jakieś niebaczne słowa mogą zostać przez niego podchwyczone, że jest on „inny”, niż stojący obok sędziowie, adwokaci czy lekarze. Czyżby to wynikało z faktu, że jego interlokutorzy nie mają czystego sumienia, że mają coś, czego by nie chcieli zdradzić, że zawsze obawiają się, że ten ich znajomy jest zarazem tym, który ma za zadanie „tropić i ścigać”?

Dzisiejsza demokratyzacja społeczna, w tym również demokratyzacja wszelkiej władzy — by nie powiedzieć — połączona z nią pewna dewaluacja, zdarła nimb groźnej władzy i z osoby prokuratora, zbliżała go do reszty społeczeństwa, ale jednak coś z dawnego autorytetu osobistego, pozasłużbowego zostało. Ta obserwacja, tak bardzo trafna, wyjaśnia pewne skrępowanie otoczenia w swobodnej rozmowie, gdy w jego gronie jest prokurator. Czy można w jego obecności opowiadać o tym, że jakaś znajoma przemyciła z Bułgarii kozuszek, że ktoś kupił w Turcji złoto, którego nie zadeklarował, że dolary kupuje się na czarnym rynku po tyle a tyle i że ktoś mógłby je sprzedać?

Któryś z dawnych prawników niemieckich wyliczył około sto drobnych naruszeń prawa, jakie popełnia przeciętny obywatel dziennie; od przechodzenia przez trawnik, przez nierespektowanie czerwonych świateł aż po jazdę na gapę tramwajem, bo w kiosku nie było biletów, lub kupowanie „spod lady” poszukiwanego towaru w zamian za tabliczkę czekolady. O tym wszystkim mówi się w towarzystwie swobodnie, ale które z tych drobnych naruszeń prawa mogą być swobodnie omawiane w obecności prokuratora? A są przecież i większe sprawy, o których nieraz mówi się w prywatnym domu lub w kawiarni. Stąd wniosek autora, że prokurator nawet w prywatnym życiu nie może zrzucić swej skóry, lecz zawsze pozostaje „tym, z którym należy być ostrożnym”.

W dawnych czasach, których czytelnicy chyba już nie pamiętają, bo przed pierwszą wojną światową, prokuratorzy w carskiej Rosji chodzili w mundurach, co ich na pierwszy rzut oka odróżniało od reszty obywateli. Z tych czasów pozostało powiedzenie jednego z znanych pisarzy rosyjskich, że „w miasteczku sami złodzieje, a tylko prokurator porządny człowiek, ale on też świnia”. Zresztą w owych czasach prokuratorów niższych rang nie przyjmowano nawet w „lepszych” towarzystwach, do których swobodny dostęp mieli sędziowie i adwokaci. Tak więc owa „niewidoczna ściana” oddzielająca prokuratora od reszty społeczeństwa ma już dużą tradycję i trafnie zauważył ją autor i dziś, choć w tak bardzo złagodzonej formie.

Ten zbiór wspomnień nie dąży do jakiegokolwiek systematyki poszczególnych tematów; opisy spraw poważnych przeplatają się z anegdotycznymi, wspomnienia subiektywne z przedstawieniem faktów i zagadnień prawnych. Słowem, *silva rerum* wszelkiego rodzaju spraw połączonych ze sobą właściwie tylko osobą narratora.

Dlatego również i przedmowa nie dąży do jakiegokolwiek systematyki; jest zbiorem uwag i komentarzy wprowadzających czytelnika w sedno poszczególnych zagadnień.

Wśród tych zagadnień nie ma niektórych tematów będących dawniej ulubioną domeną wszelkich tego rodzaju zbiorów. Tak więc zupełnie nie ma już spraw związanych z dawniej tak pasjonującymi opisami włamań do kas i tresorów, dokonywanych przez fachowych „kasiarzy” za pomocą aparatów tlenowych, prucia kas i wygartywania sporych łupów. Ale nic dziwnego, bo ta gałąź „arystokracji złodziejskiej” wymarła zupełnie, równoległe z zanikiem kas pełnych banknotów i złota. Nie ma następnie innych tematów, mimo że są one nadal żywe, jak np. fałszowanie pieniędzy i banknotów; widać autor nie miał z tymi sprawami do czynienia. Nie ma również spraw o fałszowanie dzieł sztuki, u nas co prawda dość rzadkich, ale stanowiących domenę ekspertów wyspecjalizowanych w tym zakresie. Łączy się z tym przemyt dzieł sztuki, u nas dość powszechny, ale również wyodrębniony na ogół z powszechnej praktyki prokuratorskiej. Wreszcie nie ma spraw o przestępstwa drogowe, tak u nas powszechne, ale te sprawy autor ujął w doskonale napisanej książce „Czy kierowca winien” (Krajowa Agencja Wydawnicza, 1976) będącej prawdziwym *vademecum* zarówno kierowcy, jak i organów kontroli ruchu drogowego, napisanej zresztą z pełnym humorem zacięciem publicystycznym.

Tu nasuwa się pewna uwaga natury ogólnej. Operujemy terminem „przestępca”, podciągając pod to pojęcie każde naruszenie prawa prowadzące do konfliktu z prawem karnym, kodeksem karnym i prokuratorem, choć nie każdy człowiek popadający w taki konflikt jest już „przestępcą”. Czy jest

10

i

nim kierowca, który tak poważnie narusza przepisy ruchu drogowego, że prowadzi to do czyjejś śmierci, choć sprawca zawinił raczej przez przecenienie swych umiejętności, przez brawurę lub zlekceważenie jakiegoś znaku drogowego?

Czy jest przestępcą człowiek defraudujący jakąś kwotę z powierzonej mu kasy, by użyć jej na ratowanie życia dziecka, potrzebującego jakiegoś bardzo drogiego zagranicznego leku? Albo człowiek zabijający chuligana, który zgwałcił jego córkę? Wszyscy ci ludzie w obliczu prawa są przestępcami, choć skala oceny przykładana przez sąd do ich czynów może być bardzo różna.

Z drugiej strony znikło z kodeksów pojęcie „zbrodniarza”, które utrzymało się jedynie w mowie potocznej dla najbardziej odrażających czynów; wszak nawet hitlerowskich oprawców określamy oficjalną terminologią jako „przestępców wojennych”, choć trudno o większe zbrodnie niż ludobójstwo.

W naszym ustroju prokurator nie jest już owym „karzącym ramieniem sprawiedliwości”, którego zadaniem jest chwywanie przestępców i dostawianie ich przed oblicze sądów celem ukarania. Funkcja społeczna prokuratora, jego pozycja i obowiązki są zupełnie inne. Zgodnie z założeniami nowego prawa karnego przede wszystkim ma on za zadanie prewencję, zapobieganie przestępstwom zarówno indywidualnym, jak i w sensie ogólnym. Ma następnie za zadanie baczenie, by panowała praworządność na wszystkich odcinkach życia społecznego, ingeruje, gdy zauważy jakąś nieprawidłowość i to nie tylko w postaci ściągania, lecz i interwencji zmierzającej do poprawy istniejącego stanu rzeczy. Strzeże właściwego stosunku do mienia społecznego, ingeruje, gdy zauważy niegospodarność lub lekceważenie obowiązków, interweniuje, gdy zauważy krzywdę społeczną, a dopiero w ostatniej niejako

instancji występuje jako „stróż prawa” ścigając z kodeksem w rękę przestępców, których oskarża przed sądem.

Ta zmieniona rola prokuratora zmienia również jego po
ił

zycję socjalną, jego stosunki towarzyskie, likwidując ową niewidzialną przegrodę między nim a jego otoczeniem. Oczywiście proces ten musi trwać i stąd obserwacja dotycząca pewnej rezerwy ludzi wobec prokuratora na gruncie towarzyskim.

Ale obecnie dobry prokurator musi być również dobrym psychologiem, by móc wczuć się w motywy zachowania ludzkiego i by uderzać tylko tam, gdzie to jest konieczne, ale wówczas uderzać mocno. Powstają z tego trudności, gdy poczucie prawne, odczucie psychologiczne i potrzeby społeczne nie są ze sobą zgrane, gdy „casus” jest „nietypowy” i gdy prawo może wyrządzić krzywdę, na którą sprawca nie zasłużył. Wtedy tylko głębokie odczucie psychologiczne i umiejętność właściwej interpretacji prawa może zapobiec sytuacji, gdy *summa lex summa iniuria*, gdy dokładne przestrzeganie prawa stanowi największą krzywdę. O tym, czy przepis prawny zostanie zastosowany społecznie właściwie, decyduje wycucie prokuratora i w tym wycuciu pomaga książka autora, godzącego „sprawiedliwość z prawem”. Autor czyni to w sposób przystępny, interesujący i bez zbytecznego mentorstwa.

Jest rzeczą ciekawą, że w społeczeństwie polskim, nawet w tym jego „marginesie” nie występuje negatywny stosunek do prokuratora; nawet ludzie, którzy mieli sposobność spotkać się z nim w raczej niemiłych dla nich okolicznościach, nie mają do niego na ogół pretensji. Nie ma zamachów na jego osobę, tak częstych w innych społeczeństwach, nawet jeśli po temu jest dogodna sposobność. Natomiast przedmiotem ataku są aż nadto często świadkowie, zwłaszcza w sprawach wiejskich. Świadkowie są tam zawsze winni, że sąd wydał skazujący wyrok, świadkom się odgraża, stara się ich zastraszyć, pomawia o tendencyjność, fałszywe zeznania, nieraz atakuje się ich czynnie, przypisuje się im stronniczość, przekupstwo, słowem, oni są zawsze winni. To na podsta

12

wie ich zeznań prokurator oskarża, sąd skazuje. Ale ani do sądu, ani do prokuratora strony nie mają na ogół pretensji: jeśli zaś mają, to raczej do sądu („sąd był przekupiony”[^], niż do prokuratora. Od niego nikt nie wymaga bezstronności; on jest po to, by oskarżać. I często się zdarza, że jeśli prokurator jest taktowny, rozumie motywy działań ludzkich, to w czasie wykonywania kary przy okazji spotkania się z nim skazani okazują sporą dozę szczeroci. I to jest — jak podkreśla autor — sprawdzianem trafności ocen prokuratorских z okresu dochodzenia i oskarżania.

Jest to optymistyczny akcent przebijający z całej książki, gdyż świadczy on o jakimś moralnym wpływie prawa, podświadomym nieraz poczuciu jego ważności nawet w tych kołach, które je naruszają.

Kto będzie adresatem tej książki? Wydaje się, że będą dwa kręgi adresatów; ludzie, którzy szukają interesującej beletrystyki o nowym, mało znanym temacie, oraz różnego rodzaju fachowcy, prawnicy, sędziowie i prokuratorzy, którzy interesują się problematyką zawodową, a z książki tej mogą czerpać mnóstwo materiału ułatwiającego im pogłębienie wiedzy o praktyce zawodowej. Prokuratorzy i sędziowie mają cz[^]to tendencję do patrzenia na świat przez pryzmat kodeksu karnego, tracąc przy tym z pola widzenia człowieka jako indywiduum o bardzo zróżnicowanej naturze. Jest to typowe spojrzenie poprzez akta sprawy, gdzie człowiek staje się tylko niejako „załącznikiem do sprawy”.

Dla wszystkich tych ludzi książka Andrzeja A. Dobrzyńskiego będzie cennym materiałem poznawczym, spojrzeniem na życie bezpośrednio, nie zaś pod kątem widzenia paragrafu.

Zadaniem przedmowy jest nie tylko zorientowanie czytelnika, czego może oczekiwać od książki, ale również wciągnięcie go w temat, zainteresowanie problematyką, wyjaśnienie celów i zamiarów autora. I dlatego nie może być ani

13

zbyt ogólnikowa, ani zbyt poważnie naukowa, nie może dążyć do systematyzowania tematu tam, gdzie autor tego nie czyni. Prowadzi ona czytelnika w głąb książki, zachęca do wzięcia jej do ręki i przeczytania do końca. A chciałbym zapewnić czytelników, że warto.

Frof. dr Tadeusz Cyprian

GŁOSY STRON

Gdy rozpoczynałem pracę w prokuraturze, akurat ćwierć wieku temu, największą trudność sprawiało mi występowanie przed sądem. Nie myślę tu o całej rozprawie, lecz o końcowym jej stadium, kiedy dochodziło do tzw. głosów stron. Zawsze, gdy sąd wypowiadał sakramentalną formułę: „zamykam przewód sądowy i udzielam głosu prokuratorowi” — miałem tremę i wołałem mieć tę część sesji już poza sobą. Istota sprawy sprowadzała się do tego, że wcale nie byłem tak bardzo przekonany o potrzebie powtarzania wszystkiego, o czym sąd doskonale wiedział uczestnicząc aktywnie w rozprawie, kierując nią, zadając pytania i przysłuchując się odpowiedziom na pytania, zadawane przez obrońców i prokuratora. Muszę przyznać, że wcale liczni sędziowie utwierdzali mnie w przekonaniu, bym do swych przemówień nie przywiązywał zbytnej wagi. Często, właśnie gdy rozpoczynały się głosy stron, ławnicy zaczynali drzemać, a sędzia zawodowy, który przewodził rozprawie, robił wrażenie jakby szkicował już na kartce papieru przyszły wyrok, wcale nie słuchając ani mnie, ani kolejno występujących w sprawie obrońców. Miałem wówczas przekonanie, że słu-

chają mnie tylko ludzie osobiście zainteresowani finałem sprawy.

Myślę, że widzowie na ławach dla publiczności znacznie przeceniają znaczenie głosów stron dla meritum sądowego rozstrzygnięcia typowych, a nie szczególnie trudnych i skomplikowanych spraw. Stąd właśnie Ich zainteresowanie dla wygłaszanych przemówień. Widząc reakcją publiczności miałem wrażenie, że wśród niej przede wszystkim krewni oskarżonych słuchają mnie naprawdę.

Takie to były moje pierwsze wrażenia z sądowych rozpraw dotyczących z reguły spraw banalnych, przestępstwa poważniejszo bowiem rozpatrywano były w pierwszej instancji w Sądzie Wojewódzkim, przed którym jako młody prokurator nie mogłem Jeszcze występować. Widząc czasem tle ukrywane zniecierpliwienie sądu bądź Jawną nieuwagą świadcząca o tym, że wszystko Jest przedel jasne i o czym tu Jeszcze mówić — czułem się w jakiś sposób dotknięty i właśnie wówczas, może przez przekorą, przedłużałem swe wystąpienia i mówiłem dłużej, niż to sobie planowałem, przygotowując mowę. Wśród sędziów orzekających wówczas w Sądzie Powiatowym dla m. Warszawy był jeden, który zawsze bardzo wyraźnie manifestował swój brak zainteresowania dla głosów stron, a nawet niezbyt grzecznie przerywał niektóre prokuratorskie i adwokackie przemówienia proponując, aby mówca „skracał się”, bo przecież sąd już wie, jak było, i po co tyle mówić. Występując przed tym sędzią, którego skądinąd lubiłem, ograniczałem swe wystąpienie do krótkiej formuły: „Popieram oskarżenie”, po czym Biadałem obserwując zadowoloną minę przewodniczącego rozprawy, sędziego D., który niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Jeden z bardzo jut leciwych adwokatów, którego u sm^{te} ojciec — również adwokat — miał kancelarią w Jednym ■ gubernianych miast carskiej Rosji, tłumaczył mi kiedyś, że on, Jateł tylko zauważy, że sąd iłę spieszy, nigdy nie mówi długo. Zdaniem adwokata M. przedłużające się przemówienia obrońcy mogłoby w takiej sytuacji tylko sąd zdenerwować i odbić się na... kliencie, bo przecie człowiek Jest tylko człowiekiem, nawet sędzia. Tenże adwokat opowiadał mi, że jego ojciec bronił, chyba w 1910 r., w Kijowie pewnego kupca, oekarlonego w procesie poszlakowym o zabójstwa tony. Głosy stron rozpoczęły się wczesnym popołudniem, prokurator przemawiał kilka godzin i zakończył swą mowę dopiero około godziny siódmej. Tegoż dnia do Kijowa przyjechała słynna primabalerino z Petersburga na Jeden tylko gościnny występ. Przewodniczący rozprawy, a zarazem prezes miejscowego sądu, miał zarezerwowaną łóżkę w teatrze, zamóurtoną dorożką i wiadomo było, że wprost z sądu wybiera się do opery. Ody prokurator był w połowie swej mowy, prezes miał jeszcze jakąś nadzieję, że spędzi wieczór tak. Jak zaplanował. Pod koniec prokuratorskiej mowy miłośnik baletu zrozumiał, że nie ma jut żadnych szans, lako że adwokat zapewne będzie mówił równie długo i proces zakończy się w nocy. Tymczasem obrońca, człowiek wielkiego rozumu i doświadczenia, wstał i powiedział tylko Jedno zdanie: „Brak jest dostatecznych dowodów, że mój klient zabił, proszę o uniewinnienie”. Później jut wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Na twarzy prezesa odmalowała się ulga. Sąd udał się na naradę i po pięci u minutach wrócił, aby ogłosić wyrok uniewinniający, adwokat zaś tłumaczył osłupiałemu oskarżonemu, że dobry obrońca to taki, który umie nie tylko mówić, ale w razie potrzeby rezygnować z mówienia.

S z* WBpoamtofi prokuratora

<<

Myślę jednak, że jest to zaledwie anegdota, o treści wyroku bowiem decydują zawsze zupełnie inne względy.

W 1956 r. oskarżałem przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie człowieka oskarżonego o zabójstwo żony. Sądził ówczesny przewodniczący wydziału IV Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, sędzia S. Ponieważ proces był poszlakowy, a stan faktyczny sprawy bardzo zawiły, moje przemówienie trwało równo sześć godzin: od dziesiątej do siedemnastej z godziną przerwą. Po mnie przemawiał adwokat B., również pięć albo sześć godzin. Musiał bowiem ustosunkować się do prezentowanych przeze mnie poszlak, których było mnóstwo. Ponieważ po przemówieniu obrońcy, które zakończyło się bardzo późno, zapowiedziałem replikę, sędzia przerwał rozprawę do dnia następnego. Nazajutrz zabrałem głos tylko w jednej kwestii, co zabrało mi około piętnastu minut. Ponieważ po replice prokuratora głos ma również obrońca, adwokat B. wstał i ku ogólnemu zaskoczeniu nie tylko zajął stanowisko wobec tego, co powiedziałem, ale powtórzył niemal dosłownie całe swe przemówienie z poprzedniego dnia, i to bez jakichkolwiek skrótów. Było to sześć trudnych do zniesienia godzin. Prezes nie przerwał jednak adwokatowi B. ani jednym słowem, nie wykazał też cienia zdenerwowania, jako że był to sędzia o dużej kulturze. Później była już tylko krótka narada nad wyrokiem i oskarżony został uniewinniony. Okazało się, że czas przemówienia, nawet wygłoszonego zupełnie bez sensu, nie miał jednak negatywnego wpływu na rozstrzygnięcie sądowe, bo w przeciwnym razie „mój zabójca” zostałby niechybnie skazany. Nie wiem, co wówczas zdziwiło mnie bardziej: czy wyrok, którego się nie spodziewałem, czy dwukrotna mowa adwokata B. Chyba jednak mowa, sąd bowiem znakomicie uzasadnił brak przekonania dla prezentowanych przeze mnie poszlak, adwokat B. zaś nie uzasadnił, dlaczego powtórzył swe sześciogodzinne przemówienie. Nie zapytałem go o to, bo nie wypadało. Dopiero następnego dnia, stary, przedwojenny jeszcze woźny warszawskiego sądu, Pełka, wyjaśnił mi w czym rzecz.

Wie pan prokurator, dlaczego adwokat B. dwa razy wygłosił swą mowę.

S—5 JFI

— Widzi pan, gdy on przemawiał pierwszego dnia, to na sali nie było ojca oskarżonego, nie zdążył przyjechać z Piotrkowa. Przyjechał dopiero nazajutrz, gdy adwokat B. miał odpowiedzieć na pana replikę. I co pan myśli, gdyby B. mówił tak jak pan tylko przez 15 minut, to co by sobie ojciec oskarżonego pomyślał, i jak wyglądałoby honorarium?...

Wcale nie jestem pewny, czy woźny Pełka miał w swych domysłach rację, chociaż...

Gdy zaczynałem swą prokuratorską karierę sędziowie rzeczywiście niezbyt cenili przemówienia. Znacznie później zrozumiałem przyczyny ich negatywnego stosunku do głosów stroon.

Oskarżałem swego czasu pewnego oszusta, którego bronił wybitny wówczas adwokat K. znany nie tylko z żelaznej logiki swych wystąpień, ale również z bardzo powolnej mowy. Adwokat K. występował z reguły przed Sądem Najwyższym w najpoważniejszych sprawach, ale tym razem znalazł się w Sądzie Powiatowym jako mój przeciwnik. Rozprawie przewodniczył sędzia, o którym już wcześniej wspominałem; ten, który zawsze się spieszył i przerywał przemówienia. Jak zwykle ograniczyłem się do formuły: „popieram oskarżenie”, za to adwokat K. przygotował długie przemówienie, które rozpoczął z właściwym sobie powolnym sposobem narracji. Już po dziesięciu

minutach zniecierpliwiony sędzia zapytał: „Czy pan mecenas nie mógłby mówić nieco prędzej?” Na takie dictum adwokat K. spojrział zdziwiony na przewodniczącego rozprawy i odpowiedział: „Panie prezesie, ja jestem tu nie po to, aby Sąd wcześniej wyszedł, ale po to, aby mój klient wcześniej wyszedł. A co się tyczy tego, że mówię powoli, to niech pan sobie wyobrazi, co by to było, gdybym się jeszcze jąkał”.

Bardzo mi się ta odpowiedź podobała, później, gdy już zrozumiałem, skąd się brał dość obojętny stosunek sądu do głosów stron, wspominałem ją jeszcze wielokrotnie. Myślę, że problem polegał w istocie na tym, że „strony” traktowały również swe wystąpienia często w sposób szczególny, wytwarzając swoiste sprzężenie zwrotne.

Słuchając w ciągu lat bardzo wielu adwokackich przemówień i oceniając ich merytoryczną wagę, zrozumiałem, że niektórzy adwokaci przemawiają rzeczywiście do sądu, natomiast wielu traktuje swe wystąpienie jako swoistą akcję werbowania potencjalnych klientów, jako element autoreklamy zawodowej oraz czynnik mający podwyższyć ich rangę bynajmniej nie w oczach sądu, a w opinii klientów i ich rodzin. Ludzie często uważają, że dobry adwokat to taki, którzy przemawia: po pierwsze — długo, po drugie — agresywnie w stosunku do prokuratora, po trzecie wreszcie — kwieciście. Merytoryczna strona adwokackiego przemówienia wymyka się spod oceny klienta, który nie jest prawnikiem i zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jak powinna przebiegać najbardziej racjonalna linia obrony. Przedstawione poglądy klientów i ich rodzin wpływają na niektórych obrońców, którzy z uszczerbkiem dla merytorycznych treści ograniczają się do tego, że mówią długo, agresywnie, rzadziej kwieciście, bo tu trzeba mieć już autentyczny dar, nie tylko dobre chęci.

Jako prokurator reprezentowałem w każdym procesie określone racje, angażowałem się emocjonalnie w przeprowadzenie dowodów, chciałem też, żeby sąd podzielał moje stanowisko. Każde przemówienie obrońcy było w pewnym sensie polemiką, mogło stanowić zagrożenie dla mojej argumentacji. Słuchając nieraz przemówień określonej, wcale nie małej grupy obrońców odnosiłem wrażenie, że wszystko, co oni mówią, nie stanowi żadnego zagrożenia dla toku mojego rozumowania nawet wówczas, gdy miało ono słabe punkty, które sam podważyłbym, gdybym znalazł się po drugiej stronie. Wiele adwokackich przemówień chyba podobnie odbierali również i sędziowie. Tyle, że ja po wygłoszeniu swej mowy nie miałem już niczego do załatwienia, a ich czekało wydanie wyroku, stąd zniecierpliwienie.

Celowo jestem w swych refleksjach nieco jednostronny, bo byli przecież i są znakomici obrońcy, których słucha się zawsze z prawdziwą przyjemnością. Jeden z dowcipów sądowych powiada, że adwokat o dużym darze przekonywania potrafi samego klienta przekonać o niewinności, i ten, gdy zostanie skazany, ma do obrońcy największe pretensje.

Pamiętam wiele spraw, kiedy to przemówienie adwokata zachwiało moje przekonanie o winie oskarżonego, w którą święcie wierzyłem przez cały czas trwania śledztwa, jak również w chwili gdy opracowywałem akt oskarżenia. W jednym z procesów łupówkowych, po przemówieniu obrońcy, nabrałem takich wątpliwości co do winy oskarżonego, że replikując zrzekłem się oskarżenia i złożyłem wniosek, aby sąd wydał wyrok uniewinniający. Pamiętam też przemówienia adwokackie, znakomite pod względem prawnym, o dużych walorach oratorskich. Jednym słowem, bywało różnie. Nie można jednak zapominać, że zdarzające się przypadki nieprzykładahia

przez sądy wagi do głosów stron miały swe źródło w dość częstym przed laty niskim poziomie przemówień, i to nie tylko obrończych.

Wspomniałem o sztuce oratorskiej. Jak sięgam pamięcią wstecz, nie była ona w modzie. Miałem w swym zawodowym życiu okres, w którym starałem się stylizować przemówienia, wzbogacając je dygresjami, sięgać do literatury pięknej, do filozofii, stosować swoistą ornamentykę w zakresie formy — -mówić nie tylko trafnie, ale i ładnie. Okres ten nie trwał zbyt długo z trzech powodów. Po pierwsze, przygotowanie takiego przemówienia okazywało się niesłychanie pracochłonne i czasochłonne. Trzeba było przesiadywać w bibliotekach, studiować wiele dziedzin, przepowiadać sobie co celniejsze fragmenty, szukać trafnych skojarzeń, w sumie — wkładać w (przygotowywaną mowę znaczną pracę bez większych szans, że wszystko to zaowocuje.

Praca w prokuraturze przed laty była z różnych przyczyn bardziej wyczerpująca niż dziś, było jej po prostu wobec istniejącego stanu kadrowego więcej. Pracowaliśmy niejednokrotnie do późnych godzin, a potem brało się jeszcze akta do domu, żeby pokryć tzw. miesięczny wpływ, to znaczy załatwić w ciągu miesiąca wszystkie wpływające sprawy i nie dopuścić do zaległości. W tych warunkach wszystkie krasomówcze próby z całą ich pracochłonnością skazane były z góry na niepowodzenie. Stąd, w mojej praktyce był to zaledwie zryw, który trwał może rok, może dwa — nie dłużej.

Po drugie i — może ważniejsze — właśnie gdy starałem się być krasomówcą, wcale nie odnosiłem wrażenia, że sąd jest z tego zadowolony.

Było to jeszcze w latach pięćdziesiątych. O przestępstwo w pewnym sensie polityczne oskarżałem Irenę S. W jednym ze sklepów na Saskiej Kępie do szło między nią a inną klientką do sprzeczki. Oskarżona, której nie podobały się kruczoczarne włosy pokrzywdzonej i jej orli nos, krzyknęła głośno: „Ty Żydówko, szkoda, że Hitler was wszystkich nie wymordował!” Tego rodzaju eksces skończył się śledztwem, a w konsekwencji aktem oskarżenia. Sprawa była bardzo ciekawa z psychologicznego punktu widzenia, ponieważ okazała się Żydówką nie pokrzywdzona, a oskarżona. Ta paradoksalna historia miała następujące tło społeczno-obyczajowe: Irena S. mieszkała przed wojną jako młoda dziewczyna w małym podwarszawskim miasteczku, w którym nie licząc Żydów byli już chyba tylko strażacy i policjanci. Oskarżona wychowywała się w środowisku ortodoksyjnym, była córką rabina, należała do zupełnie nie asymilowanej grupy mniejszości narodowej.

Pewnego dnia do miasteczka przyjechał pułk konnicy z dowódcą o znanym arystokratycznym nazwisku. Hrabia G. zakochał się w pięknej Irenie S. porwał ją romantycznie z domu rodziców wprost do Warszawy i, wbrew oczekiwaniom Czytelników, wkrótce się z nią ożenił. Szczęście młodej pary trwało bardzo krótko. Hrabia odszedł do innej, a porzucona małżonka wróciła jak na urągowisko do domu rodziców. Można sobie wyobrazić, co się działo w ortodoksyjnym środowisku miasteczka. Żydzi szykanowali dziewczynę, rzucali w nią kamieniami, ostentacyjnie odwracali głowy itp. To właśnie wytworzyło u Ireny S. szczególny stosunek do współwyznawców, którzy w swym fanatyzmie odrzucili ją bez reszty. Dziewczyna pojechała do Warszawy, zaczęła pracować, jedyną zaś jej obsesją stał się antysemityzm. Wspomniany na wstępie eksces w sklepie na Saskiej Kępie miał więc bardzo szczególne społeczne i psychologiczne tło, które mogło być z powodzeniem eksponowane w procesie jako istotna

okoliczność łagodząca. W sumie sprawa ta była bardzo wdzięczna dla obrony, a dość niezręczna dla I oskarżenia, z czego zdawałem sobie sprawę. Moim I przeciwnikiem w procesie był znakomity mówca są- I dowy ze starej — jak się to mówiło — oratorskiej | szkoły, przedwojenny adwokat Borys O. Broniąc f w sprawach banalnych, rzadko miał okazję do wy- 1 głaszania pompatycznych przemówień. Gdy spotka- liśmy się rano przed drzwiami sali sądowej, adwo- kat O. triumfował. „Zobaczy pan, panie prokurato- ,', rze — powiedział — pańskie oskarżenie rozsypie się w proch, a ja nareszcie będę miał okazję prze- mówić, bo i sprawa oryginalna, i okazja dla wielo- 1 płaszczyznowych refleksji". Musiałem przyznać mo- ? jemu przeciwnikowi rację i z dużym zainteresowa- 3 niem czekałem na jego krasomówczy popis.

Proces trwał dwa dni, przez salę sądową przewi- | g nęło się dwóch hrabiów i jeden autentyczny książę. Byli to świadkowie powołani przez obronę dla źród- łowej ilustracji tła incydentu w sklepie. Po wygło- 4 szeniu przeze minie krótkiej mowy oskarżycielskiej, i sędzia K., który przewodniczył rozprawie przed Sądem Wojewódzkim dla m. st. Warszawy, udzielił gło- M su obrońcy. Adwokat Borys O., który reprezentował fi . nie tylko szkołę krasomówstwa, ale i ekspresyjnego aktorstwa, podniósł się ze swego miejsca, powolnym || krokiem przemierzył całą salę, stanął tuż przy są- a dziowskim stole, podniósł do góry ręce, przechylił się V ku przewodniczącemu sędziemu K. i ważąc słowa, ;s*| scenicznym szepem rozpoczął swój popis słowami:

— Czy panowie sędziowie wiedzą, co znaczy okrutne słowo „mehess...“?

Pytanie było oczywiście retoryczne. Słowo dźwię- czne, litera „s" efektownie rozciągnięta, a „mehes"

to bodajże (po hebrajsku odszczepieniec. Adwokat O. (

3

zamierzał już z rozwianą togą kontynuować swą mowę, gdy sędzia K. przerwał mu w pół słowa:

, „Mehes"? Nie, Sąd nie zna tego słowa. Może pan obrońca wyjaśni, bo Sąd nie wie, po jakiemu to jest, i nigdy nie słyszał. Słowo jakieś dziwne...

Obrońca Ireny S. wyjaśnił, że „mehes" to synonim słowa apostata. Sprawa nie została jednak tym wyjaśniona, ławnicy bowiem poprosili ó dalszą interpretację przedstawionego określenia. Adwokat O. zupełnie zbił się z pantałyku, przemawiał jeszcze parę minut już zupełnie w niekrasomówczym stylu i poprosił dla swej klientki o łagodną karę. Później, po procesie, adwokat O. żalił się, że nikt mu jeszcze tak nie zepsuł przemówienia jak sędzia K., a przecież tak ładne sprawy zdarzają się niezwykle rzadko.

Byli sędziowie, którzy nie lubili popisów krasomówczych nawet w bardzo ograniczonym zakresie. Adwokatowi O. nie udało się przemówienie.

Miałem również podobne zdarzenie. Na początku lat sześćdziesiątych prowadziłem śledztwo przeciwko dwom adwokatom, którym zarzucałem przestępstwo tzw. płatnej protekcji. W materiałach sprawy znajdowała się informacja, że jedna z wdzięcznych klientek oskarżonego wręczyła mu pieniądze w kopercie w zamian za oszukańczą obietnicę kumoterskiego oddziaływania na sąd, a żeby było elegancko — kopertę włożyła w bukiet polnych kwiatów. Oskarżonemu stawiano również inne poważniejsze zarzuty. Pamiętam, że swe oskarżycielskie przemówienie rozpocząłem od zdania:

— Któż mógłby przewidzieć, że bukiet pięknych polnych kwiatów zawędruje aż tu na salę nr 5 Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Już szykowałem się do następnego, równie kwiecistego zdania, gdy sędzia przewodniczący przerwał mi w pół słowa:

— Panie prokuratorze — powiedział — pan zapo

mniał, że przenieśliśmy się z sali nr 5 do sali 5a; tu jest nieścisłość...

Sprostowałem, rzecz jasna, bo i prawda, żeśmy się przenieśli, czułem się jednak trochę tak, jak adwokat O. w procesie Ireny S.

Sędziowie różnie reagowali na przemówienia zawierające zbędne słowa. Niektórzy lubili suchą dokumentacyjną ścisłość, innych ona nudziła; w każdym razie osobiście starałem się zawsze o maksymalną rzeczowość swych wystąpień.

W pewnym okresie swej pracy chciałem być w prokuratorskich przemówieniach niekonwencjonalny, po prostu uciec od sztampy. W czasie aplikacji uczono nas, że trzeba zawsze zaczynać wystąpienie słowami: „Wysoki Sądzie”. Byłem wówczas pod wpływem lektury przemówień sądowych prokuratora generalnego ZSRR Wyszyńskiego oraz jego znakomitego wychowawcy, wielkiego rosyjskiego prawnika A. Koniego. Otóż Koni rozpoczynał swe słynne mowy oskarżycielskie od słów: „Panie przewodniczący, panowie sędziowie”. Bardzo mi się to podobało. Ponieważ jednak Koni oskarżał w XIX wieku, a ja w XX — postanowiłem na jednym z dużych procesów o zabójstwo odejść od konwencji i zamiast „Wysoki Sądzie”, powiedziałem: „Obywatelu przewodniczący, obywatele sędziowie”. Na procesie tym był mój przełożony, który zamiast pochwalić mnie za niezłe chyba wielogodzinne przemówienie, i to bez kartki, najwięcej miejsca w swej ocenie poświęcił krytyce uznając, że nie potrafię poprawnie zwracać się do sądu i rozpoczynam przemówienie od jakichś dziwolągów.

Ostatecznie i radykalnie skończyłem z „krasomów- stwem” rok później. Oskarżałem wówczas pewnego jegomościa o zabójstwo kobiety, która stała na drodze jego życia, kochał bowiem inną i chciał się nią zająć bez reszty. Proces był poszlakowy, co oznaczało że (podstawowa teza oskarżenia opierała się nie na dowodach bezpośrednich, np. naocznych świadkach zbrodni, lecz na wielu faktach, które powiązane ze sobą w logiczny łańcuch przyczyn i skutków wskazywały właśnie na oskarżonego jako na sprawcę zarzucanej mu zbrodni. Był to człowiek w średnim wieku, urzędnik, do którego nie pasował jakoś przypisany mu sposób działania. Zabójstwa dokonano przez silne uderzenie ofiary twardym narzędziem w czoło. Badając przeszłość oskarżonego ustaliłem, że mój klient był w czasie okupacji przez jakiś czas rzeźnikiem. Przygotowując przemówienie oskarżycielskie przypomniałem sobie powieść Zweiga „Topór z Wandsbeck”. Akcja książki, toczyła się w hitlerowskich Niemczech przed wojną. Był tam fragment zawierający opis poszukiwania kata, ponieważ etatowy był akurat z jakichś powodów nieobecny i trzeba go było zastąpić. Jeden z bohaterów powieści wpadł na pomysł, żeby zwrócić się w tej sprawie do miejscowego rzeźnika, który zrobi to najlepiej, bo zna technikę śmiertelnego uderzenia w przód głowy. Przytoczony fragment książki przypomniałem sobie właśnie wówczas, gdy ustaliłem okupacyjny zawód oskarżonego S. O ile sposób dokonania zbrodni nie pasował do osoby urzędnika, o tyle refleksje Zweiga uznałem za kanwę do przedstawienia sądowi kolejnej, być może mało znaczącej poszlaki przeciwko oskarżonemu. Uznałem również za słuszne wprowadzenie do przemówienia fragmentu z literatury pięknej, i na rozprawie w końcowym fragmencie wielogodzinnego przemówienia odczytałem stosowny passus.

Z tego powodu miałem później przykrości, których nigdy bym się nie spodziewał. Okazuje się, że wśród sądowej publiczności był na sali zupełnie przypadkowo pewien rzeźnik. Odczytany przeze mnie fragment

uznał on za niewybredną publiczną dyskryminację reprezentowanego przez niego zawodu. Następnego dnia oburzony rzeźnik udał się do cechu i spowodował oficjalną skargę na treść mojego przemówienia. Cech okazał się bardzo w swym zapamiętaniu aktywny i przysporzył mi sporo kłopotów. Okazuje się, że suche, rzeczowe przemówienie jest zawsze najbezpieczniejsze, i to z każdego punktu widzenia. Swe refleksje na temat wystąpień sądowych tzw. głosów stron potraktowałem nieco z przymrużeniem oka. W istocie, jeżeli niektórzy sędziowie rzeczywiście uważają, że mogliby sobie mowy uczestników procesu darować, to tylko wówczas, gdy albo sprawa jest bardzo łatwa, albo mowa bardzo kiepska. Trudno dziwić się sędziemu, że nie słucha przemówienia „zielonego” adwokata czy prokuratora, który mówi od rzeczy, bo przecież i tak bywa.

Pamiętam sprawę przeciwko chuliganowi, który w autobusie MZK uderzył konduktora. Ponieważ autobus jechał bez pasażerów, jedynym świadkiem zajścia był kierowca, który wszystko widział w lusterku wstecznym. Na rozprawie przed Sądem Powiatowym w Warszawie chuligana bronił młody adwokat K. Obrońca przedstawił sądowi zabawny argument na poparcie wersji obrony, że było zupełnie inaczej, niż napisano w akcie oskarżenia. Chuligan nie przyznawał się do winy, twierdząc, że to nie on uderzył konduktora, lecz właśnie konduktor jego. Adwokat wcale nie odmawiał wiary jednemu świadkowi. Wywiódł tylko, że zgodnie z prawami optyki w lusterku wszystko widać odwrotnie. Skoro więc kierowca widział bijącego chuligana, to znaczy, że bił konduktor — wystarczy znać prawa fizyki...

Takich przemówień można rzeczywiście nie słuchać, należą one jednak do sądowych kuriozów; większość oskarżycielskich i obrończych mów speł-

nia swą społeczną rolę, a poziom ich z roku na rok wzrasta.

Bardzo ważnym aspektem przemówienia są formułowane na zakończenie wnioski. Oskarżając żądałem zwykle dla sprawcy przestępstwa określonej kary, przedstawiając sądowi swój punkt widzenia w tej, jakże przecież ważnej, kwestii. Może źle powiedziałem, że swój punkt widzenia, był to bowiem wniosek nie mój osobiście, a reprezentowanego przeze mnie urzędu. Dla jednolitości polityki karnej prokuratury oskarżyciele uzgadniają zwykle wnioski w zakresie kary z położonym, aby nie było tak, że jeden prokurator jest na rozprawie łagodniejszy, a inny surowszy.

Jako bardzo młody prokurator formułowałem wnioski o kary w bardzo kategoriycznej formie. W pewnej sprawie powiedziałem wręcz, że oskarżony musi dostać pięć lat, bo kara choćby trochę tylko surowsza byłaby jawnie niesprawiedliwa. Dużym zaskoczeniem dla mnie był wtedy wymierzony, przez sąd wyrok 8 lat więzienia.

Daleki jestem od szargania przeszłości, ale przytoczę historię ze wspomnień sądowych znanego dziewiętnastowiecznego rosyjskiego adwokata I. Plewa-ko. W pewnym niedużym mieście miał odbyć się proces polityczny, do rozpatrywania którego powołano przysięgłych. Tegoż dnia postanowiono skorzystać ze skompletowanej ławy przysięgłych i rozpocząć sesję sądową od rozpoznania zupełnie drobnej sprawy pewnego koniokrada, jako że sprawcy kradzieży koni byli wówczas sądzeni przez przysięgłych, i tego dnia nadarzyła się okazja, żeby sprawę złodzieja szybko załatwić.

Na proces polityczny przyjechał sławny prokurator z Petersburga, który dowiedziawszy się, że pierwsza sprawa z wokandy dotyczy koniorada, zwolnił

miejscowego prokuratora powiadając: „Idź pan do domu a ja, sobie tą drobną sprawą przepłuczę gar, dło” przed moim przemówieniem w procesie politycznym”. Tak się też stało — wielki prokurator przemówił w sprawie małego złodzieja. Ponieważ rzecz działa się w prowincjonalnym sądzie, prokurator z Petersburga był nieco nonszalancki i bardzo kategoryczny. Zwracając się do przysięgłych zażądał dla koniokrada kary trzech lat więzienia, podkreślając, że żaden inny wyrok zupełnie nie wchodzi w grę. A co zrobił sąd? Przysięgli zgodnie uniewinnili złodzieja mimo oczywistych dowodów jego winy.

Prokuratorskie wystąpienia sądowe mają niebagatelny aspekt wychowawczy, jeżeli zważyć, że sprawy toczą się publicznie przy wypełnionej sali. W czasie przemówień zawsze o tym pamiętałem. Staralem się, żeby ludzie na sali zrozumieli, na czym polega nie tylko вина oskarżonego, ale również społeczne niebezpieczeństwo jego czynu. Staralem się też zawsze uzasadniać, dlaczego w imieniu urzędu prokuratorskiego domagam się dla oskarżonego takiej właśnie a nie innej kary. Publiczność na sali sądowej to ważny element demokracji naszego sądownictwa. Jest to również swoista społeczna kontrola funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Dlatego nigdy nie zapomniałem, że mówię nie tylko do sądu, ale również do znajdujących się na sali słuchaczy.

WYKRYWACZ KŁAMSTW

Aparatu do wykrywania kłamstw użyłem w całej swej praktyce śledczej tylko jeden raz, i to bez większego powodzenia. Nadzorowałem wówczas postępowanie przygotowawcze w sprawie o zabójstwo, prowadzone przez podprokuratora Bogdana M., z Prokuratury Powiatowej w Pruszkowie.

Zbrodni dokonano kilkanaście lat temu w podmiejskim osiedlu P. Starsza pani Janina T., która mieszkała wraz z dorosłym synem i synową, wyszła pewnego dnia w południe z domu, kierując się do pobliskiej stacji kolei dojazdowej, by udać się do Warszawy. Ponieważ na tej linii pociągi jeździły często kobieta nie zwróciła uwagi na rozkład jazdy. Kilkusetmetrowa droga do stacji prowadziła przez zagajnik. Janina T. do dworca nie doszła. Została zamordowana w połowie drogi, zwłoki zaś ukryto pod drzewem tuż przy ścieżce. Kobieta nie wyglądała na osobę zamożną, wprost przeciwnie. Miała przy sobie zaledwie kilka złotych, trudno więc było podejrzewać rabunkowe tło przestępstwa. Przeciwnie podobnej wersji zdarzenia przemawiał też fakt dokonania zabójstwa w biały dzień, niemal w samo południe, i to bynajmniej nie na peryferiach osiedla, a bardzo blisko stacji. Oględziny lekarskie zwłok nie dostarczyły też żadnych danych, na podstawie których można było podejrzewać seksualne tło zbrodni. Jeżeli dodać do tego, że Janina T. nie miała żadnych wrogów, sprawa przedstawiała się nader zagadkowo, tym bardziej że w pobliżu miejsca znalezienia zwłok nie udało się ujawnić konkretnych śladów mogących służyć do identyfikacji ewentualnie wytypowanego sprawcy. Tak więc w pierwszej swej fazie śledztwo nie dysponowało żadną roboczą koncepcją związaną z konkretną osobą, którą można by podejrzewać o popełnienie przestępstwa.

I jeszcze jedna okoliczność, która w dalszym toku wydarzeń okazała się istotna. Otóż w tym właśnie momencie, w którym Janina T. wyszła z domu udając się w kierunku kolejki, na stację przyjechał pociąg relacji Grodzisk-Warszawa. Później obliczono, że

gdyby z tego właśnie pociągu wysiadł ktoś, kto kierowałby się do domu Janiny T., to spotkałby się z nią mniej więcej w tym miejscu, gdzie następnie znaleziono jej zwłoki.

Wstępne przesłuchania domowników zamordowanej kobiety doprowadziły do następujących ustaleń. Gdy Janina T. wychodziła z mieszkania, synowa jej, obłożnie chora, leżała w łóżku, niezdolna do wykonywania nawet elementarnych czynności. W tym czasie syn staruszki rzemieślnik Piotr T., właściciel warsztatu znajdującego się w Grodzisku, był w Warszawie, dokąd pojechał rannym pociągiem z Grodziska, aby załatwić jakąś sprawę związaną z zaopatrzeniem swego przedsiębiorstwa. Jego wyjaśnienia na temat nieobecności w P. potwierdzały zeznania zatrudnionego w warsztacie współnika: Piotr T. po przyjeździe do pracy rano wkrótce wyjechał do Warszawy.

Pewnego dnia otrzymałem rewelacyjną informację, że pociągiem Grodzisk-Warszawa, który zatrzymał się na stacji w P. w chwili, gdy Janina T. wychodziła z domu przyjechał Piotr T. Wcale nie jechał on do Warszawy, tylko wysiadł w P. Zeznania naocznego i zupełnie obiektywnego świadka, kioskarza dworcowego „Ruchu”, który zauważył rzemieślnika w chwili, gdy wysiadał on z pociągu, - a następnie opuszczał stację kierując się w stronę swego miejsca zamieszkania, rozproszyły wszelkie wątpliwości. Uzyskana od kioskarza wiadomość skierowała nasze podejrzenia ku synowi zamordowanej. Wszystko wydało się jednak nieprawdopodobne, jeśli zważyć, że rzemieślnik miał alibi. Polegało ono nie tylko na zeznaniu współnika, który odprowadził go nawet rano na pociąg jadący do Warszawy, ale przede wszystkim na ustaleniach że właśnie tegoż dnia rano do spółdzielni, w której Piotr T. miał według jego wyjaśnień załatwiać sprawy zaopatrzenia, rzeczywiście przyjechał właściciel warsztatu z Grodziska, a nawet szukał zaopatrzeniowca poza spółdzielnią w innym miejscu, gdzie tenże przebywał „na remanencie”. Pracownicy spółdzielni zeznali zgodnie, że widzieli rzemieślnika Piotra T., i to właśnie w tych godzinach, w których Janina T. udała się w kierunku stacji i została zamordowana.

Wobec tak przekonywającego alibi nie wierzyłem kioskarzowi; przypuszczałem, że po prostu pomylił dni, w których widział Piotra T. na stacji. Świadek jednak upierał się przy swoim. Był pewny, że widział go w środę, a więc w dniu zabójstwa, wysiadającego akurat z tego pociągu, który przyjechał na moment przed zbrodnią.

Wówczas postanowiliśmy jeszcze raz sprawdzić warszawskie alibi Piotra T., tym razem konfrontując go z pracownikami spółdzielni. I co się okazało? Ci świadkowie, którzy o bytności rzemieślnika w spółdzielni zeznawali, oświadczyli, że jako przedstawiciel warsztatu z Grodziska przyjechał w ową środę ktoś wyglądający zupełnie inaczej, a więc nie Piotr T. Już wkrótce ustalono, że owym gościem był po prostu współnik rzemieślnika. To on pojechał w środę rano do Warszawy załatwiać sprawy zaopatrzenia, natomiast syn zamordowanej pozostał rano w Grodzisku, nie mając zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

W ten sposób alibi Piotra T. przestało istnieć. W dodatku okazało się, że próbował on wprowadzić nas w błąd, i to przy wydatnej pomocy współnika. Dopiero okazanie dokonane w spółdzielni wyjaśniło sprawę rzekomej obecności Piotra T. w warszawskiej spółdzielni, i to ponad wszelką wątpliwość. W ten sposób zeznanie kioskarza nabrało wyraźnych rumieńców i stało się istotną poszlaką w sprawie.

Właśnie wówczas, na podstawie dokonanych usta-
| Ze wspomnień prokuratora

leń, zrodziła się wersja prawdopodobnego przebiegu wydarzeń. Podejrzewaliśmy, że rzemieślnik niepo- I kojąc się o żonę, którą bardzo kochał, postanowił w ciągu pracy zajrzeć na chwilę do domu, by przekonać się, czy w stanie zdrowia chorej nie nastąpiło pogorszenie. Idąc ze stacji do domu musiał on mniej więcej w połowie drogi natknąć się na matkę. Piotra T. mógł wyprowadzić z równowagi fakt, że staruszka | zamiast opiekować się chorą pozostawiła ją samą w zamiarze udania się w błahej, wcale nie pilnej sprawie do Warszawy — i to co najmniej na kilka godzin. Między synem a matką mogła nastąpić sprzeczka. Ponieważ Piotr T. był człowiekiem po- H rywczym, mógł matkę uderzyć i zabić. W takiej sytuacji nie pozostawałoby mu nic innego, jak tylko ukryć zwłoki w zagajniku, a następnie zrezygnować z udania się do domu, aby jego przyjazd do P. — i to akurat wówczas, gdy matka szła w kierunku stacji — nie wyszedł na jaw.

W wyniku przedstawionej, prawdopodobnej przeciw wersji wydarzeń Piotr T. został aresztowany pod zarzutem zabójstwa i osadzony w jednym z warszawskich aresztów śledczych.

W czasie licznych przesłuchań podejrzanego, który konsekwentnie nie przyznawał się do winy i żądał zwolnienia z aresztu, próbowałem uzyskać od niego wiarygodne informacje, które uzasadniałyby jego przyjazd do P. bez zamiaru udania się do domu. Gdyby Piotr T. przekonywająco wyjaśnił, po co przyjechał i co robił w P. krytycznego południa, wówczas można byłoby od zarzutu odstąpić. On jednak poza zaprzeczaniem jakoby szedł do domu i spotkał po drodze matkę, nie chciał niczego więcej wyjaśnić, a jeżeli . nawet próbował, to wręcz kłamliwie.

Podejrzany nie mógł już przeczyć, że wcale nie pojechał do Warszawy, a przyjechał z Grodziska do

p. W pewnym momencie przedstawił jako ostateczną następującą wersję wydarzeń. Otóż miał on jakoby odebrać w P. pewne dokumenty dotyczące prowadzonego przez niego warsztatu od jednego ze swoich znajomych i w tym celu przyjechał do P. Wprost ze stacji udał się do tegoż znajomego, zabrał papiery i wrócił na stację, skąd pojechał do warsztatu, w ogóle nie wstępując do domu.

Przesłuchaliśmy wskazanego świadka, u którego w domu miały znajdować się dokumenty. Świadek ten potwierdził wyjaśnienia Piotra T., i to w sposób budzący zaufanie. Rzeczywiście podejrzanym był u niego owej środy w południe i dokumenty zabrał.

Gdy pytaliśmy Piotra T. dlaczego będąc tak blisko domu, nie wstąpił zobaczyć, jak się czuje chora żona, odpowiedział, że nie miał potrzeby, skoro przy chorej była matka. Mimo zeznania kolegi Piotra T. istniejąca w śledztwie wersja wcale nie została podważona. Reprezentowałem wówczas pogląd, że podejrzanym po dokonaniu morderstwa po prostu, aby uzasadnić swój przyjazd do P. na wypadek, gdyby go ktoś zauważył, rzeczywiście odwiedził swego znajomego, odebrał od niego dokumenty, których notabene wcale pilnie nie potrzebował, po czym wrócił do Grodziska, a do P. przyjechał dopiero po południu i udał się do domu.

W przedstawionym stanie sprawy wyrażałem pogląd, że zebranych poszlak jest dość, aby domniemany sprawca mógł pozostawać na czas śledztwa w areszcie. Nie było ich jednak tyle, żeby przy tłumaczeniu wszystkich wątpliwości na korzyść podejrzanego skierować przeciwko niemu akt oskarżenia i spodziewać się skazującego wyroku.

W pewnym momencie śledztwo utknęło na martwym punkcie. Wówczas właśnie namówiony przez profesora H., którego powołałem jako biegłego psy

chologa zdecydowałem się na zastosowanie aparatu który profesor przywiózł z USA. W literaturze przedmiotu nosi on nazwę Variografu. Ten elektroniczny „wykrywacz kłamstw” działał na zasadzie rejestrowania szeregu impulsów wynikających z reakcji organizmu osoby badanej w chwili, gdy stawia się jej określone pytania. Variograf rejestruje zmiany w oddechu, potliwości, w tętnie i innych czynnościach organizmu, rysując w czasie rozmowy z osobą badaną graficzny wykres zarejestrowanych reakcji podobnie jak zapis EKG czy EEG.

Wszystko to było bardzo dawno temu. Spisuję swe wspomnienia bez sięgania do akt sprawy. Wiele okoliczności zatarło się już w mojej pamięci, tym bardziej że omawiane śledztwo prowadzone było przez prokuratora M., a ja je tylko nadzorowałem. Pamiętam jednak dokładnie przebieg badania za pomocą „wykrywacza kłamstw”. Muszę powiedzieć, że nie tylko nie wierzyłem w skuteczność Variografu, ale sama koncepcja tego badania nie bardzo mi odpowiadała. Miałem wrażenie, że ujawnianie tą drogą kłamstwa podejrzanego byłoby w jakiś sposób chwytem poniżej pasa, mimo że Piotr T. wyraził zgodę na poddanie go badaniu i nic nie działało się wbrew jego woli, a tym bardziej bez jego wiedzy.

Myślę, że przyznanie się sprawcy do przestępstwa ma zawsze istotne znaczenie dowodowe, szczególnie zaś wówczas, gdy przyznając się wskazuje on na szereg obiektywnych dowodów, które to przyznanie potwierdzają i uwiarygodniają. W czasie przesłuchań skłaniałem wielu moich klientów do mówienia prawdy. Nigdy nie lekceważyłem szczeremu przyznaniu się do winy, jakkolwiek zawsze — podobnie jak i wszyscy moi koledzy — uważałem, że decyzje w tym zakresie powinien podjąć podejrzanym bez jakiegokolwiek presji ze strony przesłuchującego.

Stąd właśnie użycie wykrywacza kłamstw uważałem za próbę wyłudzenia prawdy. Zaproponowałem jednak to badanie podejrzanemu, a on zgodził się bez wahania, aby — jak się wyraził — udowodnić w ten sposób swoją niewinność.

W dniu badania, jeszcze przed przywiezieniem podejrzanego z aresztu, profesor H., chcąc przekonać mnie o walorach Variografu, zrobił niewielki eksperyment. Zaproponował mi mianowicie, abym pomyślał sobie jakąś dowolną cyfrę od 1 do 10 i zanotował ją sobie na kartce papieru tak, aby pozostała ona tylko moją tajemnicą. Pomyślałem o cyfrze cztery. W czasie nieobecności profesora w pokoju zanotowałem ją na pudełku od papierosów, które skrętnie schowałem w szufladzie biurka i zamknąłem na klucz. Biegły przyłączył czujniki aparatu do mojej głowy i rąk, a następnie uruchamiając Variograf zadał mi dziewięć pytań: „Czy pomyślana przez pana cyfra to jeden, dwa trzy cztery itd., aż do dziewięciu”. Otrzymałem jednocześnie od badającego instrukcję, abym na każde z tych dziewięciu pytań niezmiennie odpowiadał — „nie”. Stosując taką formę odpowiedzi będę musiał oczywiście skłamać, gdy profesor zapyta o cyfrę, którą sobie pomyślałem. I rzeczywiście. Wśród dziewięciu pytań znalazło się również pytanie o moją pomyślną czwórkę. Pomny instrukcji odpowiedziałem tak samo jak na inne pytania — „nie”. I właśnie to moje kłamliwe „nie” zostało przez aparat zarejestrowane. O ile wszystkie prawdziwe „nie” dały wykres równy i bardzo podobny, o tyle „nie” na pytanie: „czy pomyślał pan może o czwórce?” — spowodowało nagle odchylenie wykresu, czujniki zarejestrowały, że jedna spośród ośmiu odpowiedzi jest nie tyle prawdziwa czy kłamliwa, co „inna”. Mówiąc o pomyślanej czwórce nieprawdę widocznie, musiałem jakoś podświadomie reagować,

dkoro aparat zarejestrował przyspieszenie tętna i inne I symptomy mojego niepokoju. Opisany eksperyment S powtórzyliśmy kilka razy. Profesor zawsze bezbłęd. nie ujawniał moje kłamstwo przekonując mnie, że człowiek potrafi się wprawdzie maskować zewnętrznie, ale Vaitografu nie oszuka. .

W pewnym momencie konwój przywiózł podejrzę- i nego. Profesor postanowił również i w nim wzbudzić wiarę w aparaturę. Eksperyment z cyfrą został powtórzony tym razem przy udziale Piotra T. Za- | pisał on w tajemnicy przed nami pomyślaną cyfrę na kartce, po czym dziewięć razy odpowiedział „nie”. Spojrzałem na wykres. Był równy na całej swej długości tak jakby każde „nie” było w pełni prawdzi- we. Profesor bardzo się zaniepokoił i eksperyment powtórzył. Wynik — jak wyżej. Podobnie było za trzecim i czwartym razem. Tu trzeba już było przyznać się do porażki. Profesor wyszedł ze mną z po- koju i powiedział:

— Panie prokuratorze, aparat wykazuje, że wszy- | stkie odpowiedzi badanego są prawdziwe. Ale prze- j cież podczas każdego eksperymentu jedna z odpowiedzi musiała być kłamliwa. Niestety, nie potrafię odpowiedzieć która.

Wróciliśmy do podejrzanego, którego poprosiłem, aby pokazał kartkę z wybranymi przez niego cyframi. I co się okazało? Badany, zapewne w wyniku zdenerwowania, źle zrozumiał instrukcję i zamiast cyfry od 1 do 9, wpisywał liczby: 20, 25 itd. Wpisując liczby zamiast cyfr i odpowiadając „nie” na każde z zadanych mu pytań, mówił prawdę, a aparat prawdę tę zarejestrował równym, nie wykazującym wahań wykresem.

W przedstawionym stanie Tzeczy profesor zdecydował się nie ponawiać już wstępnego eksperymentu, który według odniesionego przeze mnie wrażenia miał charakter wyłącznie reklamowy. Chciał przekonać mnie — sceptyka — o bezwarunkowych walorach Variografu.

Wkrótce biegly rozpoczął właściwe badanie, a ja uczestnicząc przy tej czynności, pilnie śledziłem jej przebieg. Zasada odpowiedzi pozostała ta sama co przy eksperymencie | liczbami. Podejrzany został poinstruowany, że powinien starać się zachować spokój, rozluźnić się i na każde z zadawanych mu pytań odpowiadać tylko „tak” lub „nie” — ani słowa więcej. Pierwsze pytanie brzmiało.

— Czy teraz jest dzień?

— Tak.

— Czy pan jest kobietą?

— Nie.

— Czy Warszawa leży nad Wisłą?

— Tak.

— Czy zabił pan matkę?

— Nie.

Później nastąpiło jeszcze kilka obojętnych dla sprawy pytań i eksperyment uznano za zakończony. Oglądając wykres Variografu nie sposób było nie dostrzec wyraźnego skoku w zapisie wówczas, gdy podejrzany odpowiedział „nie” na pytanie, wkraczające w samo sedno toczącego się śledztwa. Czyżby więc Piotr T. — kwitując pytanie „czy zabił” krótkim „nie” — kłamał? Biegly był wyraźnie zadowolony z przebiegu badania, postanowił jednak uzupełnić je kolejnym eksperymentem, tym razem testowym, aby wydana opinia opierała się na maksymalnej liczbie możliwych do uzyskania danych. Profesor H. posadził badanego wygodnie na krześle przy biurku, po czym wyjął z walizki imponującej wielkości pudło, a z pudła dużą ilość klocków, laleczek i drewnianych zwierząt.

— Panie T. — powiedział — niech pan obejrzy tę

zabawkę, przypomniał sobie jakąś bajkę z dzieciństwa i ułoży ją przy pomocy klocków oraz znajdujących się w pudełku figurek.

Podejrzany długo przyglądał się danym mu do dyspozycji „pomocom”, po czym ułożył „Czerwonego Kapturka”. Postawił na środku stołu małe drewniane łóżecko, włożył do niego figurkę wilka, a obok ustawił dziewczynkę w czerwonej filcowej czapeczce. Na pytanie biegłego, dlaczego mianowicie T. ułożył właśnie „Czerwonego Kapturka”, a nie np. anderseńską „Dziewczynkę z zapalkami” (bo była i taka możliwość) — badany nie potrafił odpowiedzieć.

Ten „Czerwony Kapturek” posłużył następnie pro- j fesorowi do wyprowadzenia daleko idących wniosków, Biegły powiedział mi, że pointą bajki jest mianowicie podstęp. Czerwony Kapturek myśli, że to babcia, a rozmawia z wilkiem. Finał bajki też jest symptomatyczny — łatwowierna dziewczynka zostaje zjedzona.

Biegły w rozmowie ze j mną zwrócił uwagę na pewną analogię treści bajki do roboczej koncepcji B śledztwa w kwestii przebiegu tragicznych wydarzeń. Matka spotyka na drodze syna. Nie przeczuwa niczego złego, jest tak jak Czerwony Kapturek spokojna i ufna, a tu nagle syn staje się agresywny — to już nie człowiek, a wilk itd.

Zdaniem biegłego nasz podejrzany wybrał podświadomie jedną z najbardziej „krwiożerczych” bajek właśnie dlatego, że korespondowała ona w jakiś sposób z tym, co zrobił krytycznego dnia i o co jest podejrzany.

Na zakończenie badania profesor pokazał podejrzanemu kilka plansz z rysunkami pytając, co mu się kojarzy z ich treścią. Pierwsza plansza przedstawiała dwóch zafrasowanych mężczyzn siedzących przy stole. Jeden z nich był młody, drugi stary. Stół stał w pokoju, w którym nie było innych sprzętów. Obie sylwetki miały ciemne tło. Nad stołem wisiała paląca się lampa i to wszystko.

między badającym a badanym wywiązał się następujący dialog:

- Co ta plansza przedstawia?
- Dwóch mężczyzn.
- Niech pan pomyśli, kto to może być.
- Nie wiem.
- Ale może pan sobie wyobrazić?
- To może być ojciec i syn.
- No dobrze, a co oni robią?
- Rozmawiają.
- O czym?
- Nie wiem.

Po tej odpowiedzi nastąpił kolejny apel o próbę fantazjowania. Podejrzany opowiedział wówczas następującą bajeczkę.

— Myślę — zaczął — że ten starszy to ojciec, a ten młodszy to syn. Chyba syn radzi się ojca, co ma zrobić. Być może syn kogoś zabił i nie wie, czy powinien się przyznać, czy próbować wszystko zataić. Ojciec chyba radzi mu, żeby się przyznał. Myślę, że obrazek może przedstawiać taką właśnie scenę.

Po tej odpowiedzi profesor nie miał już żadnych wątpliwości. Uznał badanie za zakończone i wydał opinię, z której wynikało, że prawdopodobieństwo jakoby sprawcą zbrodni był właśnie Piotr T. jest wcale niemałe.

Muszę powiedzieć, że całe to przeprowadzone przez profesora H. badanie nie zrobiło na mnie dobrego wrażenia. W moim odczuciu było w nim coś z szarlatanerii, a już na pewno eksperyment z Czerwonym Kapturkiem i wyprowadzone z niego wnioski wydały mi się absurdalne. Ostatecznie, gdyby podejrzany ułożył „Ali Babę i 40 rozbójników”, to postąpiłby

również na swą niekorzyść. A bajkę o dziewczynce z zapalkami? Cóż, mógł jej po prostu nie znać.

Po opisanym eksperymencie podejrzany wrócił do więzienia. Był jeszcze wtyle razy przesłuchiwany ale do winy się nie przyznał. Ocenilem wówczas sumę zebranych przeciwko niemu poszlak jako nie wystarczająco pewną, że występująca w śledztwie wersja jest rzeczywiście jedyną możliwą wersją wydarzeń. Śledztwo przeciwko Piotrowi T. zostało umorzone z braku dostatecznych dowodów winy.

Chociaż wielu szczegółów sprawy już nie pamiętam, to opisane badanie przy użyciu Variografu mam przed oczami do dziś. Pamiętam, że zastanawiałem się wówczas, jak wyglądałby mój wykres, gdyby mnie podłączono do tego urządzenia i zapytano zniecka: „Może pan zabił Janinę T.?” Nie wiem też, jaką ułożyłbym z klocków bajkę. Może o smoku, i co wówczas?

SPRAWY LEKARSKIE

Na pewnym etapie pracy w prokuraturze stołecznej trafiały do mnie niemal wszystkie doniesienia karne przeciwko warszawskim lekarzom. Prowadziłem osobiście wiele tego rodzaju śledztw, jednak znakomita ich większość kończyła się umorzeniem. Gdy rozmawiałem z pokrzywdzonymi, a w przypadku, gdy choroba kończyła się śmiercią — z członkami ich rodzin, którzy zjawiali się w prokuraturze składając skargę, zawsze uderzała mnie ogromna wiara ludzi we wszechmoc medycyny. Według obiegowych poglądów.. medycyna mogłaby niemal wszystko, gdyby tylko uczeni jej przedstawiciele zechcieli się przywoicie wywiązywać ze swych obowiązków i robić, co do nich należy. Stojąc na takim stanowisku każda

śmierć człowieka, którego wiek niższy jest od statystycznej średniej, może rzeczywiście budzić wątpliwości co do prawidłowości lekarskich interwencji, a w konsekwencji, gdy jeszcze „zagrają” emocje, niejednokrotnie skłaniać do złożenia doniesienia karnego. Ludzie bardzo wierzą w lekarstwa. Dla wielu brak poprawy zdrowia to po prostu źle zastosowany lek. Jednak bardziej jeszcze niż w lekarstwa ludzie wierzą w chirurgię. W szerokich kręgach społecznych panuje dość naiwne przekonanie, że śmierć operowanego pacjenta zawsze, przynajmniej w jakimś stopniu, jest wynikiem źle dokonanego zabiegu, bo przecież gdyby lekarz zrobił wszystko, co trzeba, pacjent zostałby zapewne uratowany.

Mówiąc o tego rodzaju opiniach myślę oczywiście o poglądach, wyrażanych przez osoby pacjentowi bliskie, gdy bowiem rzecz dotyczy osób obcych lub tylko znajomych, tolerancja wobec „sił wyższych” jest już znacznie większa.

Przyjmując doniesienia i przesłuchując członków rodzin osób zmarłych, często widziałem wybijające się emocje. Ludzie ci wyrażając wiarę w osiągnięcia sztuki lekarskiej zupełnie nie przyjmowali do wiadomości, że organizm człowieka, wbrew wielu optymistycznym enuncjacjom, pozostaje w dużym jeszcze stopniu tajemnicą i nawet najbardziej fachowa interwencja lekarska może skończyć się fiaskiem.

Obok wspomnianej już wiary w medycynę ludzie prezentują nadto równie chyba niedojrzały pogląd, że lekarze w swych funkcjach zawodowych winienby ekiniśl więcej; niż, normalnym człowiekiem, a"ięc iistotą, i.bględnie:-mówiąc, . doskonałą. Moi interesahcj/iw fezasieiiiproWadzónybhi na tle przesłu- chańlrozmówlnie; kryfli/ de>żądają'/od kaźtógó przed- stąwicidla.omawianego zawodu.łnaksymatoych' kwat lifikacji, najwyższej wiedzy, sprawności: i<td. Jeżeli

tylko lekarz był gorszy od wyidealizowanego wzorca wówczas zasługiwał — ich zdaniem — na ściganie' i to z całą surowością prawa. Muszę powiedzieć, że prawie wszystkie prokuratorskie postanowienia o u. morzeniu sprawy lekarskiej bywają zawsze zaskarżane do wyższej instancji i nawet zupełnie oczywista niewinność lekarza nie jest przez pokrzywdzonych przyjmowana do wiadomości z przyczyn, psychologicznie rzecz biorąc, zupełnie zrozumiałych. A przecież w istocie nie najwyższa wiedza konkretnego lekarza, jak również nie najwyższa jego fachowa sprawność to jeszcze za mało, aby człowieka oskarżyć i uzyskać wyrok skazujący. Z jednej strony prawo karne nigdy nie było w swych wymaganiach krańcowe, z drugiej zaś udowodnienie związku przyczynowego pomiędzy doznanym przez chorego uszczerbkiem czy nawet śmiercią a określonym działaniem lekarza najczęściej, choć oczywiście nie zawsze, graniczy z niepodobieństwem.

Muszę przyznać, że prowadząc śledztwa w sprawach lekarskich osobiście nigdy nie mogłem uniknąć określonych emocji, dzięki którym nie zawsze potrafiłem zachować w toku dokonywanych czynności całkowity obiektywizm ocen. Wiara w medycynę oraz koncepcja wymogu lekarskiej doskonałości w pewnym stopniu udzielała się mnie również, przez co podstawowa zasada procesu karnego, że wszystkie wątpliwości w każdej sprawie zawsze należy tłumaczyć na korzyść podejrzanego, nie zawsze święciła swe najwyższe triumfy. Mimo to jednak umarzałem około 90% prowadzonych spraw lekarskich, a to głównie dlatego, że wymóg ludzkiej doskonałości ostać się może jedynie w teorii i pobożnych życzeniach, natomiast w życiu trudno analizować każdą pomyłkę, którą notabene często trudno nawet w sposób bezsporny ustalić.

Wspomniałem już, że największe pretensje bywają zwykle do lekarzy wykonujących zabiegi chirurgiczne. Sprawy, jakie przeciwko nim prowadziłem, można w zasadzie podzielić na dwie grupy: do pierwszej należeli operatorzy, którzy pozostawiali w polu operacyjnym ciało obce, drudzy — to położnicy, którzy w czasie zabiegu przerwania ciąży przebijali ściankę macicy, powodując u pacjentki krwotok wewnętrzny. Otóż, ludzie składający w tych sprawach doniesienia reprezentowali całkowitą jednoznaczność ocen. Jeżeli chirurg pozostawi w polu operacyjnym ciało obce lub przebije ściankę macicy, musi być ukarany. Jako niedoświadczony prokurator byłem z początku tego samego zdania; później oceny moje niejako łagodniały albo pod wpływem występujących w procesach biegłych, albo w wyniku większej znajomości przedmiotu, co zresztą ściśle się ze sobą łączyło. Okazuje się, że problem bynajmniej nie jest jednoznaczny.

16 maja 1899 r. odbyła się przed Sądem Okręgowym" w Warszawie rozprawa przeciwko lekarzom Kosińskiemu i Solmanowi, oskarżonym o nieumyślne spowodowanie śmierci pacjentki w wyniku pozostawienia obcego ciała w polu operacyjnym. Oskarżonych uniewinniono. Na tejże rozprawie sądowej biegli chirurdzy: Przewoski, Troicki, Maksymow i Pawłów, mówili szeroko o liczbach i rodzaju przedmiotów, jakie chora ludzkość nosi lub nosiła w swych wnętrzościach. Biegli tłumaczyli też sądowi, że istnieje zawsze jakiś procent możliwości niezawinionego pozostawienia ciał obcych w jamach operacyjnych, nawet przez najbardziej doświadczonych lekarzy.

W jednej z podobnych spraw powołani przez warszawską prokuraturę biegli z dwóch klinik: chirurgicznej i ginekologicznej Akademii Medycznej w

Warszawie wyjaśnili: „Pozostawienie ciała obcego w jamie brzusznej mimo najlepszej organizacji sali operacyjnej może zdarzyć się zespołowi operacyjnemu jako nieszczęśliwy przypadek. Tego rodzaju powikłania, jak wynika z piśmiennictwa, mieli nawet wysokiej klasy operatorzy”.

Nigdy nie byłem na sali operacyjnej i nie widziałem chirurgów w działaniu. W takich sprawach zarówno prokurator, jak i sąd zawsze są zdani na oceny biegłych. Na początku swej pracy wykazywałem daleko idącą nieufność dla takich opinii. Wydawało mi się, że lekarz zawsze będzie bronił drugiego lekarza, nawet z uszczerbkiem dla prawdy.

Wspomniałem o sprawie przeciwko lekarzom: Kosińskiemu i Solmanowi. Otóż oskarżał ich prokurator warszawskiej izby sądowej, Kessel. W swym przemówieniu opublikowanym w literaturze prawniczej kwestionował on nawet sam fakt oceny czynności lekarskich przez lekarzy jako biegłych: „istnieje w nich bowiem pewien esprit du corps, solidarność profesjonalna, ujawniająca się choćby w tym, że nie znający się osobiście lekarze mówią sobie „kolego”. Tym bardziej — zdaniem prokuratora — ujawniać się to musi pomiędzy chirurgami, gdyż biegłym chodzi o własną skórę”.

Przekonałem się jednak w praktyce, że biegłym można i należy wierzyć. Zawsze, gdy przewinienie lekarza miało charakter, z medycznego punktu widzenia, bezsporny i jednoznaczny, biegli, których powoływałem, nie tylko na nie wskazywali, ale wręcz piętnowali, wyrażając nie ukrywane oburzenie.

O pozostawianiu ciał obcych w czasie operacji rozmawiałem w czasie jednego z prowadzonych śledztw, ze znakomitym warszawskim profesorem medycyny doktorem R. Wyjaśnił mi on wówczas możliwe mechanizmy takich przypadków i zrozumiałem, że choć ciał w znacznej liczbie spraw pozostawienie ciała obcego może być zawinione, to jednak nie musi tak być zawsze i nie sposób z samej istoty czynu przesądzać o winie lekarza.

Przypominam sobie pewną bardzo ciekawą sprawę właśnie a propos, choć wkraczamy tu już w ocenę zachowania się lekarzy nie w czasie operacji, a po jej przeprowadzeniu.

Pewnego październikowego dnia przed kilkunastoma laty, w jednym ze szpitali powiatowych w pobliżu Warszawy, operowano pacjentkę Janinę P., u której rozpoznano ciążę pozamaciczną. Zabieg udał się znakomicie, jednak w czasie jednego z badań kontrolnych, jeszcze przed opuszczeniem przez pacjentkę szpitala, stwierdzono u chorej przez powłoki brzuszne guz wielkości pięści, duży, ruchomy, bolesny, a co najważniejsze — twór zupełnie nowy, jako że ani przed operacją, ani w czasie jej przebiegu żadnego guza nie było. Lekarze szpitala powiatowego na czele z samym dyrektorem byli bardzo zaintrygowani całą sprawą, aż jeden z nich wysunął najbardziej prawdopodobne przypuszczenie: musieliśmy coś w brzuchu operowanej pozostawić, zapewne chustę. Wówczas to rozpoczęły się wstydlive pertraktacje z pacjentką, której, nie wprowadzając w istotę sprawy, zaproponowano kolejną operację, tym razem dla usunięcia guza. Chora naradziła się z rodziną i doszła do wniosku, że jej kolejna przypadłość to zapewne rak, bo cóż by to mogło być innego? Wniosek z narady rodzinnej okazał się jednoznaczny: jeżeli rak, a rak na pewno, to nie wolno ruszać. Ludzie ciągle jeszcze mimo pewnych osiągnięć onkologii uważają, że „rak noża nie lubi”. Krótko mówiąc, pacjentka pozostawała zupełnie głucha na propozycje operacji i zaczęła przygotowywać się do opuszczenia szpitala. Gdyby powiedziano chorej prawdę

i przyznano się wobec niej do faktu pozostawienia chusty — zgodziłaby się z pewnością na zabieg i wszystko dobrze by się skończyło. W sprawie tej u lekarzy szpitala nad etyką zawodową wziął górę strach, jeżeli nawet nie przed odpowiedzialnością karną, to przed kompromitacją. W konsekwencji pacjentka opuściła szpital i udała się do domu. Po pewnym czasie zbadano ją ambulatoryjnie i okazało się, że guz ani nie urósł, ani nie zmałał — po prostu był, rekonwalescentka zaś czuła się dobrze. To właśnie dobre samopoczucie utwierdzało ją w przekonaniu, że nie godząc się na operację nie popełniła błędu, a wprost przeciwnie.

Kolejne trzy tygodnie upłynęły na perswazjach lekarzy, którym cała sprawa nie dawała spokoju. Nachodzili oni nawet kobietę w domu i — nie mówiąc co prawda, dlaczego — przekonywali ją, że operacja jest niezbędna. Dla wzmocnienia swej argumentacji zarzekali się też, że o raku nie może być mowy, bo nie rośnie on tak szybko, z dnia na dzień, sprawa na pewno jest błaha i banalna. Ostatecznie Janina P. dała się namówić. Zrobiła jeszcze w domu wielkie pranie i potem przyszła do szpitala. Tak więc dopiero po upływie dwóch miesięcy od pierwszej operacji lekarze otworzyli jamę brzuszną ponownie. W czasie tej operacji znaleźli — zgodnie z przewidywaniami — pozostawioną uprzednio dużą chustę. Tym razem jednak stan chorej był już beznadziejny. Mimo to lekarze nadal nie poinformowali rodziny pacjentki o tym, co się stało naprawdę. Chora zmarła w nocy z 9 na 10 grudnia. Przeprowadzono sądowo- lekarską sekcję zwłok i utrzymanie tajemnicy nie było już możliwe. 13 grudnia o godzinie 12 dyrektor szpitala zjawił się w prokuraturze i zameldował o wszystkim.

Mówię o tej sprawie, by rozbić mity o bezwarun-

48

kowej solidarności lekarzy. Chorą będącą w agonii przewieziono bowiem do szpitala wojewódzkiego w Warszawie, gdzie zmarła. Do wykrycia sprawy przyczynili się lekarze szpitala wojewódzkiego. Oni właśnie podali rzeczywistą przyczynę śmierci chorej i niczego nie ukryli.

A swoją drogą lekarze ogromnie dbają o mit swej nieomyślności. Być może właśnie dlatego powstają FU ludzi bałamutne poglądy. Lekarze nie mają zwyczaju przyznawania się do błędów.' Chodzi tu o te rzeczywiście niezawinione i obiektywne, stwierdzenie których nie stwarza najmniejszego ryzyka odpowiedzialności nie tylko karnej, ale i służbowej. Przesłuchując wielu lekarzy, których błąd był bezsporny, a jednocześnie w ogóle niezawiniony zawsze obserwowałem upór w trzymaniu się wersji, że to, co, zrobili lub czego nie zrobili w ogóle nie było błędem. Nawet gdy wyjaśniałem niejednemu z przesłuchiowanych, że nic mu nie grozi, ponieważ jego błąd nie jest błędem karalnym, mój rozmówca kategorycznie protestował twierdząc, że jego interwencja była bezwzględnie słuszna i zgodna z zasadami sztuki lekarskiej.

Gdy zapytałem kiedyś dra F., dyrektora szpitala w M., przy okazji sprawy jego asystenta, w której błąd był oczywisty, dlaczego lekarze tak bardzo chcą umocnić mit o swej nieomyślności — dr F. odpowiedział, że taka postawa lekarzy, i to na co dzień, .znakomicie służy właśnie chorym, którzy, aby wyzdrowieć muszą święcie wierzyć w swego lekarza, bezwzględnie go słuchać.

Może to rzeczywiście prawda, jednak często ogarniały mnie wątpliwości, a już największe z powodu pewnej sprawy, w której, skądinąd słusznie, nawet nie wszczęto śledztwa. O sprawie tej chciałbym opowiedzieć, sygnalizuje ona bowiem pewien prob-

4 Ze wspomnień prokuratora

lem obyczajowo-moralny w układach pacjent-lekarz, i to wcale niejednoznaczny.

Pewien rolnik miał od szeregu lat bóle brzucha. Leczone go, zupełnie bezskutecznie, środkami farmakologicznymi, przy nietrafnym notabene rozpoznaniu nerwicy żołądka. Później, już w szpitalu powiatowym, zaczęto dopatrywać się owrzodzenia; diagnoza nie była jednak pewna, a rolnika jak bolało, tak bolało. Wreszcie postanowił on pojechać do Warszawy na badanie u profesora. Rolnik miał wrzód, a profesor pecha. W czasie badania diagnostycznego znakomity specjalista spowodował u swego pacjenta perforację i chory zemdlął. Ponieważ rzecz działa się w doskonale wyposażonym szpitalu, pacjenta bezzwłocznie przewieziono na salę operacyjną, profesor wyciął wrzód wraz z częścią żołądka, po czym rolnik wyzdrowiał i nic go, rzecz jasna, więcej już nie bolało. Uszczęśliwiony pacjent zjawił się u swego dobroczyńcy z wyrazami wdzięczności:

— Psinie profesorze — powiedział — ci lekarze w terenie to mnie leczyli proszkami, a pan tylko spojrzął i już pan wiedział, że trzeba mnie od razu wziąć pod nóż. Dziękuję.

Rozmówca rolnika miał alternatywę: albo przyjąć wyrazy wdzięczności i podziwu, albo przyznać się do niefortunnej perforacji. Wybrał to pierwsze rozwiązanie, oczywiście dla zachowania lekarskiego autorytetu, a więc dla dobra nieoznaczonej ilości chorych. Wydaje mi się, że będąc na miejscu profesora, zrobiłbym tak samo, chociaż...

Prowadziłem kilka śledztw przeciwko lekarzom, którzy w czasie zabiegu przerwania ciąży przebili swym pacjentkom macicę. W świetle opinia licznych biegłych, których powoływałem, nawet najbardziej doświadczony położnik może mieć pecha i przebić. Gdy rozmawiałem z jednym z najwybitniejszych ginekologów w Polsce sugerował mi on nawet, że taki wypadek musi się każdemu długoletniemu praktykowi choć raz w życiu zdarzyć, karalnym zaś błędem w sztuce lekarskiej może być dopiero niezauważenie przebicia i nieudzielenie chorej niezbędnej pomocy chirurgicznej.

Wśród wielu spraw lekarskich bardzo dokładnie pamiętam jedną z nich, mimo że wszystko działo się chyba dwadzieścia lat temu. Proszę potraktować to, co opowiem, jako dygresję w kwestii odpowiedzialności lekarzy. Utkwił mi w pamięci ze szczególną wyrazistością pewien drobny fakt, i to nie mający żadnego odniesienia do kwestii prawnych. Otrzymałem od dyrekcji jednego z warszawskich szpitali doniesienie, że pacjentowi przetoczono w czasie transfuzji znaczną ilość krwi niewłaściwej grupy. Błąd w transfuzji musi się skończyć śmiercią chorego, który czuje się jednak jeszcze zupełnie dobrze i nie wie, że pozostało mu w najlepszym razie kilka dni życia. O tragicznej sytuacji pacjenta nie wie również jego żona, która przypuszcza, że mąż po udanej operacji zostanie niebawem wypisany do domu.

•Po otrzymaniu takiego doniesienia bezzwłocznie udałem się do szpitala, aby na miejscu przeprowadzić wstępne czynności śledcze, a nadto zabezpieczyć też odpowiednie dokumenty. Będąc w szpitalu postanowiłem dla uzyskania pewnych niezbędnych danych przesłuchać również nieszczęsnego chorego, nie ujawniając, rzecz jasna, o co w sprawie chodzi. Gdy wszedłem do czteroosobowej sali, w której leżał pacjent, zastałem go pozornie w dobrym zdrowiu, był jednak zdenerwowany drobną sprzeczką z siedzącą przy łóżku żoną. Poszło o zupełnie głupstwo: mąż zamówił sobie mianowicie u żony kilka

pomidorów, ona zaś sprawunku nie załatwiła twierdząc, że wczesne pomidory w okresie szybko postępującej rekonwalescencji to zwykła fanaberia i zachcianka zbyt kosztowna. Pamiętam, że lekarka, która weszła razem ze mną na salę, aby mi wskazać chorego, miała łzy w oczach. Pacjent ten żył jeszcze tylko 3 dni.

Nie opowiadam o konkretnych sprawach lekarskich w pitavalowym stylu. Tego rodzaju śledztwa są bardzo zawiłe i procesy toczą się przez wszystkie instancje, szczególnie zaś zrelacjonowanie konkretnej sprawy w pełnym jej dowolnym wymiarze wykracza poza przyjętą konwencję wyrywkowych niejako wspomnień.

Z grupy śledztw związanych ze służbą zdrowia utkwilo mi doskonale w pamięci jeszcze jedno. Być może dlatego, że oskarżając Krystynę M. o spowodowanie śmierci dwojga wcześniaków, było mi jej żal i przyznam, że ucieszyłem się, gdy sąd wydał stosunkowo łagodny wyrok wymierzając jej dwa lata pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary.

Zdarzenie miało miejsce w końcu lat pięćdziesiątych na terenie jednego z warszawskich szpitali na Woli. Do nowego typu importowanego ze Szwecji inkubatora włożono dwoje wcześniaków. Inkubator ogrzewany był od góry tzw. lampą promiennikową, która zawieszona nad miejscem, gdzie, leżały dzieci, stanowiła źródło ciepła. Krytycznej nocy opiekę nad salą sprawowała młoda pielęgniarka Krystyna M. W pewnej chwili dziewczyna wyobraziła sobie, że lampa promiennikowa daje przecież nie tylko ciepło, ale i światło, które zapewne razi w oczy leżące w inkubatorze wcześniaki. Postanowiła więc poprawić zaniechanie szwedzkiej wytwórni sprzętu medycznego i powiesić na lampie cienką pieluszkę, która rzucałaby cień na inkubator. Zrealizowawszy zamiar Krystyna M. wyszła na moment do innego pomieszczenia. Po chwili zaimprovizowana osłona lampy zapaliła się i spadła na leżące w inkubatorze dzieci, zapaliła się też błyskawicznie pościel i wybuchł pożar. Personel szpitala zupełnie stracił głowę. Nie umiano uruchomić gaśnic, nikt nie znał telefonu do straży pożarnej, przerażone pielęgniarki i salowe zaczęły otwierać okna na korytarzu, powodując niebezpieczne przeciągi. Na szczęście większej liczby ofiar nie było — zginęło tylko dwoje dzieci w inkubatorze. Dzięki przytomności umysłu jednej ze starszych pielęgniarek ogień ugaszono.

Gdy przesłuchiwałem Krystynę M., a następnie, mając na względzie tragiczne skutki zdarzenia, zastosowałem wobec niej areszt, dziewczyna zupełnie nie rozumiała istoty swej winy. Przecież chciałam jak najlepiej — mówiła. — Kocham te wszystkie dzieci, jakby były moje własne, i nie chciałam dopuścić, aby światło raziło je w oczy. To, co się stało, to prawdziwe nieszczęście, ale przecież nie moja wina.

Sprawcy tzw. przestępstw nieumyślnych często nie rozumieją, dlaczego pociąga się ich do odpowiedzialności karnej. Uważają, że argument: „zrobiłem to nieumyślnie” — powinien, bez względu na skutki, całkowicie ich usprawiedliwić. Zawsze było mi żal przestępców nieumyślnych. Krystyna M. miała dopiero 19 lat. Ale nie darmo mówimy: *dura lex sed lex*.

Jeszcze w toku tegoż śledztwa, abstrahując zupełnie od winy Krystyny M. i okoliczności konkretnego pożaru, skierowałem do dyrekcji szpitala tzw. wystąpienie profilaktyczne, w którym zwróciłem uwagę na wady w zabezpieczeniu przeciwpożarowym szpitala. W szczególności zwróciłem uwagę na potrzebę

właściwego rozmieszczenia gaśnic, sprowadzenie kocy azbestowych, których nie było, a nadto na odpowiednie przeszkolenie personelu. Na moje pismo otrzymałem odpowiedź, z treści której wynikało, że wszystkie sygnalizowane usterki zostały usunięte.

Minęło kilka miesięcy. Postanowiłem osobiście sprawdzić, czy sprawę rzeczywiście załatwiono należycie. Zdecydowałem się odwiedzić szpital w nocy, kiedy nie ma dużego ruchu. Pojechałem tam około godziny 23, przedstawiłem się portierowi, założyłem biały fartuch i udałem się na poszukiwanie lekarza dyżurnego interesującego mnie oddziału. Na korytarzach było pusto i ciemno — zbliżała się północ. W pewnym momencie zablądziłem. Trochę kluczyłem po omacku, a nie było nikogo, kogo mógłbym spytać o lekarza dyżurnego, którego notabene znałem z przesłuchań w śledztwie dotyczącym pożaru. Nagle w odległości kilkunastu kroków zauważyłem znajomą sylwetkę dra F. Ten zobaczył mnie również i o dziwo — zamiast przywitać, obrócił się na pięcie i szybko, niemal biegnąc, zaczął się oddalać w głąb korytarza. Pobiegłem za nim, ale zginął mi w jakichś drzwiach, nie zauważyłem, w których. Rozglądając się bezradnie, spostrzegłem młodego mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu; stał na korytarzu oddziału ginekologicznego, i to bez fartucha. Z płaszcza jego ściekała woda, tej nocy bowiem padał ulewny deszcz. Nie była to co prawda moja sprawa, ale w trosce o antyseptykę oddziału zapytałem, skąd się tu wziął i dlaczego nie zdjął płaszcza? Mężczyzna wziął mnie zapewne za lekarza i odpowiedział:

— Panie doktorze, proszę się nie gniewać, ale pan doktor F. wie o mojej obecności. Kazał mi tu czekać na żonę. Właśnie ją przyprowadziłem na zabieg, wcześniej już na dzisiejszą noc uzgodniony.

Wówczas zrozumiałem, że poszukiwany przeze mnie lekarz dyżurny jest zajęty. Zrozumiałem też, dlaczego poznałszy mnie oddalił się i to w popłochu. Zabiegi przerywania ciąży były wówczas mniej niż dziś legalne. Stojąc na gruncie obowiązku prawnego ■ powinienem był wkroczyć w tę sprawę, ale nie zrobiłem tego. Dziś przyznaję się, że uchybiłem swym obowiązkom ograniczając się jedynie do sprawdzenia profilaktyki pożarowej. Jakoś nie byłem przekonany o celowości tej drugiej interwencji i chyba nie popełniłem większego błędu.

W tym miejscu pozwolę sobie na pewną dygresję. Byłem akurat pod wrażeniem śmierci kilku kobiet zamieszkałych na Woli. Wszystkie zmarły w szpitalach w konsekwencji zakażenia powstałego podczas zabiegu przerywania ciąży, dokonanego prywatnie u jakiejś domorosłej akuszerki. Doniesienia w tych sprawach pochodziły od personelu szpitali, do których pogotowie przywoziło nieszczęsne kobiety w stanie już beznadziejnym. Wszystkie wyznawały lekarzom, że zabiegu spędzenia płodu dokonywały u pewnej kobiety, nie chciały jednak w żaden sposób podać jej nazwiska, ani adresu. Próbowałem osobiście przesłuchać jedną z umierających kobiet, skłonić ją, aby dla dobra innych potencjalnych ofiar powiedziała, kto przerywał jej ciążę, i gdzie mieszka. Nie osiągnąłem jednak spodziewanego wyniku. Moja rozmówczyni nie chciała mi niczego powiedzieć, przysięgła bowiem swej „dobrodziejce”, że nie powie.

Mężowie zmarłych kobiet nie umieli mi udzielić szczegółowych informacji. Żaden niczego konkretnego nie wiedział poza tym, że do żony jednego z nich przychodziła na dzień przed zabiegiem kobieta, która prowadziła wózek dziecięcy z bliźniętami.

Wkrótce ustaliłem nazwiska wszystkich matek bliźniąt w całej dzielnicy. Po wstępnej eliminacji pozostały tylko dwie „niepewne”, z których jedna

nigdzie nie pracująca podawała w ankiecie meldunkowej zawód: położna.

Pojechałem z porucznikiem Z. przeprowadzić w jej mieszkaniu rewizję. Janina R. zajmowała wraz z dziećmi jeden pokój w dużym, rozdzielonym pomiędzy trzy rodziny mieszkaniu w starej, przedwojennej kamienicy. W czasie rewizji znaleźliśmy komplet zardzewiałych narzędzi ginekologicznych i nic więcej. W pokoju było brudno, z sufitu zwisały pajęczyny, okna od lat nie myte, pod parapetem grzyb. Na okrągłym stole stojącym pośrodku leżała cerata z widocznymi rdzawymi plamami. Właścicielka mieszkania pokazała nam odcinek renty, oświadczyła, że w ogóle nie pracuje, po czym kategorycznie zaprzeczyła, jakoby dokonywała zabiegów przerywania ciąży. Co się tyczy narzędzi, to ma je z czasów okupacji — pracowała wówczas gdzieś na wsi jako położna i po prostu pozostawiła je sobie na pamiątkę.

Uznałem, że brak jest dostatecznych podstaw, aby Janinę R. aresztować; nie miałem również koncepcji dalszych czynności śledczych poza pokazaniem podejrzanego mężowi jednej ze zmarłych kobiet, temu, który widział swoją żonę rozmawiającą z nieznajomą.

Konfrontacja dała wprawdzie wynik pozytywny, ale nie posunęła sprawy naprzód, Janina R. bowiem wizytę w domu owej kobiety potwierdziła, mówiła jednak, że panie poznały się w sklepie i znajomość miała charakter towarzyski.

Jako ostateczną szansę powodzenia tej sprawy uznałem przesłuchanie sąsiadów położnej, w szczególności emerytowanego woźnego jednego z warszawskich urzędów, który mieszkał tuż za ścianą i nie mógł nie słyszeć ewentualnych krzyków pacjentek.

do niego bardzo głośno. Zapytany o meritum sprawy oświadczył, że żyjąc własnym życiem nie wtrąca się w sprawy sąsiadów i nic nie wie. Straciłem kilka godzin, aby przekonać mojego rozmówcę, że powinien być ze mną szczerzy, jednak bez rezultatu. A przecież byłem prawie pewny, że trop jest właściwy, tym bardziej że analiza piam na ceracie stołu ujawniła krew.

W pokoju, w którym przesłuchiwałem emeryta, urzędował wraz ze mną aplikant R. Przysłuchując się zeznaniom świadka nie krył swego zdenerwowania. Gdy ukończyłem protokół i dałem przesłuchiwanemu do odczytania, aplikant R. zwrócił się do mnie szeptem: „Panie prokuratorze, ten człowiek kłamie. Niech pan go zamknie, to na pewno się opamięta”. Głuchy woźny, który nie słyszał moich pytań i żądał, bym mówiąc do niego prawie krzyczał, nagle ujawnił bardzo „wyostrzone ucho”:

— Zamknąć mnie nie można — powiedział. — Mam 70 lat, astmę i wymagam stałej opieki lekarskiej — w tym momencie zrozumiał, że wszystko się wydało. Wykręcał się jeszcze przez chwilę, ale już tylko dla zachowania pozorów. Wkrótce powiedział prawdę. Okazało się, że krzyki pacjentek położnej spędzały mu sen z powiek, miał jednak z tego tytułu odpowiednią rekompensatę, a zresztą kto lubi zeznawać przeciwko sąsiadom?

Pamiętam, że sąd skazał Janinę R. na karę siedmiu lat więzienia.

KALKULACJA I RYZYKO

W wielu sprawach zarówno kryminalnych, jak i gospodarczych, domagając się dla oskarżonych surowych kar, wspierałem swój wniosek argumenta

mi z zakresu tzw. prewencji ogólnej albo jak niektórzy ją określają — generalnej. Kara sądowa z samej swej istoty oddziałuje nie tylko na konkretnego skazanego, ale również na innych, którzy wprawdzie nie weszli jeszcze w konflikt z prawem, ale może by i zaryzykowali, gdyby nie ich wiedza o surowości represji, biorąca się w dużej mierze z informacji o wyrokach za różne przestępstwa, m.in. za te, jakich chcieliby się dopuścić. Tak więc ogólnie- prewencyjne oddziaływanie każdej kary to nic innego, jak swoiste ostrzeżenie potencjalnych przestępców. Uważajcie, bo za taki to a taki czyn można wam wystawić bardzo duży rachunek, ryzykować więc nie warto.

Jako młody prokurator święcie wierzyłem, że im surowsze będą kary, tym bardziej odstraszy się innych i że prosty związek pomiędzy zaostrzeniem represji a spadkiem przestępczości nie budzi żadnych wątpliwości, stanowi bowiem niewzruszone prawo, wynikające z samej natury rzeczy. Po prostu wierzyłem, że popełnianiu przestępstw towarzyszy zawsze określona kalkulacja, w ramach której potencjalny sprawca, porównując korzyści przestępstwa z dolegliwościami grożącej za nie kary, rozważa, czy konflikt z prawem mu się opłaca, czy też lepiej być uczciwym.

Dopiero z biegiem lat prowadząc w toku licznych śledztw długie rozmowy z podejrzanymi przekonałem się, że sprawa wcale nie jest prosta ani jednoznaczna, surowość zaś represji bynajmniej nie stanowi tu panaceum, będąc jakże często wręcz przeceniana jako środek z zakresu wspomnianej już prewencji ogólnej. Zaczę od tego, że w całej swej zawodowej praktyce zetknąłem się na dobrą sprawę "tylko z jednym przestępcą, który decydując się na konflikt z prawem dokonał precyzyjnej kalkulacji zysków i strat, przyjmując jako pewnik, że wszystko, co zrobił, musi wyjść na jaw. Wszyscy inni czynili z gruntu fałszywe założenie, że przestępstwo ich po prostu nie zostanie wykryte.

Ten jeden, o którym wspominałem, a raczej jedna — bo to była kobieta, uczyniła skądinąd również fałszywe założenie, choć w zupełnie innej materii, niż się to czytelnikowi wydaje. Była to młoda, dwudziestokilkuletnia dziewczyna, zatrudniona jako kasjerka w jednym z przedsiębiorstw państwowych. Ukradła kilkadziesiąt tysięcy złotych w sposób, który nie mógł ujść uwagi elementarnej choćby kontroli, przy czym działała w przekonaniu, że gdy sprawa się wyda, nic już jej nie zgrozi, ponieważ w tymże czasie lub nawet jeszcze wcześniej... umrze. Dziewczyna była u lekarza, który po przeprowadzeniu stosowanych badań stwierdził u niej złośliwą formę groźnego nowotworu w zaawansowanym stadium. Wszystko wskazywało na to, że pozostały jej już tylko 2-3 miesiące życia. Chora podjęła błyskawiczną decyzję: zabrać pieniądze z kasy i wyjechać na ostatni w swym życiu urlop do Zakopanego. Tak też zrobiła. Sprawa jednak wydała się już w ciągu tygodnia.

W śledztwie rozmawiałem z dyrektorem okradzonego przedsiębiorstwa. Gdy dowiedziałem się o wszystkich okolicznościach sprawy, to w jakiś sposób współczułem nieuczciwej kasjerce, nawet wówczas, gdy okazało się, że diagnoza była błędna, rzekomy zaś nowotwór okazał się banalnym zapaleniem, które wkrótce minęło bez śladu.

Był to jedyny chyba w mej praktyce przypadek pełnej kalkulacji „zysków i strat”. W innych sprawach moi klienci i to bez względu na rodzaj popełnianych przestępstw — okazywali się niepoprawnymi optymistami. Pytałem wielu z nich, skąd ta

wiara, że właśnie ich przestępstwo pozostanie nie wykryte. Dziwiłem się ich pewności siebie, mimo że przecież doskonale wiedzieli o licznych procesach grożących za podobne czyny, nie była im też obca znaczna surowość wymierzonych kar.

Jeden z moich rozmówców, włamywacz Jan M., wypowiedział zdanie, które pamiętam do dziś i uważam za nader charakterystyczne dla wielu przestępczych grup. Jan M., człowiek sprytny, inteligentny, a nawet jak na swoje środowisko w miarę wykształcony, był bowiem po maturze, reprezentował pogląd, że inni wpadają tylko dlatego, że są głupi i popełniają błędy. Jeżeli przestępca postępuje mądrze, wówczas nie ryzykuje i nie ma potrzeby dokonywania jakichkolwiek kalkulacji oraz porównań wysokości profitu z wysokością kary, która przecież w ogóle mu nie zagraża. Dla Jana M. wszyscy włamywacze, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek zostali ujęci, to głupcy. Mądrzy — mówił — są na wolności i nie wpadną nigdy.

Jest rzeczą charakterystyczną, że przedstawione poglądy wypowiadał człowiek, który został ujęty na gorącym uczynku. Zapytałem go wówczas: — A pan? „Cóż — odpowiedział — niestety popełniłem błąd, nawet dobrze wiem jaki. Gdyby nie ten błąd na pewno wszystko by mi się powiodło”.

W końcowej fazie śledztwa przeciwko Janowi M. byłem już niemal przekonany, że więzienie go nie wychowa, a najsurowsza nawet kara nie nauczy bilansowania zysków i strat. Mój klient był przekonany że przyczyną niefortunnego dla niego biegu sprawy był popełniony w przyjętym sposobie działania błąd i nic więcej. Powiedział mi też, że w przyszłości, jak wyjdzie, na pewno już więcej nie po-¹ stąpi tak głupio i nigdy się już nie spotkamy, przy

60

czym bynajmniej nie dlatego, że stanie się człowiekiem uczciwym.

Pamiętam wiele rozmów, jakie przeprowadziłem z młodymi ludźmi, których óskarżałem o gwałty — nawet zbiorowe. W jednej ze spraw miałem sześciu podejrzanych w wieku od 18 do 22 lat. Każdego z nich pytałem wówczas, jak można było zdecydować się na to, co zrobili, skoro przecież choćby tylko z prasy codziennej wiadomo, że za tego rodzaju przestępstwa zapadają długoterminowe wyroki, co najmniej kilku lat więzienia, i to na pewno bez warunkowego zawieszenia wykonania kary. Jeden z podejrzanych odpowiedział wtedy, że gdyby z góry przewidzieć, że sprawa się wyda, to nie opłacałoby się gwałcić nawet wobec groźby jedynie kilkumiesięcznego aresztu. Człowiek po prostu nie wierzy, że wpadnie, a skoro ma pewność, że pozostanie nie wykryty — to co go obchodzi kara nawet dożywotniego więzienia.

W przypadkach zbiorowych gwałtów, a spraw takich prowadziłem osobiście lub nadzorowałem co najmniej kilkanaście, stwierdziłem, że w chwili czynu żaden z moich podejrzanych rzeczywiście nie dopuszczał do swej świadomości żadnych ewentualnych kłopotów. Każdy do chwili zatrzymania przez MO i rozpoznania przez ofiarę miał pewność braku jakiegokolwiek ryzyka, stąd też nikt nie myślał o karze, która stała się problemem dopiero wówczas, gdy za gwałcicielem zamknęła się brama więzienia.

W tego rodzaju przestępstwach o żadnej kalkulacji nie może być mowy, choćby nawet dlatego, że sprawcy gwałtów zbiorowych, dziś już znacznie rzadszych niż w ostatnich latach mojej pracy w prokuraturze, bardzo często nie mieli ze swego czynu żadnej satysfakcji nawet w tej sferze doznań, której dotyczyło samo przestępstwo.

fig

Pamiętam przesłuchanie podejrzanych w głośniejszego czasu sprawie nowodworskiej. Wśród kilkusobowej grupy gwałcicieli znajdowali się chłopcy, którzy nie będąc w ogóle podnieceni, nie zdołali dokonać zamierzonego czynu, a przecież już przez swoją obecność na miejscu przestępstwa i udzielenie pomocy kolegom ryzykowali wieloletni wyrok. W protokole przesłuchania jednego z podejrzanych znalazł się następujący passus: — Ja nie zgwałciłem, bo przecież nie miałem „wzdęcia prącia”. — Drugi wyraził się mniej „naukowo”, ale bardziej obrazowo, argumentując, że „członek mu nie... zaimponował”. Pomijając bardziej chuligańskie niż erotyczne motywy omawianej grupy przestępczości nie sposób jednak nie dostrzec, że sprawcy sięgali najczęściej swą wyobraźnią tego, co może zdarzyć się za minutę, powiedzmy — za 10 minut, ale nie później. Między innymi właśnie dlatego żaden z nich, przystępując do swego zbrodniczego działania, nie myślał o grożącej mu karze, a tym bardziej o wysokości, w jakiej mu ona grozi.

Gdyby sprawcy rozlicznych przestępstw kalkulowali nawet opłacalność przestępstwa w stosunku do grożącej im kary, to musieliby włączyć do swego rachunku również stopień ryzyka, że ozyń ich zostanie wykryty. Otóż właśnie w wadliwej ocenie tej kwestii tkwi, jak się wydaje, podstawowe źródło wielu przestępczych decyzji. Ludzie po prostu wierzą, że im się powiedzie, i to nawet wówczas, gdy obiektywnie rzecz biorąc, wszystko wskazuje na nieuniknione niepowodzenie. Podobnie myślą najbardziej nawet nieostrożni kierowcy-: wypadek może zdarzyć się innym, ale nie im; oni jeżdżą dobite. Optymizm, że wszystko musi się udać, występuje u sprawców bardzo różnorodnych przestępstw niemal jako reguła. Pamiętam wieloosobową grupę fałszywych świadków

zeznających w śledztwie po stronie czterech podejrzanych, którzy wszczęli bójkę podczas wiejskiej zabawy, odbywającej się w remizie strażackiej. Organizatorem fałszywych świadków był pewien prawnik, który wraz z oskarżonymi wytypował do tej roli, w przeddzień rozprawy sądowej, kilkunastu rolników, a następnie postanowił dokładnie poinformować ich, jak i co mają mówić nazajutrz. Fałszywych świadków zgromadzono w stodole oskarżonego, następnie wniesiono tam stół i krzesła pozorując, salę sądową. Prawnika, o którym wspominałem, zasiadł za stołem, tak jakby przewodniczył rozprawie. Oskarżeni zajęli miejsca na przyniesionej z chałupy ławie, świadkowie zaś wchodzili pojedynczo z podwórza do stodoły, gdzie otrzymywali kartki z tekstem zeznania, jakie następnego dnia mieli złożyć w prawdziwym już sądzie. W ten oto sposób przebiegał instruktaż przy pełnej aprobacie kandydatów na fałszywych świadków, z których żaden nie pomyślał nawet o tym, że za niezgodne z prawdą zeznanie grozi kara więzienia, i to w wymiarze do lat pięciu. Wszyscy uczestnicy zaimprovizowanej w stodole inscenizacji byli absolutnie przekonani, że fałsz ich zeznań na pewno nie zraść ujawniony, bo i skąd?

Może jednak jestem w swych wspomnieniach nazbyt jednostronny, bo są przecież ludzie o wybujałej wręcz wyobraźni, którzy nawet potwierdzają stare przysłowie, że na złodzieju czapka gore.

Prowadziłem śledztwo w sprawie poważnego wypadku drogowego, jaki zdarzył się nieopodal Warszawy. Wśród świadków ustalonych przez milicję na miejscu zajścia był m.in. pewien mieszkaniec bodajże Poznania czy Wrocławia. Śledztwo trwało bardzo długo, ponieważ zarówno sprawca wypadku, jak i jadące z nim samochodem osoby doznały bar

dzo poważnych obrażeń i nie sposób było przystąpić do (przesłuchań przed upływem wielu miesięcy od dnia zajścia.

Świadka, o którym wspomniałem na wstępie, wezwałem dopiero pod koniec śledztwa i nawet obawiałem się, że wskutek upływu czasu nie będzie szczegółów zajścia pamiętał. Gdy wezwany jegomość przyjechał do Warszawy i zjawił się w moim gabinecie, byłem przekonany, że wie, w jakiej sprawie. Rozpocząłem przesłuchanie od pytania: Ciekawe, czy ma mi pan coś do powiedzenia?

Przybyły przez chwilę milczał, jakby zbierał myśli, wazył jakąś decyzję, po czym spokojnie odpowiedział:

— Skoro mnie (pan wezwał, to już pan zapewne wszystko wie i nie ma sensu zaprzeczać. Tak, wzięłem tę łapówkę i proszę moje szczere przyznanie się do winy potraktować jako okoliczność łagodzącą.

Pewien przestępca gospodarczy ukradł w ciągu roku ponad 200 tysięcy złotych i z kwoty tej nie wydał ani grosza. Gdy wszcząłem w tej sprawie śledztwo i zastosowałem wobec Jerzego W. areszt, mój klient przyznał się do winy i zaproponował, że w zamian za umorzenie sprawy zwróci wszystko co do grosza. Oświadczył również, że celowo nie wydał ukradzionych pieniędzy, brał bowiem pod uwagę fakt, że przestępstwo jego zostanie ujawnione i wówczas wszystko odda. Ponieważ nasze prawo nie przewidywało proponowanych przez podejrzanego pertraktacji, zwrócone przez niego pieniądze nie miały większego wpływu na dalszy tok postępowania.

Tu warto może przytoczyć przedwojenną historię kasjera pewnego warszawskiego banku, który sprytnie uniknął odpowiedzialności za znaczne finansowe malwersacje, tyle że sprawa jego nie doszła jeszcze do stadium śledztwa. Kasjer ów ukradł ogromną

64

na ówczesne stosunki sumę 200 tysięcy złotych, po czym wszystko (przegrał w karty, i to przez jedną noc. Malwersacja musiała wyjść na jaw podczas najbliższej kontroli kasy. Na dwa dni przed kontrolą złodziej udał się po poradę do jednego ze znanych warszawskich adwokatów. Mecenas Z. znalazł znakomite rozwiązanie. Zaproponował swemu klientowi, aby jeszcze tegoż dnia ukradł z kasy banku 400 tysięcy złotych i przyniósł te pieniądze do jego kancelarii. Tak się też stało. Następnego dnia adwokat Z. udał się do dyrektora banku i odbył z nim następującą rozmowę: — Wiem, że niebawem będzie kontrola kasy i okaże się, że brakuje w niej 600 tysięcy złotych. Pieniądze te ukradł mój klient i niestety przegrał w karty. Rodzina mojego klienta zdaje sobie sprawę, co mu grozi, i postanowiła zrobić wszystko, żeby mu pomóc. Wszyscy krewni zebrali posiadane przez siebie pieniądze. Jest to kwota 300 tysięcy złotych; więcej nie udało się im zgromadzić. Jeżeli zgodzi się pan nie zawiadamiać policji i zatuszować tę również i dla banku niemiłą i wstydliwą sprawę, rodzina mojego klienta wpłaci 300 tysięcy złotych i taką kwotę bank odzyska. Skierowanie zaś przeciwko mojemu klientowi doniesienia spowoduje dla banku stratę całej sumy i niepotrzebny rozgłos.

Dyrekcja banku przystała na przedstawioną propozycję. Kasjer nie został oskarżony, jak łatwo zaś obliczyć, adwokackie honorarium wyniosło 100 tysięcy złotych. Było to jednak przed wojną. Inne prawa

1 inne obyczaje.

GWAŁTY I REFLEKSJE

Prowadziłem swęgb czasu wiele spraw o gwałty dokonywane w środowisku wiejskim na terenie Mazowsza. Nie myślę tu o tzw. gwałtach zbiorowych,

2 Ze wspomnień prokuratora

gc

mających drastyczny charakter i niejednokrotnie połączonych z działaniem określanym w kodeksie karnym mianem szczególnego okrucieństwa. Tego rodzaju czyny to zupełnie inna sprawa, do której jeszcze w swych wspomnieniach wrócę, poświęcając jej nieco więcej miejsca. Gwałty, o których chcę mówić, to czyny o charakterze — jeśli można się tak wyrazić — kameralnym. Ot, choćby chłopiec, który spotyka znajomą dziewczynę w lesie albo odprowadza ją z zabawy, po czym wykorzystując przewagę fizyczną dopuszcza się przestępstwa i jawnie ponosi ryzyko kary, bo przecież jest znany ofierze, jeżeli nawet nie z nazwiska, to z widzenia i nie ma żadnych trudności z jego identyfikacją.

Po tym krótkim wstępie chciałbym poruszyć pewien problem rodzący wielorakie refleksje natury przede wszystkim moralno-obyczajowej, ale i również prawnej, bo z zakresu wymiaru kary, jaka grozi za omawiany rodzaj przestępstw.

Bardzo często otrzymywałem pocztą doniesienia karne pokrzywdzonych dziewcząt, niejednokrotnie też zjawiały się one osobiście, nierzadko z rodzicami. Otóż, w początkach mej pracy bardzo mnie dziwiło, że od chwili czynu do chwili doniesienia mijał z reguły dość długi okres czasu, tydzień lub dwa, a nawet kilka tygodni. Ta opieszałość w zgłoszeniu faktu przestępstwa nie miała, oczywiście, znaczenia proceduralnego, utrudniała jednak śledztwo, okoliczności bowiem, które musiałem ustalić, zacierały się w pamięci świadków i lekarze, do których pokrzywdzone zgłaszały się w sprawie obdukcji, mieli również kłopoty w ocenie stopnia i charakteru ewentualnych obrażeń ciała — często prawie już niewidocznych. Gdy pytałem pokrzywdzone dziewczęta bądź ich rodziny o przyczynę opóźnień w złożeniu doniesienia,

udzielały zwykle odpowiedzi wymijających, tłumacząc się wstydem i zażenowaniem. A przecież w istocie źródło wspomnianych opóźnień było w dużej mierze zupełnie inne.

Obserwując na tle wielu podobnych śledztw przebieg zdarzeń po popełnieniu przestępstwa, doszedłem do wniosku, że znaczna liczba dziewcząt zachowuje w miarę możliwości to, co się im przytrafiło, w tajemnicy nawet przed najbliższą rodziną tak długo, jak długo nie okaże się, że sprawca przestępstwa nie był dyskretny. Rozumując logicznie, fakt zgwałcenia nie może przecież żadną miarą obciążać ofiary i ujemnie wpływać na jej opinię w środowisku, a jednak logika sobie, a obyczaj sobie. W konsekwencji dziewczęta wolą, aby przykre dla nich zdarzenie nie było publicznie komentowane, tym bardziej że wśród komentujących mogą się przecież zdarzyć koledzy i przyjaciele sprawcy, którzy całą sprawę na pewno przedstawią co najmniej dwuznacznie. Z tych właśnie przyczyn pierwszy dzień i następne dni po zgwałceniu to okres oczekiwania, czy sprawca okaże się — że użyję tu określenia — dżentelmenem. Najczęściej już następnego dnia następują przechwałki, po tygodniu zaś cała wieś wie, co się krytycznej nocy zdarzyło. Fakt ten skłania pokrzywdzone dziewczęta oraz ich rodziny do dalszych działań, od których często jednak do formalnego zawiadomienia o przestępstwie dość jeszcze odległa droga.

Sprawa ze stadium tajności i milczenia wchodzi bowiem w stadium pertraktacji. Następują spotkania rodziców podejrzanego i pokrzywdzonej, w czasie których dochodzi do żądań określonego finansowego zadośćuczynienia za poniesioną krzywdę. I tu rzecz charakterystyczna: rodzice sprawcy nie są wcale skłonni finansować sprawy, uważając, że eksces syna

nie może być tak łatwo udowodniony, wobec czego po prostu szkoda pieniędzy. Zarówno gwałcieciel, jak i jego bliscy, wyolbrzymiając fakt braku naocznych świadków zajścia wierzą w bezkarność, wydatek zaś rzędu pięciu czy dziesięciu tysięcy złotych, a czasem większej sumy, uważają za rzecz nierozumną i zbędną. Ludzie w ogóle nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, że sąd może z powodzeniem wydać wyrok skazujący jedynie w oparciu o zeznania pokrzywdzonego, wsparte dowodami pośrednimi i wcale nie trzeba plejady świadków, aby określony fakt udowodnić.

Pertraktacje finansowe kończą się różnie. Czasem sprawca płaci, czasem wierzy w szczęście i płacić nie chce. W każdym jednak razie czas mija i dlatego wiele doniesień o gwałcie wpływa dopiero po upływie wielu dni od daty popełnionego przestępstwa, co wcale nie oznacza, że skarga nie jest prawdziwa.

Rozmawiałem swego czasu z rolnikami, których córka została zgwałcona i którzy nie doszli do porozumienia z rodziną sprawcy, wszystko rozbiło się 0 1000 zł, Pokrzywdzona za swą krzywdę żądała 5000 zł, a sprawca dawał 4000 i ani grosza więcej dowodząc, że i tak wcale nie wychodzi na swoje 1 pozostanie w poczuciu straty. Dziewczyna miała 19 lat, była dziewicą. Swój wniosek o ściganie za gwałt uzależniała od wyników finansowych rokowań, przy czym zarówno w tej sprawie, jak i wielu podobnych, rozmowy toczyły się nie pomiędzy gwałciecielem a jego ofiarą, bo byłoby to w złym guście, a pomiędzy rodzicami. Ponieważ do zgody nie doszło, sprawa znalazła się u mnie na biurku.

Otóż, przesłuchując ojca i matkę pokrzywdzonej Jadwigi W, zapytałem o przebieg finansowych pertraktacji, notabene bardzo niechętnie przyznanych przez obie strony. O wspomnianych rokowaniach dowiedziałem się poufnie, czynności te bowiem bez względu na ich efekt, obie strony zatajają zwykle zarówno w prokuraturze, jak i w sądzie | przyczyn zupełnie zrozumiały. Pokrzywdzonym niejako się przyznać, że kupczą swą cnotą, wolą raczej ściganie za jej naruszenie, sprawca zaś ujawniając fakt pertraktacji przyznaje się jakby do winy, bo przecież inaczej rozmowy o pieniądzech nie miałyby sensu.

Gdy zapytałem rodziców zgwałconej dziewczyny o moralne racje, dla których godzili się na przemilczenie sprawy za cenę określonej kwoty, stary rolnik szczerze powiedział:

— Panie prokuratorze to, co się stało, już się nie odstanie, a jaka nam korzyść z tego, że chłopak pójdzie do więzienia? Żadna. Za to za uzyskane pieniądze można kupić krowę czy konia i to będzie na otarcie łez.

W przedstawionym rozumowaniu jest określona logika. Wydaje się, że mściwość nie jest bynajmniej uczuciem powszechnym, w sumie raczej rzadkim. Wielu ludzi potrafi wielkie krzywdy, nawet moralne, przeliczać na pieniądze, które aczkolwiek szczęścia nie dają, jednak w warunkach gospodarki towarowej mają swoje zastosowanie.

Gdy miałem niespełna trzydzieści lat oskarżałem przed Sądem Powiatowym chłopca, którego rodzice poskąpili spornego tysiąca złotych. Ponieważ gwałt nie budził wątpliwości i mimo znacznego od chwili przestępstwa upływu czasu można go było ponad wszelką wątpliwość udowodnić, czułem się na bardzo pewnym gruncie. W swym oskarżycielskim przemówieniu z całą odrazą dla tego rodzaju czynów napiętnowałem osobę sprawcy, uwzględniając jako okoliczność łagodzącą jedynie jego młody wiek i dotychczasową niekaralność. Zażądałem wówczas dla

niego kary 4 lat pozbawienia wolności, eksponując nagminność tego rodzaju czynów oraz ich społeczne zło. Sąd okazał się surowy i skazał mojego klienta zgodnie z wnioskiem. Później Sąd Wojewódzki karę 4 lat pozbawienia wolności zatwierdził i wyrok stał się prawomocny.

Przy jakiejś bytności w więzieniu spotkałem mojego klienta-gwałciciela, który w rozmowie ze mną żalił się na szczególny pech. W sumie przecież czteroletni wyrok nie wytrzymuje żadnej kalkulacji w stosunku do „satisfakcji”, jaką odniósł on w chwili popełnienia przestępstwa. Chłopiec po prostu nie wierzył, że dziewczyna złoży wniosek o ściganie. Myślał, że będzie się wstydziła i zapewne tak by właśnie było, gdyby nie niedzielne przechwałki w gospodzie, które z całej sprawy rychło uczyniły tajemnicę poliszyneła. Do czego jednak zmierzam snując tę opowieść? Otóż, zarówno dziewczyna, jak i jej rodzice, ludzie skądinąd zacni i przyzwoici, ocenili doznaną krzywdę na 5000 zł. Uznali oni, że żądanie zadośćuczynienia w wyższej kwocie nie byłoby adekwatne do zawinienia sprawcy oraz poniesionego uszczerbku, bo tak chyba należało rozumieć ich roszczenia. A teraz wyobraźmy sobie, co by było, gdyby młody człowiek dziewczyny nie zgwałcił, a po prostu spotkał ją w lesie i zabrał jej 5000 zł. I tu zapewne doszłoby do pertraktacji, aby chłopiec pieniądze zwrócił. A gdyby nie zwrócił? Zapewne pokrzywdzona złożyłaby doniesienie karne, a sąd wydałby wyrok. Tylko, że wyroki za kradzieże i wyroki za gwałty bardzo się w praktyce karnej od siebie różnią. Chłopiec, który skazany został na cztery lata więzienia za gwałt, za kradzież 5000 zł byłby zapewne ukarany dużo łagodniej. Myślę, że jako prokurator, biorąc pod uwagę młody wiek sprawcy kradzieży, niekaralność i dobrą opinię, wnioskowałbym karę 6—8 miesięcy pozbawienia wolności, oczywiście z warunkowym zawieszeniem jej wykonania.

W ten sposób problem, który chciałem poruszyć, jest jasny. Ustawodawca bowiem widzi społeczną szkodliwość omawianych czynów znacznie ostrzej niż niejedna ofiara, nawet dziewczica, i coś w tym jest.

Na tle wielu spraw o gwałty stykałem się z ofiarami, które mając szansę uniknięcia zgwałcenia — nie broniły się w obawie przed pobiciem. U pokrzywdzonych następowała wtedy swoista kalkulacja wyboru mniejszego zła. Po prostu wolały być zgwałcone niż pobite. Jestem w stanie taki punkt widzenia zrozumieć. A jednak sprawcy przestępstwa otrzymywali cztero-, pięcioletnie wyroki, odpowiadając zaś za pobicie mieliby duże szanse otrzymania kary nieporównywalnie łagodniejszej. Prawna ocena wagi przestępstwa zgwałcenia niejednokrotnie mija się z oceną osób pokrzywdzonych, a zarazem osobiście zainteresowanych w ściganiu tego rodzaju przestępstw.

Zastanawiałem się nieraz nad problemem spadku przestępstwa zgwałcenia na tle zaostrzenia represji karnej. Trudno, a być może w ogóle nie sposób, dokonać tu miarodajnych badań statystycznych. Znam sprawę rzeczywistego gwałtu, o którym nikt się nie dowiedział, sprawca bowiem zapłacił bez oporów pokrzywdzonej żadaną przez nią kwotę 15 000 zł, zdając sobie sprawę, że grozi mu kara szczególnie surowa, i to bez zawieszenia jej wykonania, wolał zapłacić.

Czyżby więc zaostrzenie represji czyniło sprawców bardziej podatnymi na rodzinne pertraktacje? Na pewno tak. Stąd też i rzeczywista liczba omawianych przestępstw nigdy nie była znana i na pewno nie będzie.

Obok doniesień o gwałtach rzeczywistych zdarzały się, rzecz jasna, również fałszywe oskarżenia, szcze

gólnie w środowisku wiejskim. Z takimi fałszywymi oskarżeniami miałem do czynienia wiele razy, przy czym po zbadaniu okoliczności sprawy często nie miałem sumienia oskarżać rzekomych pokrzywdzonych ani o fałszywe zeznanie, ani o złożenie nieprawdziwego doniesienia. Było mi ich żal.

Specyfika typowych warunków mieszkania na wsi skłania, praktycznie rzecz biorąc, młodych ludzi płci obojga do zbliżeń w warunkach, jeżeli można się tak wyrazić, polowych, a lepiej nawet będzie powiedzieć — leśnych. Być może dziś coś się już w tych sprawach zmienia. Niefortunny zbieg okoliczności sprowadza czasem w miejsce schadzki kochanków spóźnionego przechodnia, robotnika wracającego z nocnej zmiany, gajowego czy choćby sąsiada. Młodzi starają się być wówczas niewidoczni, ale w przypadku zaskoczenia nie jest to łatwe. Taki przypadkowy świadek bądź z zawiści, bądź z innych równie ludzkich uczuć, bynajmniej nie daje rękami dyskrekcji. Dziewczyna ma wówczas wszelkie dane, aby przewidywać, że już następnego dnia o jej zbliżeniu z chłopcem lub co gorsza z dojrzałym mężczyzną, będą wiedzieli jej rodzice, a na pewno też i sąsiedzi.

Ponieważ w obyczajowości wiejskiej miłość poza- małżeńska jest wyjątkowo źle widziana, dziewczyna zdaje sobie sprawę zarówno z oczekujących ją domowych kłopotów, jak i z uszczerbku na czci. Wydaje się jej wówczas, że na wszystko jest tylko jedna skuteczna rada. Trzeba, drąc na sobie ubranie, zjawić się w rodzicielskim domu, płacząc i krzycząc, oskarżać swego partnera o gwałt. Później już niejako lawinowo działają w imieniu swej córki oburzeni rodzice. Oni ustalają, czy świadek nocnej schadzki okazał się dyskretny, a jeżeli nie, przygotowują doniesienie o gwałt.

Muszę powiedzieć, że nigdy nie miałem większych trudności w ustaleniu prawdziwego przebiegu wspomnianego typu nocnych wydarzeń. Rozpoczynałem zwykle śledztwo od drobiazgowego przesłuchania świadka, który przypadkowo znalazł się na miejscu zajścia. Pytałem go zwykle, czy słyszał jakieś krzyki, wzywanie pomocy bądź odgłosy wskazujące na walkę. Otóż, w omawianej grupie spraw niemal regułą była odpowiedź, że wszystko odbywało się w całkowitej ciszy i gdyby nie traf, to świadek przeszedłby o metr od rzekomego przestępstwa w zupełnej nieświadomości tego, co się obok niego dzieje. Podobne zeznanie, w połączeniu z mało przekonującymi wyjaśnieniami pokrzywdzonej oraz konkretną postawą nie przyznającego się do winy podejrzanego, skłaniało mnie do bardziej szczegółowej rozmowy z ofiarą gwałtu. Rozmowa taka, oczywiście bez udziału rodziców, którzy niechętnie pozostawiali córkę samą, doprowadzała z reguły do przyznania się, że sprawa została sfingowana, bynajmniej jednak nie ze złośliwości czy złej woli, a po prostu w obronie czci i wszystkich z tym związanych konsekwencji. W owych latach na wsi dziewictwo bardzo było w cenie. Myślę tu oczywiście o dziewictwie „umownym”, ponieważ wystarczyło, aby nikt nie rozpowiadał, że dziewczynie coś się przed ślubem przydarzyło.

Przypominam sobie wyjątek z „Don Kichota” Cervantesa (tom II, rozdział XLV) cytowany przez Leona Peipera: „Kobieta przywodzi przed Sancho Pansę człowieka, który pozbawił ją czci. Pansa daje jej jako wynagrodzenie sakiewkę winowajcy pełną pieniędzy. Po chwili zaś upoważnia mężczyznę, aby tę sakiewkę odebrał. Oboje walczą, a gdy ona chwali się, że gwałciciel nie zdołał odebrać pieniędzy, Panso odpowiada: — Gdybyś choć w połowie tak uczciwie

broniła swej czci jak tej sakwy, to zaprawdę nie mógłby ci jej odebrać".

Pamiętam pewną sprawę z lat pięćdziesiątych, w której poza wątkiem społeczno-obyczajowym występował nadto problem prawny, który poruszyłem swego czasu w publicystyce fachowej na łamach jednej z gazet prawniczych.

Pracowałem wówczas w Prokuraturze Powiatowej dla dzielnic Warszawy: Praga-Południe; podlegała mi m.in. dzielnica Grochów. Któregoś dnia zjawiała się w moim gabinecie kobieta w średnim wieku, zdecydowanie mogąca się jeszcze podobać, ładna, zgrabna i bardzo sympatyczna. Przyszła wraz z mężem lekarzem, znacznie od niej starszym i robiącym wrażenie bardzo zdenerwowanego.

Poprzedniego dnia lekarz bawił służbowo w odległym mieście, jego żona zaś pozostała w domu. Po południu zamierzała sprzątnąć mieszkanie, umyć głowę i wcześniej położyć się spać. Cały ten plan przebiegłby zapewne bez zakłóceń, gdyby nie imieniny sąsiadki „z góry". Około godziny 20 sąsiadka zjawiała się u doktorowej F. z zaproszeniem, któremu nie sposób było odmówić.

Na imieninach było przyjemnie. Tańczono stare przeboje, a ponieważ jeden z panów nie miał pary, Irena F. tańczyła tylko z nim — jak później ustaliłem w śledztwie, bez dwuznacznych zbliżeń. Partnerem Ireny F. był pewien młody inżynier, którego narzeczona nie mogła zjawić się na przyjęciu, przebywając akurat u rodziców na Wybrzeżu. Około północy, gdy goście zaczęli się rozchodzić, doktorowa pożegnała sąsiadkę i poszła do siebie, a więc piętro niżej. Nie zdążyła się jednak przysposobić do snu, gdy rozległo się pukanie. Irena F. myśląc, że to sąsiadka, która odnosi jej pożyczone na przyjęcie naczynie, otworzyła drzwi. Jakież było jej zdziwienie,

gdy ujrzała na progu mieszkania swego partnera od tańca, który energicznie pchnął drzwi i wszedł do środka. Przybyły od razu oświadczył, że zapragnął mianowicie partnerkę swą pocałować i nic więcej, a w każdym razie tak ją solennie zapewniał. Doktorowa chcąc okazać delikatność broniła się argumentem spóźnionej pory, co należało zrozumieć jako stanowisko negatywne merytorycznie, doświadczenie bowiem uoży, że przy dobrych chęciach każda pora jest dobra. Inżynier okazał się gruboskórny i próbował nawet załatwić sprawę, z którą przyszedł, wbrew woli gospodyni. Właśnie wówczas wywiązała się pomiędzy mężczyzną a kobietą szarpanina i coś w rodzaju potyczki. Ponieważ Irena F. zdążyła uzbroić się w leżącą na stole warząchew, inżynier otrzymał cios w okolicę ucha, na tyle dotkliwy i brzemienny w skutki, że stracił słuch i musiał przejść stosowną kurację laryngologiczną.

Gdy wydarzenia w mieszkaniu lekarza doszły do apogeum, w drzwiach pojawiła się sąsiadka z pożyczoną zastawą, ratując doktorową z opresji. Później zeznała, że gdy weszła do mieszkania państwa F. zastała drzwi otwarte, ujrzała inżyniera w jednym bucie trzymającego się ręką za ucho i doktorową z fryzurą w nieładzie i bardzo zdenerwowaną. W sprawie tej podano mi również nazwiska świadków — sąsiadów przez ścianę, którzy musieli słyszeć awanturującego się inżyniera, jako że dom jest akustyczny a ściany cienkie.

Małżonkowie F. domagali się ode mnie ścigania inżyniera o gwałt dowodząc, że w świetle prawa czyn z ówczesnego art. 204 kk wcale nie musi polegać na zmuszeniu kogoś przemocą do stosunku — wystarczy każdy czyn nierządny czy choćby lubieżny, a takim przecież jest pocałunek, tym bardziej w usta. Przyjąłem od Ireny F. formalne zawiadomienie

o przestępstwie, a następnie wymagany prawem tzw. wniosek o ściganie i wszcząłem w sprawie tej śledztwo. Rozpocząłem oczywiście od przesłuchania świadków, w szczególności sąsiadów zza ściany, którzy rzeczywiście zeznali, że słyszeli krzyki dochodzące z mieszkania F., na które jednak nie reagowali przypuszczając, że sprawa jest legalna i że doktor po prostu bije swą żonę, na pewno niezbyt dotkliwie. Dokonałem również oględzin rozerwanej sukienki ofiary oraz połamanego w czasie walki krzesła. Ponieważ nadto zeznanie samej pokrzywdzonej budziło zaufanie, było bowiem spójne, logiczne i konsekwentne — kwestie dowodowe nie budziły wątpliwości, tym bardziej że i solenizantka wkraczając do mieszkania sąsiadki z zastawą miała w sprawie też coś do zeznania.

W całej sprawie pozostawał jeszcze problem prawny, pokrzywdzona acz bardzo dla sprawcy niezyczliwa, przyznała jednak, że jego działania były ściśle ukierunkowane i jedynie chodziło o pocałunek, oraz że nie zrobił on nic, aby można było zasadnie przypuszczać, że wszystko przebiegać ma zgodnie z przysłowiem: „od rzemyczka do koziczka”, że zechce on przekroczyć zapowiedzianą granicę swego ekscesu. Przed wezwaniem inżyniera M. na przesłuchanie przestudiowałem komentarz do obowiązującego wówczas kodeksu karnego z 1932 r., aby ustalić wynikającą z orzecznictwa granicę pojęcia czynu nierządowego. Nie byłem pewny, czy w pojęciu tym zmieścić można pocałunek, nawet w usta. Otóż teza 3 do art. 204 kk najpoważniejszego podówczas komentarza dra Leona Peipera stwierdza w ślad za orzecznictwem:

„Czynem nierządnym jest nie tylko akt spółkowa- nia, lecz także każdy inny czyn lubieżny mający na celu zaspokojenie popędu płciowego lub podniecenie pobudliwości w zetknięciu z ciałem innej osoby”.

Nie miałem oczywiście wątpliwości, że chęć pocałowania doktorowej daleka była od miłego gestu na dobranoc. Stąd też uzbrojony w zacytowane tezy komentarza wezwałem do siebie potencjalnego oskarżonego i to na jeden z najbliższych terminów. Gdy tegoż dnia zjawiłem się rano w pracy, nie mogłem przesłuchać inżyniera od razu. W nawale nieprzewidzianych zajęć musiałem coś załatwić i poprosiłem go, aby zaczekał. Mój klient, wezwany notabene w charakterze podejrzanego, bardzo się oburzył. Oświadczył, że skoro nie jestem punktualny, to ott czekać nie będzie i jeżeli nie przyjmę go w ciągu 5 minut, to oddali się samowolnie, ma bowiem ślub. Na takie dictum nie pozostało mi nic innego, jak tylko pewnego siebie młodzieńca bezzwłocznie jęor-r malnie zatrzymać i odesłać do aresztu. Tak też zrobiłem. Gdy następnego dnia dysponując już większą ilością czasu rozpocząłem go przesłuchiwać, inżynier był znacznie mniej pewny siebie. Bronił się inówiąc, że gdyby każdy mężczyzna, który chce poęłować kobietę wbrew jej woli, miał odpowiadać karnie — wówczas sądy nie mogłyby już rozpatrywać żadnych innych spraw, po prostu ~z braku czasu. Argument ten nie był tak zupełnie pozbawiony racji. Szereg pań prezentuje przy pierwszym pocałunku postawę oporu tylko w imię przyjętych obyczajowych konwencji. W tym jednak przypadku, biorąc pod uwagę akcję przy użyciu warząchwi oraz wołanie o poraotę, opór był rzeczywisty. Orzecznictwo sądowe powiada: „czy opór pokrzywdzonej nie był tylko pozorny, podyktowany wstydlivością, chęcią zachowania pozorów lub chęcią osiągnięcia pewnych korzyści, ocenia sąd wedle okoliczności, Osób, miejsca i czasu popełnienia czynu. Sędziowie rozstrzygają ten problem, gdy dochodzi do rozprawy sądowej, w śledztwie de» cyduje prokurator. Przyjąłem więc, że inżynier do

puścił się przestępstwa z art. 204 kk i skierowałem przeciwko niemu akt oskarżenia do ówczesnego Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi.

Gdy już sprawa ode mnie „odeszła”, miałem jeszcze wiele wizyt dra F., męża pokrzywdzonej. Przychodził do mnie w dni przyjęć porozmawiać — jak określał — jak mężczyzna z mężczyzną.

— Panie prokuratorze — mówił — pan ma tyle z takimi sprawami do czynienia. Niech pan mi powie prywatnie, czy ona naprawdę nie chciała się z nim pocałować, czy tylko się droczyła? Przecież później weszła sąsiadka i ona musiała zachować twarz.

Przekonywałem mojego rozmówcę, że jego żona jest bez winy, dowodem zaś, że jej wierzę, jest przecież wniesiony przeze mnie akt oskarżenia. Ten argument zdawał się działać na lekarza krzepiąco i decydował o jego samopoczuciu. Zamienialiśmy jeszcze kilka słów na temat kobiet, życia, co zresztą wychodziło na jedno, i „interesant” opuszczał mój gabinet uspokojony.

Któregoś dnia, na krótko przed rozprawą w sądzie przyszedł on jeszcze raz.

— Widzi pan — powiedział — podjąłem postanowienie. Pan zna się na ludziach, ale sąd też. Otóż jeżeli inżynier zostanie skazany, uspokoję się wówczas na zawsze. Jeżeli natomiast sąd go uniewinni, odejdę od żony, mimo że mamy dzieci. Po prostu zaufanie, które do niej miałem, już nie wróci.

Oskarżając w tej sprawie tak, jak w żadnej uprzednio zależało mi na tym, aby sąd podzielił mój pogląd i skazał oskarżonego choćby najłagodniej. W swym przemówieniu nie mogłem jednak wykazać podtekstu tego procesu, bo i jak?

Sprawę sądziła asesora A., młoda, niespełna trzydziestoletnia kobieta. Oskarżany wywarł na niej jak najlepsze wrażenie; nie mówił, że się spieszy —

78

zmądrzał. W sprawie tej zapadł prawomocny wyrok uniewinniający, bo i rewizję, którą wniosłem, przegrałem. A tak na dobrą sprawę to sądy obu instancji nie potrafiły przekonująco uzasadnić, dlaczego nie dopatrują się w osobie oskarżonego przestępcy. Być może dlatego mąż pokrzywdzonej nie wniósł sprawy o rozwód. Gdy spotkałem go na ulicy wiele lat później, powiedział, że żonie... przebaczył.

COS DO ZAŁATWIENIA

Pewnego jesiennego popołudnia 1954 roku zostałem wezwany jako prokurator dyżurny do przypadku domniemanego samobójstwa, ujawnionego na ulicy Filtrowej w Warszawie. Młoda 19-letnia dziewczyna pracująca jako pomoc domowa u małżeństwa L. skorzystała z nieobecności chlebodawców, którzy tego dnia mieli później wrócić z pracy; postanowiła otworzyć kurek od gazu jeszcze w południe, aby na jakąkolwiek pomoc było za późno. Sprawa samobójstwa tej dziewczyny utkwiała mi w pamięci dzięki interesującym okolicznościom, ustalonym w toku postępowania wyjaśniającego. Przyczyna desperackiego kroku okazała się mało oryginalna, zawiedziona miłość coraz rzadziej przenosi ludzi na tamten świat. Myślę, że jedynie wówczas, gdy koniec miłości oznacza jednocześnie koniec wszystkiego, to znaczy, gdy w grę wchodzi nie tylko sprawa zawiedzionego uczucia, ale przede wszystkim — rozbitej koncepcji życia, daleko wykraczającej poza tę właśnie sferę spraw.

Janina M. dowiedziała się w przeddzień śmierci, że jej chłopiec choć ją kocha, żenić się nie zamierza. Gdy zrozumiała, że nic się w jej życiu nie zmieni, postanowiła umrzeć. Być może, gdyby elektryk utrzymał obietnicę małżeństwa, a tylko przestał ko-

19

chać, Janina M. byłaby dziś mężatką. W przerwach pomiędzy licznymi zajęciami domowymi czytałaby romanse, płakała na filmie „Love story” — żyła. Motywy decyzji ostatecznych bywają próżne, zawsze na miarę ludzi, którzy je podejmują. Ponieważ wszystko jest konsekwencją bardzo subiektywnego stosunku do określonych sytuacji, trudno cokolwiek uogólniać.

Janina M, na kilka godzin przed śmiercią, a nawet na moment przed śmiercią zrobiła coś, co zadziwiło mnie wówczas, ale dziś już mnie dziwi zupełnie. Jako prokurator stykałem się z wieloma przypadkami samobójstw. To, które opisuję, było pierwsze. Później przez wiele lat badałem istotne okoliczności podobnych spraw. Robi się tak zwykle po to, by wyeliminować wersję zabójstwa. Przekonałem się wówczas, że niemal wszystkich samobójców, bez względu na motywy podjętej decyzji, płeć, wykształcenie czy środowisko, łączy jedna wspólna cecha: coś, od czego nie sposób się wyzwolić.

Gdy wszedłem do mieszkania Janiny M, zauważyłem, że wszystko lśni czystością. Podłoga była świeżo zapastowana, kuchnia idealnie posprzątana, okna umyte. Pościel właścicieli mieszkania wietrzyła się na balkonie, a obok na krześle leżało przygotowane czyste powleczenie. Wszystkie produkty żywnościowe z kuchennej spiżarni znajdowały się pieczołowicie opakowane na balkonie. Zmarła leżała w kuchni na podłodze. Sąsiedzi, którzy czując zapach gazu, wyważyli drzwi, powiedzieli mi, że dziewczyna ubrana była w nową ciemną sukienkę i nowe buty, leżała przykryta dużym wełnianym kocem. Okna od kuchni były uchylone.

Pamiętam, że ta sceneria właśnie zrobiła na mnie duże wrażenie. Coś mi się tu nie zgadzało. Wbrew oczywistym faktom byłem skłonny wykluczyć samo-

80
bójstwo, ponieważ Janina M. zachowywała się do ostatnich chwil przed śmiercią jak żywy człowiek. Miałem wówczas, przyznaję, naiwną koncepcję ostatnich chwil każdego samobójcy. Wydawało mi się, że człowiek, który podejmuje taką właśnie decyzję, od razu, w tym samym momencie, traci wszelkie związki ze światem, że nic go już nie obchodzi i nic nie może być dla niego ważne. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Janina M. wiedząc, że za godzinę czy dwie otworzy gaz, do ostatniej chwili wykonywała obowiązki wobec ludzi, u których mieszkała i pracowała. Dlaczego przekraczając swą decyzją granicę dzielącą życie od śmierci myślała o rzeczach tak błahych, jak zabezpieczenie jedzenia, sprzątanie, pastowanie, zmywanie...

Podobno Sokrates już po zażyciu cykuty prosił jednego ze swych uczniów, aby nauczył go modnej wówczas piosenki. Gdy obecni zapytali: „Mistrzu, teraz? Przecież już za kilka godzin nie będziesz żył...” Sokrates odparł: „A kiedyż mam się jej nauczyć...”

Uogólniając własne spostrzeżenia na tle znanych mi licznych samobójstw mogę stwierdzić, że wszyscy, mimo podjętych już decyzji odejścia ze świata, do końca myśleli kategoriami ludzi żywych. Okazuje się, że nikt nie jest w stanie choć przez chwilę myśleć kategoriami zmarłego. Kategorie takie w ludzkim myśleniu po prostu nie istnieją.

Zauważyłem też, że samobójcy do ostatnich swych chwil załatwiają jakieś sprawy. Nieistotne, czy są one obiektywnie ważne, czy nie, dość, iż istnieją i trzeba przed śmiercią załatwić. Gdyby sama decyzja samobójstwa odrywała ludzi od świata, nikt nie zostawiałby listów, a przecież zostawiają prawie wszyscy.

Pamiętam prowadzone przeze mnie wiele lat temu głośne w Warszawie śledztwo w sprawie śmierci Ireny T. Rozważałem wówczas dwie możliwe wersje:

6 Ze wspomnień prokuratora

zabójstwo czy samobójstwo? W grę wchodził cyjanek. Jeden ze świadków przekonywał mnie, że zmarła nie mogła odebrać sobie życia, ponieważ miała do | załatwienia w ciągu najbliższych dni kilka wcześniej zaplanowanych spraw, m.in. pilną wizytę u krawcowej. Naiwna ta argumentacja przypomniała mi sprawę pewnego chemika, który postanowił popełnić samobójstwo instalując w łazience skonstruowane przez siebie urządzenie zaopatrzone w bardzo silny materiał wybuchowy. Człowiek ten golił się przez kilka minut, po czym dopiero włączył kontakt. Gdy dokonywałem oględzin izwłok, całe mieszkanie spryskane było krwią. Samobójcy nie sposób było w ogóle zidentyfikować, w mieszkaniu wyleciały wszystkie szyby. A jednak człowiek ten, zanim uruchomił zapalnik chciał się jeszcze ogolić.

Człowiek zawsze ma coś do załatwienia przez całe życie, do ostatniej chwili. Janinie M. z ulicy Filtrowej wydało się w pewnym momencie, że jeśli nie wyjdzie za swego chłopca i nie zmieni swego życia tak, jak planowała, to nie będzie miała niczego już do załatwienia. Zrobiła tylko to, co do niej należało — sprzątnęła mieszkanie.

UPOR

Prowadziłem w końcu lat pięćdziesiątych śledztwo przeciwko pewnemu inżynierowi, podejrzanemu o łapówki. Sprawa była z grupy tzw. łatwych, okoliczności towarzyszące przyjmowaniu przez Michała Z. korzyści majątkowych w związku z urzędowaniem miały bowiem zupełnie jednoznaczną wymowę. Bohater opowieści brał od każdego ze swych partnerów pieniądze w cztery oczy i aczkolwiek publicznie, bo w kawiarni, to jednak zawsze pod blatem stolika.

Kameralny charakter omawianej czynności nie przysparzał mu świadków, za to wszyscy, którzy inżynierowi Z. dawali, a był ich „legion”, zgodnie zeznawali to samo. Wówczas obowiązywał jeszcze art. 47 tzw. małego kodeksu karnego. Przepis ten uprzywilejowywał „dającego”, a nawet gwarantowi mu bezkarność pod warunkiem, że wręczył on łapówkę na żądanie, a następnie bądź sam o tym doniósł, bądź najpóźniej w pierwszym przesłuchaniu powiedział całą prawdę. Moi świadkowie nie kwapili się wprawdzie donosić, ale wezwani do prokuratury, rozumiejąc swą szansę, od razu mówili tak, jak było. Na taką postawę świadków wpłynęła niewątpliwie bez- kompromisowość inżyniera domagającego się łapówek. Mimo że wszystko, co obiecywał, rzeczywiście załatwiał, kontrahenci nie darzyli go sympatią.

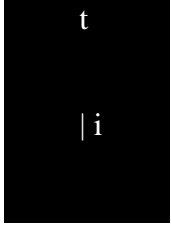
Sprawa dotyczyła grupy prywatnych wykonawców robót budowlanych dokonujących drobnych inwestycji na zlecenie pewnej dużej jednostki gospodarki społecznej. Przedsiębiorcy działali zupełnie legalnie. Zakłady ich były prawidłowo zarejestrowane, właściciele posiadali niezbędne uprawnienia budowlane, płacili podatki itp.

Istota przestępstwa sprowadzała się do tego, że dążąc do maksymalnego zysku przedsiębiorcy wystawiali swemu zleceniodawcy mocno zawyżone rachunki, a ten je akceptował. Można by zadać pytanie, jaka w tym wszystkim rola inżyniera Z.? Sprawa była prosta. Bohater opowieści pracował u zleceniodawcy jako inspektor nadzoru. On właśnie miał obowiązek sprawdzać faktury wykonawców w sposób merytoryczny i z istoty swej funkcji pilnować, aby wszystko co zawierał rachunek było rzeczywiście wykonane zgodnie z dokumentacją.

W sprawie okazało się bezsporne, że każda faktura przedsiębiorców była zawyżona co najmniej o 300

1 1

4-J



EPrasBH

procent. W skład tych zawyżeń wchodziły nieprawidłowo obliczone stawki cennika, nienależne dodatki, i nade wszystko roboty, w rzeczywistości nie tylko że nie ukończone, ale w ogóle nie rozpoczęte. Inżynier Z. sporządzał fikcyjne notatki z przebiegu rzekomych wizytacji budów, książki, obmiaru podpisywał u siebie w domu, a dzienniki budowy w kawiarni. Ostatecznie okazało się, że Michał Z. funkcjonując jako inspektor nadzoru osobiście nie był na żadnej budowie, nikt go tam nigdy nie widział, a i sam musiał przyznać, że akceptując wszystkie rachunki w ogóle nie ruszał się z biura.

W takich oto warunkach prywatni przedsiębiorcy budowlani wyłudzili nienależny im milion, z którego 10 procent przekazali inspektorowi nadzoru za... „życzliwość”.

Przesłuchując wielokrotnie inżyniera Z. okazywałem mu sukcesywnie protokoły obciążających go świadków, nie robiło to jednak na nim żadnego wrażenia. Inżynier niezmiennie powtarzał to samo: jestem niewinny. Sprawca nie mógł, rzecz jasna, negocjować wszystkiego. Uznaliśmy w naszych rozmowach za okoliczność bezsporną fakt, że ukradziono milion, którego on nie upilnował. Jako fakt niewątpliwy i niepodważalny przyjęliśmy nadto, że inżynier spotykając się z wykonawcami w kawiarni podpisywał systematycznie zawyżane faktury „w ciemno”, a więc w ogóle nie wizytując budów. Nie mogliśmy uzgodnić tylko jednego, jaki też był mianowicie motyw jego działania. Ja w oparciu o cały klimat sprawy i dokładne zeznania wykonawców twierdziłem, że mój „klient” brał, a on zaprzeczał.

Przyznam, że postawa inżyniera Z. trochę mnie złościła. Rozumiem, że można się nie przyznawać. Czasem nawet nie rozumiałem, jak można się było przyznać. Zawsze jednak ludzie, z którymi miałem

do czynienia jako z podejrzanymi, reagowali mniej lub bardziej adekwatnie do sumy i wartości zebranych dowodów. Tym razem było zupełnie inaczej, podejrzanym, jak się gwarowo mówi „szedł w zaparte” wbrew¹ oczywistym dowodom, wbrew faktom i zdrowemu rozsądkowi. Nie można przecież, mówiąc o swym przewinieniu poważnie, potwierdzać cały tryb życia: kawiarnie, restauracje, wódkę, a przede wszystkim fikcyjność swego nadzoru i ogrom powstałych z tego tytułu strat, ale dowodzić, że dokonało się tego wszystkiego bezinteresownie, dla zupełnie przecież obcych i nigdy uprzednio nie znanych sobie ludzi.

Pod sam koniec śledztwa znalazłem obiektywnego świadka, który zeznał, że widział inżyniera Z. w mieszkaniu jednego z „kontrahentów” liczącego pieniądze. Świadkiem tym był listonosz, który jak zwykle przyniósł matce przedsiębiorcy, Janinie Z., rentę i zamiast wyjść z kuchni do sieni, omyłkowo wszedł do pokoju. Listonosz zobaczył na stole żytniówkę, a ponieważ był trunkowy, próbował dołączyć do kompanii, jednak bez powodzenia. Gdy okazałem temu świadkowi inżyniera Z. w otoczeniu pięciu przybranych osób, listonosz nie wahał się ani chwili. Wskazał inżyniera jako osobę, którą widział w mieszkaniu przedsiębiorcy, leżącą pieniądze.

Podczas kolejnego przesłuchania mojego „klienta” byłem niemal pewny, że tym razem osiągniemy zgodność poglądów co do istoty wszystkich zarzutów. Znów jednak zawiodłem się srodze. Inżynier powtarzał jak papuga swą wyuczoną lekcję, zapewniając mnie, że wzniósł się wprawdzie na szczyty w zakresie niedopełnienia obowiązków, nie wziął jednak od nikogo ani grosza, po prostu dlatego, że jest uczciwy.

Miałem w swej praktyce jeszcze w czasach aplikacji podobną sprawę. Przesłuchiwałem pewnego roi-

nika posądzonego o paserstwo. Pytałem go wówczas, czy zdawał sobie sprawę z tego, że kupione za ćwierć ceny przez niego cztery nowe opony pochodziły z kradzieży? Rolnik nie kwestionował żadnego z udowodnionych mu faktów. „Prawdą jest — powiedział — że ten kierowca przyjechał samochodem Pobieda na wieś, przy mnie odkręcił cztery koła, zdjął opony, które kupiłem, samochód zepchnął z pomocą kolegi do pobliskiej sadzawki. Co prawda to prawda — wyjaśniał — ale żebym wiedział lub domyślał się choćby, że opony są kradzione, tego nie przyznam, bo paserem nie jestem”.

Po przesłuchaniu rolnika zastanawiałem się, dlaczego nie korzystał z okazji, aby szczerym przyznaniem się do winy i choćby pozorną skruchą „zarobić” na mniejszy wyrok. Ta sprawa była oczywista. Nabywca opon nie miał po prostu wyobraźni i uważał, że jego negacja może wbrew istniejącym dowodom przekonać sąd i wpłynąć na wydanie wyroku uniewinniającego.

Wróć jednak do sprawy inżyniera Z. Był to bardzo inteligentny, sympatyczny, starszy mężczyzna, człowiek z pewnością na tyle rozsądny, aby zdać sobie sprawę z niecelowości swego uporu. Jediną szansą podejrzanego było przyznanie się do winy i skrucha za popełnione przestępstwo. Sąd bierze pod uwagę taką postawę, stanowi ona bowiem istotną okoliczność łagodzącą przy ferowaniu każdego wyroku.

Nigdy nie wątpiłem w wyobraźnię inżyniera Z., miał on ją na pewno wystarczająco rozwiniętą, by wiedzieć, że przecząc pomówieniom wszystkich ! przedsiębiorców, a nawet świadectwu listonosza, pogorszy jedynie swą sytuację. A jednak inżynier Z. nie przyznał się do brania łapówek ani w śledztwie, ani podczas rozprawy, ani nawet na zakończenie procesu w „ostatnim słowie”.

Sąd nie dopatrywał się w działaniu oskarżonego żadnych okoliczności łagodzących. Po wysłuchaniu mojego przemówienia, w którym podkreślałem odrażająco wykrętną postawę oskarżonego i po wysłuchaniu obrońcy, mówiącego bez przekonania o zupełnej bezinteresowności swego klienta, wydał bardzo surowy wyrok. Nie mogłem wówczas oprzeć się wrażeniu, że inżynier Z. bardziej rozdrażnił ławników swym bezsensownym uporem niż czynem, jakiego się dopuścił. Sędziowie sądzą różnych ludzi oskarżonych o różne czyny, wszyscy rozumiemy, że każdy może w życiu popełnić błąd, ale żeby mimo oczywistym dowodom...

W kilka miesięcy po opisanej rozprawie, załatwiając jakieś służbowe sprawy, w kancelarii więziennej spotkałem inżyniera Z., zatrudnionego tam jako pomocnika w prowadzeniu ewidencji. Długotrwałe śledztwo sprawiło, że zapamiętałem jego osobę, przystanąłem więc i zamieniłem z nim kilka słów. Inżynier uśmiechając się do mnie powiedział: — Pan prokurator pewno zastanawia się do dziś, dlaczego ja byłem taki uparty i tych łapówek nie chciałem potwierdzić.

Przyznałem, że rzeczywiście.

— Cóż, teraz to już mogę panu powiedzieć; niczym nie ryzykuję. Widzi pan — ciągnął inżynier — ja doskonale wiedziałem, że w świetle zebranych w śledztwie dowodów moja wina była dla wszystkich oczywista. Wiedziałem też, że pan się moim uporem denerwuje, że również sąd się zdenerwuje i „łupnie” mi w konsekwencji rok więcej, niż dostałbym przyznając się do winy. Świadomie jednak wybrałem mniejsze zło i dlatego wszystkiemu zaprzeczyłem.

Ciągle nie rozumiejąc, o co chodzi, zapytałem:

— No dobrze, ale na czym polegał wybór? Dlaczego pan się nie przyznał?.

ALIBI

W swej praktyce zetknąłem się iz zabawną w gruncie rzeczy sprawą trzyosobowej grupy tzw. doliniarzy, którzy wykonywali swój proceder niezupełnie stereotypowo. A oto jak okradli pewnego prezesa spółdzielni pracy, wiozącego tramwajem dużą skórzaną teczkę pełną pieniędzy, przeznaczonych na wypłatę dla pracowników.

Zofia S. zapewne dzięki swej 30-letniej rutynie przestępczej wypatrzyła wśród pasażerów właśnie prezesa, a raczej jego teczkę godną złodziejskich zabiegów. Już po chwili stanęła obok upatrzonej ofiary, a gdy tramwaj zbliżając się do przystanku zwolnił wyrwała prezesowi teczkę i rzuciła się ku wyjściu. Okradziony, oszołomiony tym, co zaszło, stracił do swej „partnerki” zaledwie sekundę, co jednak wystarczyło, aby ona uzyskując metr przewagi wyskoczyła ze stojącego na przystanku tramwaju. Gdy prezes z krzykiem „łapać złodziejkę” usiłował wsiąść

Inżynier przez chwilę milczał, smutno patrzył w zakratowane okno kancelarii.

— Widzi pan — powiedział — mnie zależało tylko na jednym: by w moją niewinność uwierzył mój osiemnastoletni syn. Bardzo się kochamy. Chłopiec od początku sprawy uważał, że wszystko polega na jakimś tragicznym nieporozumieniu. Dziś wierzy, że wyrok, na który mnie skazano, to po prostu sądowa omyłka. Wierzy w moją niewinność. Gdybym się przyznał do brania łapówek, na pewno pomógłbym sobie, ale skrzywdziłbym dziecko i to być może na całe życie. Pan wie, sąd wie, ja wiem, nawet moja żoia wie, jak naprawdę było. Właśnie przed chwilą dostałem list od syna. Tylko on mi wierzy. tuż za nią, ” zaszło coś nieprzewidzianego. W sprawę wdał się jeden ze stojących na pomoście pasażerów, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, o bardzo charakterystycznej, pooranej bruzdami twarzy. Stanął on mianowicie w drzwiach i zatarasował przejście. Prezes, który też nie był ułomkiem, zorientował się w mig, że człowiek utrudniający pościg jest współnikiem złodziejki. Uderzył go więc pięścią w twarz, skutecznie odtrącił i już za chwilę triumfalnie trzymał Zofię S. za kołnierz jesionki, głośno wzywając milicję. Wspólnika oczywiście nigdzie już w pobliżu nie było — zdążył zginąć w tłumie. Ujęta z pustymi rękami sprawczyni przestępstwa zachowywała się zupełnie spokojnie. A teczka? Cóż, teczka zginęła jak kamień w wodę, musiał więc być jeszcze jeden współnik przestępstwa, ktoś, kto czekał na przystanku i zdążył w porę przejąć równie kompromitujący co cenny przedmiot.

Obrońca aresztowanej Zofii S. prezentował pogląd, że cała sprawa opiera się jedynie na zupełnie nie- przekonywającym oskarżeniu. Nie było przecież ani dowodu rzeczowego — teczki z pieniędzmi, ani obiektywnego potwierdzenia, że podejrzana miała współników. Teza obrony była prosta. Być może, rzeczywiście jakaś kobieta wyrwała prezesowi z ręki teczkę, ale to nie była Zofia S. Zgodnie z treścią złożonych przez nią wyjaśnień w chwili dramatycznego przebiegu „tramwajowych” wydarzeń spokojnie szła ona chodnikiem, gdzie została zatrzymana przez pokrzywdzonego, którego nigdy uprzednio nie widziała, a tym bardziej jego teczki.

Do dziś nie wątpię o słuszności decyzji oskarżenia podejrzanej o kradzież, w dodatku jakże zuchwałą. Prawdą jest, że wszystko opierało się w zasadzie na zeznaniu jednego świadka, ale w świetle całokształtu ustalonych okoliczności było ono zupełnie przekon-

jące. Motorowy tramwaju, jakkolwiek oddalony i odwrócony plecami od miejsca zajścia, słyszał jednak szamotaninę i krzyki. Odnaleziono pasażera, który widział fakt wyrwania pokrzywdzonemu teczki, nie zauważył jednak twarzy złodziejki. Stwierdzono też, że nigdzie nie pracująca Zofia S. była kilkanaście razy karana z art. 257 kk, a więc za kradzież.

Już tylko jako dygresję wspomnę, że wszyscy znani mi rasowi „doliniarze” byli zawsze w zakresie swego przestępczego procederu „monotematyczni”, nie wchodząc w żaden inny sposób w konflikt z obowiązującym prawem. Znali tylko jeden artykuł, który gwarowo nazywali „dwa, pięć, siedem”. W jednym z prowadzonych przeze mnie przed laty śledztw występował jako istotny świadek oskarżenia przedwojenny jeszcze „król” łódzkich doliniarzy, Henryk S. Był to człowiek w podeszłym wieku, na swój sposób dostojny, wielokrotnie karany nawet na tzw. zakład dla niepoprawnych jako przestępca z nawyku. Świadek ów składał zeznanie w zupełnie nie złodziejskiej sprawie. Podczas ustalania personaliów zapytany przez sąd o zawód, odpowiedział „doliniarz”. Pamiętam, że adwokat oskarżonego, którego świadek ten obciążał, sugerował, aby sąd nie dał mu wiary.

— Jak można wierzyć złodziejowi, przecież to stary recydywista... Wówczas Henryk S. bardzo się oburzył.

— Długo żyję na świecie — powiedział — dużo też razy byłem karany, ale zawsze tylko kradłem. Za fałszywe zeznanie, jak również za żadne inne przestępstwo nikt mnie nigdy nie skazał. Nie widzę powodu, żeby mi nie wierzyć!

Wróćmy jednak do Zofi S. i jej sprawy. Prezes spółdzielni wskazując oskarżoną twierdził, że to właśnie ona wyrwała mu z ręki teczkę. W chwili przestępstwa stali oni przecież twarzą w twarz, był jasny dzień, trudno więc o omyłkę. Pokrzywdzony wyskoczył iza złodziejką z tramwaju, a jeżeli stracił ją na chodniku z oczu, to tylko na ułamek sekundy, nie dłużej.

Oskarżona odpowiadała przed sądem z więzienia. O jej aresztowaniu przesądził przede wszystkim fakt wielokrotnej recydywy, a nadto wysokość ukradzonej prezesowi kwoty. Wydawało mi się, że Zofia S. nie ma w istniejącym stanie dowodów żadnych szans, gdy nagle...

Składał właśnie zeznania pokrzywdzony prezes. Były one zwięzłe i konsekwentne, tak jak w śledztwie. Sąd nie zadał świadkowi żadnych pytań uzupełniających, po czym zwrócił się do „oskarżenia”

1 „obrony” ze stereotypowym: „Proszę, czy są jakieś pytania?” Oskarżenie nie miało oczywiście żadnych, przecież wszystko było oczywiste i jednoznaczne. obrońca Zofii S. zapytał natomiast:

— Panie prezesie, czy pan łatwo i dokładnie zapamiętuje ludzkie twarze?

— Bardzo łatwo — odrzekł świadek — i bardzo dokładnie, nie musiałem zresztą niczego zapamiętywać, przecież oskarżoną ujrzałem zaledwie w kilka sekund po kradzieży i widziałem ją tak, jak pana teraz, staliśmy przecież blisko siebie.

Kolejne pytanie obrońcy brzmiało:

— No dobrze, a twarz tego jegomościa, który w drzwiach tramwaju robił „sztuczny ścisk” i nie chciał pana wypuścić, czy jego twarz też pan pamięta?

— Oczywiście — odpowiedział prezes. — Pamiętam go doskonale, tym bardziej że miał bardzo charakterystyczną sylwetkę i twarz.

Ton adwokata zaczął być prowokujący.

— Chce więc pan powiedzieć, że gdyby na przy

kład dziś na tej sali znajdował się wśród publiczności rzekomy wspólnik klientki, to pan by go rozpoznał?

— Oczywiście — odpowiedział świadek i mimo woli spojrzął na salę.

Od tego momentu proces przestał być błahy i monotony. Prezes krzyknął głośno: — To on i wskazał palcem mężczyznę siedzącego w pierwszej ławce wśród nielicznej na sali publiczności. Zrobiło się zamieszanie. Mężczyzna wstał z ławki i oburzony zaprotestował przeciwko jawnemu oszczerstwu. Był wysoki, dobrze zbudowany, o bardzo charakterystycznej, pooranej bruzdami twarzy.

— Ja, proszę sądu — powiedział — jestem na tej sali przypadkowo, bo po prostu lubię sobie posłuchać różnych procesów: to moje hobby. Protestuję jednak przeciwko bezczelnym oskarżeniom świadka, którego nigdy w życiu nie widziałem, a tym bardziej pięć miesięcy temu, bo przecież wtedy właśnie dokonano kradzieży.

Mówiąc te słowa mężczyzna podszedł do sądu i okazał... legitymację służbową. Była ona urzędowo poświadczona właśnie w dniu przestępstwa. Z zapisu wynikało, że Jerzy R., pracownik jednej z warszawskich spółdzielni był wówczas w Krakowie, co mu poświadczono autentycznym — jak się później okazało — podpisem i pieczętą. Nigdy nie zapomnę przemówienia adwokata W., obrońcy Zofii S. Trwało to zaledwie dwie minuty.

— Jeżeli okradziony prezes równie trafnie rozpoznał moją klientkę — powiedział adwokat W. — jak tego Bogu ducha winnego człowieka mającego niezaprzeczalne alibi, to nie mam już nic więcej da powiedzenia, jak tylko prosić o uniewinnienie.

Co zrobił sąd z Zofią S.? Ano, mimo wszystko ska

zał ją ^{za} kradzież, choć zdawałem sobie sprawę, że wyrok uniewinniający wisiał na włosku.

Taki nieoczekiwany zbieg okoliczności zdarza się w sprawach karnych wcale nierzadko, i to nie tylko na filmach.

SPOTKANIE W PARKU

Z każdym rokiem mojej pracy prokuratorskiej emocjonalny stosunek do prowadzonych spraw oraz ludzi, przede wszystkim przestępców i ofiar, ulegał mimo woli z pozoru nieuchwytnym, lecz stałym zmianom i przekształceniom. Każda kolejna sprawa podważała zaszufladkowane schematy myślenia, z jakimi młody człowiek wchodzi w życie, również i zawodowe.

Proces nabywania doświadczenia, coraz większa znajomość ludzi i ich mniej lub bardziej typowych reakcji, musi gasić emocje, rodząc specyficznym beznamiętny stosunek do ocenianych spraw. Myślę, że właśnie dzięki temu, mając pewien dystans do wszystkiego, co wiąże się z prowadzonym śledztwem, doświadczony prokurator popełnia dużo mniej błędów, ustalona przez niego prawda bliższa jest prawdzie obiektywnej, może on lepiej wykonywać swój zawód. Jako człowiek bardzo jeszcze młody napotykałem niekiedy konflikty, których nie umiałem rozwikłać, angażowałem się osobiście pod wpływem kierujących mną emocji po stronie...

Oto przykład. Prowadziłem swego czasu śledztwo przeciwko Józefowi R., kierownikowi wydziału zatrudnienia w jednej z Powiatowych Rad Narodowych w pobliżu stolicy.

Dysponowałem wstępnie nie sprawdzoną informacją, że ów urzędnik, którego nie widziałem jeszcze na oczy, zaproponował pewnej

młodej robotnicy skierowanie do intratnej pracy w zamian za intymne spotkanie w parku pobliskiej miejscowości W.

Zawiadomienie o przestępstwie otrzymałem od koleżanki pokrzywdzonej, miejscowej działaczki młodzieżowej, która przekazując mi zwierzenia swej przyjaciółki nie kryła oburzenia. Eksponowała też fakt, iż autor niegodziwej propozycji jest człowiekiem starym, bo czterdziestopięcioletnim, szpetnym.

Z punktu widzenia przepisów prawa inkryminowany Józefowi R. czyn był jednoznaczny i prawnie, i moralnie. Bezwzględnie wezwałem pokrzywdzoną, dziewiętnastoletnią Barbarę S., którą, pozostając pod wrażeniem planowanego bezceństwa i nie kryjąc odrazy dla sprawcy przestępstwa, szczegółowo przesłuchałem. Pamiętam tę dziewczynę jeszcze dziś. Była wysoka, dobrze zbudowana, w miarę rozcignięta i nieładna. Opowiedziała mi wszystko z pewnymi oporami dopiero wówczas, gdy okazałem jej protokół przesłuchania koleżanki i uprzedziłem, że przed prokuratorem zawsze trzeba mówić całą prawdę, a za nieprawdziwe zeznanie grozi kara.

Z uzyskanej relacji, a okazała się ona w śledztwie prawdziwa, zrekonstruowałem następujący przebieg wydarzeń. Barbara S. zwolniona z fabryki za systematyczne naruszanie dyscypliny znalazła się bez pracy. Wówczas to los zetknął ją z Józefem R., który obiecał pomoc, ale nie bezinteresownie. Wynagrodzeniem za proponowane przez niego jedno intymne spotkanie w parku miało być skierowanie do pracy chałupniczej i to takiej, która dawała jakoby niezłe zarobki przy niewielkim wysiłku. Praca ta związana była z krawiectwem. Gdy zapytałem Barbarę o przebieg spotkania z podejrzanym, oświadczyła, że mimo iż się umówiła, do spotkania jednak nie doszło i wszystko pozostało jedynie w sferze propozycji.

Z punktu widzenia obowiązującego ówczesnie art. 290 kk finał sprawy nie miał istotnego znaczenia. ■Wyrażona przez urzędnika chęć załatwienia skierowania do pracy w zamian za korzyść osobistą, jaką miał być stosunek z dziewczyną, bo sprawca wyraźnie sprecyzował swą propozycję, była faktem.

Przestępstwo łapownictwa zastało popełnione już w momencie propozycji. Decyzja dziewczyny nie miała znaczenia. Brak finału sprawy nie stanowił przesłanki uchylającej karalność czynu.

Przez delikatność nie zapytałem Barbary S. dlaczego nie stawiała się na spotkanie. Wkraczanie w szczegóły uważałem za zbędne, tym bardziej że byłem pewny, iż wszystko doskonale rozumiem i wiem. Według mojego najgłębszego przekonania dziewczyna jeszcze raz przemyślała propozycję, dobra strona jej natury zwyciężyła, postanowiła zachować uczciwość, nawet kosztem utraty szans na szczególnie korzystne zatrudnienie.

Niebawem wezwałem do siebie Józefa R. Okazał się on, jak powiadają, „miękki”. Gdy zapytałem o zamiary ubiegającej się o pracę dziewczyny, wyjaśnił wszystko tak, jak było i nawet nie próbował wykretów. Zastosowałem wobec łapownika areszt i odesłałem go do więzienia. Dopiero po kilku dniach ponownie przesłuchałem podejrzanego i pokrzywdzoną, aby przed skierowaniem aktu oskarżenia drobiazgowo zaprotokołować wszystkie okoliczności tej banalnej w gruncie rzeczy sprawy. Józef R. przyznanie swe potwierdził i rozplakał się. Był to szczupły, drobny mężczyzna o pospolitej twarzy i śladach po przebytej ospie, mówiło się kiedyś o takim: dziobaty.

— Panie prokuratorze — powiedział — przez całe życie nawet nie byłem w sądzie, aż nagle coś mnie opętało. Nie uwierz pan, ale ta dziewczyna była taka ładna. Zupełnie nie wiedząc co robię, postano

wilem po raz pierwszy w życiu zdradzić żonę i to jeszcze w tak niecny sposób. Widzi pan, ja mam żonę starszą o dziesięć lat i troje dzieci. Zarabiam stosunkowo niewiele, wszystkie pieniądze oddaję zawsze do domu i codziennie dostaję tylko na jedną kawę i paczkę sportów." Żona jest zazdrosna, rozlicza mnie z każdej minuty popołudnia. Chcąc uniknąć awantur, od piętnastu lat wracam z pracy prosto do domu. Chyba, że jest jakaś narada czy zebranie. Umówiłem się z Barbarą S. wiedząc, że wykorzystuję swe stanowisko, że robię źle. Całą noc przed tą randką nie spałem. Rano powiedziałem żonie, że jest narada w wojewódzkiej Radzie, założyłem białą koszulę, „wyjściowy” krawat i zapowiedziałem późny powrót do domu. W biurze czułem się nieswojo, nie byłem pewny, czy dziewczyna zjawi się o umówionej godzinie w parku. Bałem się, że nie przyjdzie, i bałem się, że przyjdzie. Jak mężczyzna mężczyźnie powiadam panu, że gdyby nawet przyszła, to pewnie bym nie sprostął swej roli, a tego też się bałem.

Już pół godziny przed umówionym spotkaniem spacerowałem w parku oddalonym o jeden przystanek kolejowy od miasta, w którym mieszkam. Pojechałem do W., aby dziewczyna, która tam właśnie mieszkała, miała bliżej i żeby, broń Boże, nikt nie doniósł o moim spotkaniu żonie. Gdy czekałem na Barbarę było jeszcze widno, po parku spacerowali zakochani. Myślałem, że jak Barbara przyjdzie, to i my pospacerujemy, aż się ściemni, i dopiero później...

Czekałem w tym parku jeszcze całe dwie godziny, kilka razy zdawało mi się, że dziewczyna nadchodzi, ale to była inna. Barbara nie przyszła.

Mimo iż po tym przesłuchaniu podejrzany wydał mi się przestępcą przypadkowym, którego dość smutne życie nie słało się różami, mój emocjonalny sto-

96

sunek do sprawy nie uległ zmianie. Byłem głęboko przekonany o ogromie demoralizacji i o głębokiej tragedii, jaką ofiara musiała przeżyć przez noc rozważań, czy ulec czy nie przyjść i potraktować perspektywę zbliżenia z człowiekiem niekochanym jak kosziarny sen. Nie miałem też wątpliwości, że zarzucana podejrzanemu forma wykorzystywania swsji pozycji zawodowej była szczególnie wstrętna i zasługująca na najwyższe potępienie. W sprawie tej w gruncie rzeczy nie widziałem żadnych okoliczności łagodzących i w tym przekonaniu odesłałem Józefa R. do więzienia. Jeszcze tego samego dnia ponowiłem przesłuchanie Barbary S., która okazała się już dużo śmielsza i rozmowniejsza. Powiedziała mi wówczas, że „transakcję” proponowaną przez podejrzanego uznała za godziwą, powiedziała to wprawdzie przy użyciu innych słów, ale w takim właśnie sensie. — Ostatecznie, proszę pana — mówiła — godzina czy dwie straty, a później dobra praca przez kilka lat o- płaca się. Prosto od fryzjera poszłam na to spotkanie. Nie byłam pewna, czy kierownik naprawdę przyjdzie, a na pracy ogromnie mi zależało. Może się pan zdziwi, ale z tego zdenerwowania przyszłam całą godzinę za wcześniej. Ponieważ wstydziłam się, że tak wcześniej przyszłam, postanowiłam ukryć się za taką budką, w której ogrodnicy mają narzędzia i wyjść dopiero wtedy, kiedy zobaczę kierownika.

Przyznam się, że ten fragment opowiadania dziewczyny zaintrygował mnie.

— No i co było dalej? — zapytałem. — Co było wówczas, gdy pani go zauważyła, przecież on też przyszedł za wcześniej.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— No właśnie — powiedziała — zobaczyłam go i nie podeszłam.

Przestałem być delikatny i zapytałem:

7 Ze wppamnlafi prokuratora

Q~7

Blaazege, przecież pani tego chciała?

Chciałam, ale nie podeszłam, nie mogłam.

Nie rozumiałem, czy to uczciwość, czy strach, czy jedno i drugie; przecież musiał być jakiś powód re* zygncacji z dobrowolnie zawartej umowy. Dziewczyną znów zrobiła się małowówna, trzeba było każde słowo wydobywać z niej ostrożnie, powoli. Wreszcie postanowiła powiedzieć wszystko „jak na spowiedzi”.

— Widzi pan, gdy go zobaczyłam stojącego pod drzewem w takiej długiej prawie do kostek, niemodnej jesionce, z obszarpanymi kieszeniami i w przetłuszczonym kapeluszu z brudną wstążką, to sobie pomyślałam... Wie pan, co sobie pomyślałam? Jest widno, po parku chodzą koleżanki, przecież one nie wiedzą, że ja dla interesu, i to jest najgorsze. Proszę pana, one sobie mogły pomyśleć, że ja mam takiego amanta, co to jest nie tylko stary, ale i źle ubrany, taki beznadziejny i, że ja z nim naprawdę, poważnie. Nie, nie mogłam dopuścić do tego, żeby mnie wzięli na języki. Żeby się śmiali. Wolałam nie dostać pracy. Chyłkiem chowając się za drzewa odeszłam i to jest szczerza prawda, nic już nie dodam.

I jakież tu mamy proporcje? Barbara S. godząc się na spotkanie z podejrzanym postanowiła ofiarować w zamian za pracę swą cześć dziewczęcą, a więc coś, co nie miało dla niej żadnej lub prawie żadnej wartości. Józef R. zaś ryzykował wszystko i... stracił.

Sprawę Józefa R. trzeba było załatwić do końca, żadne bowiem przestępstwo nie może ujść karze. Emocjonalny stosunek do sprawy w pierwszej fazie angażował mnie przeciwko podejrzanemu, w finale czułem odrazę do dziewczyny i chętnie ją bym ukarał, tylko że przecież nie było za co. Emocje zawsze są złym doradcą. Dziś wydaje mi się, że prawda opisanej sprawy leży pośrodku. Słusznie Francuzi mówią: „Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć”.

Śledztwo w sprawie Józefa R. trwało jeszcze kilka miesięcy. W pewnym jego stadium uzyskałem szereg informacji o tym, że kierownik na przestrzeni dwu lat brał łapówki, i to nie raz konkretne kwoty za konkretne naruszanie prawa. Przesłuchałem wielu świadków, którzy zarzuty te potwierdzili. Józef R. nie przyznał się do winy, wszystkiemu przeczył — daremnie. Udało mi się zebrać niezbite dowody jego winy i został skazany.

FAKTY I POZORY

Oskarżałem swego czasu Józefa K. o zabójstwo żony. Proces był poszlakowy, świadkowie zaś relacjonowali jedynie okoliczności mające znaczenie pośrednie. Nikt faktu zabójstwa nie widział. Wśród wielu nagromadzonych poszlak jedna miała znaczenie kapitalne. Osiemnastoletnia dziewczyna Janina J. widziała Józefa K.¹ w kilkanaście minut po śmierci ofiary w bezpośredniej bliskości miejsca zabójstwa, bo zaledwie kilkaset metrów od ulicy, na której następnego dnia o świcie znaleziono zwłoki. Żeby zrozumieć obciążające znaczenie informacji uzyskanej od Janiny J. wyjaśnię, że morderstwo zostało dokonane około północy na zupełnie bezludnej i nie zabudowanej ulicy. Mąż ofiary nie miał co prawda wspartego dowodami alibi, twierdził jednak, że już od godziny 18 przebywał w mieszkaniu, z którego przez całą noc ani na chwilę nie wychodził. Mieszkanie oskarżonego znajdowało się na terenie internatu, którego był on kierownikiem.

W toku śledztwa milicja uzyskała poufne informacje że jedna z mieszkańek internatu, właśnie Jani

na J., spacerowała ze swym chłopakiem w pobliżu bramy, zastanawiając się jak wejść do internatu niepostrzeżenie. Zgodnie z obowiązującym regulaminem już o godzinie 22 wszystkie mieszkanki powinny być w swych pokojach, stąd też dziewczyna nie chciała, by zauważył ją któryś z mieszkających w internacie wychowawców. W pewnej chwili Janina J. usłyszała kroki i zobaczyła z odległości około 100 m zbliżającego się do budynku mężczyznę. Ponieważ sylwetka nadchodzącego wydała jej się znajoma, dziewczyna podejrzewając, że może to być kierownik internatu, schowała się za występ muru odległy o 50 m od bramy. Mężczyzna szedł chodnikiem w kierunku internatu. Gdy mijął ukrytą tuż obok Janinę J., dziewczyna rozpoznała w nim swego kierownika. W tym miejscu nie było żadnej latarni, panowała ciemność. Jednak Józef K. miał tak charakterystyczną sylwetkę, że dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości co do jego tożsamości; była pewna, że to on.

Gdy następnego dnia ujawniono morderstwo, a ludzie zaczęli mówić, że zbrodnia zdarzyła się około północy nie opodal internatu, Janina zwierzyła się w największej tajemnicy swej przyjaciółce, że właśnie o tej porze widziała kierownika idącego z tego miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Przyjaciółka powtórzyła informację swemu chłopcu, on zaś koledze, który uznał za stosowne zawiadomić o tym fakcie pobliski posterunek MO.

W ten sposób informacja o spostrzeżeniach Janiny J. znalazła się na moim biurku. Wezwałem dziewczynę do siebie. Przesłuchałem już uprzednio kilkakrotnie Józefa K., który zapewniał mnie niezmiennie, że krytycznej nocy nie wychodził z domu. Byłem pewny, że kłamie, ale nie miałem na to żadnych przekonujących dowodów. Wspomnę również, że w noc zabójstwa około godz. 23 zaczął padać rzęsy deszcz, żeby zaś dostać się z ulicy do internatu trzeba było pokonać bardzo błotnisty odcinek drogi. Mąż ofiary aresztowany został w mieszkaniu już w kilka godzin po popełnionej zbrodni, przy czym dla sprawdzenia przyjętej wersji, że właśnie on był sprawcą zabójstwa, poddano drobiazgowym oględzinom jego buty. W mieszkaniu były trzy pary męskich butów ale na żadnej z nich nie stwierdzono najmniejszych śladów błota. Co więcej, wszystkie trzy pary były równo ułożone w szafce na korytarzu i oczyszczone pastą nawet... od spodu. Fakt oczyszczenia podeszew pastą wydał się wszystkim uczestnikom oględzin mieszkania podejrzany. Zapytałem Józefa K., czy aby nie próbował on w ten sposób usunąć wszelkie ślady swej nocnej bytności na ulicy. Przesłuchiwany zaprzeczył twierdząc, że nawyk takiego właśnie oczyszczenia butów ma od dziecka, tak nauczył go ojciec i tak całe życie robi. Miałem wówczas koncepcję sprawdzenia tej wersji, nie sposób było jednak przesłuchać ojca po to, aby zebrać dowody obciążające syna. Przyjąłem więc wyjaśnienia Józefa K. uznając, że oględziny butów nie wniosły do sprawy żadnych istotnych okoliczności, mogących potwierdzać wersję, iż znajdował się on na ulicy wówczas, gdy padał już deszcz, a więc po godzinie 23.

Śledztwo znacznie posunęło się naprzód dopiero po przesłuchaniu Janiny J. Była to sympatyczna rozgarnięta dziewczyna, uczennica liceum, repatriantka z Francji. Nasza rozmowa nie trwała długo. Gdy zapytałem ją, czy jest pewna, że przechodzącym mężczyzną był kierownik Józef K., nawet się nie zawahała.

— Tak, to był na pewno on. Jego sylwetka wyklucza omyłkę. Zauważył pan pewnie, że jest on barczysty, a w swej jesionce niemal kwadratowy. Ma też charakterystyczny, bardzo ciężki chód.

Nie widziałem co prawda oskarżonego w jesionce, jednak sam zwróciłem uwagę właśnie na to, że jest on barczysty, niski, tak jak to określiła dziewczyna — kwadratowy. Być może właśnie dlatego nie miałem wątpliwości, że Janina J. mówi prawdę, tym bardziej że powrót oskarżonego do internatu wkrótce po północy ściśle korespondował ze śledczą wersją wydarzeń, wspartą pośrednio wieloma dodatkowymi dowodami. Wprawdzie fakt, że Józef K. był na ulicy, a nie w domu — to jeszcze nie dowód zbrodni, można jednak było uznać jego wyjaśnienia za kłamliwe. Dlaczego twierdził, że cały wieczór i całą noc był w domu? Dlaczego mówił to jeszcze, zanim poinformowano go o śmierci żony? Czego się obawiał?

Zdając sobie sprawę z wagi zeznań Janiny J. przesłuchałem ją dwukrotnie bardzo dokładnie. Sprawdziłem też, że nie miała ona żadnych konfliktów z kierownikiem internatu, nie miała więc powodu kłamliwie go obciążać. Gdy powiedziałem Józefowi K., że dysponuję zeznaniem świadka; który widział go w nocy na ulicy, przesłuchiwany nie uwierzył. Nie widział przecież ukrytej za murem dziewczyny i był przekonany, że moje oświadczenie to po prostu [podstęp. Wówczas odczytałem mu zeznanie uczennicy, pokazałem protokół jej przesłuchania, nie uży- i skując jednak spodziewanego rezultatu.

— Panie prokuratorze — powiedział Józef K. — wokół internatu jest ciemno. Gdyby ona przynajmniej widziała, że otwierałem drzwi wejściowe i wchodziłem do bramy, ale przecież to niemożliwe, bo z miejsca, w którym stała, nie widać drzwi. Całe to zeznanie w ogóle mnie nie dotyczy i podtrzymuję wszystko, co dotąd powiedziałem. Moim zdaniem nie ma pan żadnych dowodów na to, że wychodziłem z domu.

to ponad 20 lat temu i wielu drobnych szczegółów po prostu nie pamiętam. Nie sięgam również do akt, ograniczając się podobnie jak w innych sprawach do opisu zapamiętanych faktów i związanych z nimi refleksji.

Po trwającym blisko pół roku śledztwie uznałem, że suma zebranych dowodów uzasadnia postawienie Józefa K. w stan oskarżenia. Skierowałem więc sprawę do sądu wojewódzkiego w Warszawie i niebawem rozpoczął się proces. W toku postępowania dowodowego przyszła kolej na zeznanie Janiny J. Dziewczyna stanęła przed sądem zdetonowana i bardzo onieśmielona. Pamiętam, że proces toczył się w sali 17, największej w warszawskim gmachu sądów; wśród publiczności było kilkuset studentów prawa, zainteresowanych tą najciekawszą chyba sprawą poszlakową o zabójstwo, jaka toczyła się przed warszawskim sądem w połowie lat pięćdziesiątych. W tej mogącej onieśmielić nawet dojrzałego człowieka atmosferze Janina J. opisała bardzo precyzyjnie przebieg znanych jej wydarzeń. Wskazała też bez wahania na siedzącego na ławie oskarżonych Józefa K. jako na mężczyznę, którego widziała w noc zabójstwa w odległości kilku zaledwie metrów. Wówczas to obrońca oskarżonego złożył wniosek o przeprowadzenie szczególnego eksperymentu. Przychyliłem się do tego wniosku, a sąd go zaaprobował. Rozprawa została przerwana. Chodziło o to, aby w ciemną bezksiężycową noc udać się przed budynek internatu i sprawdzić, czy z miejsca, w którym stała dziewczyna, można rzeczywiście rozpoznać człowieka po sylwetce nie widząc jego twarzy. Eksperyment ten został przeprowadzony. Jednego z najbliższych dni o północy wszyscy pojechaliśmy na wyznaczone miejsce. Ja, jako prokurator, cały skład sądu, protokolant i adwokat.

Karetka więzienna przywiozła oskarżonego ubranego w czarną jesionkę. Byli też ubrani po cywilnemu funkcjonariusze MO, którzy mieli uczestniczyć w tej czynności. Dziewczyna stanęła za załamaniem muru twarzą do chodnika. Najpierw przeszedł obok niej jeden z funkcjonariuszy milicji o podobnym do oskarżonego wzroście, ubrany również w czarną jesionkę. Janina J. nie miała wątpliwości, że to ktoś dla niej obcy. Podobnie zareagowała, gdy przeszedł drugi funkcjonariusz tak samo ubrany. Następnie zaczął zbliżać się oskarżony. Już z odległości około 20 metrów dziewczyna rozpoznała kierownika internatu bynajmniej nie po twarzy, ale właśnie po charakterystycznej sylwetce. Ten człowiek był rzeczywiście „kwadratowy”.

Następnego dnia podjęto przerwana rozprawę. Janina J. (ponownie stanęła przed sądem. Podsumowano wynik eksperymentu, który nie odbiegał od dotychczasowych zeznań dziewczyny. Wówczas przewodniczący sądu, nieżyjący już dziś prezes wydziału IV karnego sądu wojewódzkiego w Warszawie, zadał Janinie J. ostatnie pytanie. Pamiętam do dziś, jak je sformułował, ponieważ później wielokrotnie zastanawiałem się nad dopuszczalnością takiego postawienia kwestii.

— Niech świadek się dobrze zastanowi nad odpowiedzią. Proszę pamiętać, że od tego, co pani powie, zależy być może nie wolność a życie oskarżonego. Czy to na pewno był on?

Dziewczyna przez kilkanaście sekund nie, odpowiadała, patrzyła na ławę oskarżonych. Józef K. miał oczy spuszczone, patrzył w ziemię. Milczenie świadka przedłużało się; sędzia nie ponaglał. Wreszcie Janina J. spojrzała w kierunku sądu. — Chyba on — powiedziała — ale jeżeli życie

oskarżonego zależy od tego, co powiem, to już nie wiem. Chyba on, a może nie on, nie wiem...

Przemawiając w procesie Józefa K. eksponowałem wiele zebranych poszlak. Ile ich było, niech świadczy, fakt, że w sprawie, jednego przecież oskarżonego mówiłem blisko sześć godzin. Mój przeciwnik procesowy adwokat B., przemawiał nie krócej. Omawiając zeznanie Janiny J. prezentowałem pogląd, że trzeba wierzyć temu, co zeznawała w śledztwie i przed sądem, zanim nie padło sugestywne pytanie: tak sugestywne, że aż niedopuszczalne. Żądałem dla oskarżonego kary śmierci. Sąd skazał go na dożywotnie więzienie. Ostatnie słowo miał w tej sprawie Sąd Najwyższy. Józef K. został w 1955 r. (prawomocnie uniewinniony. Zabójcy żony nie odnaleziono.

Gdy zaczynałem pracować w prokuraturze, wierzyłem pozorom. Po latach przestałem wierzyć faktom. Oczywiście znacznie upraszczam. Nigdy zresztą nie wierzyłem pozorom ani też nie odmawiałem wiary dowodom naprawdę bardzo dokładnie sprawdzonym. Przekonałem się, tylko, że życie dostarcza sytuacji, w których człowiekowi wydaje się, że osiągnął pewność, a w rzeczywistości...

Opisując fragment sprawy Józefa K. przypomniałem sobie dwa zdarzenia <z własnej praktyki śledczej. Pracowałem jako podprokurator Prokuratury Warszawa Praga-Południe. Pewnej nocy, a właściwie już nad ranem, wezwano mnie na miejsce zabójstwa właściciela zakładu fryzjerskiego. Morderstwa dokonano w mieszkaniu, było to w okolicy placu Szembeka, jednak nieco z dala od ulicy Grochowskiej, w dzielnicy zabudowanej niewielkimi jednorodzinnymi domkami. Wszystko wskazywało na rabunkowy motyw zbrodni. Mieszkanie było doszczętnie splądrowane, bielizna i garderoba powyrzucana z szaf. W pokojach panował ogólny nieład.

Gdy przyjechałem na miejsce przestępstwa, zaczynało świtać. Idąc od furtki do drzwi domku zauważyłem na trawniku leżące futro, nieco dalej płaszcz, a tuż przy parkanie jakieś drobiazgi, wszystko prawdopodobnie zgubione przez bandytów w czasie ucieczki. Droga, którą sprawcy przestępstwa oddalali się od miejsca zbrodni, była wyraźnie znaczone gubionymi przez nich przedmiotami. W tej sytuacji zdecydowałem się na bezzwłoczne sprowadzenie psa, (przypuszczając, że może on doprowadzi nas do bandyckiej meliny.

Wkrótce przywieziono radiowozem przewodnika z niepozornym, ale bardzo sprawnym owczarkiem. Pies obwąchał całe mieszkanie, po czym ruszył ku drzwiom. Zbiegł po schodach, a następnie zdecydowanie poprowadzi do miejsc, w których znajdowały się gubione przez sprawców przedmioty.

Dalsze wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Nie przypuszczałem, że tropiący ślady pies może być tak sprawny i szybki. Biegając na długiej linie prowadził nas bez chwili wahania wzdłuż parkanu, następnie chodnikiem do najbliższego skrzyżowania. I tu też się nie zawahał. Skręcił w kolejną uliczkę, przebiegł około 300 m, po czym wszedł przez otwartą furtkę na teren posesji, zatrzymując się przy drzwiach małego murowanego parterowego domku o jednych tylko drzwiach. Pies wsparł się łapami na klamkę tak jakby to, czego szukał, znajdowało się tuż, o metr od niego. Drzwi okazały się zamknięte. Dwóch milicjantów stanęło przy oknach szczelnie zasłoniętych firankami. Gdy dobijaliśmy się do śród- - ka z mieszkania dochodziły odgłosy przesuwanych sprzętów i plusk wody, nikt jednak nie otwierał. Drzwi zostały wyważone i wszedłem do środka. Wówczas naszym oczom ukazała się następująca scena: na środku pokoju stał niekompletnie ubrany mężczyzna, miał zakrwawione ręce i twarz. Nie opodał w pomieszczeniu, będącym rodzajem prowizorycznej kuchni, młoda kobieta prała spodnie i koszulę. W misce z wodą była krew. Pies usiadł w progu i radośnie machał ogonem zapewne w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Bezzwłocznie przewieźliśmy mężczyznę i kobietę do Komendy Dzielnicowej MO przy ul. Grenadierów, tam też wstępnie ich przesłuchałem. W opisanej sytuacji nie miałem żadnych wątpliwości, że właściciel domku był sprawcą bądź jednym z uczestników, napadu na fryzjera, każde inne rozwiązanie wydawało się nieprawdopodobne. Gdy zapytałem zatrzymanego, gdzie był w nocy, kiedy wrócił do domu i skąd krew na jego ubraniu — przesłuchiwany odpowiedział:

— Byłem w jednej ze śródmiejskich restauracji, tam trochę wypłem i pobłem się z kolegą. Na kilkanaście minut przed przyjściem panów wróciłem taksówką MPT do domu. Może to potwierdzić zarówno żona, która za taksówkę płaciła, jak i kierowca, jeśli pan go znajdzie.

Jeszcze w ciągu tegoż dnia przesłuchiwałem kelnerów restauracji, kolegę zatrzymanego oraz taksówkarza, którego udało się odnaleźć dzięki wydatnej pomocy dyrektora R. z MPT. Otóż okazało się, że zatrzymany mówi szczerą prawdę. Rzeczywiście co do joty tak, jak wyjaśnił. Wówczas to po raz n-ty zwątpiłem w pozory, straciłem też zaufanie do psów, nawet tych najzdolniejszych.

Dopiero po kilku miesiącach nastąpiła psia rehabilitacja — ujęto mianowicie zabójców fryzjera. Przesłuchiwał ich mój kolega, prokurator N. Gdy przeczytałem protokoły przesłuchań, zrozumiałem wszystko. Sprawcy zbrodni unosząc ze sobą tobołki pełne skradzionych przedmiotów, postanowili prze

chować łup w domku kolegi — właśnie tam, dokąd doprowadził nas pies. Pasera — jak wiemy — nie było, bo właśnie wtedy pobił się z kolegą w śródmiejskiej restauracji. Bandyci dobijali się do drzwi domu, jednak bezskutecznie. Właścicielka mieszkania widząc przez okno nie znanych jej mężczyzn postanowiła w czasie nieobecności męża nikomu nie otwierać. W tej sytuacji bandyci udali się do tramwaju i w poszukiwaniu meliny odjechali na drugi kraniec miasta. Ujawnieni zostali zupełnie przypadkowo przy okazji innego przestępstwa popełnionego przez nich po jakimś czasie.

A oto inne zdarzenie, tym razem dużo bardziej zagmatwane, w którym zbieg okoliczności okazał się wręcz nieprawdopodobny.

Prowadziłem śledztwo w sprawie zabójstwa właściciela prywatnej taksówki. Został on znaleziony ze zmiażdżoną głową w lasku, nie opodal podwarszawskiej miejscowości. Sprawcy uciekli taksówką, po czym porzucili ją na szosie ok. 20 km od Siedlec —_ zabrakło im benzyny.

Już we wstępnym stadium śledztwa udało się zabezpieczyć dwa dowody rzeczowe, mogące służyć dla przyszłej identyfikacji sprawcy zabójstwa. Była to mianowicie damska chusteczka do nosa, obszyta koronką, oraz mała, zupełnie nietypowa siekierka z ciemną nadpaloną rękojeścią. Oba te przedmioty znaleziono w porzuconej taksówce. Nie należały one ani do ofiary, ani do żadnego z przypadkowych pasażerów. Kwestię tę wyjaśniło całkowicie zeznanie żony zabitego. Ustalono mianowicie, że bandyci byli pierwszymi pasażerami taksówkarza, który wyruszył na miasto krytycznego dnia po obiedzie. Na chwilę przed rozpoczęciem jazdy żona taksówkarza sprzątała wewnątrz taksówki, jak zwykle zwracając uwagę, czy któryś z przewożonych rano pasażerów nie« pozostawił w samochodzie jakichś przedmiotów. W czasie sprzątania taksówki nie było w niej ani siekierki, ani chusteczki. I jeszcze jeden fakt: porzucone w lesie zwłoki taksówkarza przykryte były dla niepoznaki gałęziami świerku uciętymi — jak wykazały odpowiednie badania — znalezioną w samochodzie siekierką.

O sprawcy zabójstwa wiedziałem wówczas jeszcze tylko tyle, że umiał on prowadzić samochód, a nadto był mężczyzną wysokim i nosił długi biały kozuch oraz filcowe buty. Informacje te pochodziły od pewnego rolnika, do domu którego pukał owej krytycznej nocy nieznajomy pytając, kto we wsi może sprzedać kilka litrów benzyny. Ponieważ benzyny nie było, taksówka została porzucona przed domem tego rolnika, a jej kierowca i ewentualni pasażerowie których rolnik nie widział, oddalili się w niewiadomym kierunku.

Przygotowując wytyczne dla milicji w tym śledztwie zleciłem m.in. zebranie informacji o wszystkich kierowcach, którzy odpowiadały podanemu rysopisowi mężczyzny i byli uprzednio karani za napady rabunkowe, ze szczególnym uwzględnieniem napadów na taksówkarzy.

Pewnego dnia zgłosiła się do Komendy Miejskiej MO w Warszawie młoda kobieta, Irena S., która podzieliła się z oficerem dyżurnym nękającymi i a podejrzeniami. Oświadczyła mianowicie, że czytała w gazecie o napadzie na taksówkarza Sz. I fakt ter* skojarzył się jej z sylwetką mieszkającego u jej rodziny sublokatora. Sublokator Marian W< był wysokim mężczyzną, z zawodu kierowcą i nosił w zimie biały kozuch oraz filcowe buty. Kobieta powiedziała też, że Marian W. był przed wieloma laty skazany za napad na taksówkarza i dlatego skojarzyła sobie in

formację prasową o morderstwie z rzekomym wyjazdem sublokatora do rodziny.

Osobiście przesłuchałem Irenę S. potem okazałem jej oba posiadane dowody rzeczowe. Wynik tej czynności przeszedł wszelkie oczekiwania: kobieta bez wahania rozpoznała chusteczkę jako własność sublokatora.. Oświadczyła też, że pamięta, jak przed trzema laty na pewnych imieninach Marian W. pożyczył tę właśnie chusteczkę od swej ówczesnej „sympatii”, obecnie dawno już zamężnej. Z kolei okazałem świadkowi siekierkę. Tę też rozpoznała jako własność sublokatora, twierdząc, że identyczna leżała zawsze obok pieca w jego pokoju.

Wówczas poleciłem milicji zatrzymać Mariana W., po czym nazajutrz doprowadzić go do Prokuratury. Zanim przystąpiłem do przesłuchania, wcześniej dokonałem dwóch istotnych czynności. Po pierwsze — sprawdziłem, czy w pokoju zajmowanym przez zatrzymanego jest jakaś siekierka, nie było. Po drugie — przesłuchałem byłą narzeczoną Mariana W., która po okazaniu jej chusteczki potwierdziła, że dała ją zatrzymanemu i to w okolicznościach, jakie znałem już z zeznań Ireny S. W tej sytuacji ustaliłem jeszcze tylko, że Marian W, zarówno w dniu morderstwa, jak i następnego dnia nie stawiał się do pracy. Uzyskałem w ten sposób pewność, że trop jest prawdziwy, a uczestnictwo zatrzymanego w napadzie na taksówkarza — bezsporne.

Nie chciałem rozwlekać opisu sprawy. Podejrzany nie przyznał się do winy, odparł też skutecznie wszystkie zarzuty. Okazało się, że własną niemal identyczną siekierkę pożyczył szwagrowi, który wezwany przeze mnie przyniósł dowód do Prokuratury. Gdy położyłem obie siekierki obok siebie — trudno było rozpoznać, którą znaleziono w taksówce. Dotarłem również do pracowni, gdzie narzeczoną zatrzymanego kupiła swego czasu chusteczkę, ofiarowaną następnie Marianowi W. Okazało się, że posiadany przeze mnie dowód rzeczowy jest wprawdzie podobny do wyrobu wspomnianej pracowni, ale nie został tam wykonany — koronka była nieco inna. Sprawdziłem też alibi Mariana W., stwierdzając ponad wątpliwość, że w dniu zabójstwa taksówkarza opuścił on wprawdzie pracę, ale znajdował się o ponad 200 km od Warszawy, co potwierdziło kilku obiektywnych świadków.

W tej sytuacji śledztwo przeciwko Marianowi W. umorzyłem. Dodam, że mimo wyczerpanej pracy MO zabójcy taksówkarza w ramach prowadzonego w tej sprawie śledztwa nie ujawniono.

Minęły chyba dwa lata. W zupełnie innej sprawie aresztowano grupę włamywaczy i bandytów. Jeden z nich przyznał się w czasie śledztwa do uczestnictwa w napadzie na taksówkarza Sz. W ten sposób udało się zidentyfikować sprawców tego zabójstwa. Okazało się, że do taksówki wsiadło dwóch mężczyzn i jedna kobieta, a potem wypadki potoczyły się tak, jak przedstawiłem jena wstępie.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że w napadzie uczestniczyła... Irena S. Ta sama, która zgłosiła się do MO, kierując podejrzenia na sublokatora.

Marian W. z zabójstwem taksówkarza nie miał nic wspólnego; nie zdawał sobie w ogóle sprawy, u kogo mieszka. Swych gospodarzy uważał za ludzi uczciwych.

ZASADY

Do warsztatu piekarza Antoniego Ł. w podwar- . szawskiej miejscowości Z. przyszło wcześniej rano trzech kontrolerów. Pokręcili się po wszystkich poili

mieszczeniach, porozglądali, wreszcie orzekli, że brudno i „antysanitarnie”. Ponieważ w istocie było akurat bardzo czysto, dopiero co po sprzątaniu, piekarz w mig zrozumiał, „co jest grane”.

— Panowie — zapytał — a ile musi kosztować, żeby było dobrze? Nie jestem uparty.”

Urzednicy nie zastanawiali się ani chwili, jeden zaś z nich, najwidoczniej starszy rangą, odpowiedział — 4500 zł. Piekarz dobrze wiedział, że targować można się na bazarze, ale nie z trójką poważnych ludzi, otworzył więc szufladę kantorka i zaczął szukać pieniędzy. Przypadek zrządził, że poprzedniego dnia trzeba było płacić dostawcom, więc pieniędzy pozostało niewiele. Antoni Ł. wyłuskał z kasy 3000 złotych, od czeladnika pożyczył 1000, z kieszeni wyjął bilonem 200 zł. Po chwili cała zebrana kwota w wysokości 4200 zł była do dyspozycji urzedników.

— Proszę — powiedział Antoni Ł. — Więcej nie mam, chyba wystarczy.

Okazuje się, że nie wystarczyło. Inspektorzy przykazali piekarzowi przygotować na następny dzień brakujące 300 zł. — Tu nie ORS — powiedzieli — na raty możesz pan kupić sobie telewizor, po czym godnie opuścili warsztat, nie biorąc ani grosza.

Niby głupstwo, a jednak fakt, że trzech „napastnicy” okazali się pryncypialni i dopiero następnego dnia odebrali całą łapówkę, wydał mi się dziwaczny i psychologicznie nie uzasadniony. Zapewne właśnie dlatego prowadząc śledztwo w tej sprawie, podczas jednego z przesłuchań poprosiłem podejrzanego mgr Józefa W., żeby choćby „poza protokołem” zaspokoił moją ciekawość wyjaśniając, dlaczego to nie można było zrezygnować z tych trzystu złotych, choćby dla zaoszczędzenia czasu. Józef W., jedna z najbardziej rozmownych postaci rzeczzonego śledztwa, uśmiechnął się i powiedział:

112

Jeżeli pan nie zaprotokołuje tego fragmentu naszej rozmowy, postaram się wyjaśnić, w czym rzecz.

Obiecałem, że nie zaprotokołuję i dotrzymałem słowa. A oto odtworzone z pamięci słowa podejrzanego:

— W każdym działaniu powinny obowiązywać określone zasady. Za pozostawienie piekarza w spokoju zażądaliśmy 4500 zł, taka była nasza cena. Jeżeli można opuścić trzysta złotych, to można i tysiąc, a jeżeli tysiąc, to i dwa, bo dlaczegóż by nie. Idąc tokiem takiego rozumowania można w ogóle wziąć tylko 500 zł, a od tego już krok, żeby nie wziąć nic. Niezależnie od przedstawionej racji są jeszcze inne. Otóż, przyzwoita łapówka musi być łapówką, a nie ugodą powstałą w wyniku pertraktacji. Między biorącym a dającym nie może być żadnego partnerstwa, stąd też nie ma miejsca na dyskusje i targi; trzeba być bezwzględny. Rozumie pan zapewne również, dlaczego nie wzięliśmy w dniu kontroli części kwoty, a zgłosiliśmy się po całość następnego dnia. Po pierwsze — urzednik powinien się szanować i nie brać nigdy w ratach; po drugie — — dobrze jest okazać dającemu swą wyższość. Boć przecież gdyby to on był na naszym miejscu, pewnie wzięłyby te 4200 zł i uciekł gdzie pieprz rośnie.

Przytoczone postawy inspektorów z procesu, w którym oskarżałem wiele lat temu, wcale nie były w środowisku niektórych nieuczciwych urzedników odosobnione. Zetknąłem się w swej praktyce jeszcze z kilkoma podobnymi przypadkami. Łapownik bądź łapownicy, mogąc uzyskać część żądanej kwoty od razu i bez ryzyka nie brali nic, oczekując pełnej wypłacalności „dłużnika”. W dwóch sprawach, które pamiętam, „zasady” kosztowały sprawców bardzo wiele, nękania płatnik bowiem zjawił się na umówio-

ne spotkanie nie tylko z pieniędzmi, ale w towarzystwie MO.

Szukając psychologicznej motywacji przedstawionych postaw rozmawiałem któregoś dnia w więzieniu z inspektorem S., długoletnim łapownikiem, człowiekiem zdolnym, wykształconym i bardzo inteligentnym. Prowadziłem przeciwko niemu śledztwo przez prawie rok, przesłuchiwałem go godzinami i nie powiem, żeby nasze rozmowy były jałowe. Otóż inspektor S., który również nie brał na raty, miał stałe ceny i wiele razy z racji swej pryncypialności wręcz tracił, powiedział mi mniej więcej tak:

— Pan myśli, że człowiek idący na łapówki musi najpierw przewyciężyć strach? To nieprawda, silniejszy niż strach okazuje się wstyd. Urzędnik stoi zwykle w społecznej hierarchii wyżej od Iksa czy Ygreka, od którego ma zamiar wziąć. Z chwilą gdy tenże urzędnik ujawnia swą nieuczciwość czy chciwość, jak kto woli, upada on nagle dużo niżej. I jak tu wyrównać powstały kompleks? Otóż właśnie, przez pozorną pewność siebie i utrzymywanie fikcji, że to nie on mnie zaczyna mieć w rękę. Stąd właśnie niedopuszczalność targów i stałość zasad tak, jak gdyby wszystko przebiegało legalnie, a nie wbrew prawu.

Muszę powiedzieć, że coś w tym rzeczywiście jest. Pamiętam, że w sprawie przeciwko inspektorowi S. zaistniał pewien zadziwiający fakt, który pozostawał w jakiejś relacji do prezentowanych przez niego tez. Otóż, już po aresztowaniu, gdy S. od miesiąca przebywał w więzieniu, kilku jego „kontrahentów” zebrało się w pewnym mieszkaniu, żeby wspólnie zdecydować, co robić. Zbliżała się akurat data kolejnej miesięcznej wpłaty łapówek, a nie było komu dać. Dżentelmeni uradzili, że jeden z nich weźmie od pozostałych pieniądze, które następnie zawiezie

rodzicom inspektora, żeby przesłali mu je ewentualnie do... więzienia. Do tego już co prawda nie doszło, ale idea była, a to też coś znaczy.

Gdy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dochodziło do porozumień łapówkarskich na tzw. styku pomiędzy prywatną inicjatywą a gospodarką uspołecznioną, stawki korzyści majątkowych były sztywne i wynosiły z reguły 10% od wysokości nielegalnie osiągniętego zysku. Krótko mówiąc, jeżeli prywatny wykonawca czy dostawca uzyskiwał dzięki benewolencji urzędnika nienależne mu dochody, wówczas dziesiąta część takich wpływów przekazywana była jako łapówka.

Jeden z moich podejrzanych, który jako urzędnik brał swe 10% od milionowych wręcz sum, powiedział mi w czasie jednego z przesłuchań:

— Panie prokuratorze, takie 10% znakomicie ułatwia porozumienie. Przecież w towarzystwie nie powinno w ogóle się mówić o pieniądzach, a co dopiero handryczyć się o wysokość łapówek.

ZAZDROŚĆ

Przestępstwa popełniane przez prostytutki wcale nie należą do częstych. W swej wieloletniej praktyce napotykałem takie klientki niezmiernie rzadko, a zapamiętałem na dobrą sprawę tylko jedną.

Mogę dziś z powodzeniem odtworzyć bez pomocy akt czy choćby własnych notatek sprawę przeciwko Irenie M. Oskarżając ją o zabójstwo sutenera Bronisława S. nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że uwzględniając wszystkie okoliczności „przeciw i za” bynajmniej nie były one całkowicie jednoznaczne. Wreszcie zapadł wyrok. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał Irenę M. na trzy lata więzienia. Mimo

tak drastycznie łagodnego wymiaru kary Prokuratura nie wniosła rewizji i wyrok się uprawomocnił.

Na tle tejże sprawy, o której opowiem w szczegółach, zrodzić się mogą wielorakie refleksje bynajmniej nie tylko natury prawnej. 35-letnia Irena M, była prostytutką wcale nie pierwszego czy drugiego „garnituru” tej profesji. Wykonywała swój zawód z dala od eleganckich hoteli i jaskrawo oświetlonego centrum stolicy. Jej „niszą ekologiczną” była Praga, Targówek i Bródno, gdzie mimo mniejszych wymagań klienteli życie wcale nie słało się różami. Oskarżona mieszkała razem ze swym przyjacielem Bronisławem S. w małym parterowym domku na przedmieściu Warszawy, tam też przyprawiała swych równie niewybrednych, co kiepsko płacących klientów. Bronisław S. na czas „seansów” przenoślił się do kuchni, gdzie niejako z góry przepijał zarobione przez przyjaciółkę pieniądze, po czym zasypiał snem sprawiedliwego, niewinnie jak dziecko.

Życie tych dwojga ludzi przez kilka lat toczyło się monotonicznie. On jadł, pił i spał. Jeżeli robił coś jeszcze, to systematycznie i dotkliwie bił przynajmniej raz dziennie kobietę, która go utrzymywała. Ona dokonywała zakupów, gotowała, prała, po czym wyruszała na miasto. Jeżeli padał deszcz i ulice były puste, wracała do domu sama. W takie dni była bita dotkliwiej, jako że przyjaciel nie mógł spokojnie zasnąć... był trzeźwy. W opisanym koleinie ich życia znalazło się jeszcze miejsce na miłość. Irena M. swego ciemieży cielą po prostu kochała, jako* że w tej sferze doznań życie płata niekiedy ludziom najprzeróżniejsze figle. Często kocha się nie za coś, a wbrew czemuś. Niektórzy powiadają nawet, że tylko wówczas kocha się naprawdę i być może mają rację.

Pewnego ciepłego jeszcze jesienno dnia Irena M. ponosząc koszty zawodu nabawiła się dyskretnej choroby. Powędrowała wówczas do szpitala na długie dwa miesiące. Gdy zbliżały się dni odwiedzin i na taboretach obok łóżek pacjentów zasiadały rodzirfy obładowane kompotami, Irena tęsknie spoglądała w kierunku drzwi. Nikt jej nie odwiedził. Dodam, że list z prośbą, aby przyjaciel przyniósł jej coś ciepłego z odzieży, bo zbija się termin wyjścia pozostał, niestety, bez odpowiedzi... W połowie listopada pacjentka opuściła szpital w tej samej letniej sukience, w której przyszła, tyle że pężyżyła od uczynnej salowej jakiś łach, żeby, jadąc tramwajem do domu, nie zamrznąć. W parterowym domku świeciło się światło. Irena zapukała do drzwi, otworzyła jej jakaś nieznajoma dziewczyna. Bronisława S. w domu nie było, pił na mieście. Wystarczyła krótka wymiana zdań, aby Irena M. zorientowała się, że koleina wchłonęła następną ofiarę i że to co było, nigdy już nie wróci. Zabrała wówczas swe rzeczy i poszła.

Gdy przesłuchiwałem Irenę M. w śledztwie powiedziała mi, że nie mogła znaleźć spokoju, musiała spotkać się z mężczyzną, którego ciągle kochała, i dlatego wysłała kartkę, którą następnie znaleziono przy Bronisławie S. Treść jej była następująca: „Przyjdź we wtorek w gruzy obok szpitala, muszę z tobą porozmawiać. Będę miała pieniądze i wódkę”,

O umówionej porze rzeczywiście doszło do zaplanowanego spotkania. Przebieg wydarzeń poznałem już tylko z wyjaśnień oskarżonej. Ofiary nie udało się przesłuchać.

— Proszę pana — mówiła Irena M. — jak on przyszedł, to mi tak biło serce, jak jeszcze nigdy w życiu. Był pijany. Zapytałam, dlaczego mnie rzucił, a on odpowiedział, że teraz ma młodszą, taką, co jeszcze nigdy nie chorowała i która umie zarobić, nie to co ja. Powiedział też, że mu takiego kości

trupa nie potrzeba, że jak w czasie choroby schudłam, że w ogóle nie nadaję się do zawodu, więc ma mnie dość. Wówczas chwyciłam cegłę i uderzyłam go w głowę, a gdy się przewrócił, usiadłam mu na plecach i tą samą cegłą biłam w tył głowy bez opamiętania. Bijąc mówiłam, że to za moją poprzedniczkę, której zmarnował życie, za mnie i za tę, która teraz u niego mieszka. Powtarzałam, że biję go za wszystkie kobiety, z których pracy żyje, które wykorzystuje i których nie kocha. W pewnym momencie, widząc ofiarę bez przytomności, pomyślałam, że być może zabiłam człowieka, którego przecież ciągle bardzo kocham. Gdy zorientowałam się, że Bronisław oddycha, zaczęłam go nieść, a potem wlec w kierunku szpitala. Ostatkiem sił zaciągnęłam go przed budynek szpitala miejskiego nr 4 na Pradze, po czym pobiegłam do izby przyjęć i o wszystkim zawiadomiłam dyżurnego lekarza.

Z przesłuchań świadków — pracowników szpitala — wynikało, że Irena mówi prawdę. To rzeczywiście ona dostarczyła ofiarę do szpitala, a gdy położono go na wózku ustawionym z braku miejsca w korytarzu, trzymała go za rękę i czuwała przy nim całą noc.

Przesłuchując jedną z pielęgniarek dowiedziałem się, że Irena M. wyszła około godziny 11 w nocy ze szpitala i nie było jej dość długo. Gdy wróciła po północy, miała w ręce jakiś przedmiot zawinięty w gazetę. W pewnej chwili siedząc na krzeselku przy wózku, na którym leżał Bronisław, kobieta rozwinęła paczkę i wyjęła półlitrową butelkę wódki. Położyła ją na wózku tuż przy dłoni rannego tak, aby w przypadku odzyskania przytomności poczuł dotyk szkła. Gdy oburzona pielęgniarka krzyknęła: „Co pani robi?!“ — Irena M. odpowiedziała szeptem: „Wódka jest dla niego wszystkim; chcę, żeby wiedział, że ma obok siebie to, na czym mu całe życie najbardziej zależało. Będzie szczęśliwy“.

Bronisław S. nie odzyskał już przytomności. We wczesnych godzinach rannych zmarł.

W swym przemówieniu przed sądem eksponowałem incydent z wódką jako okoliczność obciążającą, świadczącą o głębokiej demoralizacji oskarżonej. Zabrakło mi wówczas życiowego doświadczenia, niezbędnego dla zrozumienia reakcji nietypowych i nie mieszczących się w konwencjonalnych schematach ocen. A przecież sędzia K., który przewodniczył rozprawie, w uzasadnieniu wyroku ustosunkował się do wspomnianego incydentu z półlitrową butelką wódki odmiennie i o ile bardziej dojrzałe. Irena M. naprawdę kochała, chciała, by w chwili niebezpieczeństwa miał obok siebie to, w co całe życie wierzył. Butelka wódki była symbolem czegoś najdroższego, bo przecież ten człowiek żył tylko po to, żeby pić i tylko wódkę uważał za wartość bezwzględna.

W owym okresie, a więc w początkach lat sześćdziesiątych, obowiązywał w Polsce kodeks karny z 1932 r. Zgodnie z treścią art. 225 par. 2 tegoż kodeksu zabójstwo w afekcie stanowiło uprzywilejowaną formę tego przestępstwa. Jeżeli sąd uznał, że sprawca działał w stanie „silnego wzruszenia“, wówczas dolna ustawowa granica kary wynosiła 6 miesięcy, a górna — 10 lat pozbawienia wolności. Mimo iż przepis art. 225 par. 2 kk nie wdawał się w moralną ocenę przyczyn wywołujących afekt, całe powojenne orzecznictwo szło w kierunku uprzywilejowania sprawcy zabójstwa jedynie wówczas, gdy afekt wywołany był pobudką, dla której można by znaleźć moralne uzasadnienie. Na dobrą sprawę nawet bandyta mordując ofiarę ze zwykłej chęci zysku często działał przy przewadze czynnika emocjonalnego nad racjonalnym, a więc w afekcie. Trudno by

łoby jednak stosować w takich przypadkach wspomniany par. 2 art. 225 kk i uznać, że przestępstwo to nie może być zagrożone karą surowszą niż 10 lat pozbawienia wolności. Dzisiejsze przepisy karne dotyczące zabójstwa są bardziej konkretne. Ustawodawca uwzględnił afekt jedynie wówczas, gdy jest on „usprawiedliwiony okolicznościami”. Tylko tego rodzaju stan silnego wzruszenia uzasadnia złagodzenie górnej granicy kary. Przed laty było nieco inaczej, choć — jak powiedziałem — orzecznictwo sądów wyraźnie unikało stosowania art. 225 par. 2, jeżeli zaistniały afekt nie mógł być akceptowany ze społecznego punktu widzenia.

Kierując akt oskarżenia przeciwko Irenie M. rozważałem również i kwestię afektu. W całym przebiegu zbrodni dominowały emocje — to było oczywiste. Tylko ppbudki tych emocji... Oskarżona działała z zemsty i zazdrości, tak też sama swe zachowanie tłumaczyła. Ulegając określonej schematowi myślenia uznałem zarówno chęć zemsty, jak i zazdrość za pobudki jednoznacznie niskie i przekreślające możliwość zastosowania wobec oskarżonej konstrukcji prawnej silnego wzruszenia. A jednak sąd miał w tej materii odmienne zdanie. Irena M. skazana została za zabójstwo w afekcie i dlatego wymierzona jej kara okazała się tak niska.

W ciągu kilku następnych lat prowadziłem bądź- nadzorowałem szereg śledztw w sprawach o zabójstwa. Zawsze wówczas, gdy przy niewątpliwym afekcie źródłem silnego wzruszenia okazywały się zarówno zazdrość i zemsta — a takich spraw było najwięcej —* wątpliwości wzrastały. Przez całe lata reprezentowałem pogląd, że zazdrość bez względu na okoliczności jest zawsze pobudką niską. Byłem wówczas pod przemożnym wpływem znanego orzeczenia Sądu Najwyższego, że uczucie to, jako przejaw

120

władztwa człowieka nad człowiekiem, nie da się żadną miarą pogodzić z normami współżycia społecznego w naszym ustroju. Wspomniane orzeczenie uważało uczucie zazdrości po prostu za relikwyt przeszłości, wywodzący się z traktowania człowieka jak rzecz, którą można mieć na własność. Zazdrość godziła w wolność, którą uznajemy przecież wszyscy za dobro o wartościach bezwzględnych.

Właśnie pod wpływem tegoż orzecznictwa oskarżyłem przed laty młodego poetę Jerzego M. o zabójstwo kochanka jego żony, nie przyjmując po stronie sprawcy afektu, mimo że był on — patrząc z perspektywy mojego obecnego doświadczenia życiowego — niewątpliwym i „usprawiedliwionym”. Było to klasyczne zabójstwo z zazdrości. Jerzy M. dowiedział się, że jego niedawno poślubiona żona zdradza go z ojczymem, znanym warszawskim adwokatem. Chłopiec kupił w sklepie nóż, wszedł w tramwaj, pojechał do mieszkania ojczyma, wszedł niepostrzeżenie do pokoju, w którym zastał kochanków in flagranti. Jerzy bez słowa wyjął nóż i uderzył ojczyma w okolicę brzucha. Ofiara zamachu zmarła w kilka godzin później w szpitalu.

Oceeniłem to przestępstwo jako odrażające, pobudkę zaś czynu uznałem za niską. W sprawie bronił adwokat B. Zaczął swe przemówienie zdaniem: „Są trójkąty, których nie sposób rozwiązać twierdzeniem Pitagorasa”. Sąd skazał Jerzego M. na symboliczną jedynie karę, wyrażając w ten sposób swoistą akceptację dla pobudki czynu.

Mniej więcej w tymże czasie dużo mówiło się o innym symptomatycznym orzeczeniu Sądu Najwyższego. Usprawiedliwiało ono zazdrość jako motyw, który może znaleźć społeczną aprobatę, jeśli źródłem jego jest prawdziwe uczucie. Sąd Najwyższy dowodził, że dopiero w naszym ustroju miłości prze-

12f

stała towarzyszyć koncepcja często wręcz ekonomicznej natury. Pełnia rozkwitu bezinteresownych uczuć wobec kobiety, stanowiąca znaną nowym czasom, wymaga pieczołowitej ochrony. Ochrony wymaga również dobro rodziny jako podstawowej komórki społecznej. Stąd też reakcja na zamach godzący w dobro rodziny jest co prawda nie tylko przejawem uczucia zazdrości, ale również realizacją prawa do szczęścia, którego odmówić nikomu nie sposób.

W procesie Jerzego M. zachowującego się w czasie przesłuchań śledczych cynicznie, miałem przeciwko sobie nie tylko oskarżonego, publiczność i ławników, ale nawet żonę Jerzego M. Chciała ona zapewne nielojalność zdrady okupić lojalnością wobec męża, który z jej powodu znalazł się w tarapatkach. W czasie swego przemówienia odczuwałem wrogość sali. Ludzie są w stanie rozgrzeszyć zabiwcę z miłości, a mechanizm takiej postawy wydaje się prosty. Człowiek łatwiej utożsamia się z kimś nieszczęśliwym, zawiedzionym i oszukany niż z takim, któremu „diabeł dzieci kołysze”. Być może ludzie częściej doświadczają zła niż dobra. Nawet ci, którzy sami zdradzają swe żony, nie akceptują moralnie tego procederu ze ściśle egoistycznych pobudek. Zdradzający nie chce być zdradzany, potrafi również zaakceptować nawet najbardziej drastyczną reakcję na czyn, który tradycyjnie uważany jest za niegodziwy.

Oskarżając w różnych procesach często odbierałem aplauz publiczności wobec moich argumentów. Tylko w sprawach o zabójstwo z zazdrości, przy poprawce, że zdradzony miał do swej emocji moralnie akceptowane prawo, publiczność była przeciwko mnie, a wystąpienia obrońców nierzadko nagradzano oklaskami.

W procesie przeciwko Irenie M., jak również przeciwko Jerzemu M. — byłem sam. Dziś, z perspektywy wy wielu lat, mając odpowiedni dystans do omawianej grupy spraw, nie potrafię przewidzieć własnej reakcji, gdybym znalazł się wśród publiczności na procesie zabójcy z zazdrości. Może w jakiś sposób solidaryzowałbym się ze sprawcą, boć przecież nje ma człowieka na świecie, którego bezkarnie nie oszukano i w świadomości którego nie drzemałaby chęć odwetu.

Cóż, uczucia nie zrealizowane, nawet społecznie naganne, muszą mieć wpływ na ocenę innych, także tych, których w myśl litery prawa określamy mianem zbrodniarzy.

ZUPA POMIDOROWA

Otrzymałem pewnego dnia anonim, z treści którego wynikało, że pewien wysoki urzędnik z Makowa Mazowieckiego, człowiek w tamtejszych warunkach „na świeczniku”, bierze łapówki, nie gardząc nawet 100-złotowym datkiem. Doniesienie wydawało się w swej treści wręcz nieprawdopodobne, trzeba było jednak rzecz sprawdzić na miejscu.

Wybrałem się więc do Makowa. Autor anonimu podawał nazwiska osób, które „dawały”, a nawet adresy, nie szczędząc też informacji „za co”. Pamiętam, że pierwszego świadka, rolniczkę Józefę N. przesłuchałem na terenie jednego z gminnych posterunków MO. Staruszka przyszła wprost z pola, mówiła, że nie ma czasu, już od drzwi zaklinając się, na wszelki wypadek, że o niczym nie wie.

— Dopraszam się łaski pana prokuratora, o co pan zapyta, to ja nie powiem, bo nawet nie umiem się podpisać, tylko krzyżykiem.

Perspektywa przesłuchania tak odpornej osoby nie była zachęcająca, na szczęście, w ślad za mamą, wkroczył do pokoju syn, który podjął się pośred-

nic twa pomiędzy mną a Świadkiem. Rolnik stwierdził, że w sprawie tej kury, co zginęła sąsiadce, jego mama rzeczywiście nic nie wie, a „oskarżenie”, jakoby wiedziała, jest fałszywe. — Co się zaś tyczy innych spraw — powiedział — możemy zeznawać.

Zapytałem wówczas, czy staruszka zna Jana R., urzędnika z Makowa. Odpowiedziała, że zna, ale nic nie wie. Dodała też, że to bardzo przyzwoity człowiek. Na moje pytanie, czy dawała Janowi R. pieniądze i za co, spojrzała na syna, a gdy ten skinął przyzwalająco głową, powiedziała, że rzeczywiście dała 200 zł właściwie za nic. W tym miejscu do rozmowy włączył się syn.

— Panie — powiedział — myśmy tylko chcieli przyspieszyć załatwienie, nic więcej. Ludziska mówili, że Jan R. bierze i że można przyjść do niego nawet z głupstwem. Nie wierzyłem, ale spróbować nie zawadzi. Dałem mamie 200 zł, poszła i załatwiła, aż dziw, że wziął tak mało...

W ten sposób zaczęło się. Przez kilka dni przesłuchiwałem świadków, na ogół z powodzeniem. Poznałem już nawet rozmiary zjawiska. Mój przyszły klient hołdował zasadzie: „duży obrót, mały zysk”, umiał też pieniądze wydawać. Dla rozszyfrowania tej kwestii postanowiłem przesłuchać miejscowych taksówkarzy. Były to jeszcze lata, w których ludzie uczciwi nie mogli sobie pozwolić na samochód, a nieuczciwi tym bardziej. Nieuczciwie zdobyte pieniądze wydawało się w restauracjach, ale na terenie sąsiedniego powiatu. Autobus PKS jako środek komunikacji nie wchodził, oczywiście, w grę, był poniżej godności stanu; pozostawały taksówki. Kierowcy prowincjonalnych taksówek mieli swych stałych klientów na „poważne” kursy, długie z czekaniem. Byli oni na ogół małowolni tak długo, dopóki ich pasażer nie „siedział”. Potem stawali się rozmowniej-si. Może to był rewanż za uprzednie lekceważące traktowanie, a może właściwa wielu ludziom skłonność do obmowy, dość że przesłuchania taksówkarzy dawały z reguły interesujący materiał dowodowy. Tak też było w przypadku Jana R. Gdy uznałem, że sprawa dojrzała do „realizacji” wziąłem ze sobą dwóch funkcjonariuszy MO i odwiedziłem podejrzanego urzędnika u niego w domu. Przeprowadziliśmy rewizję połączoną z zabezpieczeniem co wartościowszych ruchomości na poczet grożącej za łapówki grzywny. Jan R. został zabrany do aresztu. W czasie rewizji, którą zawsze uważałem za czynność dla prowadzącego śledztwo prokuratora bardzo niemiałą, po raz pierwszy zetknąłem się z żoną podejrzanego, Krystyną R. Była to kobieta dużej urody, charakteryzowała ją wytworność i elegancja. Godnie reprezentowała męża, który piastował eksponowane stanowisko w miasteczku. W czasie rewizji Krystyna R., dla której przecież praktyki męża nie mogły stanowić tajemnicy, zdawała sobie wyraźnie sprawę, że wszczęte śledztwo oznacza zawalenie się wszystkiego. A miało się co walić.

Przypominam sobie pewnego włamywacza, którego osobiście na przestrzeni około 10 lat kilka razy aresztowałem. Gdy go doprowadzano, zjawiał się beztroski, a nawet w pewnym sensie zadowolony z tego, co go czeka. Nie miał mi też nigdy za złe, że go aresztowałem. Uważał mnie za dobrego znajomego, lubił, a nawet przez kilka lat otrzymywałem od niego z więzienia świąteczne kartki z pozdrowieniami.

Gdy pewnego dnia przy okazji kolejnego aresztowania zauważyłem beztroskę Józefa M., zapytałem go o przyczynę braku niechęci do więziennego życia. Oto, co mi odpowiedział:

— Widzi pan, na wolności to ja jestem nikim.

Wszyscy są lepsi ode mnie. Mają ładne mieszkania, zarabiają. Jednych ludzie poważają, innych się boją. Jestem źle ubrany, stoję przed kioskiem z piwem, każdy ma mnie za nic. W więzieniu to co innego. Pod celą wielu jest ode mnie gorszych, słabszych, wszyscy nowicjusze i debiutanci. Tak, w więzieniu to ja jestem pan całą gębą, mnie się boją, poważają, usługują, ja sobie zawsze lepiej od innych dam radę, mam praktykę.

Józef M. był człowiekiem równie zdemoralizowanym i wykolejonym, co inteligentnym. Potrafił odpowiedzieć na moje pytanie i to trafnie. Temu włamywaczowi nie miało się co zawalić. Można by zaryzykować twierdzenie, że każdy kolejny pobyt w więzieniu był swoistym pięciem się w górę po szczeblach złodziejskiej sławy. Co innego małomiasteczkowy dostojnik Jan R. Otóż żona 'mojego podejrzanego, asystując w czasie rewizji, nie odzywała się ani słowem. Patrzyła na mnie z nieukrywaną nienawiścią, a jednocześnie bez wstydu. Uważała zapewne, że na płaszczyźnie moralnej wszystko jest umowne, krzywdą zaś, jaką jej wyrządzam — stanowi kategorię bezwzględną i całkowicie jednoznaczną.

W wieloletniej praktyce prokuratorskiej, zwłaszcza przy śledztwach w sprawach gospodarczych i kryminalnych, często ze strony osób podejrzanych wyczuwałem określony osobisty stosunek do mnie. Był on bardzo różny. Przestępcy kryminalni traktowali mnie z reguły nie jak osobistego wroga a urzędnika, który wykonuje swój obowiązek. Nie byłem dla nich konkretnym przeciwnikiem, a raczej reprezentantem określonej instytucji. Rzecz jasna instytucji nie lubianej, ale stanowiącej coś, co było, jest i będzie, a więc wchodzącej w skład „natury rzeczy”.

Uczestnicy afer gospodarczych i łapownicy prezentowali zupełnie inne postawy. Im bardziej prokurator był wnikliwy, im więcej potrafił udowodnić, tym bardziej był nie lubiany, czasem nawet nienawidzony. Zastanawiałem się kiedyś nad przyczyną określonego osobistego stosunku przestępcy do osoby prowadzącej śledztwo. Być może różnice powstają właśnie dlatego, że uczestnicy afer gospodarczych tracą nie tylko wolność, ale jeszcze coś więcej, spadają często z wysoka. Kryminaliści mają stopień upadku dużo niższy. Kryminalista uważa, że nie prokurator, a los spłatał mu figła, aferzysta natomiast jest dużo bardziej racjonalny w ocenie swych niepowodzeń.

Dajmy jednak spokój dygresjom i wróćmy do przerwanej wątku sprawy Jana R. Śledztwo trwało około pięciu miesięcy, później nastąpił akt oskarżenia i bardzo surowy wyrok. Sąd wymierzył oskarżonemu także wysoką grzywnę, a ponieważ pieniądze pozostały w restauracjach — zlicytowano nawet meble.

Podczas rozprawy widziałem wśród publiczności Krystynę R. Siedziała w pierwszej ławce. Odznaczała się niepospolitą urodą i elegancją, choć coś się załamywało, grunt usuwał się jej spod stóp. Mąż nie był już tym, kim uprzednio i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, aby uznać utratę swej dotychczasowej pozycji za rzecz nieodwracalną. Kobieta ta miała żal nie do losu, a wyłącznie do mnie. Mnie uznała za sprawcę swego nieszczęścia.

Minęły chyba ze trzy lata. Prowadząc i nadzorując wiele różnorodnych śledztw zapomniałem o Janie R. i jego dawno już zakończonym procesie. Któregoś dnia musiałem załatwić jakąś sprawę w Makowie. Wsiadłem nad ranem w samochód i pojechałem. Na miejscu zastałem mojego ówczesnego przełożonego, prokuratora P. Mieliśmy bardzo dużo

pracy przez cały dzień. Przed powrotem do Warszawy postanowiliśmy zjeść spóźniony obiad w miejscowej gospodzie ludowej, tak bowiem nazywano ówczesne zakłady żywienia zbiorowego. Obskurna knajpa mieściła się w rynku. Usiedliśmy przy stoliku. Kelner wytarł brudną szmatą kałużę piwa i zapytał, co zjemy. Zamówiliśmy tylko zupę — pamiętam, że pomidorową. Na sali był tłok. Z wyjątkiem nas dwóch nie było chyba nikogo trzeźwego, może kelner, który bacznie się nam przypatrywał rozmawiając z koleżanką, równie jak on zaniedbaną, w rozchełstany, zaplamionym fartuchu i rozczochranymi włosami.

— Tych panów ja sama obsłużę — powiedziała w pewnym momencie. — Po prostu się zamienimy. Ty weźmiesz jakiś mój stolik, choćby ten pod oknem.

Zauważyłem, że kelner daje swej koleżance rachunek na nasze dwie zupy i odchodzi. Po kwadransie zjawiała się kelnerka, przynosząc dwa pełne talerze. Nie mogliśmy się tej zupy doczekać, tak bardzo byliśmy głodni. Gdy zaczęliśmy jeść, moją uwagę zwróciło to, że kelnerka nie odchodziła, patrzyła na nasze ręce, w których trzymaliśmy łyżka; nie spuszczała z nas wzroku. Tak, to była Krystyna R. Pierwsza dama miasteczka w całym swym upadku i upokorzeniu. W każdym człowieku jest jakieś skrzywienie zawodowe, ono właśnie kazało mi skojarzyć napis na ścianie o wyłożeniu trutek przeciw szczerom z faktem odsunięcia kelnera od obsługi naszego stolika. Krystyna R. sama, dobrowolnie, wręcz z własnej inicjatywy, chciała nam usługiwać, podawać jedzenie człowiekowi, którego uważała za sprawcę jej życiowej katastrofy. Dlaczego? Nie była to przyjemna chwila. Chciałem odsunąć talerz i wyjść — przestałem być głodny. Krystyna R. patrzyła nam na ręce, a myśmy jedli, wszystko do dna. Zapłaci-

128

liśmy rachunek nie dając grosza napiwku. Nie wypadało.

Gdy wsiadaliśmy do samochodu, kelnerka stała w drzwiach restauracji. Dlaczego? Nie wiem.

PONAD ZWYKŁĄ MIARĘ

Pewien młody robotnik Huty „Warszawa” zachorował na jedną z bardziej złośliwych odmian raka, a gdy lekarze nie robiąc dużej nadziei zaproponowali mu operację, poszedł się poradzić znachora. Słyszałem kiedyś zdanie, że ludzie bardziej wierzą w zioła niż w lekarstwa, a bardziej w lekarstwa niż w operacje. Myślę, rzecz jasna, o raku, który według obiegowych teorii „nie lubi noża”.

20-letni Euzebiusz Ch. pojechał więc po zioła do Izabelina, ostatecznie nie tak daleko, 15 km od Warszawy. Znachor okazał się mężczyzną w podeszłym już wieku, dobrotliwym i budzącym zaufanie. Zaproponował swemu pacjentowi kurację przy pomocy odpowiednio spreparowanych liści kapusty, wspartą promieniami, tyle że nie kobaltu, ale przeciwreumatycznej lampy Vita-Lux. Leczenie miało być długotrwałe, jednak niezbyt drogie, leczący bowiem miał potrzeby skromne, a praktykę dużą.

O wspomnianej sprawie dowiedziałem się z doniesienia lekarzy, złożonego w prokuraturze wówczas, gdy Euzebiusz Ch. w bardzo złym stanie przywieziony został przez rodzinę do przyzakładowego szpitala huty i tam zatrzymany.

Rozpocząłem śledztwo od przesłuchania lekarza, który chorego leczył. Dowiedziałem się, że przypadek pacjenta jest beznadziejny, zaawansowanie choroby zaś nie daje żadnych szans na utrzymanie go

0 Ze wspomnień prokuratora

przy życiu. Uznano, że przesłuchanie chorego jest zdecydowanie niewskazane, i to bynajmniej nie tylko z powodu jego wiejskiego stanu. Cała ta sprawa miała jeszcze jeden aspekt, dzięki któremu właśnie utkwiła mi w pamięci, i to mimo upływu co najmniej 20 lat.

Przesłuchałem więc rodzinę chorego, notabene doskonale znającą szczegóły wizyty u znachora. Uzyskałem w wyniku złożonych zeznań kompletny materiał dowodowy uzasadniający postawienie leżącemu zarzutu oszustwa. Wkrótce pojechałem do Izabelina, aby osobiście dokonać rewizji w mieszkaniu znachora, ujawnić ewentualnych pacjentów, a więc ludzi podobnie jak Euzebiusz Ch. oszukiwanych i przesłuchać podejrzanego.

Znachor mieszkał w małym drewnianym domku. Był to człowiek blisko siedemdziesięcioletni i nie- głupi. W rozmowie ze mną zwrócił uwagę na dość specyficzny sposób swego działania, i to zarówno wobec chorego na raka robotnika, jak i innych leczonych pacjentów. Z wyjaśnień Kazimierza W. wynikało, że podejmował się leczenia jedynie wówczas, gdy pacjent obiecywał, iż równoległe do wizyt w Izabelinie będzie również odwiedzał prawdziwych lekarzy i słuchał ich wskazań. Była to prawda. Euzebiusz Ch. zobowiązywał się dotrzymać tego warunku, tylko nie zgodził się na operację... ze strachu.

W przestępczości Kazimierza W. było jeszcze coś, co usposabiało do niego życzliwie. Otóż zawsze zapewniał swych beznadziejnie chorych pacjentów, że będą żyli, im gorzej zaś się czuli, i im większe choroba robiła spustoszenie, tym bliższe było — według jego słów — wyzdrowienie.

W czasie jednej z wizyt Euzebiusza Ch. znachor powiedział:

— Niebawem przyjdzie taka chwila, że bóle okażą się nieznośne i będzie się panu wydawało, że nadchodzi śmierć. Wówczas straci pan przytomność, po czym nastąpi kryzys i wszystko zmieni się na lepsze. Moje leczenie zacznie dawać widoczne rezultaty, a rak zginie.

Podobnej treści rozmowę z chorym potwierdzili członkowie jego rodziny, a nawet szpitalni lekarze, którzy leżąc pacjenta widzieli jego optymizm. Był on odwrotnie proporcjonalny do stanu chorego, który im gorzej się czuł, tym bardziej wierzył, że wyzdrowienie jest blisko. Czekał na... kryzys.

Po kilku dniach pojechałem jeszcze raz do szpitala. Pacjent ciągle żył, bardzo cierpiał; były to jego ostatnie chwile. Wówczas właśnie dr M. powiedział mi z zażenowaniem:

—r Wie pan, jak my jeszcze naszemu choremu poza morfiną pomagamy? Może się to wydać dziwne, ale wozimy go karetką szpitalną na napar z liści kapusty i przeciwreumatyczne lampy do Izabelina. Taką decyzję podjął ordynator za wiedzą dyrekcji szpitala.

Chłopiec umierający był zupełnie spokojny. W ostatnim dniu życia miał największą nadzieję. Zajmującej się nim pielęgniarkę powiedział:

— Sostro, czuję się tak źle, że na pewno kryzys nastąpi tej nocy. Niebawem wszystko się zmieni. Przecież on mi obiecał, że wyzdrowieję.

Euzebiusz Ch. umarł bez strachu. Jestem pewny, że gdybym go przesłuchał, ujawnił szarlataństwo znachora i fakt wszczęcia w tej sprawie śledztwa, zachwiałbym wiarę w „lekarza”, a choremu wyrządził krzywdę. Cóż, w sprawie tej wszyscy byliśmy humanitarni. Chyba nawet ponad zwykłą miarę.

OCZEKIWANIE

Prowadziłem przed laty duże śledztwo przeciwko grupie pracowników pewnego Zjednoczenia w Warszawie. Zarzuty były różne, jednak przeważały łapówki. Z początku wszystko wskazywało na to, że sprawa nie ma charakteru afery. Był tylko jeden potencjalny podejrzany, dowodów przeciwko niemu niewiele, a roboty co niemiara. Zatrudniłem w sprawie biegłych księgowych, trzeba było też dokonywać skomplikowanych rozliczeń, a wszystko to trwało.

Mając równolegle inne sprawy, byłem bardzo zajęty i stąd zapewne śledztwo przez kilka miesięcy nie wykraczało poza wstępne początkowe stadium.

W dyrekcji Zjednoczenia wiedziano o przedsięwziętych przeze mnie czynnościach, wiedziano też zapewne, że podejrzewam tylko jednego człowieka o podrzędnej w gruncie rzeczy roli. Ponieważ nikogo nie przesłuchałem jako podejrzanego, nikogo nie aresztowałem, przeto nie wiązały mnie żadne procesowe terminy skłaniające do szybkiego ukończenia sprawy.

Muszę powiedzieć, że tylko to jedno jedyne śledztwo w całej swej karierze prowadziłem tak opieszale. Od wszczęcia postępowania w sprawie minął rok, a nic się właściwie nie działo. Minęło dalsze pół roku i dopiero wówczas postanowiłem odłożyć wszystkie inne sprawy, by energicznie zająć się tą jedną, pozostawioną bez biegu.

Dość szybko przesłuchałem kilkunastu prywatnych przedsiębiorców, których podejrzewałem o wręczanie łapówek wspomnianemu na wstępie urzędnikowi Zjednoczenia — kierownikowi L. Wynik przesłuchań był zaskakujący, krąg osób, które „brały”, znacznie się poszerzył, i to o ludzi, pozostających dotąd w ogóle poza podejrzeniem. Sprawa wydawała

się bardzo trudna. Łapówki wręczano jakoby pod blatem kawiarnianych stolików tylko w cztery oczy, właściwie za nic. Podejrzewałem liczne trudności w udowodnieniu winy osobom pomówionym przez dających. Nie wierzyłem też, by łatwo się przyznali w istniejącym stadium śledztwa i przy tej ilości dowodów, jakimi dysponowałem.

Bez większego przekonania co do powodzenia zaplanowanej czynności wezwałem trzech inżynierów, pracowników dyrekcji. I co się okazało? Już po kilku minutach wszyscy się przyznali. Odczułem nawet rzecz niezwykłą. Inżynierowie przyznając się robili wrażenie, że po prostu czekali, aby ktoś dał mi po temu okazję. Jeszcze tegoż dnia aresztowałem wszystkich, którzy się stawili, po czym poleciłem wezwać dwie inne pomówione przez dających osoby. Byli to przedstawiciele dyrekcji przedsiębiorstwa: Jan K. i Lucjan Z. I tym razem wszystko poszło jak z płatka. Obaj podejrzani przyznali się do winy, przy czym wcale nie trzeba było ich do tego namawiać.

Muszę przyznać, że spontaniczna prawdomówność skorumpowanej grupy była dla mnie na tle innych podobnych spraw zaskoczeniem. Znani mi dotąd łapownicy wykręcali się jak mogli i dopiero w wyniku licznych konfrontacji, po okazaniu im zebranych dowodów pośrednich, uznawali swą winę lub nie, tych ostatnich też było wcale niemało.

Gdyby mnie ktoś wówczas zapytał, skąd ta prawdomówność podejrzanych, w pewnym sensie nawet spontaniczna, nie znalazłbym odpowiedzi, jak również nie potrafiłbym przedstawić psychologicznej motywacji takiej właśnie postawy w śledztwie. Dopiero kolejny podejrzany, dyrektor G., który wezwany na przesłuchanie ubiegł nawet moje pytanie, przyznając się do znacznej kwoty łapówki — rzucił niejakie światło na zagadkową szczerłość kolegów.

Myślę, że potrafię odtworzyć bez akt i notatek jego słowa, pobudziły mnie one bowiem wówczas do refleksji i później jeszcze wielokrotnie o nich myślałem. Dyrektor G. był człowiekiem inteligentnym, wykształconym i bardzo rozmownym. Po zaprotokołowaniu złożonych wyjaśnień pozostał jeszcze w moim pokoju przez kwadrans, oczekując na konwój do więzienia. Wówczas właśnie powiedział:

— Panie prokuratorze, my wszyscy już od półtora roku zdajemy sobie sprawę, że śledztwo jest w toku. Przez pierwsze miesiące daliśmy sobie słowo, że w przypadku wezwania na przesłuchanie nie przyznamy się i wszystkiemu będziemy zaprzeczać. Codziennie chodząc do pracy, odbierając telefony, zaglądając w domu do skrzynki, oczekiwaliśmy urzędowego druku wezwania, jednak bezskutecznie. Po siedmiu czy ośmiu miesiącach ja osobiście zaobserwowałem u siebie i nie tylko u siebie coś, co moja żona, lekarka, określiła mianem nerwicy oczekiwania. Wszystko, co się działo, było już tylko oczekiwaniem na wezwanie, śledztwo, sprawę, wyrok, co pan tylko chce. Wówczas właśnie zrozumiałem sens przysłowia, że strach ma wielkie oczy i że na złodzieju czapka gore. Czułem się jak człowiek chory na raka, który zna już diagnozę i rokowania, przestaje się ludzi i tylko... czeka.

Jest już jesień. Niedawno wszyscy byliśmy na urloпах. Powiedziałem żonie, że to pewnie nasze ostatnie wspólne wakacje, w przyszłym roku o tej porze będę już gdzie indziej. Pojechaliśmy jak co roku na Mazury, ale nic już nie miało żadnego sensu: ani spacer, ani łowienie ryb, wszystko było niczym wobec tej jednej jedynej myśli — co jutro? Po urloпах spotkaliśmy się, ja i obecni współpodejrzani, u kolegi Z. Półtoraroczne śledztwo bez jakiegokolwiek naszego w nim udziału okazało się niesłycha

134

nie skuteczne. Wszyscy mieliśmy dość oczekiwania, a ja nawet powiedziałem moim towarzyszom, że je* zeli w najbliższym czasie po mnie nie przyjdą, to sam się zgłoszę; niech się dzieje co chce, byle prędzej. Już nikt z nas nie mówił o zмовie milczenia, a jeśli nawet mówił, to sam w to nie wierzył. Gdy pan poprosił mnie dziś do pokoju, odczułem coś na kształt ulgi. Wiedziałem, że pójdę do więzienia i chyba byłem nawet zadowolony, że to już, a nie za pół roku czy rok, raz kozie śmierć.

Dyrektor mówił prawdę. Później rozmawiałem z jego żoną, której umożliwiłem widzenia z aresztowanym mężem przy okazji wzywania go z więzienia do Prokuratury na przesłuchanie. Moja rozmówczyni powiedziała w pewnej chwili:

— Jak mąż dostał wezwanie, to się nawet ucieszył. Nigdy pan nie uwierzy, ale była to pierwsza noc, jaką przespał spokojnie. Przez cały rok cierpiał na bezsenność.

DEUS EX MACHINA

Jeżeli na tle określonej sprawy zeznaje dwóch świadków, i to zupełnie odmiennie, prokurator czy sąd nie są bynajmniej bezradni. Otóż w świetle obowiązującej zasady swobodnej oceny dowodów można z powodzeniem zeznanie jednego ze świadków włożyć między bajki, a drugiemu dać wiarę. Swobodna ocena dowodów nie powinna być jednak nigdy utożsamiana z dowolnością: Organ rozpoznający sprawę nie może, ot tak sobie, jednemu uwierzyć, innego uznać za kłamcę i według własnego widzimisię ustalić prawdę. Byłaby to bowiem zaledwie prawda pozorna, jakże odległa od obiektywnej, leżącej u podstaw każdego procesu, nie tylko karnego.

135

Zarówno odmowa wiary w zeznania świadka, jak i jej przeciwieństwo wymagają przekonującego uzasadnienia. Można uznać Iksa za prawdomównego, a Ygreka za kłamcę, trzeba jednak dokonać ocenę ich zeznań oprzeć bądź na innych dowodach, bądź na określonym rozumowaniu przebiegającym w myśl zasad logiki i opartym na doświadczeniu.

Bywa, że podejrzany czy oskarżony nie przyznając się do winy powołuje świadków, mających zeznać o jego niewinności. Jeżeli taki świadek jest dla oskarżonego człowiekiem najbliższym, bliskim czy choćby tylko przyjacielem, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że złożone zeznanie zostanie odpowiednio ukierunkowane — na korzyść. Człowiek dla oskarżonego zupełnie obcy też może co prawda zeznać fałszywie, i to z różnych względów, jednak prawdopodobieństwo takie jest już nieco mniejsze.

Od wieków najbardziej wierzono świadkom, którzy nie tylko oskarżonego nie znali, ale z całą sprawą nie mieli nic wspólnego, przed sądem zaś zjawiali się zupełnie nieoczekiwanie, nie wzywani, jako deus ex machina, aby dać świadectwo prawdzie.

Miałem w swej praktyce oskarżycielskiej kilku takich świadków. W śledztwie nie wiedziałem nawet, że istnieją, dopiero na rozprawie... Nieoczekiwany świadek przed sądem i jego zeznanie zmieniające diametralnie sytuację niewinnego oskarżonego, to ulubiony motyw angielskich kryminałów filmowych. W filmie tacy ludzie zeznają zawsze prawdę, w życiu bywa różnie. Ja osobiście nigdy nie miałem przekonania do takiego świadka, który spada z nieba i choć w ostatniej chwili, to jednak ani nie za wcześnie, ani nie za późno, lecz właśnie w samą porę.

Fałszywi świadkowie zdarzali się niejednokrotnie w śledztwie, częściej jednak na rozprawach sądowych, powoływani przez moich klientów już po wnie sieniu przeciwko nim aktu oskarżenia. Tego rodzaju taktyka nie jest bez sensu. Fałszywi świadkowie powołani przez podejrzanego już w śledztwie mogą być łatwiej wzięci w ogień krzyżowych pytań, są od siebie izolowani lepiej, niż gdy rzecz dzieje się w sądzie. Ta oczywista prawda znana jest od wieków.

Pamiętam fragment znakomitych „Opowieści biblijnych”, który chciałbym tu przytoczyć „Pewnego razu Zuzanna, przecudna i bogobojna małżonka bogatego kupca Joachima kąpała się w stawie swego ogrodu. Zza krzewu podpatrywało ją dwóch lubieżnych starców i przystąpiło do niej z nieprzystojnymi propozycjami. Gdy Zuzanna dała im srogą odprawę, oskarżyli ją przed sądem o zbrodnię cudzołóstwa. Dopytywani o szczegóły twierdzili z całą bezczelnością, że widzieli ją razem z jakimś młodzieńcem, którego jednak nie zdołali ująć, gdyż był szybszy od nich. Sąd uwierzył starcom i skazał niewiastę na śmierć. W chwili gdy miano ją wyprowadzić na stracenie, przybiegł Daniel. Nawiedzony jasnowiedzeniem wołał rozpaczliwym głosem, żeby wstrzymano wykonanie wyroku, gdyż niewiasta jest bez winy. Sędziowie zgodzili się tedy, aby on sam jeszcze raz przeprowadził śledztwo. Daniel rozdzielił starców i zaczął indagować ich, każdego z osobna. Wkrótce okazało się, że zeznania ich są sprzeczne. Jeden zapewniał, że widział występłą parę pod drzewem pistacjowym, drugi utrzymywał, że to był wielki dąb. Stało się jasne, że oskarżyciele kłamią...”

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w Prokuraturze we wczesnych latach pięćdziesiątych, zajmowałem się skargami obywateli, rozpatrywanymi przez Prokuraturę w trybie fezw. nadzoru ogólnego. Którego dnia w południe zjawiły się u mnie dwie młode dziewczyny, kasjerki PKP, zatrudnione na jednym z war

szawskich dworców. Jedna z nich, śmielsza i mniej zdenerwowana, opowiedziała mi taką oto historię:

— Wczoraj, a raczej dzisiaj, bo parę minut po północy, liczyłyśmy z koleżanką dzienny utarg kasy. Z uwagi na kilkugodzinną przerwę w ruchu pociągów zamknęłam okienko. W pewnej chwili usłyszałam stukanie w szybę, a gdy spojrzałam, zobaczyłam (przed kasą niemłodego już mężczyznę, który podając się za jednego z dyrektorów DOKP żądał wpuszczenia go do kasy: chciał zatelefonować. Zorientowałam się, że rzekomy dyrektor jest bardzo pijany, a ponieważ byłyśmy w kasie same, na dworcu pusto, a sokista daleko, obawiając się rabunku odmówiłam, koleżanka zaś mnie poparła. Dziś rano zorientowałyśmy się, że wczorajszy nocny gość był rzeczywiście dyrektorem, obie bowiem otrzymałyśmy dyscyplinarne zwolnienie z pracy za odmowę wykonania obowiązku służbowego. Co pan na to?

Zrobiłem notatkę z przyjęcia skargi, odesłałem dziewczyny do domu, a sam pojechałem do DOKP. Dyrektor przyjął mnie chłodno, oświadczył, że na kolei tak jak w wojsku dyscyplina musi być żelazna, a polecenia zwierzchników kategorycznie wykonywane. Dyskretny problem trzeźwości dyrektora wizytującego nocną kasę, bo w takiej intencji rzekomo chciał wejść do pomieszczeń stacji, został przez mojego rozmówcę pominięty milczeniem. Wówczas zapytałem:

— Gdzie pan był przed przyjściem na dworzec i kto może poświadczyć, że nie pił pan alkoholu?

Dyrektor przygotowany zapewne na to pytanie bezzwłocznie podał mi nazwiska trzech przyjaciół, z którymi spędził czas od popołudnia do północy, grając w brydża. Oświadczył również, że nikt nie pił alkoholu, była jedynie skromna kolacja i kawa. Po zakończeniu spotkania, które odbywało się w mieszkaniu położonym bardzo blisko dworca, dyrektor postanowił nieoczekiwanie zwizytować kasę, aby sprawdzić, czy kasjerki nie sprowadzają sobie nocą chłopców, bo takie krążyły pogłoski. Zachowanie się dziewcząt dyrektor potraktował jako osobisty afront oraz brak dyscypliny, stąd też stosowne decyzje kadrowe.

Jeszcze tego samego dnia wezwałem do siebie trzech brydżystów, którzy bez zająknięcia potwierdzili dyrektorską wersję o bezalkoholowym charakterze spotkania. Ten alkohol to była sprawa zasadnicza, dyrektor bowiem oświadczył mi, że odmowa otwarcia kasy nie może być argumentowana niemożnością zidentyfikowania wizytującego — pokazał przecież przez szybę okienka swą legitymację.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli dyrektor był trzeźwy, to kasjerki powinny były go wpuścić. Jeżeli nie wpuściły, to może rzeczywiście w kasie znajdowali się jacyś mężczyźni i wtedy decyzja

o dyscyplinarnym zwolnieniu była słuszna. Rozdzieliłem trzech świadków tak, aby nie mogli się ze sobą kontaktować, po czym przystąpiłem do bardziej szczegółowych pytań. Dotyczyły one kolacji, ubioru, a nade wszystko brydża. Zapytałem partnerów — każdego z osobna — o ciekawsze rozgrywki wieczoru. Powiedzieli, że nie pamiętają. Wówczas zapytałem, czy był licytowany choć jeden szlem. To wystarczyło, aby świadkowie się poddali. Grywali oni rzeczywiście od lat w brydża razem z dyrektorem, tylko że akurat poprzedniego dnia w ogóle się nie widzieli. Żaden rasowy brydżysta, a z takimi miałem do czynienia, nie powie, że w ciągu jednej nocy zapomniał, kto i z jakim wynikiem licytował

1 rozgrywał przed kilkunastoma godzinami szlema. Panowie umówili się co do istoty sprawy, a nie co do szczegółów. Koleżeńska przysługa miała polegać na daniu dyrektorowi bezalkoholowego alibi „na wszelki

wypadek", kto jednak mógł przewidzieć, że zeznanie' będzie dotyczyć niezależnie od wódki również i kart...

Po przesłuchaniu fałszywych, a raczej już prawdziwych świadków telefonicznie ściągnąłem do siebie kierowcę dyrektora, którego zapytałem, gdzie też odwoził krytycznego dnia po pracy swego szefa. Okazało się, że na imieniny naczelnika Z. Potem już całe postępowanie potoczyło się błyskawicznie. Zapytałem solenizanta o listę imiennych gości i ustaliłem wszystko, co było mi potrzebne. Dyrektor pił, i to dość dużo. Imieniny opuścił wraz ze swą żoną, po czym postanowił dostać się do telefonu, aby wezwać kierowcę, ponieważ tramwajem jechać nie chciał, a taksówek nie było. Najbliższy aparat telefoniczny był w kasie na dworcu. Resztę już wiemy. Nie muszę też dodawać, że obie zwolnione kasjerki nie tylko powróciły do pracy, ale dostały jeszcze nagrodę za okazaną czujność i troskę o powierzone im pieniądze.

Wyobraźmy sobie teraz, co by było, gdyby przesłuchiwać trzech brydźystów nie kameralnie, a przed sądem? Jeden zeznawałby na sali, a dwóch oczekiwało swej kolejki na korytarzu. Fałszywi świadkowie ulokowaliby z pewnością na sali swego emisariusza, który wyniosłby na korytarz „ściągę" w postaci bieżącej relacji o treści zadawanych pytań i odpowiedzi. Mogłoby, oczywiście, wcale do takiego porozumienia nie dojść, ale ryzyko też się liczy.

Tak więc zawsze wolałem świadków w swym pokoju niż na sali, a już szczególnie podejrzliwie odnosiłem się do tych zupełnie nieznanymi, przypadkowych i absolutnie obiektywnych, którzy jawili się w sądzie nie wzywani, aby dać — jak już wspomniałem — świadectwo prawdzie.

Było to w połowie lat pięćdziesiątych. Jako ase-
140

sor Prokuratury nadzorowałem śledztwo w sprawie bardzo poważnego wypadku tramwajowego, jaki miał miejsce przy ul. Odrowąża w Warszawie. Sprawca katastrofy Janusz W. prowadząc tramwaj najechał przy dużej prędkości na prawidłowo oświetlony wagon przyczepy innego tramwaju, który zatrzymał się na przystanku. Skutki zderzenia okazały się tragiczne. Wśród ofiar znalazła się młoda konduktorka tramwaju, który najechał. Stała ona w chwili zderzenia obok sprawcy wypadku, poniosła niestety śmierć. Janusz W. szczęśliwym zbiegiem okoliczności został jedynie ciężko ranny, stracił nogę. Przed rozprawą sądową, która miała charakter tzw. procesu pokazowego, dokładnie przestudiowałem zebrany materiał dowodowy.

Koncepcja oskarżenia opierała się na tezie, że Janusz W. w ogóle nie obserwował drogi przed tramwajem, a zapewne rozmawiał ze stojącą obok niego konduktorką. Poza nimi nikogo więcej na pomoście nie było. Na potwierdzenie przyjętej wersji wydarzeń dysponowałem przede wszystkim faktem, że w chwili zderzenia korba nastawnika w tramwaju, który najechał, znajdowała się w pozycji „najszybszego biegu". Tak więc motorowy do ostatniej chwili, do momentu zderzenia, w ogóle nie hamował, najeżdżając na stojący przed nim wagon z maksymalną, technicznie możliwą prędkością, około 50 km na godzinę. Fakt, że korba nastawnika znajdowała się w chwili oględzin tramwaju we wspomnianej pozycji, przekreślał bałamutną obronę podejrzanego, jakoby hamował przed zauważoną w porę przeszkodą, a tramwaj nie zatrzymał się z powodu niefortunnego poślizgu kół na pokrywających szyny mokrych liściach.

Jak już wspomniałem, proces był pokazowy. Prezes sądu zarządził, aby rozprawa odbyła się w naj-

141

większej sali warszawskiego sądu, ze względu na konieczność pomieszczenia dwuosobowej grupy tramwajarzy mających stanowić publiczność.

Przygotowanie do rozprawy nie zajęło mi zbyt wiele czasu, ponieważ stan faktyczny i prawny sprawy był bardzo prosty. Skoro oskarżony w ogóle nie hamował, to oczywiście nie widział stojącego na przystanku tramwaju, a jeżeli nie widział, to nie obserwował drogi. O żadnym poślizgu nie mogło być mowy; przecież tramwaj nie tylko nie hamował, ale nawet nie zwolnił, więc skąd?

Po złożeniu wyjaśnień przez oskarżonego zeznawali świadkowie, których notabene było niewielu. Gdy wyczerpaliśmy listę świadków, zarówno powołanych przeze mnie, jak i przez obrońcę oskarżonego, adwokata B., sąd zamierzał zamknąć postępowanie dowodowe. Właśnie wówczas wkroczył na salę młody mężczyzna i podszedł do pulpitu dla świadków. Przewodniczący rozprawy zwrócił się do mnie:

— Czy pan prokurator wnioskował tego świadka?

Odpowiedziałem, że nie, „moi” świadkowie są już przesłuchani.

To samo pytanie sąd zadał adwokatowi B., który jpodobnie jak ja rozłożył ręce, mówiąc:

— Nie znam tego człowieka, tych zaś świadków, których zgłosiłem, sąd już zbadał.

W tej sytuacji przewodniczący rozprawy zwrócił się do stojącego na sali mężczyzny z pytaniem, skąd się wziął na sali i właściwie dlaczego w ogóle przyszedł do sądu.

Pamiętam dokładnie jak młody człowiek odpowiedział:

Przyszedłem, bo dostałem do domu kartkę, że. dziś jest proces tego motorowego, który spowodował na ul. Odrowąża wypadek i że być może sąd będzie miał do mnie pytania.

Ponieważ świadek ten nie był zgłoszony ani przez oskarżenie, ani przez obronę — sąd postanowił zwolnić go bez przesłuchania. I wtedy wstał adwokat B.

Proszę Wysokiego Sądu — powiedział — nikt z nas nie ma wprowadzić do tego świadka żadnych pytań, ale skoro już człowiek zadał sobie trud, przyszedł, czekał przez dwie godziny na korytarzu, to może zapytać go, co wie. A nuż okaże się to istotne?

Nie oponowałem.

Pierwsze pytanie sądu brzmiało: czy świadek widział moment wypadku? Mężczyzna odpowiedział, że nie widział, ponieważ znalazł się na miejscu zajścia w kilka minut po zderzeniu. Zadając kolejne i ostatnie pytanie sąd był już nieco zniecierpliwiony.

— No to właściwie z czym świadek przyszedł i co ma do powiedzenia sądowi?

Mężczyzna poczuł się nieco skrępowany, spojrzał na adwokata B. i odrzekł:

— Ja właściwie zupełnie nic nie wiem poza pełnym głupstwem. Pewnie nie będzie to w ogóle istotne, ale jeżeli już sąd pyta, to odpowiem. Właśnie przechodziłem przypadkiem ulicą Odrowąża i zobaczyłem to nieszczęście. Rzuciłem się ratować motorniczego przygniecionego deskami pomostu. Pomagałem innym przechodniom wyciągnąć go na zewnątrz, a nie było to łatwe. W pewnym momencie, żeby nic nie przeszkadzało, chwyciłem za korbę nastawnika znajdującego się w położeniu maksymalnego hamowania i przełożyłem ją w położenie przeciwne. Później już odszedłem, ponieważ nadjechał milicyjny radiowóz oraz pogotowie i zorientowałem się, że nie jestem potrzebny. Uważam, proszę Sądu że nic istotnego nie zeznałem, ale tylko to wiem, właśnie z tą korbą. Nigdy bym nie przyszedł do sądu, ale ta kartka...

Poprosiłem świadka o okazanie kartki mnie i sądowi, ale ten odpowiedział, że już jej nie ma — wyrzucił.

Adwokat B. wygłosił mowę obrończą, w której nikomu nie znany młody człowiek odgrywał istotną rolę. Jego zeznania obalić miały wersję aktu oskarżenia na rzecz koncepcji poślizgu, nowe zaś położenie korby nastawnika stało się dowodem, że motorowy Janusz W. właściwie obserwował drogę, skoro hamował.

Nie miałem wówczas wątpliwości, że zeznanie „spadającego z nieba” świadka było sprytnie sfingowane. Do dziś tak uważam, ale jest to jedynie moje osobiste domniemanie, którego udowodnić nie sposób. Nie mogę też oprzeć się wrażeniu, że gdyby wspomniany świadek zjawiał się ze swą rewelacją w śledztwie, można by było w sposób pewny ustalić, czy jego zeznanie jest prawdziwe czy fałszywe.

Kiedyś prowadziłem bardzo trudne śledztwo w sprawie śmierci kilkuosobowej rodziny. Wszyscy zmarli w parę godzin po zjedzeniu pyz ziemniaczanych. Sekcja zwłok ujawniła, iż przyczyną zatrucia był arsenik.

Przystępując do badania sprawy nie wiedziałem, czy było to morderstwo, zbiorowe samobójstwo czy przypadek. Zdarzenie miało miejsce w byłym powiecie garwolińskim, tam też prowadziłem śledztwo przesłuchując świadków w pomieszczeniu prokuratury powiatowej w Garwolinie.

Pewnego dnia wezwałem na zeznanie cztery osoby, które według (posiadanych przeze mnie informacji w ogóle się nie znały. I rzeczywiście, już około godziny 9 rano na korytarzu prokuratury zastałem dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Gdy zapytałem, czy się znają (miało to istotne znaczenie dla ustalonej przeze mnie kwestii) odpowiedzieli, że widzą się po 144

raz pierwszy w życiu. Wówczas poprosiłem do pokoju, w którym pracowałem, pierwszego świadka — mężczyznę, pozostawiając innych na korytarzu i zalecając, aby ze sobą w ogóle nie rozmawiali i nie opuszczali miejsca, w którym oczekiwać mieli na wezwanie.

Pierwszego świadka, pracownika huty szkła, przesłuchiwałem około dwóch godzin. Kwestia, którą w oparciu o jego zeznanie ustalałem, była nader istotna. Chodziło mianowicie o rozważenie możliwości zdobycia arsenu w pobliskiej hucie. Okazało się, że arsenik był tam używany do produkcji i nieodpowiednio zabezpieczony. Ustaliłem również, że dość znaczne ilości tego związku wędrowały poza teren huty, wynoszone przez chłoporobotników, którzy używali trucizny do niszczenia szkodników w polu. Po przesłuchaniu i zwolnieniu pierwszego świadka wyszedłem na korytarz, aby wezwać kolejnego. Jeszcze raz zapytałem. Czy państwo ze sobą nie rozmawiali? Wszyscy kategorycznie zaprzeczyli, ja zaś poprosiłem do pokoju jedną z dwóch oczekujących na korytarzu kobiet. Gdy tylko usiedliśmy powiedziała:

— Panie prokuratorze, nie wiem dlaczego pan już dwa razy pytał, czy my się znamy i czy rozmawialiśmy. Otóż ja z nikim nie rozmawiałam. Natomiast tych dwoje, którzy jeszcze czekają, to nie tylko rozmawiali, ale razem opuścili korytarz i nie było ich godzinę. Dopiero co wrócili.

Nie wdając się w istotę sprawy — musiałbym bowiem poświęcić temu nazbyt dużo czasu — wyjaśnię, że uzyskana informacja była dla mnie interesująca. Poprosiłem oczekującego mężczyznę i zapytałem, gdzie był. Pytanie to zadałem po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie. Po chwili poprosiłem kobietę, która —

10 Ze wspomnień prokuratora

według uzyskanej informacji — wychodziła z mężczyzną. Odpowiedzi obojga okazały się nieprawdziwe. Mężczyzna miał „wpaść” sam na pół godzinki na pobliską stację benzynową, kobieta natomiast po- | szła do sklepu z pasmanterią, oczywiście również sama. Bezzwłocznie kazałem sprowadzić sprzedawczynię sklepu i personel stacji obsługi. W ten właśnie sposób udowodniłem świadkom kłamstwo. Mimo przeprowadzonej konfrontacji trzymali się oni swej wersji uparcie i zaprzeczali, aby znali się uprzednio oraz by razem gdzieś wychodzili i ze sobą rozmawiali. Wobec jawnie fałszywego zeznania mężczyznę i kobietę zatrzymałem w areszcie, decydując się kontynuować przesłuchanie w dniu następnym. Dodam, że gdyby świadkowie ci kłamali — mogłoby to mieć ; istotne znaczenie dla śledztwa.

Nazajutrz okazało się, że jestem na fałszywym tropie. Ustaliłem mianowicie, że jakkolwiek zatrzymani kłamali odnośnie tego, co robili przez godzinę ich nieobecności na korytarzu, to jednak rzeczywiście nigdy się uprzednio nie znali. Nigdy też nie rozmawiali o sprawie, w której ich wezwałem.

Gdy przesłuchiwałem następnego dnia mężczyznę, doprowadzonego tym razem z aresztu, powiedział: — Panie prokuratorze, siedziałem całą noc i więcej nie mam zamiaru. Powiem panu wszystko, choć trochę się krępuję. Wczoraj, jak czekałem na wezwanie, przyjrzałem się tej kobiecie, którą pan też wczoraj za kłamstwo zamknął. Nie jest to kobieta ładna, ale i ja nie piękny; nie młoda, ale i ja stary. Zagadałem, że mi się podoba. Okazało się, że ja jej też. Wyszliśmy na ulicę. Wsiadliśmy do mojej Warszawy i pojechaliśmy trzy kilometry od centrum Garwolina w kierunku stolicy. Tam po prawej stronie jest las. Wjechałem w las, po czym razem przeszliśmy na tylne siedzenie. Już po pół godzinie, a może po czterdziestu minutach byliśmy z powrotem na korytarzu prokuratury. Ze nie znaliśmy się wcześniej, mogę przysiąc. Daję panu też moje słowo, że z kobietą nie tylko nie rozmawiałem o śledztwie, ale nie rozmawiałem w ogóle, nie było czasu.

Wszystko wydało mi się nieprawdopodobne, było jednak prawdziwe. Oględziny wskazanego miejsca w lesie ujawniły ślady opon Warszawy oraz odbite w śniegu ślady stóp mężczyzny i kobiety, tak jakby przeszli oni razem tylko 2—3 kroki i wrócili. Ponieważ on był żonaty, a ona mężatka — sprawa wymagała dyskrecji — tylko to uzgodnili.

Po kilku miesiącach śledztwo w sprawie zatrucia pyzami umorzyłem. Zdarzenie okazało się nieszczęśliwym wypadkiem. Gospodyni, mając w domu arszenik do trucia szczurów, pomyliła torby. W ten sposób znalazł się on w pyzach.

Po umorzeniu śledztwa zjawił się u mnie adwokat — pełnomocnik rodziny zmarłych, aby przejrzeć akta. Postanowiłem wówczas wyjąć z nich te stronice, które dotyczyły romansu niefortunnych świadków. Włożyłem je do osobnej koperty i zalakowałem. Adwokatowi powiedziałem, że wyjęte stronice nie dotyczą sprawy otrucia i dlatego mu ich nie daję.

A swoją drogą do czasu tego śledztwa nie wyobrażałem sobie, że można w pewnej sferze spraw działać tak szybko. Gdybym chciał coś podobnego wymyślić, pewno bym nie potrafił.

PRZESTĘPCA POPEŁNIA BŁĄD

Pamiętam ze swej praktyki dwa udaremnione szantaże. „Autorem” pierwszego był inteligent, drugiego rolnik. Znaczne różnice w poziomie intelektu

alnym obu sprawców, znalazły, rzecz jasna, odbicie w przedsięwziętym sposobie działania. Przepięknie popełnione przez inteligenta pomyslane zostało znakomicie, przez rolnika wręcz głupio, przy czym obaj popełnili ten sam zupełnie elementarny błąd i to właśnie 'zdziwiło mnie najbardziej. Oba przestępstwa dokonane zostały w byłym powiecie pruszkowskim, a zetknąłem się z nimi jako wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, nadzorując ówczesną Prokuraturę Powiatową w Pruszkowie.

Każdy szantażysta, który chce wystąpić wobec swej ofiary anonimowo, musi również anonimowo podjąć okup. Jest to czynność najtrudniejsza, bo w przytłaczającej większości przypadków ofiara zgłasza o szantażu w MO, po czym szantażysta zgłaszając się po pieniądze z reguły wpada w zasadzkę. Później nietrudno już o dowody, przestępcę bowiem ujmuje się przecież na gorącym uczynku, gdy zjawia się w umówionym miejscu i o ustalonej godzinie po okup.

Problem polega na tym, aby czynność podjęcia okupu uczynić możliwie bezpieczną, co nie jest wcale łatwe. Każdy szantażysta potrafi napisać list. Jeden korzysta w tym celu z pomocy dziecka, inny z dzieciennych drukarek, które można kupić w sklepie z zabawkami. Szczególnie często stosowaną metodą jest wycinanie liter z gazety i naklejanie ich na karton papieru. Taka wycinanka gwarantuje anonimowość, w razie bowiem niepowodzenia żadna ekspertyza grafologiczna nie ma rzecz jasna szans identyfikacji autora. Z listami nie ma więc kłopotów. Trzeba tylko wybrać odpowiednio majątną ofiarę, po czym listownie zażądać pieniędzy grożąc, iż za nieposłuszeństwo nastąpi określone, niemiłe dla pokrzywdzonego zdarzenie, wachlarz pogroźek zaś może być szeroki. Każdy potencjalny szantażysta wie, że ryzyko, iż ofiara się nie ulęknie i zamelduje

o szantażu jest bardzo duże. Nie sztuka więc napisać list, sztuka odebrać pieniądze przy takiej taktyce przestępczego działania, by w przypadku zatrzymania z okupem móc wykręcić się ze sprawy. Wystarczy chwilę pomyśleć, aby zrozumieć ogrom trudności bezpiecznej realizacji szantażu. Przecież ofiara musi zostawić pieniądze w ustronnym miejscu, w ukryciu, aby nikt przypadkowy ich nie znalazł. Szantażysta musi w to ustronne miejsce przyjąć i mimo zabrania pozostawionej mu paczki mieć argumenty; na wypadek zatrzymania.

Inteligent, o którym na wstępie wspomniałem — mgr Kazimierz W. długo myślał nad sposobem stworzenia odpowiedniego marginesu bezpieczeństwa. Wreszcie pomysł uwieńczył dzieło. Gdy czytałem akta sprawy uznałem koncepcję Kazimierza W. za niezwykle sprytną. Sprawca przygotował z gazetowych liter jednocześnie dwa listy. Jeden do upatrzonej ofiary, a drugi... do siebie. W pierwszym liście, grożąc pokrzywdzonemu zabójstwem, zażądał złożenia we wskazanym miejscu 100 tysięcy złotych. W drugim napisał takie oto, jak pamiętam, słowa: „Pójdzie pan w najbliższą środę do lasu, nad potok obok mostku. Pod dużym, omszałym kamieniem będzie paczka. Paczkę tę proszę zabrać i zanieść na dworzec kolejowy w G. Tam wejdzie pan do ubikacji i położy paczkę na rezerwuarze. Później może się pan oddalić. Niewykonanie polecenia bądź zawiadomienie MO narazi zarówno pana, jak i całą rodzinę na wielkie niebezpieczeństwo, nawet utraty życia”.

Tok myślenia przestępcy był następujący. Pójdę w umówione miejsce, wezmę spod kamienia pieniądze, a jeżeli natknę się na zasadzkę, pokażę list, który sam do siebie napisałem, i w ten sposób oka

że się, że wcale nie jestem szantażystą, a drugą ofiarą tego samego nieustalonego sprawcy.

Jak pomyślano, tak zrobiono. Jeden list posłany został do ofiary, drugi schowany w kieszeni. Oznaczonej nocy Kazimierz W. udał się do lasu i tam zabrał leżącą pod kamieniem paczkę. W chwili gdy oddalał się z miejsca przestępstwa, zza drzewa wyszedł szantażowany w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy MO. Sierżant Z. mówił później, że w całej jego długoletniej praktyce nikt nie zaskoczył go bardziej. Człowiek z paczką wcale się nie zdenerwował, a nawet ucieszył. — O, jak to dobrze, że panowie są — powiedział — tak się bałem, — Wyjął też z kieszeni list mówiąc, że nie wie, co jest w paczce, zabrał ją zaś pod wpływem groźby zawartej w skierowanym do niego piśmie. Teraz, gdy zobaczył milicjantów, przestał się bać ufając, że zbrodniarz został zapewne wykryty i nastąpi happy end.

W przedstawionej sytuacji rzeczywiście trudno było mieć do magistra pretensje. Człowiek poważny, na stanowisku, miał powody do obaw i motywy, dla których 'znalazł się on owej nocy w lesie przy mostku. Żaden sąd nie skazałby Kazimierza W. za szantaż, gdyby nie pewien drobny, ale skuteczny dowód. Funkcjonariusze MO wykazali szósty zmysł. Udali się bezzwłocznie do mieszkania „człowieka z paczką”, przeprowadzili rewizję i znaleźli w śmietniku gazetę, z której wycięte zostały litery obu listów. To wystarczyło, aby podejrzany przyznał się do winy i wyjaśnił — jak to się po prokuratorsku mówi — „zgodnie z okolicznościami sprawy”. Okazuje się, że człowiek inteligentny i nieprzeciętnie sprytny popełnił w swym niecnym działaniu szkolny błąd, po prostu nie spalił gazety.

Druga sprawa była w swym pomysle tak naiwna, że mimo upływu wielu lat pamiętam ją w szczegó

łach. Sprawca również wysłał list składający się z liter wyciętych z gazety. Napisał w nim mniej więcej tak: jeżeli nie chcesz zginąć, natychmiast wyślij pieniądze (tu podano kwotę, której wysokości niestety nie pamiętam) pod adresem człowieka, który o niczym nie wie. W tekście listu szantażysta podał swe imię i nazwisko oraz rzeczywiste miejsce zamieszkania. Zamiast pieniężnego przekazu w mieszkaniu rolnika Józefa O. zjawiała się milicja. Tym razem też znaleziono gazetę z wyciętymi literami. Leżała ona wraz z nożyczkami w szufladzie kredensu, ot, po prostu na wierzchu.

Okazuje się, że zarówno przestępca sprytny, jak i przestępca głupi popełnili ten sam elementarny błąd, nie zniszczyli skrawków gazet, choć mogli to przecież z powodzeniem uczynić. Czyżby więc rzeczywiście nie istniały zbrodnie doskonałe? Ano, chyba nie istnieją, praktyka uczy bowiem, że przestępca zawsze robi jakieś błędy, nawet wówczas gdy wszystko dokładnie przemyślał do końca i zastosował, zdawałoby się, wszelkie możliwe środki ostrożności. Rozwijając ten pokrępowany wątek opowiadania nawiążę do sprawy Jerzego W., którą przed 10 laty prowadziłem. Śledztwo dotyczyło poważnych nadużyć gospodarczych w Chałupniczej Spółdzielni Pracy. Istniała nie w pełni jeszcze udowodniona wersja, że zarówno normy, jak i stawki chałupników były tam celowo izawyzane o ok. 1000%. Taki sposób działania pozwalał chałupnikowi — uczestnikowi przestępczego porozumienia — zarabiać miesięcznie nie 3000 zł (jak opiewał ustawowy pułap zarobków), a 30 000 zł. Wymyślono też bezpieczny sposób odbierania zawyżonych poborów „przyjmując” fikcyjnie do spółdzielni tzw. martwe dusze, które jedynie figurowały na listach płac, a naliczane na ich nazwisko wynagrodzenie otrzymywał zatrudniony pracownik. Taki pra

ownik zarabiał krocie dzieląc się zyskiem z nieuczciwym kierownictwem spółdzielni, które celowo zawyżało stawki i normy, aby żyć nie tylko z pensji, ale i z łapówek. Sprawa prowadzona przeze mnie dotyczyła pewnej „martwej duszy”, mianowicie wspomnianego Jerzego W.

Według mojej koncepcji śledczej jegomość ów chałupnikiem był tylko z nazwy. Uważałem wystawione na jego nazwisko karty pracy za absolutny fałsz. Nie wierzyłem, że zajmuje się on produkowaniem na prasie grzejnej określonego w tych kartach wyrobu i byłem przekonany, że jest jedną z wielu „martwych dusz”, które funkcjonowały w spółdzielni przez całe lata.

Wezwałem „chałupnika” na przesłuchanie. Przyszedł punktualnie, bardzo zdziwiony, że mogę mieć do niego interes. Zapytany o produkcję na prasie wyjaśnił bez wahania, że wykonuje ją rzeczywiście od bardzo dawna. Wszystko to zaprotokołowałem, po czym przystąpiłem do czynności, jakie według mojego najgłębszego przekonania miały ujawnić oszustwo.

Wezwałem mianowicie biegłego, który bardzo dokładnie przeegzaminował presera z technologii rzekomo wykonywanej przez niego produkcji. Okazało się, że Jerzy W. znakomicie wie, jak się to robi. Nie można go było „złapać” na żadnej nieścisłości, i4u poniosłem fiasco. Już po chwili świadek wyszedł z mojego gabinetu bardzo zadowolony dziwiąc się jeszcze na odchodnym, że trzeba było aż egzaminu, abym mu uwierzył. Następnego dnia, nie rezygnując, postanowiłem sprawdzić, czy rzekomy chałupnik ma w domu prasę grzejną oraz niezbędny surowiec. Miał. Okazuje się, że przestępcy nie popełnili żadnego błędu. Nie tylko nauczyli „martwe dusze” teorii produkcji, ale wstawili do ich mieszkań autentycz

ne prasy, aby upozorować rzeczywistą produkcję. Będąc w mieszkaniu Jerzego W. postanowiłem przedsięwziąć kolejną czynność dla uprawdopodobnienia swej wersji śledczej. Byłem niemal pewny, że „chałupnik” mimo że ma prasę i zna teorię tłoczenia nie będzie umiał wykonać na niej dobrej, pozbawionej braków produkcji. Eksperyment taki zarządziłem. Jerzy W. spojrział na mnie kpiąco, włączył prasę do kontaktu, rozgrzał, po czym zawiął rękawy i zaczął pracować tak, jakby rzeczywiście od lat niczego innego nie robił. -

Wyszedłem zawiedziony. A jednak byłem pewny, że wszystko jest bardzo umiejętną mistyfikacją. Zanim tego dnia zasnąłem, myślałem jeszcze bardzo długo o całej sprawie. Przestępcy byli rzeczywiście przebiegli. Nauczyli Jerzego W., emerytowanego urzędnika, nie tylko teorii ale i praktyki. Był on w pełni wykwalifikowaną „martwą duszą”, tylko trzeba było to jeszcze udowodnić. Pomny zasady, że każdy przestępca musi zawsze popełnić jakiś błąd, szukałem dziury w całym. Jerzy W. dysponował autentyczną dokumentacją produkcyjną na rzekomo wykonane wyroby. Miał czynną i w pełni sprawną prasę, znał technologię produkcji, umiał pracować i nie chciał zeznać, że był „martwą duszą”. Czyżby należało się poddać? W pewnym momencie, niemal na granicy rezygnacji, odkryłem gdzie tkwi popełniony przez sprawców błąd. Wiedziałem też, że nazajutrz Jerzy W. przyzna się do fałszywego zeznania oraz to tego, że nigdy naprawdę nie pracował.

Wezwałem rzekomego chałupnika jeszcze raz do prokuratury, po czym odbyliśmy następującą rozmowę.

— Więc twierdzi pan, że na tej prasie grzejnej, którą widziałem wczoraj u pana w domu, pracuje pan od czterech lat.

— Tak, pracuję i to rzeczywiście od czterech lat, a może nawet nieco dłużej, przecież już zeznałem.

— Ile godzin dziennie pan pracuje?

— Średnio osiem, czasem dłużej, czasem krócej, nie potrafię powiedzieć.

— Myślę, że jestem w stanie udowodnić, i to bardzo łatwo, że prasa jest tylko atrapą i że przez te cztery lata firmował pan jedynie produkcję innych.

— A ja myślę, że pan tego udowodnić nie potrafi, bo jak?

— Bardzo proste. Sprawdzimy tylko pobór mocy energii elektrycznej przez pańską maszynę w ciągu 8 godzin, pomnożymy przez 25 dni roboczych i porównamy z rachunkami za prąd, jakie znajdują się w elektrowni. Mieszka pan tylko z żoną w jednym pokoju z kuchnią. Jeżeli prawdą jest, że prasa była czynna przez kilka godzin dziennie od czterech lat, rachunki to potwierdzą.

Później nasza rozmowa trwała już bardzo krótko. Jerzy W. przyznał się do mistyfikacji i powiedział: — Wydawało nam się, że wszystko przewidzieliśmy bezbłędnie. Okazało się, że nie. Myślę, że ustali pan teraz wszystkie „martwe dusze”, a jest nas niemało.

ZAGINIONE DZIECKO

Pewnego letniego popołudnia 1955 roku zamierzałem właśnie zakończyć pracę i udać się do domu, gdy wbiegła do mojego gabinetu młoda, wielce zdenerwowana kobieta, żądając natychmiastowej interwencji. Zapytałem, co się stało?

— Wracam właśnie ze szpitala — powiedziała — skąd miałam odebrać mojego dwuletniego synka.

pozostawiłam go tam chorego na dyfteryt już dość dawno temu, nie odwiedzałam, bo w szpitalu zakaźnym zabraniają i dopiero dziś... — kobieta zalała się łzami nie mogąc w sposób sensowny kontynuować rozpoczętej rozmowy. Po chwili trochę się uspokoiła i mówiła dalej:

— Właśnie dziś, dziecko miało zostać wypisane. Czekałam dość długo na dopełnienie niezbędnych formalności i chyba godzinę temu pielęgniarka przyprowadziła jakieś zupełnie obce dziecko, chłopczyka, twierdząc, że to mój Jureczek. Z początku pomyślałam, że to żarty, ale pielęgniarka zachowywała się zupełnie poważnie, a nawet zaczęła na mnie krzyczeć: „Jak to, nie poznaje pani rodzonego dziecka i to dwuletniego? Wstyd!” Wówczas zaczęłam histeryzować, nie mogłam zrozumieć, co się stało, i nie rozumiem nadal. Chciałam wbiec na oddział i szukać mego synka we wszystkich łóżeczkach, ale mi nie pozwolono. Dlatego przyszedłam do pana. Przecież trzeba sprawę wyjaśnić, tak się boję...

Od razu pojechaliśmy do szpitala zakaźnego na Woli, gdzie zastałem już równie jak nieszczęsna matka zdenerwowanego ordynatora właściwego oddziału. Lekarze próbowali sugerować, że kobieta po prostu nie poznała swego synka i stąd nieporozumienie. Uznałem to za nieprawdopodobne i postanowiliśmy dziecka szukać. Po założeniu białego fartucha przeszedłem z Marią W. przez cały oddział. Okazywano nam wszystkie leżące w łóżeczkach dzieci, Jureczka jednak nie znaleźliśmy. Wówczas sam •zwątpiłem w sens doniesienia, tym bardziej że liczba dzieci na oddziale i w całym szpitalu zgodna była z dokumentacją przyjęć, wypisów oraz aktualnie leczonych pacjentów.

W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że być może po prostu zamieniono dokumentację dwoj

ga dzieci, z których jedno zmarło, a drugie przeznaczono do wypisu. Gdyby tak było, Marii W. przyprawiono by rzeczywiście obce dziecko,, a rodzi- -com tegoż dziecka oddano by zmarłego Jureczka.

Bezwzględnie sprawdziłem wszystkie przypadki śmierci dzieci w okresie ostatnich kilku tygodni. Okazało się, że w owym czasie umarł tylko jeden chłopiec, mniej więcej w. wieku Jureczka, którego zwłoki odebrała rodzina. W ciągu kilku minut dysponowałem już adresem ojca i matki zmarłego. Mieszkali oni nie opodal Warszawy w niewielkim podmiejskim osiedlu. Połączyłem się telefonicznie z oficerem dyżurnym Warszawskiej Komendy MO.i posłałem po rodziców radiowóz. Wkrótce zostali oni przywiezieni z mieszkania, ale w ogóle nie sposób było się z nimi porozumieć. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta byli głuchoniemi, nie umieli też ani pisać, ani czytać. Mimo prób nie udało nam się wyjaśnić przybyłym, po co zostali wezwani i o co chcemy ich zapytać. Trudności piętrzyły się, tym bardziej że trzeba było przecież zachować delikatność — a nuż rzekomy Jureczek jest ich dzieckiem, szok mógłby być zbyt duży. Dopiero po sprowadzeniu biegłego tłumacza z instytutu głuchoniemych udało się nawiązać kontakt z dwojgiem inwalidów. Wyjaśnili oni, że odebrali dziecko już w trumnie, stąd też nie mogą powiedzieć z pewnością, czy pochowali swoje. Jakoś do trumny nie zajrzeli.

Wówczas postanowiłem pokazać Jureczka rodzicom zmarłego dziecka, byłem bowiem już pewny rozwiązania zagadki. I rzeczywiście, gdy tylko pielęgniarka z dzieckiem na rękę weszła do pokoju, głuchoniemi zaczęli żywo gestykulować. Tak, rozpoznali rzekomego Jureczka jako swoje dziecko, prawdziwy został przed kilkoma dniami pochowany...

NIEWINNIE POSĄDZENI

Wśród wielu podejrzanych o popełnienie różnych | przestępstw zdarzają się oczywiście również i nie- I winni, którzy w wyniku niekorzystnego dla nich splotu wydarzeń znaleźli się w sferze mniej lub bardziej udokumentowanych podejrzeń. Prowadziłem osobiście wiele śledztw przeciwko konkretnym ludziom, których uważałem za sprawców określonych przestępstw. Po pewnym czasie decydowałem się po- I stępowanie umorzyć, często z braku dostatecznych i dowodów winy, nierzadko jednak w wyniku bezspor- f nych śledczych ustaleń, że człowiek, którego uważałem za sprawcę przestępstwa, na pewno nim nie | był. I I ^HS

Przypominam sobie ludzi, których niewinność krystalizowała się dopiero w toku długotrwałego i żmudnego śledztwa, kruszącego pozorne — jak się okazywało — dowody winy. Mogę też powiedzieć, że zachowanie się wielu z nich oraz przyjęta przez nich w śledztwie postawa bynajmniej nie Ułatwiała ustalenia ich niewinności, a niejednokrotnie wręcz przeciwnie.

Wszyscy mamy jakiś pogląd mniej lub więcej zgodny o zachowaniu się człowieka niesłusznie posądzonego. Wyobraźmy sobie, że człowiek posądzony będzie pewny, iż sprawa musi zostać wyjaśniona na jego korzyść; pozwala mu to na zachowanie spokoju. Wydaje się również, że człowiek niewinny, gdy niefortunnie znajdzie się w śledztwie, z pewnością będzie mówił prawdę, a już na pewno nie zabierze się do preparowania fałszywych dowodów, podobny model postępowania bowiem właściwy jest jedynie prawdziwym sprawcom przestępstwa, usiłującym przez kłamstwo i kombinacje wprowadzić śledztwo na fałszywe tory.

W rzeczywistości bywa różnie. Znałem podejrzanych, którzy mimo swej niewinności przez cały czas śledztwa zachowywali się tak, jakby popełnili nie tylko zarzucane im przestępstwo, ale i kilka innych. Zauważyłem również, że niektórzy niesłusznie posądzeni, w przeciwieństwie do rzeczywiście winnych, obronią się dużo gorzej i mniej skutecznie. Ma to swe źródło w fakcie, iż prawdziwy przestępca nie jest z reguły śledztwem zaskoczony, jest też do niego w pewnym sensie przygotowany, przez co broni się - w sposób mniej spontaniczny, a bardziej przemyślny, starając się nie popełnić żadnego błędu.

W konsekwencji wielu niewinnych zamiast zbijać poszlaki mimo woli gromadzi je przeciwko sobie i trzeba dużej wnikliwości, aby dojść wreszcie do tego, że ma się do czynienia z człowiekiem wplątanim w sprawę, a w gruncie rzeczy nie mającym z nią nic wspólnego.

Zacznę od najmniej skomplikowanego przykładu | z własnej praktyki w sprawie drogowej. Kierowca J samochodu jadąc w dzień podmiejską, zupełnie nie 1 zabudowaną szosą, najeżdża na pijanego pieszego, 1 którego zabija. Sprawca wypadku przedstawia ■ w pierwszej fazie śledztwa wersję, iż zauważył on zataczającego się pijaka już ze znacznej odległości, - ;f używał sygnału dźwiękowego, aby skłonić go do j zejścia na pobocze, a następnie zaczął hamować, 1 jednak bezskutecznie, jezdnia bowiem była wilgotna i samochód wpadł w poślizg. W opisanej sprawie dokonano stosownych oględzin miejsca oraz badań technicznych pojazdu. Wkrótce okazało się, że podejrzany kłamie. Po pierwsze, w ogóle nie hamował, bo nie ujawniono na asfalcie żadnych śladów tego A manewru, po drugie, nie używał sygnału dźwiękowego, który był po prostu (uszkodzony i nie działał I od dłuższego czasu. W tym stanie rzeczy wina kie- j rowcy nie budziła żadnych wątpliwości. Widząc z oddali pijanego powinien on być przecież zmniejszyć prędkość samochodu w przewidywaniu ekscesu pieszego, przy czym zmniejszyć ją na tyle, aby ewentualna lekkomyślność przechodnia nie była dlań zaskoczeniem i aby można było samochód przed taką przeszkodą bezkolizyjnie zatrzymać. Mimo bezspornego dowodu, ekspertyzy klaksonu, podejrzany upierał się, że użył sygnału, przedstawiając nadto na tę okoliczność fałszywego świadka.

Dopiero w dalszej fazie śledztwa ustalono, jak było naprawdę. Milicja odnalazła aż czterech świadków wypadku, którzy na krótko przed omawianym zdarzeniem pili wódkę wraz z pokrzywdzonym, biesiadując w głębokim rowie porośniętym trawą, położonym tuż przy jezdni.

Wszyscy czterej świadkowie zgodnie zeznali, że słysząc warkot nadjeżdżającego samochodu myśleli, że zbliża się od strony pobliskiej osady Fiat ich kolegi. Pokrzywdzony postanowił samochód zatrzymać i nagle wybiegł z rowu na jezdnię tuż przed Skodę prowadzoną przez podejzranego. Pieszy znalazł się na torze jazdy samochodu nieoczekiwanie i do tego stopnia nagle, że kierowca nie miał już czasu ani na użycie sygnału, choćby nawet był sprawny, ani na użycie hamulca. Pieszy znalazł się w ułamku sekundy pod kołami Skody, i to wyłącznie ze swej winy. W omówionych tym razem prawdziwych okolicznościach sprawy, kierowca nie miał żadnych szans uniknięcia wypadku.

Później, już po umorzeniu śledztwa, właściciel Skody powiedział:

— Panie prokuratorze, nie znam się na prawie. Stąd też nie zdawałem sobie sprawy, że przy rzeczywistym, prawdziwym przebiegu wydarzeń, jestem bez winy. Właśnie dlatego wymyśliłem całą tę wersję

O poślizgu, trąbieniu itd. myśląc, że w ten sposób wykręcę się od odpowiedzialności. Aż ciarki człowieka przechodzą, co by było, gdyby nie odnaleziono kompanów ofiary.

Wcale nie wykluczam, że właściciel Skody otrzymałby niezасłużony wyrok pozbawienia wolności, biorąc zaś pod uwagę śmiertelny skutek wypadku, zapewne bez warunkowego zawieszenia kary.

W całej swej prokuratorskiej praktyce nie zetknąłem się z przypadkiem omyłki sądowej. Jestem głęboko przekonany, że ludzie, których oskarżałem i którzy zostali skazani — na wyrok zasłużyli, a jednak chyba każdy z niewinnie posądzonych obawia się, że sprawiedliwość będzie ułomna. Ludzie ci po prostu zaczynają się bać, a strach nie jest, jak wiadomo, najlepszym doradcą.

Prowadziłem swego czasu śledztwo w sprawie otrucia pewnej dziewczyny. Jeżeliby wyłączył samobójstwo — a problem wcale nie był jednoznaczny — jako ewentualny sprawca zbrodni wchodził w grę Józef Sz., -narzeczony.

Ustaliłem w śledztwie, że poznał on pewną dziewczynę, z którą mimo równoległego narzeczeństwa zaczął się umawiać. Wkrótce zobowiązania wobec Ireny H. zaczęły mu ciążyć, nowo poznana dziewczyna podobała mu się coraz bardziej. Fakty, o których wspominam, przeczytałem za ewentualny motyw zbrodni, stąd też Józef Sz. szybko znalazł się w sferze, co prawda dość luźnych, podejrzeń. Można by przecież powiedzieć: no dobrze, ale właściwie dlaczego Józef Sz. miał zabijać? Przecież mógł po prostu odejść. Otóż, z psychologicznego punktu widzenia rzecz wcale nie jest jednoznaczna.

Rozmawiałem swego czasu na tle innego śledztwa z podejrzanym inżynierem W., który zabił swą żonę, podając jako motyw zabójstwa miłość do innej ko-

160
biety. Gdy zapytałem: — Dlaczego pan zabił? Czy nie prościej było zapakować walizkę i wyjść? — inżynier odpowiedział:

— Tak się panu tylko wydaje. Żona moja bardzo, bardzo mnie kochała. Już kilka razy pakowałem walizkę i chciałem sobie pójść. Gdy to robiłem, żona tak rozpacziała, że ustępowałem i zostawałem w domu. Przekonałem się wówczas, że jestem człowiekiem na- zbyt „miękkim”, nie mogłem przebrnąć przez rozpacz kobiety, która nigdy mi nic złego nie zrobiła, a przeciwnie, zawsze była dla mnie bardzo dobra. Starczało mi energii i konsekwencji zaledwie na lalka minut, po czym ustępowałem, a ponieważ żadnego małżeństwa nie można przeciąć w ciągu sekundy, wybrałem inne rozwiązanie. Dlaczego potrafiłem zabić, a nie potrafiłem odejść? Chyba tylko dlatego, że zbrodnia trwała zaledwie sekundę. Tylko w ciągu jednej, jedynej sekundy potrafiłem być bezwzględny.

Wróćmy jednak do historii narzeczonego Ireny R., którego w pewnym stadium śledztwa zacząłem podejrzewać o zabójstwo. Nie mając dostatecznej ilości dowodów, aby przesłuchać go w charakterze podejrzanego, potraktowałem go jako świadka. Józef Sz., człowiek — jak się później okazało — ponad wszelką wątpliwość niewinny, zemdlął w czasie składania zeznań. Kiedy pytałem go o szczegóły, kłamał do tego stopnia, że utwierdził mnie na dłuższy czas w przekonaniu, iż jestem na prawdziwym tropie. Wśród kłamstw mojego „klienta” wyodrębnić można było kilka zasadniczych. Po pierwsze — nie przyznał się do romansu z jakąkolwiek kobietą twierdząc, że narzeczoną swą kochał i był jej bezwzględnie wierny. Po drugie — wykazał swoje alibi na całe 3 dni przed zdarzeniem podając nazwiska fałszywych świadków, którzy potwierdzili, jakoby Józef Sz.

11 Ze wspomnień prokuratora

161

przebywał w dniu wypadku o 300 km od Warszawy w gronie rodziny okrągłą dobę i w ogóle nie wychodził z domu. Po trzecie wreszcie — przesłuchiwany zaprzeczył, by w dniu zajścia rano odwiedzał swą narzeczoną w domu, a odwiedzał, o czym zeznała bez cienia wątpliwości dozorczyńni.

Gdy później, już po wyjaśnieniu sprawy, zapytałem Józefa Sz., dlaczego kłamał — mój rozmówca odpowiedział:

— Czuję, że pan mnie podejrzewa. Staralem się więc za wszelką cenę udowodnić swą niewinność, głupio, bo głupio, ale w takiej idiotycznej sytuacji czy człowiek ma głowę, żeby pomyśleć?

Ten młody człowiek mieszkał z rodzicami, u których pracowała służąca. Dziewczynę tę przesłuchałem. Powiedziała mi ona wówczas, że młody pan Sz. od dnia śmierci narzeczonej bardzo cierpi z powodu poniesionej straty, często nie wraca na noc i tuła się Bóg wie gdzie. A jeżeli nawet wraca, to budzi się po kilka razy i krzyczy. Według zeznania tego świadka Józef Sz. bardzo swą narzeczoną kochał.

A oto jeszcze jeden przykład dotyczący bardzo podobnej rodzajowo sprawy, choć z zupełnie inną pointą. Prowadziłem śledztwo przeciwko człowiekowi, którego podejrzewałem o zabójstwo żony oraz o równoległe usiłowanie otrucia trojga własnych małych dzieci. Podejrzany okazał się niewinny. Po śmierci Katarzyny S., żony podejrzanego, dzieci znalazły się u jego teściowej, kobiety mało zarabiającej, niemłodej i schorowanej.

W dniu aresztowania mężczyzna miał przy sobie pieniądze i wypełniony druk przekazu pocztowego przygotowane do wysłania teściowej. W chwili, gdy zakomunikowałem mu o zastosowaniu aresztu, na razie na okres 3 miesięcy, mężczyzna poprosił mnie o wyrażenie zgody na wysłanie z pobliskiej poczty

Jl l III i nu m m

alimentów. Nie miałem nic przeciwko temu i podejrzany udał się na pocztę, oczywiście już pod konwojem. Czekać w kolejce do kasy mężczyzna zmienił zdanie i przekazu nie wysłał. Powiedział wówczas do mnie:

— Ja idę do więzienia, a dzieci są na wolności, komu więc pieniądze są bardziej potrzebne? Chyba mnie. Jak pan uważa, panie prokuratorze, czy więzień śledczy obowiązany jest płacić alimenty? Bo ja uważam, że areszt zwalnia mnie od obowiązku 'alimentacji i chcę z tego skorzystać.

Po odesłaniu podejrzanego do aresztu zastanowiłem się nad jego postawą przy następującym toku rozumowania: przecież ten człowiek wie, że zarzucam mu nie tylko zabójstwo żony, ale i próbę zamordowania dzieci. On nie przyznaje się do niczego pod żadnym pozorem. Gdyby jegomość ów był mordercą, wówczas broniłby się na pewno argumentem, że kocha dzieci. W istocie podejrzany nie wysyłając alimentów potwierdził niejako pośrednio, że los najbliższych jest mu obojętny, tylko jakie to było „nie- taktyczne”. Incydent na poczcie umocnił mnie emocjonalnie w dotychczasowych podejrzeniach, i to na f długie miesiące.

Ludzie niesłusznie posądzeni zachowują się różnie; wszystko zależy od okoliczności. Tylko czy w ogóle I może być jakiś model zachowania się winnego i niewinnego? Jestem pewien, że nie.

BŁĄD W SZTUCE

Ktoś złośliwy powiedział, że lekarz psychiatra nigdy nie może popełnić błędu w sztuce, ponieważ... nie ma sztuki. Jest to, oczywiście, żart, chociaż... Pamiętam pewną kobietę, cierpiącą na schizofrenię,

która słyszała — jak to chorzy powiadają — „głosy”. Halucynacje słuchowe Marianny S. miały charakter imperatywu, nakazywały jej mianowicie zabić własne dzieci, a była ich dwójka w wieku zaledwie kilku lat. Chorą przewieziono do jednego ze szpitali psychiatrycznych na terenie byłego województwa warszawskiego. Intensywne leczenie dało znakomite wyniki. Po kilku miesiącach stan chorej wyraźnie się poprawił. Przejawiała ona zdecydowany krytycyzm wobec swego poprzedniego stanu, bardzo też tęskniła do dzieci i męża, chcąc zaś jak najszybciej powrócić do zdrowia, pilnie przestrzegała wszelkich wskazówek lekarzy. Okazywała niezwykle zdyscyplinowanie i wolę zwalczania choroby. Pewnego dnia szpital nie miał już wątpliwości, że psychotyczny stan chorej poprawił się na tyle, by można było rozważyć wypisanie jej ze szpitala. Wzmógł obserwację, odczekano jeszcze jakiś czas, po czym eapadło jednoznaczne orzeczenie, że Marianna S. przestała już być niebezpieczna dla porządku prawnego, a więc również i dla swego najbliższego otoczenia. Ponieważ kobieta wyzdrowiała, czuła się dobrze i była silna — nikt z rodziny po nią do szpitala nie przyjechał. Marianna S. zabrała swą podróżną torbę, kupiła bilet na autobus PKS i pojechała wprost do domu. Po wejściu do mieszkania załatwiła tylko jedną, najważniejszą dla niej sprawę: zabiła jedno dziecko, a drugie ciężko raniła. Po dokonaniu tego czynu Marianna S. sama zgłosiła się do milicji mówiąc, że „głos”, który nakazał jej popełnić morderstwo, był na tyle stanowczy, iż nie mogła mu się przeciwstawić.

Wcale nie twierdzę, że psychiatria nie jest sztuką; jednak sztuką na tyle trudną, że za popełniony błąd nie sposób winić lekarza. Jak łatwo o omyłkę w ocenie stanu człowieka chorego, przekonałem się pro wadząc przed laty śledztwo w sprawie śmierci pewnej staruszki, Krystyny R. Kobieta ta mieszkała wraz z córką i zięciem w centrum Warszawy. Córka pracowała w banku, zięć był inżynierem, a współżycie w rodzinie układało się od lat znakomicie.

Pewnego dnia małżonkowie oświadczyli mamie, że wrócą nieco później z pracy, wybierali się bowiem do kina. Wrócili około 20. Pierwszy wszedł do mieszkania Antoni P., a za nim żona. Mężczyzna spojrzął na łóżko, w którym leżała teściowa i zaniepokoił go jej wygląd. Była pergaminowo żółta, nie oddychała. Bezzwłocznie wezwano pogotowie, przyjechał lekarz i stwierdził zgon. Jak się ma ponad 80 lat i spokojnie umiera we własnym domu, nikt nie ma na ogół żadnych podejrzeń. Lekarz przejrzał liczne zaświadczenia, z których wynikało, że staruszka cierpiała na chorobę wieńcową, po czym wydał niezbędne oświadczenie, przyjmując za podstawę zgonu rzecz w takiej sytuacji zwykłą — niewydolność krążenia.

Zrozpaczona córka nie była w ogóle zdolna do jakichkolwiek aktywnych działań, wszystko więc spadło na głowę męża. Antoni P. stanął na wysokości zadania: zawiadomił rodzinę, załatwił wszystkie formalności pogrzebowe, umył i ubrał zwłoki. W przeddzień pogrzebu odwieziono staruszkę do cmentarnej kaplicy, gdzie spoczęła na katafalku. Zięć załatwiał właśnie zakup wieńca, gdy do Warszawy przyjechała na pogrzeb z drugiego końca kraju siostra zmarłej, Irena M. Wprost z dworca pojechała na cmentarz, chciała bowiem zobaczyć staruszkę przed zamknięciem trumny. Gdy tylko Irena M. spojrzała na zwłoki, wyraziła niezadowolenie, że zmarła ubrana jest w czarną wprawdzie suknię, ale na szyi ma granatową apaszkę w białe grochy, a więc szczególnie garderoby wysoce niestosowny w sytuacji jakby nie było ostatecznej. Energiczna kobieta nie szczę

mmm

dząc wyrzutów siostrzenicy zapytała, kto ubierał zwłoki i dlaczego zawiązał na szyi nazbyt frywolną apaszkę. Po chwili apaszka została rozwiązana i co się okazało: staruszka miała na szyi pięć zasinień, tak jakby odcisnięto pięć palców, a to już nie przelewki. Nie minęła godzina, gdy do mojego gabinetu wpadły dwie bardzo zdenerwowane kobiety: córka i siostra zmarłej.

— Panie prokuratorze — powiedziały — jesteśmy niemal pewne, że babcię ktoś udusił. Niech pan sam zobaczy, przecież trzeba znaleźć sprawcę.

Od razu pojechałem na cmentarz, zabierając po drodze dra K. Siady na szyi zmarłej były tak bardzo symptomatyczne, że zwłoki skierowałem na sekcję i bezzwłocznie wszcząłem śledztwo. Następnego dnia rano wezwałem do siebie córkę i zięcia staruszki, aby dokładnie ustalić, czy gdy wrócili z kina do domu, drzwi mieszkania były zamknięte na klucz i czy być może nie zginęły jakieś wartościowe przedmioty.

Jako pierwszą przesłuchałem Marię P. Zaklinała się, że przed wejściem do mieszkania dokładnie widziała, jak mąż otwierał drzwi z klucza i zasuwę: klucze będące w posiadaniu matki leżały na stole w pokoju. Było rzeczą niemożliwą, aby morderca uciekł przez okno, lokal bowiem znajdował się na 6 piętrze wysokiego budynku. Nic też z mieszkania nie zginęło.

W tej sytuacji wezwałem oczekującego na korytarzu Antoniego P. Zadałem mu jedno tylko pytanie: dlaczego udusił teściową i kiedy tego dokonał. Mój rozmówca nie przejawiał żadnego niepokoju.

— Po prostu — powiedział — wyszedłem z biura, udusiłem i z powrotem wróciłem do pracy, a jeżeli chce pan wiedzieć dlaczego to zrobiłem, odpowiem. Zbliży się właśnie rocznica 3 Maja. Co roku w wigilie tej rocznicy wybieram sobie ofiarę, którą zabijam dla uczczenia święta. Tym razem wypadło na

^Sprawdziłem bardzo dokładnie dane o wszystkich przypadkach nie wykrytych zabójstw ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich dni kwietnia i pierwszych dni maja w ciągu kilku ubiegłych lat. Antoni P. nikogo dotąd nie zabił — teściowa była pierwszą ofiarą rozwijającej się choroby. Okazało się, że morderca cierpiał od dawna na paranoję, czego nikt z jego ^najbliższego otoczenia nie zdołał zauważyć, ani koledzy w biurze, ani rodzina, ani nawet żona.

Sprawca opisanego wydarzenia internowany został w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach, gdzie jako niebezpieczny dla porządku prawnego przebywa zapewne do dziś.

Człowiek chory na niektóre postaci schizofrenii lub paranoję ma zupełny zanik zdolności kierowania swym postępowaniem. Jeżeli jego chore „ja” nakazuje mu coś zrobić, wszystko następuje niejako automatycznie. Jest to już nie człowiek a robot, którym sterują niezależne od niego siły. Nie trzeba oczywiście niczego upraszczać, czasami działają jeszcze jakieś hamulce, jednak bardzo rzadko, i do czasu.

Nie zapomnę sprawy młodego dwudziestoletniego mężczyzny, który cierpiąc na schizofrenię wyobrażał sobie niekiedy, że jego babcia, z którą mieszkał, ukrywa w woreczku żółciowym duży wielokaratowy brylant. Babcia i wnuczek żyli w biedzie, mieszkając w jednej z suterren Grochowa. Gdy Jerzy F. słyszał głosy wzywające go, aby odebrał babci ukryty brylant, kazał jej zwykle uciekać mówiąc, że za chwilę może już być za późno. Wówczas babcia wybiegała przez okno na ulicę, wracając do domu nazajutrz, gdy wnuczek był już spokojny. Takie groźby i ucieczki powtarzały się wiele razy, nikt jednak

w gruncie rzeczy nie brał sprawy poważnie, nawet badający chorego psychiatra.

Pewnego dnia babcia uciekając przez okno zrobiła to zbyt powoli i wówczas właśnie okazało się, że za późno. Gdy przesłuchiwałem Jerzego F. pod zarzutem morderstwa, od razu przyznał się do swego czynu.

— Mówiłem — powiedział — trzeba mnie było wcześniej zamknąć do „czubków”, toby babcia żyła, a dobra była kobieta, miała do mnie serce.

PULAPKA

Przed kilkunastu laty zetknąłem się z siostrami: Bożeną i Teresą M. Młodszą z nich podejrzewałem o usiłowanie zabójstwa starszej. Miałem koncepcję zarówno motywu, jak i przedsięwziętego sposobu działania, wszystko jednak sprowadzało się do poszlak.

W sprawie tej wszcząłem śledztwo po otrzymaniu zawiadomienia, że u 26-letniej Teresy M. przywiezionej w stanie ciężkim do jednego z warszawskich szpitali stwierdzono zatrucie talem. Wkrótce okazało się, że Teresa już od miesiący czuła się coraz gorzej. Wizyty u licznych lekarzy nie doprowadziły, niestety, do trafnej diagnozy, nie wykryto rzeczywistej przyczyny stale pogarszającego się samopoczucia. Dziewczyna z dnia na dzień chudła, słabła, nie mogła pracować, mdlała, zaczęły jej włosy wypadać. Gdy stan chorej okazał się krytyczny, wezwano pogotowie i odwieziono do szpitala. Dopiero tam, w wyniku odpowiednio ukierunkowanych badań, zapadła trafna diagnoza. Stwierdzono przewlekłe zatrucie talem, zastosowano właściwe intensywne leczenie i pacjentkę uratowano. Już we wstępnej fazie śledz

stwa zdołałem wykluczyć usiłowanie samobójstwa. Nikt przecież nie truje się na raty, żaden samobójca nie odwiedza całymi tygodniami lekarzy szukając u nich pomocy. Nie było również żadnego motywu potwierdzającego tego rodzaju wersję. Teresa M. była ładną, wykształconą dziewczyną, o pogodnym usposobieniu i optymistycznym spojrzeniu na świat. Wyraźnie przejmowała się swą chorobą, pilnie przestrzegała zaleceń lekarzy, bardzo chciała żyć. Po wyłączeniu wersji samobójstwa zrobiłem wszystko, aby wszechstronnie rozważyć ewentualność przypadkowego zatrucia talem. Dziewczyna pracowała jako urzędniczka w administracji państwowej. O systematycznym kontakcie z trucizną na terenie biura nie mogło być, rzecz jasna, mowy, pozostał jeszcze dom...

Teresa M. mieszkała razem z 19-letnią siostrą Bożeną, więcej domowników nie było. Po śmierci rodziców dziewczęta pozostały same, prowadząc we dwie gospodarstwo domowe. Ponieważ produkty żywnościowe były wspólne, a Bożena nie chorowała, przeto biorąc pod uwagę przewlekłość schorzenia, można było także wykluczyć systematyczne zatrucie żywnością, która by w jakikolwiek sposób znalazła się w kontakcie z talem. Już we wstępnym stadium śledztwa miałem podejrzenie graniczące niemal z pewnością, że przypadek dotyczy zbrodniczego otrucia. Trzeba jednak było rozważyć, kto i dlaczego chciał dziewczynę zabić oraz w jaki sposób podawano jej truciznę.

Wówczas to zainteresowałem się bliżej siostrą ofiary. Przesłuchać jej nie byłem w stanie, ponieważ w kilka dni od momentu zabrania Teresy przez pogotowie, Bożena zniknęła z mieszkania, nie przychodziła nawet na noc. Uzyskane informacje o obu siostrach oraz ich życiu okazały się interesujące. Dziewczęta stanowiły zupełne przeciwieństwo. Teresa uczy

ła się, skończyła studia i otrzymała interesującą, stosunkowo dobrze płatną pracę. Życie jej układało się znakomicie. Bożena, brzydka, pełna kompleksów, niezdolna, a nawet tępa, rzuciła naukę na etapie szkoły podstawowej, pracowała bodajże jako goniec i nic jej dotąd w życiu „nie wychodziło”. Teresa dobrze się ubierała, miała dużo ładnych i eleganckich rzeczy; Bożena nie miała pieniędzy, była zaniedbana, niechlujna, leniwa.

W poszukiwaniu Bożeny M. zarządziłem rewizje mieszkaniowe u członków jej dalszej rodziny, koleżanek i znajomych. Dziewczyny nie znaleziono, ujawniono natomiast dwa bardzo interesujące dowody. W tapczanie, na którym Bożena sypiała, znajdowało się skrzętnie ukryte zawiniątko, a w nim słoik do połowy napełniony derotalem. Była to często używana trucizna na szczury, środek silnie trujący z zawartością talu. Dodam, że w mieszkaniu sióstr nigdy szczurów nie było.

Innym dowodem zabezpieczonym w śledztwie był pamiętnik Bożeny M., urywający się w dniu jej zaginięcia, a więc w tydzień po zabraniu Teresy do szpitala. Był to bardzo cenny dokument, który stanowił w istocie dziennik miłości Bożeny M. do pewnego młodego chłopca, oraz kronikę ich spotkań. Wkrótce udało mi się zidentyfikować 18-letniego Marka S. i przesłuchać go jako świadka. Okazało się, że poznał on Bożenę w młodzieżowym klubie i przelotnie się nią zainteresował. Dziewczyna w rozmowach z ukochanym wyraźnie konfabulowała. Mówiła, że zajmuje poważne stanowisko kierownika działu kadr w przedsiębiorstwie, gdzie w rzeczywistości pracowała jako goniec; chcąc, by Marek uwierzył w tę bajeczkę, sfalszowała nawet blankiet legitymacji służbowej. Mówiła też, że ma własne mieszkanie, pieniądze i dużo ładnych rzeczy. O siostrze wspominała mimochodem twierdząc, że wyjeżdża ona za granicę i z pewnością tam pozostanie.

Gdy Teresa znalazła się w szpitalu, Bożena zaprosiła po raz pierwszy Marka do siebie. Chłopiec pozostał do następnego dnia. Przebieg owego wieczoru i nocy znałem z relacji świadka i z zapisu w pamiętniku. Obie wersje wydarzeń były co do jednego faktu zbieżne. Otóż, pomiędzy Markiem i Bożeną nie doszło do żadnego zbliżenia. Fakt ten zdecydowanie wzmógł napięcie uczuciowe dziewczyny, która uznała delikatność Marka za przejaw prawdziwej miłości. W istocie chłopiec po prostu się przestraszył. Relacjonując mi przebieg wydarzeń powiedział:

— Panie prokuratorze, ona wyraźnie chciała mnie za męża, a ja byłem od takich myśli bardzo daleki. Uważałem, że zbliżenie, którego pragnęła, może mi zamknąć drogę odwrotu, więc się nie zdecydowałem. Pocałowałem ją na dobranoc mówiąc: „tak cię kocham, że... będę spał oddzielnie”. Był to z mojej strony wybieg, uważałem jednak, że w istniejącej sytuacji najlepszy.

Znając treść pamiętnika wiedziałem, że chłopiec nie kłamie. Uwierzyłem też, że następnego dnia rano wyszedł bez śniadania i zniknął. Więcej go już Bożena nie widziała.

Po przesłuchaniu tego świadka odniosłem wrażenie, że znam motyw, dla którego siostra chciała pozbyć się Teresy z domu, i to na zawsze. Wówczas wydałem postanowienie o aresztowaniu Bożeny M., poleciłem też rozesłać za nią listy gończe. Wyobrażałem sobie, że dziewczyna pod wrażeniem swej pierwszej wielkiej miłości usiłowała per fas et nefas zdobyć brakujące „punkty”. Brak inteligencji, urody, wykształcenia, chciała skompensować wymyśloną historyjką o swym stanowisku służbowym i majątku. A przecież obecność siostry przekreślała wszystko...

Wezwałem do siebie ponownie chłopca, który Bożenę odrzucił. Zapytałem go wówczas, czy me wie, gdzie ona przebywa. Podejrzywałem, że być może próbowała się z nim skontaktować.

Marek S. odpowiedział, że Bożeny nie widział, wie jednak, że ona stara się go znaleźć przez wspólnych kolegów z klubu. Wówczas też padła następująca propozycja:

— Panie prokuratorze, przecież ona mnie naprawdę kocha i fakt ten można wykorzystać. Wystarczy, że zbiorę wspólnych znajomych, powiem, że chcę do niej wrócić i wyznaczę miejsce spotkania. Bożena na pewno natknie się na któregoś z kolegów, jak nie dziś, to jutro. W ten sposób trafi do mnie, ja zatelefonuję, gdzie trzeba i już ją pan będzie miał.

Z punktu widzenia interesów śledztwa propozycja była nader kusząca. Nie przypuszczam też, by jakikolwiek policjant na świecie rozpatrywał ją w kategoriach moralnych. Miałem jednak opory i odesłałem Marka S. bez ustosunkowania się do jego koncepcji. Przed wieloma laty jako młodzieniec czytałem opowiadanie Wiktora Hugo. Nie pamiętam wprawdzie tytułu nowelfi, ale utkwił mi w pamięci pewien fragment: Na dworze króla odbywa się bal. Wśród rozmawiającej grupy gości znajduje się prokurator, który opowiada, w jaki sposób znalazł ukrywającego się mordercę: „Wezwałem jego kochankę, zmyśliłem historię rzekomej zdrady i tak ją tym rozjuszyłem, że drania wydała”. Kończąc swą opowieść prokurator zapowiedział, że proces mordercy odbędzie się już wkrótce. Wówczas to z grupy słuchaczy rozległo się pytanie: „kiedy odbędzie się proces prokuratora jego królewskiej mości?”

Cóż, Wiktor Hugo nie pochwalił zdradzieckiej metody swego bohatera, widząc w przedstawionej tech

nice ujęcia mordercy nie tylko problem taktyki ścigania, ale również problem moralny. Z drugiej jednak strony społeczeństwo musi się bronić, a przecież przestępcy nie przebiegają w środkach.

Z Markiem S. nie rozmawiałem już więcej. Po prostu nie było potrzeby. Bożena M. została zatrzymana zupełnie przypadkowo, bodajże w mieszkaniu ciotki, do której przyszła przenocować.

Mam już dziś pewien dystans do opisywanych spraw. Szereg szczegółów zaciera mi się w pamięci. Piszę swe wspomnienia bez pomocy akt, nie mam również notatek z prowadzonych spraw. Być może właśnie dlatego eksponuję nie fakty, a odczucia, które pamięta się najdłużej. Opisałem ze sprawy Bożeny M. tylko jeden dobrze zapamiętany fragment. Myślę, że nie stosując konwencji pitavalu jestem zwolniony od szczegółowego relacjonowania całego zespołu dowodów winy podejrzanych i oskarżonych oraz argumentów świadczących przeciwko ich niepodważalności.

Bożena M. została przez Sąd Najwyższy od zarzutu usiłowania otrucia swej siostry prawomocnie uniewinniona.

Imiona i pierwsze litery nazwiska w tekście zostały zmienione.

REAKCJE

Było to w latach pięćdziesiątych. Na ulicy Karol- kowej w Warszawie znaleziono we wczesnych godzinach rannych zwłoki młodej kobiety. Leżała w gruzach zburzonego jeszcze w czasie wojny domu, miała zmasakrowaną twarz. Już ze wstępnych ustaleń dokonanych na miejscu zająścia wynikało, że zabójstwo nie miało zapewne ani tła rabunkowego, ani

seksualnego. Przy zwłokach znaleziono torebkę, pieniądze, zegarek, pierścionek oraz inne dość cenne przedmioty, które bandyta z pewnością by zabrał, gdyby w grę wchodziły motywy materialne. Oględziny zwłok nie ujawniły również jakichkolwiek danych przemawiających za motywem o charakterze seksualnym. Przeszukałem leżącą nieopodal zwłok torebkę, w której znajdował się dowód osobisty na nazwisko Zofii B. Okazało się, że mieszkała ona w odległości kilkuset zaledwie metrów od miejsca, w którym znaleziono jej zwłoki.

Po wstępnym zabezpieczeniu dowodów, zwłoki Zofii B. przewiezione zostały do Zakładu Medycyny Sądowej, ja zaś z dwoma oficerami MO udałem się do jej mieszkania. Drzwi otworzył mąż zmarłej, Zdzisław B., który akurat wychodził z domu, aby udać się do pracy. Zapytany o żonę oświadczył, że poprzedniego dnia około godziny 21 wyszła z domu z zamiarem odwiedzenia ciotki, u której zapewne przenocowała. Nie wprowadzając na razie Zdzisława B. w istotę sprawy, jeden z funkcjonariuszy MO zabrał go do prosektorium, aby zidentyfikować znalezione w gruzach zwłoki.

Pamiętam, że pozostałem wówczas w mieszkaniu późniejszego podejrzanego Zdzisława B., uczestnicząc w rewizji pomieszczeń.

Gdy jeszcze tegoż dnia znalazłem się w swym biurze, przyniesiono mi protokół, z treści którego wynikało, że Zdzisław B. w czasie okazania mu zwłok rozpoznał swą żonę Zofię B. Do protokołu funkcjonariusz MO dołączył notatkę, która znalazła się następnie w sądowych aktach sprawy, mimo że miała zdecydowanie pozaprocesowy charakter i w ogóle nie powinna być sporządzona. Notatce tej poświęcono nieco czasu w toku samej rozprawy.

Obrońca Zdzisława B. atakował dokument zarówno co do zasady, jak i treści. Oskarżając Zdzisława B. nie byłem pewien, czy adwokat ma rację; dziś jestem przekonany, że sąd postąpił słusznie, nie aaliczając tego dokumentu w poczet ocenianych dowodów.

Obecny przy okazaniu zwłok młody oficer MO skomentował na piśmie zaobserwowaną reakcję Zdzisława B. W treści notatki służbowej znalazły się m.in. następujące sformułowania: „Gdy zobaczył zwłoki, zaczął szlochać, ale oczy miał suche. Spoglądał też co jakiś czas na mnie, czy go obserwuję. Uważam, że rozpacz była symulowana”. W wiele miesięcy potem tenże oficer MO zeznawał jako świadek w procesie Zdzisława B., oskarżonego o zabójstwo żony. Jego odczucia formułowane na rozprawie pokrywały się z treścią wspomnianej notatki służbowej. Miały one w całym szeroko rozbudowanym łańcuchu poszlak stanowić jeżeli nawet nie ogniwo, to maleńkie ogniwo przemawiające przeciwko oskarżonemu.

W swych wspomnieniach wróćę jeszcze do sprawy Zdzisława B., zakończonej notabene prawomocnym wyrokiem uniewinniającym. Sprawcy zabójstwa Zofii B. nie wykryto do dziś.

Opowieść ta stanowi jedynie pretekst do pewnych refleksji. Muszę przyznać, że opis reakcji Zdzisława B., który w czasie okazania mu zwłok żony zachowywał się sztucznie i udawał rozpacz — zrobił na mnie pewne wrażenie. Nie miałem jeszcze wówczas tyle życiowego doświadczenia, aby wszystko, co mówiono mi o zachowaniu się Zdzisława B. podczas okazania, uznać za rzecz bez jakiegokolwiek znaczenia. Dopiero po latach zrozumiałem, że trudno mówić o jakichkolwiek modelach zachowań w sytuacjach krańcowo drastycznych. Nie wolno pod żadnym pozorem preparować, nawet na ściśle własny użytek, określonych schematów ludzkich reakcji, nazbyt łat-

\vo bowiem może się okazać, że trafiamy przysłowiową kulą w płot.

Przekonałem się o tym uczestnicząc w oględzinach miejsca zabójstwa, na początku lat sześćdziesiątych, w jednym z mieszkań przy ul. Berezyńskiej w Warszawie. Sceneria była okropna. Zwłoki właściciela lokalu zmasakrowane, sprzęty, ściany, a nawet sufit zalane rozpryskami krwi. W czasie oględzin obecna była żona denata. Oprowadzała mnie po mieszkaniu i udzielała niezbędnych informacji. Jestem przekonany, że śmierć męża, abstrahując już od scenerii wydarzeń, stanowiła dla niej niehumanitarny wprost cios. Gdy przyjechałem na miejsce zdarzenia, była ona zrozpaczona i zdenerwowana. Musiała jednak udzielać ekipie śledczej niezbędnej pomocy, ponieważ nie było nikogo innego. Po dokonaniu wszystkich koniecznych czynności opuściłem mieszkanie, udając się w kierunku stojącego przed domem samochodu. Wówczas właśnie dogoniła mnie żona zmarłego i zapytała: — Panie prokuratorze, czy nie wziął pan omyłkowo leżącego na stole długopisu? Zdaje się, że szkicował pan coś w notatniku, a długopisu na stole nie ma.

Rzeczywiście, w całym tym zamieszaniu schowałem odruchowo zwykły tani długopis do kieszeni marynarki, oddałem. Jestem bardzo daleki od tego, aby osądzać małostkowy odruch gospodyni. Nie sposób niczego upraszczać. Właśnie dlatego, że jej troska o zaginiony długopis zupełnie, ale to zupełnie nic nie znaczy, warto całą rzecz wspomnieć. Jest to historia przeciwko szufladkowaniu ludzkich reakcji. Człowiek młody i niedoświadczony powie: gospodyni okazała się cyniczna, męża zaś na pewno nie kochała. Ja jednak tak nie powiem. Dziwnych reakcji ludzi w sytuacjach dla nich nie-

170

• ; jpf

zwykłych, jakby powiedzieli psychologowie — nieadekwatnych — pamiętam co niemiara. Proszę wybaczyć, że będę w swych przykładach drastycznie brutalny, niech jednak poczytane mi będzie za usprawiedliwienie, że wszystko, o czym teraz opowiem, zdarzyło się rzeczywiście.

Pracowałem przez pewien czas jako kierownik rejonu w prokuraturze dzielnicowej Warszawa Praga- -Południe. Pewnego dnia wezwano mnie na miejsce domniemanego zabójstwa starego człowieka, który hodował w piwnicy swego domu pieczarki. Ponieważ Franciszek M. przez blisko dwa tygodnie nie wychodził z domu, zaniepokojeni sąsiedzi wezwali milicję. I cóż się okazało? Pieczarki rosły w dużych, piętrowo ułożonych skrzyniach rozmieszczonych w obszernej piwnicy. Gdy hodowca dokonywał któregoś dnia okresowego ich zbioru, kilka kondygnacji półek zawaliło się i ziemia przygniotła staruszka. Poniósł śmierć. Gdy przyjechałem na miejsce zdarzenia, a było to jak pamiętam w rejonie ulicy Grochowskiej, zmarły przedstawiał widok nie do opisanego makabryczny. Przysypane ziemią zwłoki znajdowały się w pełnym rozkładzie. Wokół zaś rósł bujny las dorodnych pieczarek, spod których ledwo można było ujrzeć podłoże. Zawód, jaki wykonywałem, nie oszczędził mi przykrych widoków, tym razem jednak ani ja, ani nawet wezwany lekarz medycyny sądowej dr Irmina I. nie mogliśmy przystąpić do czynności zewnętrznych oględzin zwłok; po prostu zabrakło nam odwagi.

Właśnie wówczas nadszedł sąsiad zmarłego, który widząc milicyjny ambulans i całe to zamieszanie, zaciekawiony zszedł do piwnicy. Człowiek ten, już niemłody, poważny i bardzo przyzwoity, nagle zaczął się śmiać. Z początku pomyślałem, że to szok, że nerwy nie wytrzymały tego makabrycznego widoku.

12 Ze wspomnień prokuratora

Okazała się jednak, że był to zwykły naturalny śmiech, a więc reakcja "zupełnie nieadekwatna do bodźca. Sąsiad ten wprawiony został okolicznościami śmiertelnego wypadku w znakomity humor. Dopiero później było mu wstyd. Gdy po pewnym czasie rozmawiał ze mną o swej reakcji, bardzo się dziwił, że wszystko, co zobaczył, nie -zrobiło na nim żadnego wrażenia, mimo że sąsiada swego znał i lubił.

Skoro już o nietypowych reakcjach mowa, jeszcze jeden przykład równie autentyczny. Ponieważ rzecz zdarzyła się kilkanaście lat temu, nie potrafię powiedzieć, czy było to w Pilawie czy w Otwocku, w każdym razie jednak na jednej z tych stacji. Do pociągu elektrycznego relacji Pilawa-Warszawa Wschodnia usiłował wejść rolnik obciążony wieloma paczkami. Za nim szła jego żona niosąc duży wiklinowy kosz. W pewnej chwili pociąg ruszył ze stacji, mimo że rolnik był jeszcze jedną nogą na peronie, drugą zaś zakleszczyły mu automatycznie zamykane drzwi. Noga rolnika dostała się pomiędzy wagon a wysoki stopień peronu. Zanim na krzyk ludzi pociąg zatrzymano, (Słara wypadku doznała całkowitego zmiążdżenia stopy.

Ze sprawą tą zetknąłem się w czasie pracy w tzw. rejonie nadzoru prokuratury wojewódzkiej dla byłego województwa warszawskiego. Istotą postępowania było ustalenie, czy i na ile nieprawidłowo zachował się maszynista pociągu, czy mógł zamknąć drzwi i ruszyć ze stacji, mimo że jeszcze nie wszyscy podróżni wsiedli.

Jako świadek zeznawał pewien funkcjonariusz MO, zupełnie przypadkowo w czasie zajścia obecny. Udzielał on też ofierze wypadku pierwszej pomocy oraz wezwał pogotowie. Zeznanie tego świadka było precyzyjne i mimo upływu lat pamiętam je do dziś.

Gdy położono rannego rolnika na ławce i starano się doraźnymi sposobami zatamować płynącą z nogi krew, wezwał on do siebie stojącą nie opodal i szlochającą żonę. — Idź — powiedział — natychmiast do kasy i wycofaj pieniądze za bilety do Warszawy. Pamiętaj, zabierz pieniądze za dwa bilety, bo pojedziesz ze mną karetką. Żona pokrzywdzonego załatwiła wszystko zgodnie z poleceniem — po prostu przywykła męża słuchać.

Pracując we wspomnianym rejonie nadzoru prokuratury wojewódzkiej w Warszawie rozpatrywałem m.in. zażalenia na różne decyzje prokuratorów powiatowych. Pewien obywatel złożył niezliczoną ilość skarg na prokuraturę, która nie potrafiła zgodnie z jego życzeniem spowodować, aby odnalazł się zagubiony jugosłowiański but od pary, i to zupełnie nowy. Wszystko zaczęło się od tego, że 18-letni syn autora skargi zginął przejechany przez ciężarówkę. W czasie transportu zwłok do kostnicy zgubiono niefortunnie jeden but. Gdy ojciec zabitego chłopca otrzymał wszystkie jego rzeczy, okazało się, że nie są one kompletne. Wówczas właśnie wpłynęła pierwsza skarga, a za nią wiele innych. Gdy poszukiwania zagubionego buta spełzły na niczym i ojca ofiary, notabene z zawodu księgowego, powiadomiono w urzędowym trybie, że powinien on pogodzić się ze stratą — człowiek ten zjawił się u mnie przynosząc odpowiednio umotywowane zażalenie na niedostatek — jego zdaniem — dobrej woli i dostatecznej staranności przy poszukiwaniu zguby. Pamiętam ów- .czesną argumentację mojego klienta. Podnosił on, jako podstawową rację swej akcji, fakt, że buty były zupełnie nowe, syn zaledwie kilka razy miał je na nogach, więc... szkoda. Człowiek ten był autentycznie zrozpaczony z powodu straty jedyne go i bardzo kochanego syna. Obok tej sprawy była jednak rów

niez kwestia buta, ja zaś uznałem — co zabrzmia zapewne jak paradoks — że zbagatelizowanie skargi i jakakolwiek aluzja do niewspółmierności utraconych dóbr byłaby właśnie ze względu na zaistniałe nieszczęście niewybaczalnym nietaktem. But się nie znalazł i u człowieka pozostał żal. Powiadamy, i jest tu coś ze schematu, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Okazuje się, że las jest lasem, a róża różą. Są to dobra często równie niewspółmierne co niewymierne, podobnie jak ludzkie reakcje.

Kiedyś jeszcze jako młody prokurator zostałem poruszony podobną sprawą, napisałem nawet o niej felieton. Matka pewnej dziewczyny, która popełniła samobójstwo, zapytała oficera MO, czy może przed odwiezieniem zwłok na sekcję zdjąć ze zmarłej rajstopy — zupełnie nowe, zaledwie w przeddzień tragedii kupione. Oficer MO relacjonując mi opowiedzianą reakcję matki nie posiadał się z oburzenia. Ja także miałem podobne uczucia, a jednak dziś, odtwarzając w pamięci jakże dziwaczne reakcje ludzi, mam wrażenie, że czasem po prostu nie sposób wyważać proporcji. Dlaczego? Na szczęście nie piszę podręcznika psychologicznego, a jedynie relacjonuję fakty. Otóż, naprawdę nie wiem. Skoro już mowa o proporcjach, przypominam sobie pierwszą w mej praktyce sprawę o gwałt. 18-letnia Irena P. zasiedziała się u koleżanki w Warszawie i spóźniła się na ostatni pociąg odjeżdżający z dworca Wileńskiego w kierunku Radzimina. Z opresji wybawił ją kierowca pewnej Warszawy, który jadąc do Wołomina zaoferował się dziewczynę podwieźć. W samochodzie znalazło się jeszcze przygodnie zabrane po drodze małżeństwo, które wysiadło w Markach, a więc kilka kilometrów przed Radziminem. Gdy dziewczyna znalazła się sam na sam z kierowcą, zaczął się on do niej zalecać, a następnie zażądał, aby się ro

zebrała. — Rozbierz się dobrowolnie — groził — bo w przeciwnym razie sam cię rozbiore, a pończochy, bluzka i wszystko inne będzie się już nadawało tylko do wyrzucenia.

Dziewczyna, pracując jako pielęgniarka, zarabiała bardzo niewiele. Ubrana była we wszystko, co miała najlepszego z okazji imieninowego spotkania u koleżanki. No cóż było robić... Po dokonanej gwałcie dziewczyna jeszcze tejże nocy zgłosiła się do MO. Lekarz stwierdził deflorację oraz typowe drobne zasinienia i zadrapania uprawdopodobniające wersję pokrzywdzonej. Ustaliłem również, że Maria S. leczyła się na poważną chorobę kobiecą, z powodu której jakiegokolwiek kontakty płciowe były nie tylko przeciwwskazane, ale wydatnie zagrażały zdrowiu mogą spowodować bardzo poważne komplikacje.

Ponieważ pokrzywdzona zapamiętała numer samochodu, udało mi się bez trudu zidentyfikować sprawcę przestępstwa. Pamiętam, że kierowca zaskoczony zatrzymaniem, które nastąpiło już następnego dnia, przyznał się do winy i wyraził skruchę. Było to bardzo łatwe śledztwo, które ukończyłem w ciągu kilku zaledwie dni. Przed wniesieniem aktu oskarżenia jeszcze raz przesłuchałem pokrzywdzoną. Zebrałem też o niej dokładny wywiad. Maria S. była dziewczyną bardzo przyzwoitą o nieskazitelnej opinii zarówno w miejscu zamieszkania, jak i w szpitalu, gdzie od roku pracowała. Nikt nie powiedział o niej jednego złego słowa, nawet podejrzanym.

W czasie przesłuchania zapytałem dziewczynę, dlaczego bez żadnego oporu rozebrała się; nie potrafiłem wówczas zrozumieć jej reakcji, która tak znacznie przecieżyła od obiegowego modelu zachowania się osoby jakby nie było — gwałconej. Przesłuchiwana zupełnie nie mogła zrozumieć, o co mi

chodzi i skąd to zainteresowanie szczegółem, który jej ^daniem w ogóle nie należał do istoty sprawy.

Nie chciałem wyciągać z opowiadanych w skrócie spraw żadnych wniosków. Już Szekspir zwrócił uwagę na fakt, iż są na ziemi rzeczy, o których nie śnili nawet filozofowie. Nie wiem też, czy Zdzisław B., któremu okazano zwłoki zamordowanej żony, rozpaczał, czy tylko udawał. O kryteria adekwatności ludzkich reakcji na niecodzienne bodźce jest bardzo, naprawdę bardzo trudno. Myślę, że kryteria takie w ogóle nie istnieją.

DZIWNA SPRAWA

Byłem u progu swego życia zawodowego. Pracowałem jako asesor Prokuratury Warszawa Praga- -Południe. Prowadziłem wiele śledztw dotyczących przestępstw popełnianych na tle zbrodni seksualnych. Generalną ich trudnością było zawsze ujawnienie sprawcy, ułatwieniem zaś — ograniczony krąg podejrzanych. O ile sprawcą napadu rabunkowego może być na dobrą sprawę każdy nieuczciwy człowiek, o tyle krąg podejrzanych o przestępstwo na tle zbrodni ogranicza się do zbrodniców — jest więc węższy. Mimo to kłopot w wykryciu przestępcy seksualnego nie jest mały. Sprawcy działają najczęściej w nocy, przestraszone ofiary podają niedokładne rysopisy, a więc roboty jest co niemiara. Przestępcy tej grupy, choć psychopaci, potrafią działać sprytnie, unikać ryzyka i skutecznie zacierać ślady swych czynów. Nie są oni pozbawieni ani instynktu samozachowawczego, ani świadomości grożącego im niebezpieczeństwa, przez co „wpadają” niełatwo, często dopiero przy jednym z kolejnych przestępstw tego samego rodzaju i w wyniku zaniedbania niezbędnych środków ostrożności.

Wśród omawianego rodzaju śledztw najbardziej utkwiło mi w pamięci jedno. Być może ze względu na niebanalny sposób działania sprawcy. W związku z tą właśnie sprawą mogłem przedwcześnie zakończyć swą prokuratorską karierę; groziło mi to naprawdę.

Pewnego dnia wkroczył do mojego gabinetu wielce wzburzony rodzic prowadząc, a raczej ciągnąc za rękę zapłakanego i roztrzęsionego dwunastolatka. Gdy zdołałem opanować zdenerwowanie przybyłych na tyle, by zdolni byli podjąć rozmowę — usłyszałem smutną a zarazem zabawną historię.

Mijała właśnie połowa roku szkolnego, Jan Z. ojciec dwunastolatka, wezwany na wywiadówkę usłyszał o swym Jurku wiele niepocholebnych uwag. Chłopiec niedbale odrabiał lekcje, wzywany do tablicy nic nie umiał; krótko mówiąc groziło mu kilka dwój i to z najważniejszych przedmiotów. Po powrocie do domu ojciec nie omieszkał podjąć drastycznych działań wychowawczych, postępując od dawna wypraktykowanym sposobem. Donośne protesty syna okazały się dalekie od stereotypu, karcony krzyczał przez łzy;

— Ty zupełnie nic nie rozumiesz! To nie moja wina. Przecież ja jestem po prostu niezdolny, bo... mam żółtą!

Zdumionemu ojcu ręka zawisła w powietrzu. Przerwał odmierzanie sprawiedliwości i zażądał szczegółów. Sprawa w relacji, jak i w głębokim przeświadczeniu ucznia, była zupełnie prosta. Można karać za lenistwo, nie można za brak zdolności, a przecież on ich nie ma. Chłopiec powołał się na wynik badań „psychologicznych”¹ przeprowadzonych przez lekarza szkolnego, dra P, Zaprosił on Jurka do gabinetu,

kazał mu zdjąć spodnie, po czym doprowadził do ejakulacji, żeby zbadać kolor spermy. Biała miała świadczyć o zdolnościach, niestety chłopiec miał żółtawą, a to przecież przesądza sprawę. Zdaniem chłop- cą, zagrażające mu dwóje dowodzą jedynie słuszności lekarskiej diagnozy. Rzecz jest poza dyskusją, więc dlaczego lanie?

Zaprotokołowałem zeznanie ojca i przesłuchałem pokrzywdzonego chłopca przy udziale biegłego psychologa. Mgr Ł. stwierdził, że Jurek nie ma skłonności do konfabulacji i wszystko wskazuje na to, że lekarz szkolny rzeczywiście popełnił przestępstwo.

Wezwałem go telefonicznie i już niebawem spotkaliśmy się w moim gabinecie. Nie był to człowiek młody, miał sympatyczną powierzchowność i sprawiał dobre wrażenie. Po krótkiej rozmowie wypełniłem wstępną część druku: protokół przesłuchania podejrzanego, któremu zadałem stereotypowe pytanie: czy przyznaje się do winy.

Lekarz oburzył się i kategorycznie zaprzeczył. Gdy odczytałem mu zeznanie chłopca, tylko się roześmiał.

— Widzi pan — powiedział — ja te dzieci znam. Chodzą o wagary, nie uczą się, a później w strachu przed rodzicielską karą każdy argument jest dobry. Ale że pan, panie prokuratorze, traktuje tę naiwną bajeczkę poważnie, tego już zupełnie zrozumieć nie mogę. Skończmy już to żenujące przesłuchanie; zarzut jest wyssany z palca i nawet jeżeli skieruje pan akt oskarżenia, to żaden sąd dziecku nie uwierzy; zostaną uniewinniony. Byłem zgoła odmiennego zdania, ale przecież musiałem je udowodnić. Lekarz, człowiek poważny, z oburzeniem wypierał się „podobnych praktyk”, ja zaś dysponowałem tylko jednym świadkiem; co gorsza, było to dziecko. Klemens Krzyżagórski w swej książce „Kłopoty

i ciałem” pisał: „Dziesięciu sędziom z dwóch dolnośląskich sądów powiatowych zadałem pytanie, czy dziecko jest wiarygodnym świadkiem w procesach karnych. Aż sześciu respondentów odpowiedziało na to pytanie zdecydowanie twierdząco. Siódmy powiedział: zaufać zeznaniom dzieci, znaczyłoby dać spr- wiedliwości taką szansę, jaką posiadałaby ona, gdyby wyroki karne ferowała papuga wybierająca dziobem lata więzienia. Ale znam jeszcze bardziej fałszywych świadków: są nimi dorośli”.

Miałem w swej prokuratorskiej praktyce wielu nieletnich świadków, również w sprawach przestępstw dokonanych na tle seksualnym. Dzieci z reguły mówiły prawdę, choć rzeczywiście nie wszystkie...

Przy kolejnym przesłuchaniu podejrzanego, będąc przekonany, że jego praktyki, w które intuicyjnie wierzyłem, obejmowały zapewne nie tylko Jurka Z., przedstawiłem lekarzowi następujące zamierzenie śledcze: — Pójdziemy — powiedziałem — do szkolnej auli, zgromadzimy tam dzieci starszych klas, poprosimy także rodziców, po czym ja zreferuję istotę sprawy, w której jest pan podejrzanym i zaapeluję do innych potencjalnych pańskich ofiar, żeby dały świadectwo prawdzie. Tego rodzaju czynność śledcza, acz procesowo dopuszczalna, byłaby na tyle obyczajowo drastyczna, że pewnie bym się na nią nie zdecydował. Roztoczyłem jednak przed podejrzanym wizję tego przedsięwzięcia i pobudek w pewnym sensie taktycznych. Wiedziałem skądinąd, że jedną z dominujących cech homoseksualistów, w każdym razie w naszym kręgu kulturowym, jest wstyd. Każdy obawia się publicznego ujawnienia swych skłonności. Wielu pozwala się szantażować przez ofiary tego rodzaju praktyk, jakkolwiek w przypadku partnerów dorosłych — prawnie dozwolonych, a jednak...

Później, po latach, zastanowiłem się, czy wypowiedziana przeze mnie groźba publicznej kompromitacji podejrzanego nie miała w sobie czegoś z szantażu skłaniającego, aby przyznał się do winy. Myślę, że jednak chyba nie. Przecież w pewnym etapie śledztwa rzeczywiście zaplanowałem zapowiedzianą podejrzanemu czynność okazania go dzieciom. Być może przed bezpośrednim wykonaniem tego jeszcze bym się zawahał. Nie potrafię już dziś na to pytanie odpowiedzieć.

Dr P. zbladł.

— Nie trzeba — powiedział. — Ja się panu przyznam bez żadnych konfrontacji. Onanizowałem Jurka i jeszcze kilkunastu chłopców, których badałem w swym szkolnym gabinecie. Może pan ich przesłuchać, na pewno potwierdzą.

Gdy zapytałem o nazwiska pokrzywdzonych (musiałem ich przecież dla potrzeb śledztwa zidentyfikować), dr P. rozłożył bezradnie ręce.

— Nie pamiętam, niestety, żadnych nazwisk. Ale wydaje mi się, że zapamiętałem twarze. Niech pan dostarczy mi akta szkolne wszystkich uczniów, a postaram się zidentyfikować tych, którzy pana interesują, zrobię to na podstawie zdjęć.

Tak się i stało. Dr P. przeglądał około 150 teczek prawie przez cały dzień. Widziałem, że chce być całkowicie szczery. Owocem tej czynności było „wyłowienie” przez podejrzanego dwunastu fotografii. Byli to chłopcy w wieku Jurka, wszyscy bardzo ładni, o dziewczęcych twarzach.

— Tak, proszę pana, to są ci. Z innymi tego nie robiłem. Może pan sporządzić protokół.

Miałem już całej tej czynności zupełnie dość. Zaczęliśmy przeglądać tecki o 11, skończyliśmy późnym wieczorem. Przy każdej ze 150 fotografii lekarz wahał się, niektóre odkładał na bok, mylił się i znów

odkładał. Przyznam, że nie starczało mi cierpliwości, próbowałem podejrzanego ponaglać, ustępowałem. Dość, że gdy zdecydował się wreszcie podpisać protokół, poczułem ulgę.

Dr P. wziął do ręki pióro, dotknął gotowego tekstu protokołu i... nie podpisał. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się z zażenowaniem i powiedział:

— Zupełnie nie rozumiem, co my tu przez cały dzień robimy? Przecież ja się do niczego nie przyznaję, to wszystko to po prostu nonsens. Niech pan sobie dobrze zanotuje w pamięci: nigdy żadnego ucznia nie deprawowałem; ani Jurka, ani nikogo innego.

Przyznam, że dałem się wówczas ponieść temperamentowi. Byłem bardzo młodym, nie tylko prokuratorem, ale i człowiekiem. Postąpiłem w sposób niedopuszczalny: podniosłem głos, obraziłem podejrzanego słowami, które go dotknęły do żywego, po czym odesłałem go z powrotem do więzienia, w którym przebywał od początku śledztwa. Byłem zirytowany bezsensownym uporem lekarza, ale miałem też powody do zadowolenia. Dysponowałem przecież kilkunastoma nazwiskami chłopców i mogłem ich przesłuchać. Do czynności tych przystąpiłem bez zwłoki. Chłopcy po krótkich, spowodowanych wstydem oporach, przyznawali, że byli poddawani „badaniom na kolor”. Większość chłopców — były to dzieci 10—12-letnie — nie uświadamiała sobie nawet doznanej krzywdy, za to rodzice... Starłem się ograniczać zadawane świadkom pytania do niezbędnego minimum, by uniknąć niezdrowej i niepotrzebnej sensacji. Aby uzyskać maksymalną pewność i nie popełnić błędu, wezwałem również wyrywkowo na przesłuchanie chłopców pominiętych przez lekarza przy oględzinach fotografii z akt. Ci w ogóle nie rozumieli, o co chodzi i przekonująco zaprzeczali uczestniczeniu w badaniach „na kolor”. Sprawa krystalizowała się

wyraźnie. Miałem jeszcze przed sobą kilka mniej ważnych czynności śledczych, gdy dowiedziałem się, że dr P. wniósł przeciwko mnie oskarżenie do sądu o obrazę. Cóż, miał do tego prawo. Napisał przeciwko mnie akt oskarżenia w trybie prywatno-skargowym

I wysłał listem z więzienia wprost do sądu. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, przekazałem śledztwo przeciwko dr. P. koledze, prokuratorowi Ryszardowi M. Chodziło przecież o bezstronność w postępowaniu, konflikt zaś pomiędzy mną a lekarzem mógł ją naruszyć.

W ten sposób straciłem kontakt ze sprawą dra P., a zyskałem własne kłopoty; trzeba przyznać, niemałe. Zdawałem sobie sprawę, że w procesie o obrazę zostanę skazany, a będąc sądownie karany, zmuszony będę zmienić pracę. Niektórzy doradzali: Wyprzyj się, zaprzecz, powiedz, że podejrzany oskarża cię z zemsty i że nigdy go nie obraziłeś. Przecież nie ma wątpliwości, że sąd uwierzy prokuratorowi a nie przestępcy, którego wina w zakresie zarzucanego mu czynu nie budzi już żadnej wątpliwości.

Moi doradcy mieli rację. Ja również wiedziałem, że w zbliżającym się procesie o obrazę sąd uwierzyłby mnie, a nie oskarżycielowi. Tym bardziej że motyw dla fałszywego oskarżenia był oczywisty. Musiałbym zrobić tylko jedno: po prostu wszystkiemu zaprzeczyć, broniąc się — skłamać. Wiedziałem jednak, że tego nie zrobię. Później zastanawiałem się nad motywem swego postanowienia, że powiem prawdę i świadomy, co tracę, przyznam się do winy. Pobudką tej decyzji nie była pryncypialność w realizacji zasady, że człowiek zawsze — bez względu na okoliczności — powinien mówić prawdę. Piękna ta zasada aż nazbyt jest niezyciowa, by ją ślepo reali* zować. Postanowiłem uznać swą winę, ponieważ — być może zabrzmi to jak paradoks — obrazy dra P, dopuściłem się przy świadku: był nim on sam. On też byłby świadkiem mojego kłamstwa, nie sąd, bo ten by mi uwierzył, a właśnie on, człowiek, którego obraziłem. Myślę, że dominującą rolę w mojej decyzji odegrał wstyd. Każde kłamstwo, a szczególnie zdemaskowane, jest czymś wstydliwym i bez względu na to, czy tylko jeden człowiek, czy wielu wie, jak było naprawdę.

Śledztwo przeciwko dr. P. było na ukończeniu. Prokurator M. wezwał podejrzanego lekarza, aby go jeszcze raz przesłuchać, po czym zapoznać z aktami sprawy, a więc dokonać czynności bezpośrednio poprzedzającej wniesienie aktu oskarżenia. Dr P. przez kilka godzin rozmawiał z prokuratorem M., któremu — o dziwo! — przyznał się do winy i to w całej rozciągłości. Fakt ten ugodził w moją ambicję. Okazało się, że nie potrafiłem nawiązać z podejrzanym kontaktu, skłonić go do skruchy, a mój kolega nie miał z tym żadnych trudności. Jeszcze tego samego dnia dr P. wysłał z więzienia list, w którym cofnął wniesione wobec mnie oskarżenie. Oświadczył, że rozumie, dlaczego się zdenerwowałem, uwzględnia też mój młody wiek, zapalczywość płynącą zapewne z braku doświadczenia życiowego., W konkluzji swego pisma dr P. oświadczył, że puszcza incydent w niepamięć i nie wnosi żadnych pretensji.

Byłem postawą podejrzanego zaskoczony i ucieszony. Chciałem przecież pracować w Prokuraturze, bardzo mi ten zawód odpowiadał i trudno było mi się pogodzić z myślą, że tą szybko muszę go porzucić. Ani ja, ani koledzy, nie rozumieliśmy motywów, które skłoniły dra P. do zapomnienia wyrządzonego mu zła. Dopiero później...

Dr P. oskarżony przez prokuratora M. skazany został na 6 lat pozbawienia wolności. Odbywając karę

(chyba przez 2 lata) wysyłał listy do autora aktu oskarżenia, prokuratora M. Były to listy miłosne. W jednym z nich napisał: „Cofnąłem swe pretensje do prokuratora Dobrzyńskiego, ponieważ uważałem, że sprawię panu tym przyjemność, a tego pragnąłem najbardziej”.

Tak, sprawa dra P. to była bardzo dziwna sprawa.

UCZCIWOŚĆ

Spisując swe wspomnienia starałem się odtworzyć w pamięci m.in. sylwetki ludzi podejrzanych bądź oskarżonych o łapówki. Jednych zapamiętałem dla oryginalności sposobu bądź scenerii w jakiej obrali", innych, ponieważ uderzało mnie coś w ich reakcjach, sposobie zachowania się w śledztwie, gdy rozmawiałem z nimi często przez wiele godzin.

Łapowników widziałem w swym zawodowym życiu różnych: brutalnych i delikatnych, naiwnych i pomysłowych, lekkomyślnych i ostrożnych, każdy był mimo jednorodności popełnionego przestępstwa na swój sposób inny. Jednoznaczność moralna tego procederu mimo swoistego „zawodowego” znieczulenia mnogością znanych przypadków przestępstw zawsze budziła moją odrazę. Czy jednak można rzeczywiście posługiwać się określeniami „zawsze” bądź „nigdy”, choćby nawet w czasie przeszłym. Chyba nie można. W istocie bowiem nic nie jest „albo-albo”, a wszystko „i-i”. Tego uczy nas nie tylko filozofia, ale zwykła dialektyka życia. I choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę w chwili bezpośredniej obserwacji zjawiska, wystarczy określony dystans, aby prawda, że nic nie jest tylko czarne albo tylko białe, dała o sobie znać.

Prawie 20 lat temu zetknąłem się jako młody pro-

.ffiiHj

kurator z osobą doc. dra Jerzego S. Pamiętam jego sprawę, i to w najdrobniejszych szczegółach, do dziś.

Prowadząc śledztwo w pewnej grupowej sprawie gospodarczej wielokrotnie przesłuchiwałem podejrzanego Bogdana N. Był to człowiek bez wykształcenia i zawodu, trochę lump, trochę kombinator, kilka już razy karany za dość sprytnie oszustwa, jednym słowem typ, który zupełnie nie zasługiwał na zaufanie. Człowiek ten miał nieustanną potrzebę imponowania otoczeniu. Ciągłe chciał kogoś zadziwić, wzbudzić zainteresowanie, wciągnąć w orbitę swego egocentryzmu.

Przesłuchania Bogdana N. należały do szczególnie męczących, a jednocześnie, z punktu widzenia interesów oskarżenia, bardzo efektowne. Jego samochwalstwo było tak wybujałe, że tłumilo zarówno instynkt samozachowawczy, jak i samokontrolę. Przyznawał się do popełnienia wszystkich zarzucanych mu czynów nie bez dumy przy bardzo specyficznej psychologicznej motywacji takiej właśnie postawy. Nie była to ani skrucha, ani chęć naprawienia wyrządzonego społeczeństwu zła. Nie była to nawet koncepcja „zarobienia” szczerością na łagodniejszy wyrok. Bogdan N. po prostu przechwalał się tym, co robił. Wystarczyło sceptycznie zwątpić o prawdziwości podawanych przez niego faktów, aby uczynił wszystko dla udowodnienia, że jego występkę wcale nie były błahe, a wprost przeciwnie.

Podejrzany darzył mnie niekłamana sympatią, co wbrew pozorom czasem się jednak zdarza. U źródeł jego zyczliwości leżał zapewne fakt, że miałem cierpliwość godzinami wysłuchiwać jego zarozumiałych zwierzeń, a nawet niekiedy stwarzać taktyczne pozory, że podziwiam jego pomysłowość i przebiegłość choćby w odniesieniu do oszustw, których nie szczędził nawet własnym kompanom.

Któregoś dnia, gdy kończyliśmy wielogodzinne przesłuchania zamykające tematycznie określony - czas przestępczej działalności całej grupy, powiedziałem swemu klientowi, że teraz nie będę go już przez dłuższy czas z aresztu wzywał i że pewnie kilka miesięcy się nie zobaczymy. Gdy zasmucony perspektywą nudy zapytał — dlaczego? — odpowiedziałem:

— Wyjaśnił pan przecież wszystko, śledztwo dotyczy afery, podejrzanych wielu, pora zająć się innymi.

Wówczas przesłuchiwany przez chwilę milczał, - jakby się nad czymś zastanawiał, ważył coś w pamięci, po czym konfidencjonalnym szeptem zapowiedział coś, o czym dotąd nie wspomniał ani słowem. Miała to być bardzo interesująca informacja, ale już nie dziś, jutro...

Znając naturę Bogdana N., który w swej zarozumiałej gadatliwości okazał się jednak w dotychczasowym przebiegu śledztwa prawdomówny, poleciłem konwojentowi, aby doprowadził go z aresztu jeszcze nazajutrz.

Gdy spotkaliśmy się następnego dnia w moim gabinecie, Bogdan N. rozpoczął od pytania: — Czy słyszał pan kiedyś o doc. dr. Jerzym S. — Odpowiedziałem, że tak, był to bowiem człowiek znany, autor specjalistycznych podręczników z dziedziny, którą się przypadkiem niegdyś interesowałem, a jednocześnie dyrektor bardzo poważnego przedsiębiorstwa w resorcie przemysłu lekkiego.

— Widzi pan — ciągnął mój rozmówca dalej — właśnie temu, wydawałoby się przyzwoitemu człowiekowi, dałem przed rokiem 100 tysięcy złotych najordynarniejszej łapówki, i co pan myśli, wyrzucił mnie za drzwi? Otóż wcale nie. Sympatyczny co prawda nie był, nie podziękował, ręki nie uścisnął,

ale wziął. Zapyta pan pewnie za co? Otóż, na krótko przed aresztowaniem starałem się o bardzo dla mnie korzystną rzemieślniczą kooperację z przedsiębiorstwem, którego S. był dyrektorem. Ubiegających się o to samo było wielu, a moje szanse w normalnym przetargowym trybie oceniałem jako żadne. Znalazłem w książce telefonicznej adres dyrektora S., wsiadłem w tramwaj i pojechałem do niego do domu: Gdy on nie podejrzewając niczego, a nawet nie wiedząc kim jestem, zaprosił mnie do pokoju, wyjąłem z teczki przygotowane pieniądze i położyłem na stole. Powiedziałem, że nazywam się Bogdan N., reprezentuję jako cichy wspólnik firmę rzemieślniczą Z. i chcę otrzymać zamówienie. Powiedziałem chyba jeszcze tylko jedno zdanie: Nie lubię konkurencji. Po czym wymownie spojrzałem na leżące przed dyrektorem S. pieniądze.

Mój rozmówca zbladł, gwałtownym ruchem rozpiął guzik kołnierzyka, patrzył przez moment na grubą, owiniętą banderolą paczkę tysiąc złotych banknotów. Po chwili otworzył szufladę biurka, przy którym siedział, i nie dotykając pieniędzy ręką, końcem ołówka powoli przesunął je w kierunku szuflady. Potem jeszcze jeden ruch nieco szybszy, nerwowy

I paczki na biurku nie było. Dyrektor S. wstał i bez słowa otworzył drzwi. Ja o nic już nie pytałem, bo i po co, wyszedłem.

Właśnie w imieniu wspólnika szykowałem ofertę, aby przesłać ją pocztą do przedsiębiorstwa, gdy wkroczyła milicja aresztując mnie. Nie zdyskontowałem więc drogo opłaconej dyrektorskiej życzliwości, po prostu nie zdążyłem.

Wiem, że za popełnione znaczne przecież kradzieże, do których się przyznałem, grozi mi bardzo surowa kara. W tej sytuacji mówiąc o łapówce dla dyrektora S. niczego praktycznie nie ryzykuję, a pana

przekonać mogę O swej lojalności i ęalcowitej szczerości.

Podejrzany był dumny, że udało mu się skorumpować tak czcigodnego urzędnika, wyraził też gotowość uczestniczenia w spodziewanej konfrontacji. Wyczułem, że moje dość żywe zainteresowanie opowieścią nie było mu obojętne.

Już następnego dnia rano poprosiłem telefonicznie do siebie doc. dra S. Po tym, co usłyszałem od Bogdana N. miałem uczucie, jak to się mówi, ambiwalentne. W gruncie rzeczy nie wierzyłem, by opowieść

O łapówce była prawdziwa. Ostatecznie jednak fakt rzekomo popełnianego przestępstwa został szczegółów* zaprotokołowany | trzeba było coś z tym fantem zrobić.

Jerzy S. miał opinię człowieka nieposzlakowanego. Zajmował poważne stanowisko gospodarcze, był znanym naukowcem wielokrotnie popularyzowanym przez prasę.

Masza rozmowa nie była łatwa, nie potrafiłem jakoś zacząć. Gdy patrzyłem na siedzącego przed moim Murkiem dobrotliwego starszego pana, o zdecydowanie ujmującej powierzchowności, rozpoczęcie rozmowy o łapówce wydawało mi się po prostu nietaktem. Byłem wówczas dość młodym jeszcze człowiekiem

I w gruncie rzeczy o życiu wiedziałem niewiele. Niedostatek owej wiedzy zawsze skłania do szablonowego, stereotypowego myślenia. Miałem także wizję określonego schematu dobra i zła. Wydawało mi się, te pojęcia te są zupełnie jednoznaczne, a ludzie zawsze zachowują się zgodnie ze swą naturą, a więc przywoici — przywoicie. Być może dzisiaj z perspektywy czasu nieco upraszczam tok swego ówczesnego myślenia. Wiedziałem, że w sytuacjach drastycznych, krańcowych, bywa różnie. Tu jednak wszystko mieściło się w normie.

Z pewnym zażenowaniem rozpocząłem przesłuchiwanie doc. S. Zdawałem sobie sprawę, że nawet gdyby uwierzyć mojemu informatorowi, transakcja nie zaowocowała przyjęciem oferty i dlatego o zdobyciu jakichkolwiek obiektywnych dowodów winy dyrektora me ma co marzyć.

Po wstępnej rozmowie przeszedłem wreszcie do istoty sprawy. Zapytałem Jerzego S., czy zetknął się kiedykolwiek z przedstawicielem prywatnej firmy Bogdanem N. Czy tenże usiłował uzyskać od przedsiębiorstwa jakieś zamówienie i czy proponował względnie wręczył mojemu rozmówcy w zamian za życzliwość jakąkolwiek kwotę. Docent Jerzy S. patrzył na mnie zdziwiony sprawiając wrażenie człowieka, który w ogóle nie rozumie, o co chodzi. Do którego po prostu nie dociera sens moich pytań. Po chwili zrozumiał i oburzony zaprzeczył. Powiedział też, że nic do dodania nie ma, byłby natomiast niezmiernie wdzięczny, gdybym go zwolnił od obowiązku kontynuowania wizyty w moim gabinecie, i to natychmiast.

Wówczas okazałem docentowi protokół przesłuchania Bogdana N., częściowo aby sprawdzić, jakie ten dokument robi na nim wrażenie, a być może również, aby się w pewnym sensie przed nim usprawiedliwić. Dyrektor S. już nieco spokojniejszy zapalił papierosa i głośno odczytał historię o swej stutysięcznej łapówce. Po odłożeniu protokołu niczego w swych wyjaśnieniach nie zmienił. Wyraził tylko zdziwienie, że można wierzyć jakiemuś kryminaliście, który z sobie tylko znanych powodów zmyślił ową bezsensowną bajeczkę.

Zapytałem wówczas dyrektora, czy w wyjaśnieniach Bogdana N. zgadzają się pewne obiektywne dane: adres mieszkania, gdzie łapówka miała być wręczona, piętro, u^łład pokoi itd. Mój rozmówca

oświadczył, że te szczegóły się zgadzają, jednak skąd pomawiający je zna, to już nie jego sprawa* ostatecznie w moim mieszkaniu — powiedział — bywają studenci, zdają niekiedy egzaminy, zaliczają kolokwia, a zresztą układ lokali jest nie tylko w blo- . ku, ale w całym osiedlu podobny.

Po przesłuchaniu dyrektor S. odjechał do swego, biura. Uznałem, że w całokształcie opowiedzianych okoliczności sprawy brak jest podstaw do zastosowania wobec niego aresztu tymczasowego, za mało było dowodów. Wiedziałem też, że z punktu widzenia techniki i taktyki śledczej niewiele już można było w tej sprawie zrobić. Sprowadziłem jeszcze do sieoie Bogdana IM., zapytałem go, jakie dyrektor miał w pokoju meble, czy zapamiętał jakieś sprzęty, być może zauważył kogoś z domowników. — Niestety, ani nie zauważył, ani nie zapamiętał.

Wówczas podjąłem decyzję umorzenia sprawy przeciwko Jerzemu S. z braku dostatecznych dowodów winy. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym go oskarżył, to przy istniejącym stanie dowodów sprowadzających się jedynie do gołosłownego pomówienia, sąd na pewno wydałby wyrok uniewinniający. A jednak mijały dni i jakoś nie potrafiłem sprawy umorzyć. W trakcie rozważań nad uzasadnieniem zamierzonego postanowienia przypomniała mi się znakomita powieść Grahama Greena „Sedno sprawy”. Bohater tej książki, oficer angielskiej policji w koloniach — bcobie, człowiek wielkiej uczciwości i przyzwoitości okazał się w pewnej chwili słaby. Wziął od kupca Yusefa łapówkę w specyficznych warunkach swoistej symbiozy — okazji i ważnej doraźnej osobistej potrzeby. Czytając tę książkę jeszcze jako młody chłopiec miałem wrażenie, że w nakreśleniu sylwetki Scobiego brak było konsekwencji. Prze

cież człowiek nie może być i dobry, i zły jednocześnie, byłoby to bez sensu.

Jeszcze raz zaprosiłem dó siebie docenta S. Przedstawiłem mu ponownie mizerne jakby nie było dowody jego winy i zapytałem, czy nie zechce on zmienić złożonych uprzednio wyjaśnień, które osobiście oceniam jako kłamliwe i wykrętne. Przez pewien czas rozmawialiśmy o obiektywnej wartości zebranych dowodów. Na tym gruncie ozułem się niestety bardzo słabo. Docent S. wyraźnie górował, tym bardziej że to nie on miał obowiązek udowodnienia swej niewinności, lecz ja — jego winy, tłumacząc nadto, zgodnie z wymogami prawa, wszelkie istniejące wątpliwości na jego korzyść.

W pewnej chwili zmieniłem taktykę przesłuchania, choć może sformułowanie „taktyka” nie jest tu odpowiednie. Zacząłem rozmawiać z Jerzym S., jakby fakt jego przestępstwa nie budził żadnych wątpliwości, był w każdym razie między nim a mną czymś zupełnie ewidentnym i oczywistym. Powiedziałem, że sprawę umorzę, ponieważ nie jestem w stanie przeprowadzić dostatecznie przekonującego dowodu winy, mam jednak własne o nim zdanie i musi on go wysłuchać.

Pamiętam naszą rozmowę jakby była wczoraj. Mówiłem chyba dwie godziny, a on słuchał bez słowa.

Miałem wówczas niespełna 30 lat, on zaś mógł być z powodzeniem moim ojcem. Mówiłem o jego zasługach i dorobku, całym pracowitym życiu, nieskazitelnej przyzwoitości i wielkiej płamie na honorze uczciwego człowieka, jaką jest nie ta łapówka wzięta w sekundzie słabości, a obecna niegodna postawa przyjęta po to, aby uchylić się od odpowiedzialności za popełnione przestępstwo.

Nie mówiliśmy już o wartości zebranych dowodów, a po prostu o pojęciu zbrodni i kary. Dowodziłem,

że nawet najwartościowszy człowiek może w chwili jakiegoś krótkiego spięcia" Okazać się słaby. Słaby przez Jedną chwilę; nie wolno jednak uchylić się od spłacenia długu, tego bowiem wymaga prawdziwa, rzeczywista uczciwość.

Domagając się, aby docent przyznał swą winę, i to pomimo braku dowodów, apelowałem do najlepszych stron jego natury. Mówiłem, że tylko poprzez karę zdoła on osiągnąć spokój wewnętrzny, poprzez karę zdoła zniweczyć rozmiar swego przewinienia.

Jest w naszej moralności i obyczajowości coś takiego, co sprawia, że skłonni jesteśmy niejednokrotnie bardziej potępić brak przyznania niż największą nawet przewinę. Przecież już w szkole mówiliśmy: „za co ojciec syna bił?”...

Jestem już człowiekiem starym. Być może nie potrafiłbym dziś mówić z głęboką wiarą w moc swych argumentów tak jak wtedy. Może też właśnie dlatego, odtwarzając we wspomnieniach naszą rozmowę, jestem w swych racjach mniej przekonujący, a jednak wtedy w moich słowach nie było naprawdę nawet krzty demagogii. Rzeczywiście wierzyłem, że przyznanie się dyrektora S., to najlepsze co on mógł i powinien był zrobić w imię określonych pryncypiów, jakimi nawet w najcięższych chwilach życia uczciwy człowiek powinien się kierować. Na zakończenie rozmowy sporządziłem protokół. Dyrektor S. do łapówki się przyznał.

— Całe życie myślałem, że jestem uczciwy — powiedział — ale tylko raz miałem okazję się sprawdzić, właśnie w czasie wizyty Bogdana N.

Było to wówczas dla mnie bardzo dużo pieniędzy. Ożeniłem się z młodą, ładną kobietą, którą kochałem i bałem się utracić. Byłej żonie pozostawiłem cały dorobek życia, musiałem zaczynać wszystko od nowa... Minutę po wyjściu Bogdana N. z mojego mieszkania wybiegłem na schody, chciałem mu jego pieniądze zwrócić, nie zdążyłem. Teraz jestem zadowolony, że się do tego wszystkiego przyznałem. Po raz pierwszy od tamtego dnia będę mógł spokojnie zasnąć.

Oskarżając docenta S. podczas procesu więcej mówiłem o jego postawie w śledztwie niż o samym przestępstwie. Miałem wrażenie, że mimo tej chwili słabości, a może nawet dzięki niej, Jerzy S. uzyskał rzeczywistą "okazję, żeby sprawdzić się do końca.

LISTY

W każdym Śledztwie prowadzonym przez prokuratora zeznają świadkowie i składają swe wyjaśnienia podejrzani. Jednych mimo upływu lat pamięta się lepiej, innych gorzej. Najczęściej nowe sprawy i nowi ludzie zacierają sylwetki swych poprzedników. Niekiedy jednak pamięta się kogoś bardzo długo, bo jakiś fragment sprawy obudził refleksje, pozostał w pamięci, wraca jako wspomnienie, czasem nawet nie bardzo wiadomo dlaczego.

Studenta Bogdana M. zapamiętałem wcale nie dzięki przebiegłej technice dość w gruncie rzeczy banalnego przestępstwa gospodarczego. Dyskutowałem swego czasu z kolegami o sprawie pewnego młodego człowieka, który zabił swą ukochaną tylko, a może aż dlatego, że odeszła do innego nie spełniając nadziei chłopca w jakże ważnej, bo uczuciowej sferze. Za zabójstwo w afekcie sąd wymierzył sprawcy tylko, a może aż pięć lat więzienia. Na tle tego wyroku rozmawialiśmy o cenie uczuć. Wówczas właśnie przypomniałem sobie Bogdana M.

Ponieważ chciałbym oprócz osobistych refleksji pokazać również pewne mechanizmy przestępczości,

i to różnego typu, zaczną od tego, co mianowicie Bogdan M. zbroił, pointę pozostawiając na koniec.

Dość intensywny swego czasu rozwój studenckiej spółdzielczości usługowej doprowadził w pewnym momencie do sporadycznych wynaturzeń, a gdzieś tam nawet do poważnych afer gospodarczych. Zaczęło się od tego, że zatrudniający studentów pracodawcy z życzliwości dla sympatycznych chłopców i dziewcząt przymykali czasem oczy na to, że ktoś gdzieś się „urwał”, czegoś w porę nie zrobił bądź zrobił mniej, niż powinien. Jeżeli studenci sprząтали np. pomieszczenia biurowe, cyklinovali podłogi, przy czym mie prywatnie, a w jakimś zakładzie czy instytucji — dobrotliwy pracodawca, aby zwiększyć nie najwyższe zarobki młodzieży, czasem dopisywał jednemu lub drugiemu jakieś fragmenty nie wykonanej pracy. W ten oto sposób 'za sprzątnięcie np. 500 m² podłóg płacono jak za tysiąc itd., benewolencja pracodawców kosztowała ich samych najmniej. Była to tylko cena życzliwości, jako że rzeczywistym płatnikiem rachunku okazywało się przecież w ostatecznym rozliczeniu państwo. Studenci nie byli od tego, żeby trochę więcej zarobić mniejszym kosztem, boć przecież podobna postawa bywa nie tylko właściwa ludziom, którzy zęby izjedli na życiu, ale niestety również niekiedy i młodzieży. Nie są to w gruncie rzeczy problemy wielkiego społecznego znaczenia. Ostatecznie gdyby podliczyć opłacony przez pracodawcę czas biurowy niejednego bardzo nawet poważnego urzędnika, to też mogłoby się niejednokrotnie okazać, że zrobił on mniej, niż za swoje pobory zrobić powinien, więc o co kruszyć kopię?

Sprawa staje się poważna wówczas, gdy studentom sprzątającym stumetrową powierzchnię pracodawca płaci tak jakby sprzątany był cały warszawski Pałac Kultury, i to jeszcze z okalającym go placem.

Wówczas właśnie mówimy już nie o błahym przekroczeniu, a o aferze, i takie się właśnie zdarzały.

Myślę, że autor pierwszego takiego pomysłu wpadł nań widząc niefrasobliwość życzliwych płatników. Jest to trochę tak, jak w historii o rybaku i złotej rybce, tyle że w bajce żądał tylko rybak, a zniechęcona rybka dała mu należytą odprawę, w życiu zaś złote rybki umiejące znaleźć przyjemność nie tylko w dawaniu, czasem wcale nie bywają bezinteresowne.

Pamiętam jedną z takich właśnie aferowych spraw, w której prowadziłem żmudne i długotrwałe śledztwo. W wielkim zakładzie przemysłowym trzeba było umyć szyby. Zaangażowano grupę studentów, którzy podjęli się realizacji zadania w ciągu dość krótkiego czasu, bo dwóch czy trzech miesięcy. Obowiązujący urzędowy system rozliczeń za wspomniany rodzaj usług wcale nie jest prosty. W grę wchodzi nie tylko zlecona do umycia powierzchnia, ale stopień trudności, dostęp do okna, rodzaj zabrudzenia, praca w niedzielę, święta itd; Jednym słowem, trzeba było ustalić właściwą cennikową stawkę, pomnożyć ją przez liczbę szyb i obliczyć należność. Afera polegała na tym, że szef studentów oraz odpowiedni szef fabryki doszli do porozumienia nie tylko co do zawężeń należnych wykonawcom zarobków, ale również sposobu, w jaki studenci powinni się za okazaną im hojność odwdziaczyć. Zmowa była zupełna, a w ramach porozumienia funkcjonowały tzw. martwe dusze, tyle że od gogolowskich dużo droższe i młodsze wiekiem. Studenci pisali w rachunkach wyssane z palca liczby okien, stawki brali z sufitu, a fabryka płaciła jak za tresowanego psa, bo i studenci nie byli skąpi. Pewnego dnia coś się w opisaney współpracy popsulo, ktoś chciał za dużo, ktoś dawał za mało i jakoś wszystko wyszło na jaw.

ar

Gdy otrzymałem doniesienie od organu kontroli, który dokładnie zbadał, ile setek tysięcy złotych studentom nadpłacono, wszcząłem w tej sprawie śledztwo, które trwało bodajże rok. Główni sprawcy afery zostali aresztowani, powołałem też biegłego, aby z cennikiem w rękę wnikliwie przyjrzał się wykonanej pracy i wydał ostateczną opinię, ile komu należało zapłacić i za co.

Jednym z głównych podejrzanych w sprawie był dwudziestokilkuletni student Bogdan M., bardzo inteligentny, rzutki i przystojny mężczyzna. W czasie przesłuchania zdając sobie sprawę, że nie sposób udowodnić, iż umyło się 10 tysięcy szyb, jeżeli w całej fabryce jest ich pięć razy mniej, Bogdan M. przyznał się do winy, wyjaśnił szczerze wszystko, o co go pytałem, i zrezygnowany zapytał, ile mu grozi za jego niecne praktyki? Nigdy nie lubiłem takich pytań. Adwokaci w podobnych sytuacjach odpowiadają klientowi: „Nie wiem, nie jestem wróżką”, uważają, że tak odpowiedzieć bezpieczniej. Niektórzy straszą, żeby móc później zdyskontować niższy od spodziewanego wyrok. Ja nie odpowiedziałem wprost, otworzyłem natomiast kodeks karny na stosownej stronie i odczytałem art. 201, bo z tego właśnie przepisu studenci mieli być oskarżeni. Mowa w nim o zagarnięciu mienia społecznego znacznej wartości, karna sankcja zaś jest niezwykle surowa. Mienie znacznej wartości w kodeksowym znaczeniu tego słowa to równoważnik co najmniej 100 tys. złotych, a za zagarnięcie takiej właśnie kwoty grozi kara pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat pięciu, przy czym sąd może skazać sprawcę za podobny czyn nawet na karę 25 lat pozbawienia wolności. Po otrzymaniu na swe pytanie tej ogólnikowej odpowiedzi student opuścił mój pokój i straciłem z nim kontakt na wiele długich miesięcy.

Dalsze przesłuchiwanie Bogdana M. nie miało już większego sensu, zająłem się więc innymi uczestnikami omawianej afery i byłbym o młodzieńcu zapomniał, gdyby jii pewne listy.

Jeczną z pracochłonnych i niezbyt przyjemnych funkcji prokuratora prowadzącego śledztwo jest niestety czytanie listów od i do swych podopiecznych. Listy zanim zostaną oddane adresatowi, przejść muszą prokuratorską cenzurę. Jeżeli aresztowany ma liczną rodzinę, dostaje często listów co niemiara, trzeba je wszystkie wnikliwie czytać, aby móc wykreślić ewentualne treści, mogące mieć ujemny wpływ na przebieg śledztwa. Czyta się również listy od osób aresztowanych do znajomych i krewnych, przede wszystkim pod kątem ochrony tzw. tajemnicy śledztwa, z tego powodu właśnie wspomniany student przysporzył mi dużo kłopotów. Dostawał on co prawda listy tylko od jednej osoby, ale za to bardzo długie i bardzo często, bo niemal codziennie. Pisała dziewczyna podpisująca się imieniem Beata, treść i układ korespondencji były komponowane według określonej konwencji. W pierwszej części informacyjno-sprawozdawczej panna pisała, gdzie była i co robiła od rana do zaśnięcia. Chłopiec jej — a przy okazji i ja — mogliśmy precyzyjnie śledzić jej każdy krok, zdawać z nią kolokwia i egzaminy, przesiadywać w akademickiej bibliotece, odwiedzać koleżanki, a nawet czytać przed spaniem, niemodną Rodziewiczównę, o ile pamiętam — „Dewajtis”, Pierwsza część listu przypominała zawsze protokół inwigilacji, tyle że była to autoinwigilacja.

Następne fragmenty listów miały charakter bardzo osobisty, było tam wiele o uczuciu, a szczególnie o jego trwałości. Dziewczyna pisała szczerze i bardzo pięknie. Zdawała sobie doskonale sprawę, że z powodu tak poważnego zarzutu jak kradzież roz-

J łąka z ukochanym będzie długa, ale wszystko to nie odgrywało żadnej roli: w listach zawarta była swoista teoria miłości doskonałej, oparta nie tylko na bezwarunkowych emocjach, ale i koncepcji, że obiekt uczuć jest kimś tak dalece niepowtarzalnym, że oczekiwanie jego powrotu rozumie się samo przez się.

W miarę rozwoju śledztwa, mającego, jak już wspomniałem, zdecydowanie aferowy charakter, aresztowałem coraz więcej osób, co nie pozostało bez wpływu na natłok korespondencji... Mimo że starałem się możliwie szybko cenzurować i posyłać przeczytane listy do więzienia, pozostawały jednak w nawale zajęć dość znaczne na tym odcinku zaległości. Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie poznałem osobiście wspomnianą dziewczynę. Przyszła do mnie z wielką prośbą, aby jej listy wysyłać jak najprędzej, dla uniknięcia zaś możliwych opóźnień spowodowanych przez pocztę ofiarowała się osobiście je do prokuratury dostarczać. Gdy zapytałem, czy chodzi być może o to, aby student nie powziął podejrzeń co do jej wierności, dziewczyna bardzo się obraziła oświadczając, że jeżeli ludzie naprawdę się kochają, to mają do siebie również nieograniczone zaufanie. Dotyczy ono nie tylko aktualnej lojalności, ale przede wszystkim trwałości i niezmienności uczuć, czego lojalność jest jedynie oczywistą i naturalną konsekwencją.

Kie byłem już wówczas człowiekiem młodym, a nadto, jeżeli nie z autopsji, to z lektury rozlicznych akt nieźle znałem życie. Przypomniałem sobie też wykłady profesora BUikiewicza, który na zajęciach z psychiatrii, na które kiedyś uczęszczałem, wypowiadał się o istocie uczuć pomiędzy mężczyzną a kobietą. Stary profesor twierdził, a myśmy mieli mu to wówczas za złe, że zakochanie to stan psychotyczny ostry, a miłość — przewlekły. Prawda jest, że przewlekłe schorzenia leczą się najtrudniej, czasem przez całe lata. Wszystko zależy jednak od mocy szczepionki, najlepsze zaś wyniki daje tzw. le- ~ czenie bodźcowe.

Spojrzałem na dziewczynę. Była to bardzo ładna i zgrabna brunetka, powiedziałbym nawet, że efektowna i na pewno bardzo w swym chłopcu zakochana. Ale to nie była jeszcze miłość, a dopiero pierwsze ostre jej stadium, podobno znacznie łatwiej poddające się leczeniu. Być może, nie powinienem tego robić, ale godząc się na ten specyficzny i przyspieszony tryb korespondencji, wyraziłem wątpliwość, czy jej stosunek do Bogdana M. przetrwa nie całe lata po wyroku, ale choćby okres śledztwa, które zapowiadało się jeszcze na długo. Moja rozmówczyni nie odpowiedziała nic, spojrzała jednak na mnie bez oburzenia, a o tym co sobie pomyślała, dowiedziałem się dopiero po kilku dniach.

Gdy przyszedłem rano do biura, sekretarka przyniosła mi kolejny list do Bogdana M. Tym razem obok części sprawozdawczo-informacyjnej i uczuciowej list zawierał treści dotyczące mnie osobiście. Studentka z właściwym sobie autentyzmem i szczerością opisała chłopcu przebieg naszej rozmowy. Na zasadzie zupełnej „ciekawostki przyrodniczej” (tak się wyraziła) przytoczyła moje powątpiewanie w stałość jej uczuć, po czym napisała, że bardzo się jej zrobiło mnie żal. „Jakiż ten człowiek musiał być w swym życiu nieszczęśliwy — pisała — jeżeli nikt go nigdy naprawdę nie kochał, żadna kobieta, przecież to autentyczny ludzki dramat”. Dziewczyna wcale nie chciała mnie urazić, myślała, że po prostu nie czytam już jej listów, wiedząc, że nie. pisuje ani o śledztwie, ani o niczym, co mogłoby podlegać cenzurze.

Be pfeesytaJiu zacytowanych słów ogarnęły mnie refleksje. Cóż, moja polemistka wszystko wiedziała lepiej. Jest to po prostu przywilej młodości. Ładnie też, że mnie, starego, pożałowała.

Śledztwo w omawianej sprawie trwało jeszcze pięć miesięcy, korespondencja tylko trzy. Gdy przed skierowaniem aktu oskarżenia zgodziłem się udzielić Bogdanowi M. pozwolenia na widzenie ze wskazaną przez niego osobą, poprosił o wezwanie matki. Zna- jąc adres dziewczyny zawiadomiłem ją, że student będzie określonego dnia w prokuraturze i że można się będzie z nim zobaczyć. Nie przyszła.

GWAŁT

Śledztwo w sprawie zgwałcenia studentki Stefanii R. pamiętam głównie dzięki wyjaśnieniom podejrzanego, które wprawdzie nie co do meritum, a raczej okoliczności towarzyszących, były wręcz szokujące.

Pewnej zimowej nocy, około godziny 3 nad ranem do domu rolnika, mieszkającego na skraju jednej ze wsi byłego powiatu pruszkowskiego, przybiegła córka gospodarza mieszkającego .o kilkaset metrów dalej. Była ona bez płaszcza, bez butów, miała rozerwaną sukienkę, a na twarzy w okolicy ust i nosa, liczne zadrapania. Dziewczyna płacząc powiedziała, że została zgwałcona, wszystko zaś zdarzyło się jakoby nie opodal domu, do którego wbiegła. Rolnik wprowadził Stefanię R. do pokoju, syna posłał po jej rodziców, sam zaś udał się na miejsce zajścia, skąd wkrótce przyniósł znaleziony tam płaszcz, buty i szalik, stanowiące własność ofiary. Gdy pokrzywdzona doszła do siebie, opowiedziała przebieg dramatycznych wyfiarztó, wskazując jednocześnie sprawcę, którym #kazst się blisko pięćdziesięcioletni rolnik'

z tejsze wsi, człowiek dotąd nie karany i cieszący się dobrą opinią.

Następnego dnia wpłynęło formalne doniesienie do miejscowego posterunku MO. Stefania R. złożyła wniosek o ściganie sprawcy przestępstwa i wszczęto w tej sprawie śledztwo.

Pokrzywdzona złożyła zeznanie przedstawiając przebieg wydarzeń. Otóż, wracała ona ostatnim pociągiem elektrycznym z dworca Warszawa-Śródmieście do Pruszkowa, aby następnie udać się do domu rodziców mieszkających we wsi położonej kilka kilometrów za miastem. W pociągu jechał również znany jej od dziecka rolnik Mikołaj Z. Mężczyzna ofiarował się odprowadzić ją do domu, bo sam mieszkał nie opodal i było mu nawet po drodze. Gdy zbliżyli się do pderwszych zabudowań wsi, sprawca dziewczynę przewrócił i mimo zdecydowanego oporu zdjął z niej płaszcz, na którym następnie doszło do stosunku. W pewnym momencie Stefania R. wyrwała się napastnikowi i pobiegła do najbliższych położonych zabudowań. Co było dalej — już wiemy.

Jeszcze tego samego dnia Mikołaj Z. został trzymany, nazajutrz zaś doprowadzony do Prokuratury w Pruszkowie, gdzie go przesłuchano. Rolnik nie kwestionował, iż pomiędzy nim a dziewczyną doszło do stosunku, twierdząc jednak, że wszystko odbyło się dobrowolnie i zupełnie nie rozumie, skąd pretensje. Przesłuchanie sprawcy było dość lakoniczne, przy czym dla ofiary nader obraźliwe. Oświadczył on mianowicie, że chodziło o zwykłą transakcję. Propozycja wyszła od Stefanii R.; koszty miały wynosić 200 zł, a on po prostu przystał, mc od razu zresztą, bo nawet dawał się prosić.

Wersja przedstawiona przez rolnika była dość nieprawdopodobna, nie dano mu też wiary i areesto- wano.

Pracowałem wówczas w Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie w tzw. nadzorze, mając pod opieką kilka Prokuratur powiatowych, a między innymi pruszkowską. W czasie jednego z wyjazdów inspekcyjnych zainteresowałem się sprawą Mikołaja Z. Postanowiłem wówczas uczestniczyć w jego kolejnym przesłuchaniu, którego dokonać miał kierownik rejonu tamtejszej Prokuratury. Tym razem rolnik okazał się bardziej rozmowny. Już na wstępie przyznał, że w całej tej pożałowania godnej sprawie nie jest on tak bardzo w porządku, jak wynikałoby to z jego dotychczasowych wyjaśnień.

— Panowie — powiedział — fakt jest faktem, że obiecałem dać te 300 zł i nie dałem. Ostatecznie nie będę się zapierał, bo co mi z tego przyjdzie. Mogę tylko wytłumaczyć, dlaczego nie dałem — wcale nie ze skąpstwa. Już po stosunku Stefania uznała, że mam jej dołożyć sto złotych i że ona może jeszcze raz. Ja odpowiedziałem: co z tego, że ty możesz, jeżeli ja już nie mogę i mam dosyć. Wtedy dziewczyna nastając na te 100 zł zaproponowała, że wszystko może odbyć się po francusku. Słyszałem już kiedyś, że coś takiego jest, ale nie wiedziałem, o co chodzi. Zapytałem więc jak to ma właściwie być? Gdy mi powiedziała, mnie to tak zbrzydziło, że postanowiłem nie płacić ani grosza.

Przyznam, że nie bardzo wówczas z prokuratorem M. rozumieliśmy, o co tu chodzi. Dlaczego Mikołaj Z. zdecydował się nie płacić, skoro przecież dziewczyna wywiązała się w pełni ze swych zobowiązań? Tak też mniej więcej sprecyzowaliśmy kolejne pytanie. Odpowiedź okazała się szokująca z obyczajowego punktu widzenia.

— Panowie — powiedział rolnik — ja cały czas uważałem, że ta Stefcia to porządna dziewczyna. Porządnej dziewczynie chciałem uczciwie zapłacić

208

i nawet już wyjąłem te 300 zł. Jednak gdy ona powiedziała o tej francuszczyźnie, zrozumiałem, że to wcale nie jest porządna dziewczyna, tylko po prostu k... A takiej nie warto dać ani złotówki.

Śledztwo w opisaney sprawie przybrało wkrótce inny obrót. Podejrzany szczegółowo opowiedział przebieg wydarzeń krytycznej nocy od chwili spotkania dziewczyny w pociągu do momentu rzekomego gwałtu. Stwierdził, że umowa, jaką zawarł z dziewczyną miała miejsce już na dworcu Śródmieście. Dla jej sfinalizowania partnerzy wysiedli w Ursusie, gdzie przez dwie godziny bezskutecznie poszukiwali tzw. chaty. Ponieważ usiłowania te spęły na niczym, pojechali taksówką do Pruszkowa, po czym pieszo poszli w kierunku wsi. Wówczas właśnie powstała koncepcja, aby rzecz sfinalizować na płaszczu, co się i stało.

Nie bardzo wierzyłem w przedstawioną wyżej wersję. Gdy jednak prokurator M. ustalił, że ostatni pociąg z dworca Śródmieście w kierunku Pruszkowa odjeżdżał około północy, dziewczyna zaś zaalarmowała świadków dokładnie o 3.15 rano — pozostały do rozliczenia trzy godziny, o których w zeznaniach pokrzywdzonej nie było ani słowa. Wystarczyło już tylko wezwać Stefanię R. i zapytać, co się w tym czasie działo. Przyznała się wówczas do fałszywego oskarżenia, którego dopuściła się z zemsty i wstydu. Obawiała się, że Mikołaj Z. może o wszystkim roz- powiedzieć we wsi i kto by się z nią wtedy ożenił.

Myślę że prokurator, który aresztował Mikołaja Z., uczynił to nieco pochopnie.

Z kolei pamiętam śledztwo przeciwko rzeczywistemu gwałcielowi Janowi W., którego we wstępnym stadium sprawy nie chciano aresztować. Nadzorowałem wówczas Prokuraturę w Nowym Dworze Mazowieckim. Gdy przeglądałem różne akta prowadzo-

.nych spraw, zgłosiła się do mnie Janina B., młody asesor tamtejszej Prokuratury. Chciała, abym rozstrzygnął różnicę zdań, jaka wystąpiła pomiędzy nią a szefem Prokuratury w jednej ze spraw o gwałt. I Mimo że od tamtej bytności w Nowym Dworze minęło już chyba blisko 20 lat, pamiętam dokładnie istotę sporu.

Asesor Janina B. nie uwierzyła zgwałconej kobiecie tylko dlatego, że wskazany sprawca przestępstwa był — jej zdaniem — człowiekiem starym, a w konsekwencji niezdolnym nie tylko do gwałtu, ale i do stosunku. Ponieważ uznałem, że jest to w gruncie rzeczy argument, zapytałem asesora B. Ileż on miał właściwie lat? I tu padła odpowiedź: czterdzieści dwa. Prowadząca śledztwo niedawno ukończyła studia, była młodą dziewczyną. Szef Prokuratury nie uznał jej racji i sprawcę gwałtu aresztował. Sąd nie bacząc na „podeszły” wiek gwałciciela wydał surowy wyrok.

A oto inna jeszcze, bardzo podobna rodzajowo sprawa, która o mały włos nie skończyła się tragicznie. Trzynastoletnia Gerda S. wysyłana była przez matkę do znajomej zamieszkałej dość daleko, w odległości kilku kilometrów. Dziewczynka miała tam bawić dziecko przez kilka godzin dziennie w czasie, kiedy matka malucha pracowała w polu. Gerda przebywała z dzieckiem najczęściej na łące, a gdy padał deszcz — w mieszkaniu owej znajomej, znajdującym się w tym samym budynku co biura miejscowego Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Opieka nad cudzym dzieckiem i to w zasadzie za darmo, a nadto w najatrakcyjniejszych miesiącach roku, nie należy do szczególnych rozkoszy. Gerda nie była ze swej pracy zadowolona; trudno jej jednak było przeciwstawić się rodzicom, jako że była dzieckiem posłusznym.

210

Pewnego dnia, gdy matka malucha wróciła z pola, zastała dziewczynę zupełnie roztrzęsioną. Opowiedziała ona przerażonej kobiecie, że spotkała ją rzecz straszna. Gdy tylko została sama z dzieckiem, otworzyły się drzwi mieszkania i w progu stanął urzędujący po sąsiedzku księgowy PGR-u, mężczyzna poważny, żonaty, dzieciaty, a jednak... Księgowy wszedł do pokoju, zamknął drzwi na klucz, który następnie schował do kieszeni po czym, nie zważając na opór Gerdy, skutecznie ją zniewolił. Dziewczyna nie krzyczała, bo bała się wstydu. Później już tylko płakała oczekując na powrót gospodyni z pola, aby o swym pohańbieniu opowiedzieć. Kilka minut później wszyscy wokół wiedzieli, co się stało. Oburzenie było ogromne, przede wszystkim dlatego, że zgwałcona dziewczyna — jakkolwiek wyrośnięta — była przecież dzieckiem. Rodzice Gerdy zabrali córkę i pojechali z nią do prokuratury. Niebawem odbyło się badanie ginekologiczne, potwierdzające wersję pokrzywdzonej, lekarz stwierdził deflorację oraz charakterystyczne zasinienie wewnętrznej powierzchni ud, mogące wskazywać na użycie przez -sprawcę siły fizycznej. Zeznania, które Gerda złożyła przed prokuratorem, były zwarte i konsekwentne, przedstawiona zaś wersja wydarzeń dość prawdopodobna. Nie można się też było dopatrzeć motywu ewentualnego fałszywego oskarżenia, dziewczyna bowiem księgowego w ogóle uprzednio nie знаła i trudno było przypuścić, by miała do niego o coś złość.

Następnego dnia po badaniu ginekologicznym pokrzywdzonej, księgowy Zygmunt R. został wezwany do prokuratury | po przesłuchaniu, w toku którego wszystkiemu zaprzeczył — zatrzymany. Nie był to jeszcze tzw. areszt tymczasowy, a zatrzymanie do dnia następnego; postanowiono bowiem dokonać

211

wizji lokalnej na miejscu zajścia i wówczas zacytować o dalszych losach podejrzanego.

Nie prowadziłem w tej sprawie śledztwa. Postępowanie nadzorował prokurator B., który urzędował w tym samym co ja pokoju i stąd moja znajomość wszystkich okoliczności sprawy.

Księgowy podczas pobytu w prokuraturze zachowywał się histerycznie, nieustannie powtarzał, że jest niewinny. Odnosiło się jednak wrażenie, że nie mówi prawdy i to nie tylko ze strachu, ale również i nie ze wstydu za swój czyn, o którym wiadano w okolicy i mówiono z oburzeniem.

Każdy doświadczony prokurator o długoletnim stażu pracy niejako intuicyjnie wyczuwa, czy podejrzany nie przyznający się do winy kłamie, czy mówi prawdę. W sformułowaniu „intuicyjnie” jest pewien skrót myślowy. Istota wspomnianej przenikliwości sprowadza się do tego, że istnieje jakiś typowy model zachowania się i reagowania na zebrane dowody człowieka winnego i posądzonego niewinnie. Wspominałem już co prawda w innych moich opowiadaniach o tym, że intuicja niekiedy zawodzi nawet mimo ogromnego doświadczenia życiowego i zawodowego. Zawodzi bowiem niekiedy znany z praktyki model ludzkich zachowań i zawsze — nawet jeżeli podejrzany sprawia wrażenie człowieka kłamliwego — trzeba brać poprawkę na margines jakże prawdopodobnego błędu w ocenie jego postawy.

Prokurator B. należał do ludzi ostrożnych. Nie zdecydował się na aresztowanie księgowego przed dokonaniem wizji, odkładając decyzję na dzień następny. Kilka godzin przed zarządzoną wizją stało się coś zaskakującego — zatrzymany w areszcie podejrzany, przy użyciu do tego celu własnej koszuli, powiesił się na klamce drzwi od celi. Minutę, a może dwie, po utracie przez samobójcę przytomności, korytarzem aresztu przechodził milicjant. Dzięki bezzwłocznej interwencji znajdującego się przypadkiem na miejscu lekarza zdołano księgowego uratować. Próba samobójstwa podziałała na wszystkich zupełnie jednoznacznie. Jeżeli jeszcze poprzedniego dnia ktoś miał wątpliwości, czy podejrzany jest winien — to jego krok wątpliwości te rozproszył. Ludzie mówili: jeżeli niewinny, to by się nie wieszał, a wykazywał swą niewinność. Śmierć miała stanowić ucieczkę przed wyrzutami sumienia, wymierzenie samemu sobie sprawiedliwości tak, aby uniknąć wstydu, rozprawy, a w szczególności wizji lokalnej, o której oburzeni ludzie skądś się dowiedzieli i w której zapewne tłumnie by uczestniczyli.

Właściwie to chyba tylko mój kolega prowadzący śledztwo odczytał samobójczą próbę księgowego odmiennie niż wszyscy, łącznie ze mną. Miałem wrażenie że zaczął on domniemanemu sprawcy wierzyć.

Dajmy jednak spokój rozważaniom na temat opinii nie opierających się na konkretnych dowodach. Mają one niewielkie znaczenie dla prokuratorskich decyzji czy rozstrzygnięć — zawsze liczą się tylko fakty i to dokładnie sprawdzone.

Pierwszym ważnym sygnałem, że dziewczyna być może kłamie, było obejrzenie drzwi pokoju, w którym rzekomo nastąpił gwałt. Okazało się mianowicie, że w ogóle nie ma w nich klucza, natomiast dziurka od klucza zapchana była skrawkiem starej gazety sprzed kilku lat, nie wyjmowana od dawna. Obecna w czasie wizji dziewczyna zaczęła nieco zmieniać treść swych zeznań. Mówiła, że księgowy nie zamknął wprawdzie drzwi na klucz, jak uprzednio w zdenerwowaniu opowiadała, zamknął je jednak na haczyk, co było notabene możliwe, ponieważ można było w taki sposób zamknąć od wewnątrz badane drzwi. Zmiana przez pokrzywdzoną wersji klucz-

H«

-haczyk uczyniła jej zeznanie znacznie mniej wiarygodne, również co do meritum sprawy. Każdy świadek może się oczywiście mylić, co wcale nie omacza, że sMąjał. Po wizji pjkurs.tor S- ustalili, kto krytycznego dnia odwiedzał księgowego rano w jego biurowym pjkoku. Sprawa nie była. łatwa, interesantów bowiem przewinęło się wielu. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Zdołano jednak ustalić, do której godziny od momentu rozpoczęcia urzędowania księgowy ani przez chwilę nie był sam. (Ostatnimi interesantami, którzy opuścili jego pokój, byli dwaj rolnicy — Józef S. i Krzysztof Z. Wyszli [oni z pokoju księgowego punktualnie o 12, a ponieważ spieszyli się na autobus PKS, który odchodził o 12.10 — dokładnie zapamiętali godzinę wyjścia z pomieszczeń PGR. Wówczas pokrzywdzona zmieniła jeszcze jeden fragment swego dotychczasowego zeznania. W pierwszym przesłuchaniu jako godzinę czynu podała 11, później nie wykluczała, że przestępstwo dokonane zostało kilka minut po 12, zresztą dokładnie nie wiedziała, ponieważ żadna zgwałcona ofiara nie spogląda, rzecz jasna, na zegarek. Matka dziecka, którym się dziewczyna opiekowała, nie mogła podać dokładnej godziny powrotu z pola i sprawa utknęła na martwym punkcie.

Wszystko wyjaśniło się dopiero wówczas, gdy ponownie przesłuchani — Józef S. i Krzysztof Z. oświadczyli, że wychodząc z budynku, gdzie urzędował księgowy, przechodzili obok okna mieszkania, w którym płakało dziecko, a jakaś dziewczyna lamentując opowiadała starszej kobiecie, że spotkała ją nieszczęście. Świadkowie nie przysłuchiwali się tej rozmowie, ponieważ spieszyli się do autobusu.

1 tu rzecz charakterystyczna, Trzynastoletnia Gerda okazała się podczas następnego przesłuchania

w prokuraturze agresywna i drapieżna. To już nie było biedne, skrzywdzone dziecko, a tygrys.

— Panie prokuratorze — krzychała ■— ci dwaj kłamią! Na pewno zostali namówieni albo przekupieni przez księgowego! Nie ma tak dobrze, żeby się wykręcić!

Kilka godzin jeszcze trwała rozmowa z dziewczyną, nim przyznała się ona do fałszywego oskarżenia, a nawet podała motyw swojego czynu. Otóż, Gerda nie chciała bawić dziecka — wolała inne rozrywki. Wykombinowała sobie, że oskarżenie księgowego o gwałt załatwi sprawę i rodzice na pewno nie będą jej już więcej posyłać do budynku, w którym urzęduje tak podły człowiek. Przyznając się do swego przestępstwa Gerda wyjaśniła również, że sprawcą defloracji był szesnastoletni chłopiec z sąsiedztwa, z którym spotkała się w przeddzień swego oskarżenia. Właśnie z nim chciała się spotykać, a nie bawić dziecko — stąd cała afera.

Takie to bywają w życiu okoliczności. A przecież milicjant, który zauważył samobójcę, mógł nadejść 5 minut później, lekarza mogło w ogóle nie być i niewinny człowiek przypłaciłby oskarżenie życiem.

Swoją drogą w latach mojej prokuratorskiej pracy sprawy o zgwałcenia były dużo bardziej kameralne niż dziś. Gwałty zbiorowe należały do zupełnej rzadkości, przeważały indywidualne, a wśród nich — z punktu widzenia okoliczności sprawy — niejednokrotnie bardzo dziwne. Prowadząc osobiście wiele tego typu śledztw, zawsze pamiętałem znamienne słowa jednego z komentatorów przedwojennego kodeksu karnego: „Sprawy o zgwałcenie są największym cmentarzyskiem omyłek karzącej sprawiedliwości”.

W POCIĄGU

Na przykładzie jednego z prowadzonych śledzi o zabójstwo przekonałem się, jak dalece nie wolno lekceważyć czynności, których niepowodzenie wydaje się z góry przesądzone. Sprawa zaczęła się od znalezienia zwłok młodego jeszcze mężczyzny. Znajdowały się one w rowie, kilka kilometrów od podwarszawskiej miejscowości Czachówek, właściwie w szczerym polu. Przy zabitym nie znaleźliśmy żadnych wartościowych przedmiotów, nie było też do-, kumentów. Z oględzin zwłok wynikało niezbicie, że ofiara uderzona została tępym narzędziem w tył głowy. Brak śladów walki wskazywał na zaskoczenie. Wkrótce zwłoki zostały zidentyfikowane. W jednej z warszawskich komend dzielnicowych MO zgłoszono, że Jerzy S., dyrektor poważnego stołecznego przedsiębiorstwa handlowego, nie wrócił na noc do domu. Nie było go też następnego dnia w pracy, co bardzo zaniepokoiło rodzinę. Gdy okazano żonie Jerzego S. znalezione w rowie zwłoki, nie było już żadnej wątpliwości co do tożsamości zabitego. Prawdliwość rozpoznania potwierdzili również inni świadkowie.

Śledztwo rozpoczęto od ustalenia, kto i kiedy ostatni raz widział Jerzego S. żywego. I ta czynność nie nastęczała trudności. Okazało się, że na 3 dni przed znalezieniem zwłok dyrektor uczestniczył w pewnej służbowej naradzie, która zakończyła się dopiero w godzinach wieczornych. Kierowca Jerzego S. zeznał, że dyrektor wszedł do samochodu sam, kazał zawieźć się prosto do domu, ale po drodze zmienił zdanie. Jerzy S. wysiadł nie opodal dworca PKP Warszawa-Śródmieście oświadczając kierowcy, że dalej pójdzie pieszo. Był letni ciepły wieczór, pogoda w sam raz dla ożywczego spaceru przed snem. Później już nikt nie widział Jerzego S. Właśnie tegoż dnia nie wrócił on na noc do domu i ślad po nim zaginął.

W pierwszej fazie śledztwa, które osobiście nadzorowałem, milicja zajęła się ustaleniem, kto mieszka w odległości mniej więcej kilometra od miejsca znalezienia zwłok. Okazało się, że w promieniu kilkuset metrów od wspomnianego miejsca położonych jest pięć domów zamieszkałych przez rolników i jedna rudera, w której mieszkała młoda dziewczyna pracująca w Warszawie. Wraz z nią przebywali od pewnego czasu dwaj młodzi chłopcy, nigdzie nie pracujący, skazani już uprzednio na pobyt w zakładzie poprawczym za bójki i drobne kradzieże.

Ponieważ śledztwo rozwijało się wielopłaszczyznowo i badano jednocześnie różne okoliczności sprawy, ustalenia dotyczące mieszkańców okolic Czachówka dokonane zostały co najmniej po tygodniu od chwili ujawnienia sprawy. Przyjąłem wówczas bardzo prawdopodobną wersję, że mieszkańcy zrujnowanego domku mogą mieć coś wspólnego ze śmiercią Jerzego S., tym bardziej że, jak ustalono, dziewczyna „dorabiała” nierządem. Klientów swych zwykła była werbować w okolicy warszawskiego dworca Śródmieście i przywozić pociągiem elektrycznym do niezbyt odległego Czachówka.

Przyjąłem wówczas założenie, że Jerzy S. spotkał na swej drodze Marię K. i został jej klientem. Tylko taka wersja mogła uzasadnić fakt znalezienia się dyrektora w Czachówku, nie miał tam bowiem ani znajomych, ani spraw, które należało załatwić o tak późnej godzinie. Z drugiej jednak strony cała ta koncepcja zakrawała na absurd. Jerzy S. był przystojnym młodym człowiekiem miał ładną i sympatyczną żonę, jak również przyjaciółkę, z którą spędzał wolne chwile. Natomiast Maria K. była odrażająca. Spa-

cerowała zwykle po służbie w okolicach hotelu „Polonia”, ubrana w poplamiony długi tramwajarski szynel i chustkę na głowie. Gdy wezwałem ją na przesłuchanie, zwątpiłem w przedstawioną wyżej wersję wydarzeń — § tak bardzo wydała mi się ta kobieta odrażająca.

Pamiętam, mimo upływu wielu lat, że miała brzydką końską twarz, wystające kości policzkowe i.,, tylko jeden ząb na przodzie. Krótko mówiąc nie mogłem sobie wyobrazić, by dyrektor S. zapragnął właśnie z nią spędzić gorącą letnią noc i to jeszcze W oddali od Warszawy.

Przesłuchanie Marii K. było bardzo krótkie. Na zadawane pytania odpowiadała monosylabami. Gdy próbowałem ustalić, gdzie była i co robiła w dniu zaginięcia Jerzego S., oświadczyła, że po prostu nie pamięta, bo i skąd. Muszę przyznać, że sam miałbym trudności z odpowiedzią o sposób spędzenia czasu dwa czy trzy tygodnie przed postawieniem mi takiego pytania. Na ogół ludzie nie pamiętają, a jak już ktoś potrafi dokładnie podać swe alibi sprzed tygodni, to taka odpowiedź z reguły jest nieprawdziwa, a alibi fałszywe.

Uczestniczyłem w przesłuchaniu młodych ludzi, którzy mieszkali w domku dziewczyny. Ci również A nie potrafili powiedzieć, gdzie byli krytycznej nocy. Żyli przecież niejako doraźnie, byli niestabilizowani, mogli więc być wszędzie. Pozostała jeszcze rewizja, w której również uczestniczyłem osobiście. ; Przetrzęsaliśmy cały domek, na szczęście jednoizbowy wzdłuż, i wszerz. Pamiętam, że było tam strasznie brudno. Maria K. nie miała nawet łóżka. Wszyscy domownicy spali na wspólnym barłogu na ziemi. Rewizja nie przyniosła żadnych rezultatów. Nie znaleźliśmy żadnych przedmiotów, które mogłyby na- I leżeć do ofiary, jak również śladów, by w mieszka* 1

niu dokonano zabójstwa. Niepowodzenie tej czynności przy jednoczesnym kategorycznym zaprzeczeniu, by domownicy kiedykolwiek widzieli Jerzego S., stawiało pod znakiem zapytania może nie tyle przyjętą w śledztwie wersję, co możliwość jej udowodnienia. W istniejącym stanie sprawy trudno było nawet zastosować "wobec chłopców i dziewczyny areszt tymczasowy, nic bowiem nie wskazywało na powodzenie dalszych czynności dla udowodnienia im winy. W gruncie rzeczy nie było nawet koncepcji takich czynności, przecież wszystko już zrobiliśmy.

Każdy prowadzący śledztwo ma chwile, w których intuicyjnie przekonany jest, że znalazł jeżeli nie rozwiązanie, to właściwy trop, a jednocześnie jest zupełnie bezradny. Właśnie tak czułem się wracając samochodem z Czachówka w obliczu pełnego niepowodzenia przeprowadzanej rewizji. Wydawało mi się wówczas, że poszukiwanie morderców Jerzego S. w innym środowisku musi okazać się chybione i sprawę trzeba będzie umorzyć.

Po przyjeździe do domu myślałem bardzo intensywnie, co można jeszcze zrobić. Wówczas właśnie przyszedł mi do głowy pomysł, żeby okazać wszystkim konduktorom PKP linii Warszawa-Czachówek fotografię dyrektora S. — a nuż któryś go pozna. Koncepcja ta była w pewnym sensie karkołomna, jeśli zważyć, że przy tej właśnie linii PKP mieszka bardzo wiele ludzi pracujących w Warszawie. Konduktorzy widują codziennie tysiące pasażerów. Jerzy S. był jednym z tłumu, jakże więc ktokolwiek mógłby go zapamiętać? Mimo beznadziejnych rokowań Wspomnianej Czynności zaprosiłem do siebie kilkunastu wytypowanych pracowników PKP, którym okazałem fotografię Jerzego S. pytając, czy zwrócili może uwagę na podobnego pasażera. Moi świadkowie z góry zastrzegli się, że to niemożliwe. Jerzy

#

S. nie miał ani w twarzy, ani w sylwetce niczego, co mogło wbić się w pamięć. A jednak nastawałem, aby moi rozmówcy zmobilizowali swą pamięć, mówiłem też, że idzie o dużą stawkę, śledztwo bowiem dotyczy zabójstwa.

W pewnej chwili kierownik pociągu Jan E. zadał mi pytanie:

— Proszę pana, czy ten mężczyzna nie jechał w towarzystwie kobiety?

Mimo że chwila pełna była emocji, uchyliłem się od odpowiedzi mówiąc:

— Nie wiem. Jeżeli pan coś pamięta, proszę opowiedzieć.

Jan E. chwilę się zastanawiał, po czym zrelacjonował mi następujące zdarzenie, które — jak twierdził — utkwilo mu w pamięci.

— Prowadziłem właśnie ostatni pociąg do Caa- chówka — powiedział. — Stałem na pomoście prawie | pustego wagonu. Nie opodał mnie zauważyłem bardzo dziwną parę. Elegancko ubrany mężczyzna trzymał za rękę bardzo szpetną dziewczynę. Ona coś do niego mówiła i wówczas stwierdziłem, że mimo młodego wieku jest chyba zupełnie bezzębna. Para ta wydała mi się na tyle dziwaczna i tak do siebie nie pasująca, że wzbudziła moje zainteresowanie.

W pewnej chwili mężczyzna wszedł do ubikacji, a dziewczyna błyskawicznie wbiegła do przedziału. Obejrzałem się i zobaczyłem, że mówi ona coś szybko do dwóch młodych chłopców, którzy siedzieli wewnątrz wagonu, tuż przy pomoście. Zanim ten elegancki mężczyzna wyszedł z ubikacji, kobieta w szynelu znalazła się na pomoście i zapaliła papierosa. Na stacji Czachówek dziwaczna para wysiadła, a za nimi ci dwaj chłopcy. Tyle widziałem.

I to już wystarczyło. Następnego dnia aresztowałem całą trójkę pod zarzutem zabójstwa. Cała koncepcja

cała koncepcja zarzutu oparta była na jednym tylko świadku. Myślę, że gdybym nie uzyskał w sprawie innych dowodów, akt oskarżenia byłby na pewno zbyt wątki. Wówczas to prokurator K. z Piaseczna jeszcze raz udał się do opustoszałego domku na rewizję. Tym razem sprawdzono wszystko, centymetr po centymetrze, a gdy zburzono prowizoryczny piec z cegieł, doszło wreszcie do wyniku. Prokurator K. znalazł ukrytą obrączkę Jerzego S. To wystarczyło, aby podejrzani przyznali się do winy. Dokonaliśmy na miejscu rekonstrukcji wydarzeń.

Okazało się, że gdy Maria K. prowadziła swego klienta przez pole, zza drzewa wyskoczyli dwaj chłopcy uderzając ofiarę zniemacka kamieniem w głowę. Następnie dokonano rabunku i zaciągnięto już nieżywego do rowu, położonego kilkaset metrów od miejsca zbrodni.

Tak oto wykrycie sprawców zabójstwa Jerzego S. było konsekwencją czynności pozornie bez szans. Okazało się, jednak tylko pozornie, z czego wniosek, że nawet cień prawdopodobieństwa pozytywnego wyniku powinien przesądzić o podjęciu czynności śledczej nawet najbardziej pracochłonnej.

PIENIACZE

Czasem zjawiali się przed moim prokuratorskim biurkiem dziwna ludzie. Otwierali opasłe teczki, niekiedy nawet walizki, wyciągali z nich ogromne ilości papierów, załączników, listów, a nawet wycinków z gazet, po czym posługując się przyniesioną dokumentacją wyłuszczeni swą kwestię.

Byli to psychopaci-peniacze, których można zawsze łatwo i bezbłędnie rozpoznać m.in. dzięki całej „kancelarii”, jaką nosili ze sobą nie rozstając

r/i & #

się nigdy z dokumentacją prowadzonego sporu. Pieniaczy identyfikowałem również po wielotorowości przedsięwziętych działań. O ile normalny człowiek dochodzi swych praw przed określoną kompetentną instancją, o tyle psychopata-pieniacz angażuje w swą sprawę wszystkich, a więc liczne redakcje pism, biura skarg i zażaleń, organa wymiaru sprawiedliwości, Sejm, Radę Państwa, słowem każdy urząd, do którego można napisać z żądaniem interwencji.

Każdego pieniacza charakteryzuje całkowity brak krytycyzmu wobec przedstawionych racji, nawet zupełnie absurdalnych. Nie sposób powiedzieć mu, że się myli. Na takie dictum człowiek staje się w pojęciu pieniacza po prostu wrogiem, i to zapewne przekupionym, prowadzona zaś przez psychopatę akcja obejmuje wówczas niechętnego mu urzędnika na równi z innymi rzeczywistymi i wymagowanymi wrogami.

Zawsze wówczas, gdy miałem przed sobą pieniacza i gdy stwierdziłem, że jego krzywdy są urojone, stałem się przekonany, że nie tyle o braku po jego stronie racji (tę mu przyznawałem), ile o mojej bezsilności. W ten sposób pieniacz był mi życzliwy i dość łatwo się go pozbywałem. Udawał się po pomoc do innych władz. Moi koledzy, którzy próbowali udowodnić pieniaczowi bezsens jego skarg, sami dostawali się w ich orbitę. Psychopata dotknięty do żywego pisał do wszystkich możliwych urzędów o sprzedajności prokuratorów, którzy celowo nie załatwiają jego słusznym roszczeń. Wspomnę jeszcze, że cechą charakterystyczną każdego pieniacza jest nader obraźliwy dla urzędników ton jego korespondencji. Używa on w niej z reguły obelg, jakich człowiek normalny w skargach czy zażaleniach składanych na ręce władz unika.

Pierwszy psychopata-pieniacz, z jakim się w swej pracy zetknąłem, był rolnikiem. Włodzimierz L. zjawił się u mnie z wnioskiem o uchylenie decyzji prokuratora powiatowego w Ostrołęce, który umorzył postępowanie w sprawie śmierci jego dwunastoletniego syna uznając, że chłopiec popełnił samobójstwo. Umorzenie postępowania było zasadne. Z okoliczności sprawy, które zbadałem, wynikało niezbitie, że chłopiec powiesił się pod wpływem przykrości, jakich doznał w szkole. Powiedziałem to Włodzimierzowi L., ale on miał własną koncepcję zdarzeń. Według jego zupełnie dowolnych i gołosłownych oskarżeń dziecko miało jakoby zostać zamordowane, a ściśle mówiąc powieszona przez mieszkającą po sąsiedzku samotną starą kobietę Reginę F. Jako motyw zbrodni rolnik sugerował, prawdziwy zresztą fakt, iż jego syn, podobnie zresztą jak inne dzieci we wsi, bezlitośnie przezywał staruszkę, wołając na nią: „francowata”, nie miała ona rzeczywiście gładkiej cery, lecz całą w pryszczach. W czasie pierwszej wizyty ojca powieszzonego dziecka nie zorientowałem się, że mam do czynienia z pieniaczem. Poleciałem nawet sprawdzić podaną przez niego wersję, która w wyniku dokonanych czynności okazała się zupełnie bez sensu. Gdy mu to w czasie kolejnej wizyty oględnie powiedziałem, akcja pieniacza wybuchła na dobre. Rolnik zaczął pisać do mnie dziesiątki skarg na miejscową milicję, prokuraturę powiatową, sprzyjających staruszce sąsiadów, słowem — na każdego kto nie akceptował jego koncepcji i pozwalał sobie w nią wątpić. Włodzimierz L. miał zeszyt prowadzonej korespondencji, książkę wysyłanych skarg i listów oraz repertorium ponumerowanych odpowiedzi. Ogarnęła go bez reszty pasja doprowadzenia domniemanej morderczyni na ławę oskarżonych. Doszło do tego, że zjawił się u mnie trzy tygodniowo, zaangażował dwóch adwokatów, aby w jego imię

niu pisali skargi, zupełnie zaniedbał swoje gospodarstwo, przestał bywać w domu. Wówczas wezwałem do siebie żonę Włodzimierza L. Przeprowadziłem z nią rozmowę, na wynik której bardzo liczyłem. Kobieta w przeciwieństwie do jej męża, który uważał mnie już za osobistego wroga na usługach zbrodniczej staruszki, odniosła się do moich uwag życzliwie i ze zrozumieniem:

— Panie prokuratorze — powiedziała — ja już z moim starym nie mogę wytrzymać, tak go coś opętało. Dziecko się powiesiło, oplakaliśmy je. Widać " Bóg tak chciał. A on sobie ubzdurał, że to ta „fran- oowata". Przecież to przyzwoita kobiecina, która nigdy nikogo by nie skrzywdziła...

Bolniczka oczywiście nie wierzyła w wersję sugerowaną przez męża. Żaliła się też, że zamiast orać — bo akurat był na to czas — biega on po adwokatów i zwraca ludziom głowę, nie mówiąc już o kosztach. Na zakończenie wizyty prosiła mnie, " abym męża nawet zamknął, żeby się uspokoił i wziął się za pracę.

Wkrótce po tej ważnej rozmowie, w wyniku przesunięć służbowych, straciłem kontakt z omawianą sprawą i przez blisko rok nie znałem jej losów. Pewnego dnia zauważyłem na korytarzu prokuratury i tury małżonków K., którzy zgodnie oczekiwali na szefa prokuratury wojewódzkiej. Zwróciłem się do żony rolnika z zapytaniem: — No i co, nie wpłynęła pani na męża, żeby wreszcie zaprzestał swych skarg?

Okazało się, że nie tylko nie wpłynęła, ale sama dołączyła się do jego akcji pieniacej. Wierzyła już święcie, tak jak mąż, w winę staruszki, stała się wobec tej wersji zupełnie bezkrytyczna, a mnie dołączyła do grupy współników zbrodni.

224

Na wykładach z psychiatrii sądowej profesor B twierdził, że psychopatia pieniacza indukuje na najbliższe otoczenie. Mówił on, że pieniacz jest w stanie przekonać swych najbliższych, ludzi skądinąd zrównoważonych i rozumnych, że tylko on ma rację, choćby wbrew oczywistym faktom.

Gdy odszedłem od siedzących na korytarzu małżonków L. byłem pewny, że profesor miał słuszność.

Mimo dość dużej grupy pieniaczy, jakich znałem, kilku utkwiło mi w pamięci do dziś, szczególnie zaś dr T. Był to jegomość w starszym wieku, humanista, przed laty nawet naczelny redaktor jednej z gazet. Doktor T. miał młodą, dwudziestokilkuletnią żonę, studentkę, której zdarzyło się jechać tramwajem bez ważnego biletu miesięcznego. Pech chciał, że w tramwaju zjawił się kontroler, który spisał protokół i Zofii T. bilet zatrzymał. Po pewnym czasie otrzymała ona wezwanie z dyrekcji MZK przy ul. Młynarskiej celem złożenia wyjaśnień...

Pismo to stało się początkiem blisko dwuletniej akcji pieniacej dra T. przebiegającej notabene dość energicznie. Zaczął on od skargi do dyrektora MZK na podległą mu służbę ruchu dowodząc, iż wezwanie jego żony miało na celu dokonanie czynności niegodziwych, i to w sferze seksualnej. Gdy adresat na skargę nie zareagował, dr T. rozwinął swą akcję szerzej. Przede wszystkim włączył dyrektora MZK w orbitę tych, którzy chcieli uwieść mu żonę, po czym tej treści skargę skierował do Ministra Gospodarki Komunalnej, któremu tramwaje podlegały. Gdy i tu nie znalazł zrozumienia, psychopata zaczął słać pisma i doniesienia do najwyższych władz państwowych domagając się sprawdzenia, czy w dyrekcji MZK nie ma aby łóżka lub kozetki, gdzie nieczne praktyki urzędników mogłyby być skutecznie realizowane.

Tak oto zetknąłem się z drem T., przeciwko któremu wpłynęło doniesienie znieważonych urzędników domagających się ścigania za pomówienie o działania, do których się nie poczuli. Wezwałem go wówczas do siebie i przesłuchałem w charakterze podejrzanego, dysponowałem bowiem wnioskiem MZK o ściganie, przez co sprawa toczyła się z oskarżenia publicznego. Doktor T bardzo się z wizyty u mnie ucieszył żądając, abym bezzwłocznie aresztował dyrekcję MZK i ukrócił sugerowane przez niego bezceństwa. Gdy wyjaśniłem mu przeciwko komu mianowicie prowadzę sprawę, bardzo się zdziwił, po czym natychmiast po przesłuchaniu skierował cały pakiet skarg, tym razem przeciwko mnie jako temu, który zapewne pozostając w zмовie z pracownikami MZK uczestniczy w ich procederze.

Profesor B. podczas wykładów z psychiatrii sądowej twierdził, że psychopatia pieniacza nie będąca chorobą psychiczną, przebiega jednak na kształt paranoi i że pieniacz — podobnie jak paranoik — nie jest w stanie ani rozumieć znaczenia swych czynów, ani kierować swym postępowaniem. Zdaniem profesora B. żaden pieniacz nie może opanować i -zatrzymać swej akcji. Bez względu na okoliczności musi pisać skargi i nic miu w tym przeszkodzić nie może.

Przedstawiony pogląd krytykowany był przez znakomitego praktyka psychiatrii sądowej, ówczesnego dyrektora Szpitala Psychiatrycznego w Tworkach, dra Feliksa K. Twierdził on mianowicie, że jakkolwiek rzeczywiście pieniacza nie można przekonać o braku racji, to jednak można go w jego działaniu powstrzymać.

Znając przytoczony pogląd dra K. poprosiłem go o konsultację w prowadzonej sprawie o zniesławienie urzędników MZK, oraz o zaopiniowanie stanu psychicznego dra T. Wkrótce odbyło się badanie. Doktor K. pozostając z podejrzanym sam na sam nie ujawnił, że jest lekarzem, i badany uważał, że sprawą jego zajmuje się inny prokurator. W czasie rozmowy, przeprowadzonej dość brutalnie, badający o- świadczył podejrzanemu, że abstrahując od jego racji, napisanie choć tylko jednej jeszcze skargi po- ciągnie za sobą internowanie skarżącego w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych, i to na długie lata.

Doktor T. był oburzony, ale i wyraźnie przestraszony. Po jego wyjściu psychiatra zapewnił mnie, że więcej już skarg nie będzie, bo — jego zdaniem — pieniacza można w jego działaniu zatrzymać, tylko bodziec musi być odpowiednio silny.

Okazało się, że dr K. miał rację. Od tej pory nigdy już więcej żadna skarga na dyrektorów MZK nie wpłynęła, nie wpłynęła także skarga na tych, którzy dra T. przestraszyli — na mnie również.

Grzegorz C., człowiek, którego pasją było pisanie skarg, zdobył pracę absolutnie zgodną z jego zamiłowaniem, został mianowicie kierownikiem wydziału skarg w ZG jednego ze związków zawodowych. Dzięki zatrudnieniu na tym stanowisku prowadził akcje pieniacze bynajmniej nie we własnych sprawach, a w cudzych. To, co się działo, przekraczało najśmielsze przewidywania autorów podręczników psychiatrii. Grzegorz C. dwoił się i troił, jego pism3 zaś jako urzędowe nie mogły pozostawać bez odzewu. Ze sprawą Grzegorza C. zetknąłem się w wyniku oskarżenia o znieważenie urzędnika. Postąpiłem z tym pieniaczem podobnie jak z drem T. Skutek był również podobny.

Jako ciekawostkę przytoczę tylko jedną ze skarg Grzegorza C. chyba najzabawniejszą. Złożył on mianowicie doniesienie przeciwko ministrowi przemysłu

lekkiego o to, że w Polsce produkowało się wówczas bardzo modne marynarki sztruksowe. Zdaniem autora doniesienia, Karol Marks mówiąc o wyzysku kapitalistycznym w XIX w. w Anglii podawał jako przykład nędzy fakt noszenia przez robotników ubrań z Manchesteru. Ponieważ manchester i sztruks to' taka sama tkanina, Grzegorz C. uznał, że ubranie w takie marynarki robotników stanowi działanie kontrrewolucyjne choćby przez same skojarzenia. Gdy przesłuchiwałem Grzegorza C. sam byłem ubrany w brązową sztruksową marynarkę, Być może dlatego tak bardzo się dziwił, że jestem przeciwko niemu.

SPLIT LUDZKICH LOSÓW

Ze śledztwem, o którym opowiem, zetknąłem się jedynie pośrednio, bo nie prowadziłem go osobiście, wywarło ono inna mnie duże wrażenie.

Rozmawiałem niedawno z prokuratorem • Mieczysławem P., który zajmował się tą sprawą kilkanaście lat temu. Mimo znacznego przecież upływu czasu, zaparał ją do dziś w szczegółach. Udostępnił mi też pewien prywatny dokument godząc się na opublikowanie jego fragmentów.

W początkach lat sześćdziesiątych zaginęła bez wieści bawiąca się na podwórku domu, w którym mieszkała, trzyletnia Zosia Dziecko przepadło jak kamień w wodę Nie było jej nigdzie w pobliżu. Odejścia Zosi z podwórka nie zauważył nikt z sąsiadów. Bawiące się na podwórku dzieci nie potrafiły udzielić żadnej informacji, będącej punktem wyjścia dla 7. części akcji poszukiwawczej Zrozpaczeni rodzice, małżonkowie M., podejrzewając najgorsze, zaalarmowali pobliski komisariat MO po czym sprawa zaginięcia Zosi znalazła się w referacie prokuratora P. — —

Czynności wykonano mnóstwo, wszystkie jednak spełzły na niczym. Po kilku miesiącach postępowanie umorzono, jakkolwiek nie oznaczało to bynajmniej złożenia sprawy ad acta.

Oczekiwano — jak to zwykle w podobnych przypadkach bywa — na ujawnienie ewentualnego śladu zaginionej przy jakiejś okazji, być może w najbliższej przyszłości. Rodzice Zosi nie mogli pogodzić się ze stratą ukochanego dziecka. Molestowali prokuraturę wielokrotnie, trudno było jednak cokolwiek sensownego przedsięwziąć, skoro nikt niczego nie zauważył, nikt niczego nie widział, a typowe w takich sprawach czynności poszukiwawcze, dokonane notabene w skali krajowej, zupełnie zawiodły.

Minęły dwa lata. Któregoś dnia milicja ujawniła na przeciwległym krańcu Polski pewną kobietę, która — jak się okazało — uprowadziła małe dziecko i ukryła je u siebie w domu. Maria S. miała szczególnie rozwinięty instynkt macierzyński, jednak natura nie obeszła się z nią życzliwie. Kobieta ta, mimo licznych kuracji nie mogła mieć własnych dzieci, choć bardzo tego chciała. Wszczęte przeciwko Marii S. śledztwo ujawniło, że wychowuje ona, niezależnie od dziecka, które uprowadziła — jeszcze trzy małe dziewczynki, które mimo zapewnień podejrzaney nie mogły być jej córkami. Opinie ginekologiczne okazały się jednoznaczne: Maria S. po prostu nigdy w swym życiu nie rodziła. Za każdym razem, gdy do domu przybywało dziecko, pozorowała ona wobec otoczenia ciążę. Z dnia na dzień ubierała się coraz to grubiej, wreszcie wyjeżdżała do rodziny na wieś, żeby „urodzić”. Przebywała poza domem dość długo, aż pewnego dnia zjawiała się z kolejnym dzieckiem w nowym miejscu zamieszkania, gdzie

przebywała do następnego „rozwiązania”. Była to niebezpieczna maniaczka, którą oczywiście aresztowano, uznając jej winę w zakresie uprowadzenia jednej z dziewczynek za bezsporną.

Wspomniałem, że Maria S. wychowywała jeszcze trzy dziewczynki, które nie były jej córkami. Sprawa to skłoniła prokuratora P. do podejrzeń, że zaginiona Zosia mogła być przed dwoma laty porwana, tym bardziej że jedna z wychowywanych przez Marię S. dziewczynek wiekiem i ogólnym rysopisem odpowiadała zaginionej. Wkrótce nastąpiła dramatyczna czynność okazania rodzicom zaginionej Zosi tej właśnie dziewczynki, o której porwanie podejrzewano Marię S. Matka Zosi była prawie pewna, że pięcioletnia Beatka jest jej zaginioną córką. Wprawdzie w tym wieku dwa lata znaczą wiele i dziecko się zmienia, jednak rodzicielska intuicja też się liczy. Intuicja, ale nie tylko... Rodzice Zosi ujrawszy dziecko rozpoznali w nim swą córkę. Absolutną pewność potwierdził pewien nader istotny fakt. Rodzice oświadczyli, że Zosia miała małe znamię na brzuszku. Gdy Beatkę rozebrano, nie było już żadnych wątpliwości. Ujawnione znamię oraz całokształt opowiedzianych okoliczności wystarczyły, aby sprawie nadać właściwy bieg.

Dziecko wróciło do swych prawdziwych rodziców. Dla ostatecznego uregulowania sprawy trzeba było w drodze wyroku sądu zaprzeczyć macierzyństwo Marii S., co jednak wobec jej bezspornej niepełności było już tylko zwykłą formalnością. W ten sposób rodzice Zosi prawnie odzyskali swą „zgubę”. Przeciwno Marii S. rozpoczęto śledztwo z powodu uprowadzenia trzyletniej Zosi z podwórza domu, w którym mieszkała.

Prokurator zlecił odpowiednie badania serologiczne, które nie wykluczyły, że Zosia jest dzieckiem

małżonków M. Nie sposób było opisać radości nieszczęsnych rodziców, którzy po dwóch latach cudem odzyskali córkę. Zosia znalazła się wreszcie w swym domu i pozostałaby już tylko sprawa karna przeciwko Marii S. o kolejne porwanie, gdyby nie szczególna komplikacja.

Na pewnym etapie postępowania oskarżona złożyła istotne wyjaśnienia, które należało sprawdzić. Oświadczyła ona, że Zosia, a raczej Beatka, nie jest wprawdzie jej córką, nie jest jednak również dzieckiem ludzi, którzy ją odebrali. Maria S. stwierdziła, że dziewczynkę otrzymała od pewnej dziewczyny, która po urodzeniu nieślubnego dziecka chciała się go po prostu pozbyć. Oskarżona podała nazwisko i adres tej osoby, wnosząc o jej przesłuchanie. Prokurator P. dotarł do wskazanej dziewczyny, która zeznała, że istotnie urodziła córkę i od razu oddała ją Marii S., jako że ojciec dziewczynki był nieznan, a ona sama nie miała warunków do wychowania dziecka.

W drodze odpowiednich czynności śledczych potwierdzono, że dziewczyna rzeczywiście przed 5 laty urodziła córkę, posługując się w szpitalu dokumentami Marii S., przez co nie było później żadnych trudności z aktami stanu cywilnego.

Przedstawione zeznania świadka, jakkolwiek potwierdzone jako prawdziwe, nie dawało jednak rozwiązania zagadki. Dziewczyna oddając noworodka płci żeńskiej nigdy już swej córki nie widziała, przez co potrafiła potwierdzić, czy oddała Marii S. właśnie Beatkę czy jedną z pozostałych dziewczynek, wychowywanych przez Marię S.

Ponieważ dokumenty stanu cywilnego nie wzbudzały już żadnego zaufania, próbowano w drodze ekspertyzy ustalić wiek dzieci. Nie było to jednak

a

możliwe. Każda z dziewczynek mogła mieć około pięciu lat, były mniej więcej w tym samym wieku.

Mijały długie miesiące, śledztwo zaś przeciwko Marii S. o porwanie Zosi pozostawało w martwym punkcie. Jeżeli Zosia jest Beatką, to Maria S. dziewczynki tej nie porwała. Tylko jak to w sposób absolutnie bezsporny ustalić i czy w ogóle taka możliwość istnieje? W tymże czasie rodzice, którzy odzyskali Zosię, bardzo się dziwili, że prokurator może mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości. Było przecież znamię na brzuszku dziewczynki i niezależnie od wszystkiego ono powinno zdecydować. Dodam również, że dziewczynka była podobna jak dwie krople wody do matki, której dziecko porwano.

Wówczas właśnie prokurator P. zdecydował się na kolejne badanie. Postanowił zwrócić się do ośrodka akademickiego we Wrocławiu, który jako jedyna placówka w Polsce i bodajże jedna z niewielu w Europie przeprowadza badania antropologiczne, na podstawie których można niekiedy ustalić bądź wykluczyć ojcostwo względnie macierzyństwo. Na dokonanie takich badań czeka się całymi miesiącami, w tej konkretnej sprawie prokurator P. „wyprosił” u dra M. szybszy termin. Po dokonaniu niezbędnych badań dr M. przyrzekł przesłać prokuratorowi ekspertyzę w ciągu miesiąca. Termin ten nie został dotrzymany, biegły mimo ponagieł nie odzywał się przez dłuższy czas, aż któregoś dnia nadesłał prokuratorowi P. list, który za zgodą adresata przeczytałem. Prokurator P. zgodził się też, abym zacytował niektóre fragmenty tego pisma:

„Panie Prokuratorze, bardzo przepraszam, że nie przysłałem orzeczenia w końcu kwietnia. Głównym powodem niedotrzymania terminu było to, że już w kwietniu, kiedy opracowałem wstępnie tę ekspertyzę, okazało się, że ludzie, podający się za rodziców,

■

nie są jej rodzicami, w rzeczywistości zaś matką dziewczynki jest dziewczyna wskazana przez Marię S. Małżonkowie, którzy odebrali dziecko, będąc we Wrocławiu, twierdzili z całym przekonaniem, że to jest ich dziecko. Objawiali wielkie przywiązanie do niego, tym większe, że są ubodzy i prości, a kultywowanie życia rodzinnego nie jest u nich bez znaczenia. Starają się dać dziecku wszystko, co tylko mogą. Mimo nawet głębokiego przekonania, że dziewczynka jest ich córką, nie kryli niepokoju, zwłaszcza w tych momentach badania, kiedy nie dało się całkowicie zamaskować podobieństwa dziecka z dziewczyną wskazaną przez Marię S. Natomiast dziewczyna ta nie wykazywała większego zainteresowania Zosią. W tej sytuacji, mimo że obiecałem zrobić ekspertyzę w kwietniu, postanowiłem przygotować orzeczenie tylko w wypadku kategoriycznego przynaglenia, tym bardziej że chodziło o aresztowanie Marii S., gdyby się okazało, że Zosia nie jest córką wskazanej przez nią dziewczyny. Myślę, że byłoby lepiej, aby małżonkowie, którzy zabrali dziecko, nie poznali treści mojej ekspertyzy, oczywiście jeżeli jest to możliwe. Prawdopodobnie gdyby nawet znali jej wyniki zechcą zatrzymać Zosię u siebie, ale wydaje mi się, że w takim przypadku nieświadomość faktycznego stanu rzeczy jest mniejszym złem niż znajomość prawdy...”

Prokurator P. musiał ujawnić wyniki badań antropologicznych podejrzanej Marii S. i rzekomym, rodzicom Zosi. Musiał przecież umorzyć przeciwko Marii S. śledztwo o porwanie Zosi, o czym obowiązany był zawiadomić osoby występujące w sprawie jako pokrzywdzone, a więc małżonków M., uważających się za rodziców rzekomo porwanego dziecka. Czy można było zrobić inaczej? Zastanawiałem się, co ja bym zrobił na miejscu prokuratora P. Można było

przecież wejść w porozumienie z biegłym, aby wy- 'li dał opinię niejednoznaczną. Biegły mógł napisać, że rozstrzygnięcie zleconej mu kwestii po prostu nie jest możliwe. Prokurator mógł również, wiedząc przecież skądinąd, że Maria S. nie porwała Zosi | umorzyć przeciwko niej śledztwo choćby z braku doświadczeń dowodów winy. Co jednak stałoby się wówczas? Rzekomi rodzice Zosi złożąliby z pewnością i ścياً zażalenie na umorzenie postępowania przeciwko porywaczce i trudno byłoby ich przekonać, że nie mają racji. Prokurator P. załatwił sprawę zgodnie z literą prawa i myślę, że postąpiłbym tak samo jak on. W starym rzymskim przysłowiu: Dura lex sed lex jest głęboka prawda i siła zarazem.

Miewaliśmy w naszym zawodzie czasem problemy na tle których trudno było postępować w myśl litery prawa. Trzeba się było niekiedy przełamywać, a później przez całe lata zastanawiać, czy podjęta decyzja — aczkolwiek zgodna z prawem — była rzeczywiście słuszna.

Zosia pozostała u swych rzekomych rodziców, ponieważ wyrok Sądu Cywilnego, na mocy którego odzyskali oni dziecko, okazał się prawomocny, a nikt nie był zainteresowany w jego obaleniu. I tu rzecz charakterystyczna: ludzie, którzy odzyskali dziecko, nie wątpią, że to ich własne i że tylko biegły popełnił po prostu jakiś błąd w opracowywanej opinii.

W opowiedzianej sprawie zmieniłem, ze zrozumiałych względów, imiona i inicjały osób, zmieniłem też nieco niektóre uboczne okoliczności uznając, że tak będzie lepiej.

Prokurator P. rozmawiając ze mną „przeżył” to śledztwo jeszcze raz. Angażowaliśmy się czasem bez reszty w różne sprawy, tak jakby dotyczyły nas osobiście, i to jest również jakieś piętno prokuratorskiego zawodu.

Już tylko na zasadzie dygresji wróć jeszcze do znamienia na brzuszku domniemanej Zosi. W świetle jednoznacznej opinii antropologicznej nie mam wątpliwości, że Zosia nie była Zosią a Beatką, mimo to jednak znamię się zgadzało. Cóż za zbieg okoliczności, że dwie dziewczynki urodzone przez różne matki w dwóch krańcach Polski: Zosia i Beata, których los tak dziwnie spletał się z sobą, mają identyczne znamię, i to w tym samym miejscu.

Pracując przez lata w prokuraturze człowiek przestaje się w końcu czemukolwiek dziwić, nawet najbardziej nieprawdopodobnym zbiegom okoliczności.

Gdy któregoś dnia pełniłem dyżur popołudniowy w Prokuraturze stołecznej, zjawiała się w moim gabinecie młoda kobieta ze skargą na swego męża. Twierdziła, że jest on przewlekłym alkoholikiem i że ostatnio wystąpiły u niego wyraźne zmiany w psychice, prawdopodobnie niezależne od alkoholizmu, związane z przebytą swego czasu chorobą weneryczną. Według oświadczenia Ewy K. mąż jej zachował się pewnego dnia dziwnie. Zauważyła bowiem, że bawiąc się z ich trzyletnią córeczką Krysią dotykał ją w okolicach narządów płciowych w sposób nieskromny i wskazujący na występujące u niego zboczenie seksualne. Przyjąłem od świadka formalne doniesienie o przestępstwie, nie będąc jednak w pełni przekonany o jego prawdziwości. Dopuszczałem mianowicie ewentualność, że Ewa K. chce się po prostu pozbyć z domu męża-pijaka i dla powodzenia swego planu zmyśliła rzekome ekscesy seksualne Jana K. mając nadzieję, że działania prokuratury okażą się radykalne i mąż jej zostanie aresztowany. Nie mogłem jednak też wykluczyć prawdziwości doniesienia. Trzeba więc było sprawę dokładnie wyjaśnić. Postanowiłem poprosić do siebie na jeden z najbliższych dni męża Ewy K. i jeszcze przed wszczęciem

/

śledztwa przeprowadzić z nim rozmowę. Polecilem sekretarce wysłać do mojego przyszłego klienta wezwanie, aby stawił się u mnie. Na druku wezwania podany był, rzecz jasna, numer pokoju, do którego Jan K. miał się zgłosić.

Minęło kilka dni. Gdy rano przyszedłem do pracy spojrzałem jak zwykle do terminarza i ujrawszy nazwisko Jana K. przypomniałem sobie wizytę jego żony u mnie na dyżurze. Nie bez zainteresowania trochę niecodzienną sprawą spojrzałem na zegarek. Dochodziła właśnie godzina dziewiąta. Wówczas to wyszedłem na korytarz i zobaczyłem, że na ławce przed moim pokojem czeka jakiś mężczyzna. Głośno wymieniłem nazwisko Jana K. Mężczyzna podniósł się mówiąc: To ja jestem i wszedł do gabinetu.

Był to elegancki, przystojny mężczyzna w średnim wieku, bardzo zaniepokojony oczekującą go rozmową. Ścisnął w rękę zmięty druk wezwania i nie potrafił ukryć swego niepokoju.

Rozpoczęliśmy rozmowę. Zapytałem Jana K., czy dużo pije i od jak dawna. Powiedział, że niestety; dużo, ale przecież zarabia dobrze i jeżeli pije, to za swoje. W następnych słowach próbował dać mi do zrozumienia, że w sklepie, którego jest kierownikiem, nigdy nie było żadnych niedoborów i nałóg, jakiemu od pewnego czasu uległ, nie powinien rzutować na ocenę jego pracy. Stwierdził, że pije tylko wieczorami, a o godzinie 11 następnego dnia w chwili otwarcia sklepu zawsze jest trzeźwy.

Co działo się u Jana K. w sklepie — nie interesowało mnie zupełnie, przeszedłem więc od razu do meritum sprawy.

— Panie K. — zapytałem — czy prawdą jest, że bawiąc się z trzyletnią córeczką dopuszcza się pan czegoś, łagodnie mówiąc, niestosownego?

Mój rozmówca zupełnie nie rozumiał w czym rzecz.⁵

236

— Normalnie się bawię — powiedział. — Tak jak z dzieckiem. Co pan właściwie ma na myśli?

Wyjaśniłem, czytając fragmenty notatki, jaką sporządziłem z rozmowy z Ewą K.

Mój rozmówca zerwał się z krzesła.

— Jak pan śmie mówić mi brednie? Przecież taki nonsens narodzić się może jedynie w głowie szaleńca. Kto panu naopowiadał o mnie takich rzeczy? Już ja się z nim rozprawię!

Nie ukrywałem osoby swego informatora, powiedziałem Janowi K., że była u mnie jego żona i złożyła skargę, być może złośliwie... Oburzenie mojego rozmówcy osiągnęło apogeum.

— To niemożliwe — powiedział — by Ewa złożyła panu skargę. Pomijam już, że nie poczuwam się do winy, ale żona od miesiąca jest za granicą u rodziny, nie mogła więc jednocześnie odwiedzić Prokuratury; to przecież proste.

W głosie Jana K. było tyle pewności siebie, że intuicyjnie od razu mu uwierzyłem, podejrzewając kobietę o kiepski żart. Jeszcze raz dla porządku sprawdziłem personalia oraz inne dane dotyczące mojego rozmówcy, porównując je z zapisem w notatce. Zgadzało się imię i nazwisko, również imiona żony i córki, jak też wiek dziecka. Zapytałem Jana K., czy przechodził kiedyś kiłę, wiedząc, że ludzie cierpiący na tę chorobę zdradzają dość często niezdrowe skłonności do pedofilii. I to się zgadzało. Jan K. rzeczywiście chorował przed kilkoma laty, ale po energicznej kuracji wszystko — jak stwierdził — minęło bez śladu.

W tym momencie do mojego pokoju wszedł jakiś mężczyzna i zapytał, czy ma czekać, bo na wezwaniu, które otrzymał, wpisano godzinę dziewiątą, a jest już w pół do dziesiątej i nikt go nie prosi.

16 Ze wspomnień prokuratora

Ponieważ poza Janem K. nikogo się tego dnia nie spodziewałem, ze zdziwieniem obejrzałem druk wezwania. Było tam nazwisko Jana K., to samo imię i to samo nazwisko, jakie nosił człowiek, który się* działo już od pół godziny przed moim biurkiem, W tym momencie wszedł do pokoju kolega, prokurator urzędujący po sąsiedzku. Powiedział mi, że musi wyjechać na miasto, a ma wezwanego na godzinę dziewiątą świadka, kierownika sklepu Jana K., który się dotąd nie stawił i być może nadejdzie spóźniony. Kolega prosił, abym sprawdził na korytarzu, czy świadek ten nie nadszedł i ewentualnie spowodował, aby gdy przyjdzie — zaczekał, on bowiem wróci za godzinę i będzie mógł świadka przyjąć.

Tak to w milionowym mieście, dwóch zupełnie nieznanym sobie Janów K., żonatych z Ewami, ojców trzyletnich córek, dwóch alkoholików z przebytą przed laty kiłą — spotkało się tego samego dnia i o tej samej godzinie, w tym samym urzędzie. Myślę, że była to jedna szansa na milion, a może mniej- I sza. Musiałby to chyba wyliczyć bardzo skomplikowany komputer. I jak tu nie wierzyć w zbieg okoliczności, nawet najbardziej nieprawdopodobny?

Opowiedziany fakt przyszedł mi do głowy w związku ze znamieniem na brzuszku Zosi i Beatki. Była to chyba również ^szansa jedna na milion, a jed- | nak obie dziewczynki miały identyczne znamię —| I taką poprzeczną ciemną kreskę, położoną z lewej a strony brzuszka, tuż przy pępku.

GR02BY I ZDRADY

Otrzymałem czasem doniesienia same od kobiet, 9 które oskarżały swych mężów o tzw. groźby karalne, j| W świetle obowiązującego jeszcze wówczas art. 25Qg|
kk z 1&32 r. przestępstwo to zachodziło wówczas, gdy sprawca groził innej osobie popełnieniem zbrodni lub występku na jej szkodę i gdy istniało prawdopodobieństwo spełnienia zapowiedzi, a nadto groźba mogła rzeczywiście wzbudzić obawę. Przytoczone kodeksowe zastrzeżenia o „prawdopodobieństwie” i „obawie” miały istotny sens, ludzie bowiem w zdenerwowaniu mówią sobie różne niemiłe rzeczy, również w najbliższej rodzinie, a wśród wypowiedzianych inwektyw bywają też i groźby. Gdyby każda taka sprawa miała być podstawą wszczęcia postępowania karnego, to na ściganie wszystkich innych przestępstw nie byłoby już czasu.

Otrzymując doniesienie o groźbie zaczynałem więc od zrozumiałej selekcji, rozważając, na ile rzecz jest poważna, a więc realna, a na ile sprawa stanowi zwykłą „pyskówkę”, nie zasługującą na zainteresowanie organów ścigania. Gdy wzywałem do siebie w sprawach z art. 250 kk skarżące się na mężów żony, zawsze usiłowałem uzyskać pogląd co do realności groźby. Komentatorzy kodeksu karnego rozważając istotę tego przestępstwa zwracali uwagę, że aby groźby mogły wzbudzić obawę, a więc pośrednio skrzepować wolność pokrzywdzonego, muszą przede wszystkim w swej treści posiadać cechy dostateczne dla wzbudzenia takiej obawy. Interwencja karząca nie może wkraczać wszędzie tam, gdzie ktoś komuś zapowiada jakieś przykre wydarzenia — i jest to zrozumiałe. Obok stwierdzenia, że urzeczywistnienie groźby byłoby połączone z ciężką krzywdą osobistą, rozważałem więc każdorazowo, czy obiektywnie rzecz biorąc, a więc z uwzględnieniem warunków, okoliczności i właściwości osobistych uczestników indywidualnego wypadku, groźba mogła rzeczywiście wzbudzić obawę jej urzeczywistnienia. Pewnego dnia zjawiała się w moim gabinecie ko

bieta dobrze już po sześćdziesiątce, ze skargą na starszego od niej o kilka lat męża, który jakoby groził, że ją zabije, tłem zaś stałych nieporozumień były rzekomo nasilające się podejrzenia o... zdradę.

Nie miałem jeszcze wówczas większego doświadczenia zawodowego, stąd sam tylko wiek pokrzywdzonej przesądził niejako, że do treści jej doniesienia odniosłem się bardzo sceptycznie. Moja klientka — podobnie jak wszyscy składający doniesienia w sprawach o groźby — mówiła, że bardzo się męża boi i święcie wierzy, że spełni on swą groźbę, tym bardziej że powód jest wcale niebłahy. Kobieta zażądała nie tylko ukarania męża, ale również bezzwłocznej przed nim ochrony sugerując, że najlepszym rozwiązaniem byłoby aresztowanie niebezpiecznej dla niej osoby.

Jeszcze w czasie uniwersyteckich zajęć z prawa karnego zanotowałem sobie następującą tezę z wydanego przed wojną podręcznika Leona Peipera: „... wprawdzie przy ocenie, czy pokrzywdzony odczuwa obawę przed groźbą, decyduje jego stan psychiczny; nakazana tu jest jednak duża ostrożność. Doświadczenie uczy, że każdy zagrożony zeznając o groźbie twierdzi, że się jej obawiał, że żywił niepokój, a nawet nie sypiał nocami. Nie musi to być nawet wcale zeznanie fałszywe. Może być tak, że zagrożony zasugerował sobie po prostu obawę dla celów sądowych, dla uzyskania wyroku skazującego jego przeciwnika i obawę tę kolportował skwapliwie swej rodzinie, znajomym i domownikom, ażeby mieć gotowy aparat ze świadków dla wzmocnienia własnych zeznań...”

Mając to wszystko na uwadze starałem się przesłuchać pokrzywdzoną w sposób możliwie najbardziej dokładny i wyczerpujący. Pamiętam jednak, że jakoś nie umiałem zadać jej istotnego pytania: na ile

wypowiadane przez jej męża podejrzenia w przedmiocie rzekomej zdrady mają pokrycie w rzeczywistości. Wprawdzie rozmowa toczyła się w Prokuraturze, a więc trochę tak jak przed konfesjonalem, mimo to jednak pytanie blisko 70-letniej kobiety o małżeńską wierność zakrawało na kpiny, a przecież sprawa była poważna. Usiłując wybrnąć z kłopotliwego położenia, sformułowalem swe pytanie mniej więcej tak:

— Oczywiście zarzuty pani męża są zupełnie nieuzasadnione. Proszę mi jednak powiedzieć, na czym on je opiera. Przecież na pewno nie na faktach?

Okazuje się, że jednak na faktach i to wyłącznie. Moja klientka stwierdziła, że mąż od dawna gromadzi je i szereguje w — jego zdaniem — spójną i logiczną całość. A oto przykłady:

Gdy Maria P. podchodzi wieczorem do okna i zasuwą firanki, ma to być jakoby znak dla kochanka, że mąż jest w domu. Podobnym sygnałem jest otwieranie i zamykanie okna, podlewanie stojących na parapecie kaktusów itd.

Po wysłuchaniu i zanotowaniu tych zeznań nie miałem już wątpliwości, że ktoś tu jest niespełna rozumu: albo składająca doniesienie, albo jej mąż. Ponieważ dłuższa rozmowa z pokrzywdzoną nie wskazywała, że występuje u niej odchylenie od normy psychicznej, zakończyłem przesłuchanie i wezwałem męża na jeden z najbliższych dni. Był to starszy człowiek, bardzo kulturalny i jak się okazało — wszechstronnie wykształcony. Mimo zbliżającej się emerytury zajmował odpowiedzialne stanowisko zawodowe, wymagające absolutnej sprawności umysłowej. Odbyliśmy dość długą rozmowę, w czasie której przekonałem się, że Piotr P. na pytania odpowiadał logicznie, inteligentnie, a nawet dowcipnie. Nie był też wcale zaniepokojony ani zdenerwowany

otrzymanym wezwaniem do Prokuratury. Gdy dotknąłem wreszcie w rozmowie istoty sprawy, dla wyjaśnienia której nastąpiło nasze spotkanie, Piotr P. trochę niechętnie, niezadowolony z intymności pytań zadawanych, wyjaśnił, że wiarołomstwo żony jest faktem, który dość łatwo może być udowodniony, jeżeli tylko zechcę posłuchać szczegółów.

Od pewnego czasu, o różnych porach dnia, słychać w mieszkaniu małżonków P. stukanie w sufit. Mój rozmówca dodał, że piętro wyżej mieszka pewien student, który upodobał sobie Marię P. — oczywiście z wzajemnością. Stukanie w sufit, a raczej w podłogę mieszkania studenta na pewno stanowi umowny kod, jakim porozumiewają się zakochani myśląc, że on, mąż, jest naiwny i niczego się nie domyśla.

Gdy — być może nieco niefortunnie — wyraziłem wątpliwości, czy Maria P. w jej wieku i kiepskim stanie zdrowia miałyby głowę do romansów, mój rozmówca zachnął się.

— Panie prokuratorze — powiedział — biblijna Rebeka urodziła dziecko mając 102 lata, a taka np. pani Lenclos (1620—1705) na krótko przed śmiercią miała jeszcze kochanków, i to jakich!

Na takie dictum nie miałem już żadnych racjonalnych argumentów. Zapytałem tylko, czy Piotr P. rzeczywiście swej żonie grozi zabójstwem, a jeżeli tak — to czy groźby swe traktuje poważnie. Mój rozmówca bynajmniej grózb się nie wypierał, co zaś do ich realizacji oświadczył, że nie ma jeszcze skryształowanego zdania: wszystko zależy od tego, czy żona poniecha swych bezwstydnym kontaktów, czy zechce je kontynuować.

W tym miejscu przerwałem przesłuchanie i wezwałem Piotra na następny dzień, aby poddać go badaniu psychiatrycznemu. Dopiero w wyniku tego badania dowiedziałem się o specyficznej jednostce chorobowej, zwanej urojeniami niewierności małżeńskiej. Później w ciągu swej pracy miałem jeszcze z podobnymi zazdrośnikami do czynienia. W dwóch przypadkach moja interwencja okazała się spóźniona, mężowie bowiem pod wpływem niczym nie umotywowanej zazdrości spełnili wypowiedane uprzednio groźby i żony swe rzeczywiście zabili.

Biegli uznali Piotra P. niebezpiecznym dla porządku prawnego. Został on internowany w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, gdzie po kilku latach zmarł. Pamiętam jego sprawę lepiej od innych podobnych przede wszystkim dlatego, że choroba psychiczna manifestowała się u niego jedynie w odniesieniu do rzekomej niewierności żony. Poza tym był on w pełni zdrowy i sprawny umysłowo. Proces urojeń trwał lata. Przez wiele lat życie jego żony wisiało na włosku i gdyby nie zdecydowała się na wizytę w Prokuraturze — mogłoby i w tym przypadku okazać się za późno.

Pierwszy wypadek zabójstwa na tle urojeń niewierności, w jakim prowadziłem śledztwo wywarł na mnie wrażenie. Później do doniesień o groźby na tle niewierności zawsze odnosiłem się ze szczególną uwagą. Przekonałem się bowiem, że chorobliwe urojenia niewierności są konsekwencją zmian psychicznych, powstałych na tle przewlekłego alkoholizmu. Mają one poza tym nie w pełni wyjaśnioną etiologię, m.in. tkwią w poczuciu niepełnej wartości, jaka zwykle cechuje chronicznego alkoholika.

Psychiatrzy powiadają, że istnieje określona, dość ostra granica pomiędzy zwykłą czy nawet nadmierną a ściśle chorobliwą podejrzliwością o zdradę. Człowiek chory w każdym widzi kochankę żony, śledzi ją, wszelkie, najzupełniej obojętne fakty podporząd-

kuje swej chorobliwej idei. Sam cierpi, może być jednak bardzo groźny.

Było to, jak pamiętam, w 1961 lub 1962 roku. Zygmunt R., urzędnik jednej z warszawskich central handlu zagranicznego, rozwodnik, umówił się z pewną mężatką, która wsiadła na ulicy Kruczej do jego samochodu — a był to Fiat 600. W pewnym momencie, gdy Fiat zatrzymał się przy czerwonym świetle na rogu ulicy Marszałkowskiej i Pięknej za samochodem stanął dziewiętnastoletni Franciszek M., prowadzący motocykl Jawa. Cykl zmiany świateł nie trwa wprawdzie długo, ale ta minuta czy dwie wystarczyły, aby z chodnika wbiegł na jezdnię mężczyzna w średnim wieku, który nie proszony usadowił się na tylnym siodełku Jawy. Właśnie wówczas dla kierunku ruchu Fiata i motocykla zapaliło się światło zielone. Nieznajomy mężczyzna przyłożył do pleców motocyklisty coś twardego (nie ustalono, czy był to pistolet, czy palec) rozkazując:

— Nie oglądaj się! Jedź za tym Fiatem. Jeżeli nie posłuchasz, to zginesz!

Przerażony Franciszek M. oczywiście posłuchał i podążając tuż za samochodem, w którym zauważył trzymającą się za ręce parę, zupełnie nie rozumiał, o co chodzi i dlaczego został porwany. Fiat 600 wjechał na most, kierując się za miasto wzdłuż Wisły. Następnie kierowca samochodu zjechał z wybrzeża, podążając przez łąkę w kierunku dość gęstych krzaków. Było lato, wieczór ciepły i pogodny. Gdy samochód zatrzymał się nie opodal Wisły, mężczyzna na tylnym siedzeniu Jawy krzyknął: „Stań i czekaj aż wrócę!” po czym skradając się zaczął biec w kierunku samochodu. Jak łatwo się domyślić, Franciszek M. wcale nie czekał, tylko jak mógł najprędzej odjechał z zamiarem zgłoszenia o całej tej zagadkowej sprawie w najbliższej komendzie MO. Odjeżdżając zauważył kątem oka, że Fiat 600 również kieruje się w stronę ulicy, tak jakby kierowca zmienił zamiar co do planowanego miejsca postoju. Franciszek M. rzeczywiście zawiadomił o wszystkim MO, podał nawet numer Fiata 600, który zapamiętał jadąc dłuższy przecież czas za samochodem.

Sprawa ta trafiła do mnie dopiero wówczas, kiedy komenda MO, którą nadzorowałem, ustaliła poprzez wydział komunikacji osobę właściciela Fiata. Poszedłem do komendy, aby uczestniczyć w planowanej rozmowie z właścicielem Fiata. Sprawę traktowałem poważnie przede wszystkim ze względu na sposób działania pasażera motocykla. Na podstawie okoliczności sprawy nie można było wykluczyć, że miał on broń — i to na pewno bez zezwolenia. Ponieważ jego zachowanie nosiło cechy szczególnej zuchwałości, warto było ustalić tożsamość tego człowieka — być może — niebezpiecznego przestępcy.

W sprawie motywów wydarzenia miałem zupełnie jednoznaczną koncepcję. Nieznajomy zauważył zapewne swą żonę czy przyjaciółkę w samochodzie i kierując się uczuciem zazdrości postanowił ją śledzić, a być może nawet rozprawić się z rywalem. Sterroryzowanie motocyklisty świadczyło o wyjątkowej przedsiębiorczości i refleksie. Był to na pewno człowiek niebezpieczny nie tylko dla właściciela Fiata, ale być może również dla otoczenia i porządku prawnego, szczególnie jeżeli okazałoby się, że ma broń.

Gdy milicja ustaliła tożsamość właściciela Fiata, nie miałem wątpliwości, że rozmowa z nim łatwo doprowadzi do ustalenia tożsamości jego partnerki. Później już pozostanie tylko rozmowa z nią, żeby w pełni zazdrośnika zidentyfikować. Niestety, tym razem się przeliczyłem.

Zygmunt R. stawiał się o wyznaczonej godzinie, i bardzo zdziwiony otrzymanym od milicji wezwaniem. Na początku rozmowy powiedziałem mu w czym rzecz, zapewniłem o dyskrecji, po czym poprosiłem

O podanie nazwiska kobiety, z którą pięć dni temu — bo taka była właśnie data wydarzenia — wyruszył samochodem z ulicy Kruczej nad Wisłę.

Mój rozmówca bardzo się wystraszył groźnego ry- • wala. Zdenerwowany pytał, czy rzeczywiście będziemy w stanie zapewnić mu ochronę, a jeżeli nie, to przynajmniej wezwać niebezpiecznego rewolwerowca

I uprzedzić, że jeżeli Zygmuntowi R. stanie się coś złego, to wiadomo z czyjej ręki.

Uspokoilem go, że zrobimy wszystko, co należy. Musimy jednak najpierw wiedzieć, kto to był, a w tym celu zidentyfikować kobietę, o którą człowiek ten jest zazdrosny. Zygmunt R. wyjął gruby notes i długo go studiując, odezwał się skonsternowany:

— Panie prokuratorze, gdyby to było dziś, no powiedzmy wczoraj, byłoby pół biedy. Ale pięć dni temu... Widzi pan, ja bardzo interesuję się kobietami. Pracuję na Kruczej i tam się umawiam. Mam też ulubione miejsce, gdzie „konsumuję” zawierane znajomości: właśnie nad Wisłę. Może mi pan nie wierzy, ale nie potrafię powiedzieć, kto ze mną wówczas był, nie pamiętam...

Po chwili nasz gość wykrzyknął:

— Mam! Przecież, jeżeli panu podam 11 nazwisk, imion i adresów, to łatwo będzie można ustalić tego bandytę. Nie wiem, z jaką panią wówczas byłem, wiem jednak na pewno, że jest to jedna z jedenastu, z którymi się ostatnio spotykam.

Już po chwili Zygmunt R. wręczył mi listę kandydatek — było na niej rzeczywiście 11 nazwisk. Już tylko dla porządku dodam, że mężczyzna, który nas interesował, okazał się nie do ustalenia. Panie, z któ

rymi rozmawiano, tak dalece poszerzyły listę osób, które mogłyby wchodzić w grę — że dalszym ustaleniom dano spokój.

DELIKATNY PROBLEM

Oskarżając w wielu sprawach, zarówno gospodarczych, jak i kryminalnych, miałem czasem wrażenie a nawet pewność, że określona, przyjęta przez oskarżonego linia obrony była dla niego zdecydowanie niekorzystna. Pozbawiała ona go też często szans na łagodniejsze potraktowanie w wyroku. Myślę tu o postawie nieprzyznawania się do winy oraz totalnej negacji nie tylko faktu będącego istotą zarzutu, ale i wielu tzw. okoliczności towarzyszących, co do występowania których na tle konkretnej sprawy nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Przy tego rodzaju taktyce obrony oskarżony tracił możliwość podważania faktów wątpliwych, oczywiście z grupy tych, które go obciążały, a nadto stwarzał przesłanki, aby niejako z góry odmówić mu wiary nawet wówczas, gdy pewne wyjaśnianie przez niego kwestie nie zostały w śledztwie podważone.

Pewien kierowca samochodu służbowego oskarżony był o spowodowanie bardzo groźnego w skutkach wypadku. Sprawca po potrąceniu pieszego uciekł, pojechał do garażu, w którym zostawił rozbitego Fiata, po czym poszedł do domu i położył się spać. Dzięki temu, że przypadkowy przechodzień zauważył numer samochodu, milicja jeszcze w nocy odwiedziła garaż i dokonała stosownych oględzin widocznych uszkodzeń pojazdu.

Następnego dnia rano kierowca Józef D. został osadzony w areszcie. Zarówno w toku śledztwa, jak i w czasie rozprawy Józef D. przedstawiał następującą, nader konsekwentną wersję wy

»iibhi

Slrip

darzeń. Twierdził mianowicie, że krytycznego popo- ludnia w ogóle nie wychodził z domu. Sugerował 1 też, że samochód mógł być zabrany z dużego zbiorowego garażu przez innego kierowcę, a nawet przez osobę przypadkową, brama bowiem bywała po po-3 ludniu otwarta, a nowy dozorca nie znał jeszcze "i wszystkich kierowców i łatwo można go było wpro- 3 wadzić w błąd. Przedstawiona koncepcja obrony 1 skłoniła mnie już we wstępnej fazie śledztwa do bar- i dzo drobiazgowych czynności, w wyniku których M ustaliłem w sposób bezsporny, że wersję o pobycie Sl Józefa D. w domu można z powodzeniem włożyć - a między bajki. Odnalazłem świadków, którzy widzieli 1 jak kierowca około godziny 15 pozostawił samochód i w garażu, a następnie o 17 przyszedł ponownie i wy- 31 jechał na miasto. Józef D. powrócił do garażu około i 19, wypadek zaś miał miejsce na krótko przed tym. |

W tej sytuacji nie miałem żadnych wątpliwości, że sprawcą wypadku był Józef D., a nie ktokolwiek in-11 ny. Przekonanie swe opierałem również na fakcie, | że sąsiedzi podejrzanego zapytani, czy nie zauważyli, | o której wrócił do domu —■ zeznali, że zbiegiem oko- i liczności rzeczywiście widzieli go wracającego i to 1 właśnie około godziny 20. Dodam jeszcze, że mieszka- i kierowcy było znacznie odległe od garażu i je- J chało się ten odcinek drogi tramwajem właśnie mniej 1 więcej godzinę.

Józef D. w ogóle nie miał wyobraźni, nie potrafił t też myśleć logicznie. Święcie wierzył, że jego absur- H dalna wersja zostanie przyjęta, jeżeli już nie przeze . j mnie, to przez sąd. Sprawca wypadku zaprzeczając kategorycznie jakoby w ogóle wychodził po połud- ' niu z domu, pozbawiał się zupełnie obrony w wielu istotnych punktach oskarżenia. wypadku zaś, których było kilku, prezentowali w odniesieniu do niektórych dość ważnych szczegółów zajścia zupełnie odmienne spostrzeżenia.

Człowiek, który mówi, że w ogóle nie było go na miejscu wypadku, jest w pewnym sensie bezradny w kwestii własnej obrony. Nie może on nic powiedzieć jak zachowywał się pieszy, ani przedstawić faktów bezpośrednio poprzedzających samo zdarzenie w sposób maksymalnie dla siebie korzystny. Przy takiej postawie oskarżonego zdawałem sobie sprawę, że nawet jeżeli istnieją jakieś fakty przemawiające na jego korzyść, a przeze mnie nie ustalone, to nie ujrzą one światła dziennego, co będzie ze szkodą dla interesów Józefa D.

Opowiem jeszcze o jednej nieco podobnej sprawie, aby poruszyć wreszcie pewien dość delikatny problem.

Miałem takiego przeczącego wszystkiemu klientowi w pewnej wieloosobowej aferze łapówkowej. Wszyscy oskarżeni przyznali się do systematycznego otrzymywania łapówek od pewnego rzemieślnika. Nie przyznawał się tylko podejrzanym referent Ryszard B., który kwestionował, by pomawiającego go rzemieślnika kiedykolwiek widział na oczy, a to było już jawnym kłamstwem. Dysponowałem w sprawie tej kilkoma zupełnie obiektywnymi świadkami, którzy wiele razy widzieli, jak Ryszard B. dzwonił do furtki willi rzemieślnika; widzieli też, że był on wpuszczony do środka, a po kilku minutach wychodził. Zeznania takie złożyli zarówno sąsiedzi oskarżonego, właściciele dwóch najbliższych domków, jak i listonosz oraz pracownik „Ruchu", którego kiosk usytuowany był akurat naprzeciwko furtki domu odwiedzanego przez urzędnika.

Gdy przedstawiłem Ryszardowi B. wszystkie te dowody, nie dotyczący wprawdzie samej łapówki, ale

jakby nie było, istotnych okoliczności sprawy, nie zmienił on swych wyjaśnień, uparcie twierdząc, że nie był nigdy nie tylko w domu rzemieślnika, aU nawet na ulicy, przy której ten dom się znajduje.

Przy takiej, oczywiście, wykrętnej postawie, Ryszard B. — podobnie zresztą jak kierowca Józef D., o którym wspomniałem, pozbawił się praktycznie możliwości obrony, a trzeba przyznać, że ją miał. Rzecz w tym, że rzemieślnik wręczał łapówki — jak twierdził na wyraźne żądanie urzędników, niekiedy nawet wręcz brutalnie. Kilku oskarżonych — zwłaszcza tych, którzy do winy się przyznali — przedstawiło wiarygodne dowody, że było zupełnie inaczej. W wielu sprawach inicjatorem łapówkowego porozumienia był sam rzemieślnik. On też zabiegał o uzyskanie nienależnych mu decyzji, a nawet sam z początku odwiedzał w domu tych, których następnie skorumpował.

Okoliczności przyjęcia łapówki na żądanie lub bez żądania, jak również okoliczność czynności, która sprzeciwia się prawu, czy jest z nim zgodna — to kwestie mające istotne znaczenie zarówno dla kwalifikacji prawnej czynu, jak i wymiaru kary. W sprawie Ryszarda B. wysokość przyjętej przez, niego łapówki, jak i okoliczności całego procederu, ustaliłem jedynie w oparciu o wyjaśnienia rzemieślnika. Referent B. zupełnie nie mógł się bronić, przede wszystkim dlatego, że przyjął postawę totalnej negacji — w konkretnym przypadku najmniej dla siebie korzystną.

Skoro już uzasadniłem nieco paradoksalną tezę, że przyznawanie się do winy może być niekiedy z różnych względów najbardziej niekorzystną wersją obrony, przejdę do meritum problemu, o którym chciałbym mówić.

Oskarżeni, żeby móc bronić się w sposób dla sie

bie najskuteczniejszy, ustanawiają adwokatów. obrońca nazywany jest czasem przez klientów — myślę oczywiście o gwarze więziennej ~ „papugą”. W celi powiada się:

„Postawiłem papugę”, a więc kogoś, kto będzie mówił dokładnie to samo co oskarżony, tyle że ładniej, z większą elokwencją i darem przekonywania, a nadto ubierze rzecz całą w odpowiednią formułę prawną.

Wiele razy zastanawiałem się na tym, czy adwokat widząc absurdalność przybranej przez klienta linii obrony, powinien rzeczywiście powtarzać w ślad za nim rzeczy, w które nikt, a już na pewno sąd — uwierzyć nie może. Zawsze wydawało mi się, że gdybym był adwokatem a klient działałby przeciw własnemu interesowi, (prowadziłbym jego obronę wbrew linii swego mocodawcy, uważając za dobro nadrzędne rzeczywisty interes oskarżonego, a nie błędne w tej mierze koncepcje. W istocie adwokaci jedynie bardzo rzadko (sam jako prokurator przez 20 lat pracy spotkałem bodaj trzy takie przypadki) odcinają się od przyjętej przez klienta absurdalnej linii obrony, realizując własną w tej mierze koncepcję, i oczywiście bardziej skuteczną. Dlaczego zdarza się to tak wyjątkowo? Cóż, spróbuję odpowiedzieć, jakkolwiek wcale nie mam absolutnej pewności, czy mam rację. Zacznę od pewnej analogii. W medycynie istnieje zasada *primum non nocere*. Wyobraźmy sobie, że do lekarza, nawet prywatnie, przyjdzie pacjent, który ma własną koncepcję leczenia swej choroby. Ludzie, którzy mają sprawy sądowe, czytają to i owo, po czym natychmiast uważają, że znakomicie znają prawo. To samo jest z chorymi. Też czytają i też uważają, że się znają na medycynie, tym razem tyle, że nie mają, niestety, prawa wystawiania recept. Otóż jestem przekonany, że żaden lekarz nie zaaplikuje pacjentowi leku, który byłby przeciwwskazany,

I Mi

nawet jeżeli wizyta jest w prywatnym gabinecie i pacjent domaga się leczenia według jego własnej, a niewłaściwej z medycznego punktu widzenia koncepcji. Lekarz ma alternatywę: albo leczyć tak jak nakazują zasady sztuki, czy się to pacjentowi podoba czy nie, albo odesłać chorego z kwitkiem do innego lekarza. Koncepcja leczenia pacjenta pod dyktando, a ze szkodą dla jego zdrowia, w ogóle nie wchodzi w grę i żaden lekarz na to nie pójdzie.

Dygresja z innej dziedziny. Jeżeli ktoś zamówi u architekta projekt willi i żądać będzie określonych rozwiązań konstrukcyjnych, jego zdaniem i najbardziej korzystnych, a w istocie, z punktu widzenia sztuki budowlanej, niedopuszczalnych i niebezpiecznych, to architekt powie: „nie”. Pomiedzy postawą architekta i postawą lekarza jest jakaś zbieżność, która bierze się stąd, że zarówno wówczas, < gdy pacjent źle leczony umrze, jak wówczas, gdy dom źle zbudowany legnie w gruzach — jest do kogo mieć pretensje. Lekarza czy inżyniera można oskarżyć i skazać za to, że działał on na szkodę swego mocodawcy nie tylko za jego zgodą, ale wręcz na jego żądanie. Z adwokatem jest zupełnie inaczej. Skuteczność obrony wymyka się zupełnie z możliwości jakichkolwiek zobiektywizowanych ocen, stąd też nie może być również mowy o odpowiedzialności nawet dyscyplinarnej, a tym bardziej karnej za to, że adwokat zaprezentował nierozsądną i najmniej skuteczną koncepcję obrony swego klienta. Jeżeli lekarz źle leczy — są tacy, którzy go mogą za to „rozliczyć”. Na dobrą sprawę prawie w każdym zawodzie można ukarać za błędy sztuki, a jednak nie w każdym, bo adwokata nie można.

Widziałem bardzo wielu adwokatów, którzy w pełni zasługiwali na żargonowe miano „papug”. Gdyby chcieli bronić inaczej, klient odszedłby do innego ad-
252

wokata, a tego nikt nie lubi. Wprawdzie lekarz praktykujący w spółdzielni też nie lubi, żeby pacjent odszedł do innego gabinetu, ale nikt się nie chce narażać na odpowiedzialność za wadliwie stosowane leki. Ponieważ — jak powiedziałem — nie można ukarać adwokata za to, że wybrał najmniej rozsądną koncepcję obrony, przeto lepiej jest powtarzać za klientem jego androny niż odesłać go do konkurencji. Żaden adwokat nie może, rzecz jasna, przyznać się za swego klienta do winy. Nie może powiedzieć: „Mój klient zabił”, jeżeli oskarżony twierdzi, że w chwili morderstwa popełnionego w Warszawie był akurat w Krakowie.

Pamiętam sprawę Feliksa R., w której obrońca potrafił wybrnąć z sytuacji — i myślę, że bardzo rozsądnie. Zarzut dotyczył zabójstwa popełnionego — według tego aktu oskarżenia — na zimno z premedytacją. Feliks R. nie przyznał się do winy twierdząc, że w chwili rzekomo popełnionego czynu znajdował się w innym mieście. Przedstawiona koncepcja obrony nie miała żadnych szans powodzenia suma dowodów bowiem, jakie przeciwko Feliksowi R. zebrałem w śledztwie, była aż nazbyt przekonująca. Moje oskarżenie miało tylko jeden słaby punkt. Twierdziłem mianowicie, że zabójstwo należy zakwalifikować z art. 225 par. 1 wówczas obowiązującego kodeksu karnego, choć problem ten nie był absolutnie jednoznaczny. W zależności od sposobu spojrzenia na sprawę można było również uzasadnić pogląd, że czyn dokonany został w afekcie, a wówczas kwalifikacja prawna musiałaby ulec zmianie na art. 225 par. 2 kk, znacznie dla oskarżonego korzystniejszy. Racjonalna obrona Feliksa R. powinna była obejmować jedynie problem: afekt czy nie afekt. Tylko na tym odcinku można było akt oskarżenia podważyć. Był to problem niebagatelny jeśli zwa-

żyć, że art. 225 par. 1 kk przewidywał karę od 5 lat pozbawienia wolności, a nawet karę śmierci, pod- '■ czas gdy par. 2 tegoż artykułu przewidywał dla za- bójcy w afekcie karę od 6 miesięcy więzienia do - lat 10.

W uzasadnieniu aktu oskarżenia dowodziłem, że Feliks R. zabił swą kochankę wprawdzie z zazdrości, 'I ale nie w afekcie, bo dowiedział się o jej zdradzie, - zareagował bardzo spokojnie i dopiero po miesiącu > od tego faktu i jak wydawało się wybaczonego, do-j; puścił się zarzucanego mu czynu.

Oskarżony w ogóle z moją tezą, nie polemizował, twierdził, że nie zabił. Nie wdawał się więc w rozważania o afekcie, tracąc możliwość polemiki z za- * prezentowanym przeze mnie stanowiskiem w kwestii-^ kwalifikacji prawnej czynu.

Obrońca oskarżonego wygłosił bardzo dobre przemówienie, znacznie odchodząc od linii obrony reali-^ zowanej przez klienta. Stwierdził mianowicie, że wprawdzie Feliks R. nie mógł zabić, ponieważ był w innym mieście, to jednak należy rozważyć wersję prokuratora przyjmując teoretycznie, że fakty, na których oparto oskarżenie — są prawdziwe. Po tym wstępie obrońca wdał się w naukowe rozważania z dziedziny prawa i psychologii, cytując szereg autorytatywnych poglądów na temat zalegania afektu nawet przez bardzo długi okres czasu po incydencie, stanowiącym bezpośrednią przyczynę jego powstania. Tego rodzaju obrona była niejako przyznaniem, że oskarżony zabił, choć nie zostało to — rzecz jasna — wyraźnie powiedziane. Muszę przyznać, że adwokat B. odniósł bezwarunkowy sukces. Sąd podzielił pogląd obrońcy w kwestii kwalifikacji prawnej czynu i uznając, że sprawca działał w afekcie, skazał go z art. 225 par. 2 kk na karę 4 lat pozbawienia wolności.

Po pewnym czasie rozmawiałem z adwokatem B.

O tej właśnie sprawie. Powiedział mi wówczas, że mimo iż kara wymierzona Feliksowi R. okazała się bardzo łagodna, jego klient uznał swego obrońcę za największego wroga i wypowiedział mu pełnomocnictwo, ustanawiając do obrony w Sądzie Rewizyjnym innego pełnomocnika. Feliks R. był zdania, że gdyby adwokat B. nie wdawał się w polemikę z zakresu ocen afektu, a konsekwentnie bronił swego klienta jedynie w ramach jego wersji, polegającej na całkowitej negacji faktu popełnienia zarzucanego mu zabójstwa, to sąd z pewnością wydałby wyrok uniewinniający. Cóż, Feliks R. okazał się niesprawiedliwy i niewdzięczny, nie zrozumiał, że adwokat zrobił dla niego wszystko, co mógł, i odniósł sukces. Gdyby sąd zgodził się z moją tezą, że sprawca nie działał w afekcie — to kara byłaby znacznie surowsza.

A jednak mimo wszystko w większości spraw obrona przebiega w myśl zasad sztuki i zgodnie z wolą klienta. Oskarżeni idą do adwokata z zaufaniem

I ściśle stosują się do jego wskazań. Myślę, że pacjenci częściej rzucają swych lekarzy niż oskarżeni swych adwokatów. Być może dlatego, że choroby trwają dłużej od procesów karnych.

Wróć jednak do sprawy, od której swą opowieść zacząłem. Myślę tu o kierowcy Józefie D. Otóż zarówno on, jak i jego obrońca szli po wspólnej linii całkowitej negacji wszystkich ustalonych w śledztwie faktów. Proces zakończył się bardzo surowym wyrokiem skazującym oskarżonego za wypadek oraz nieudzielenie pomocy pieszemu, który jeszcze przez pewien czas po wypadku żył. Wykrętna postawa oskarżonego nie pozostała bez wpływu na wymiar kary. Sąd nie dopatrywał się też w sprawie żadnych okoliczności łagodzących. Józef D. do końca nie wie-

Pb ^ ^

rzył, że zostanie skazany. Jednak wyrok przyjął bardzo spokojnie.

L^^^B Dopiero po pewnym czasie wybuchła bomba. Skazany przysłał z więzienia pismo, że teraz to on już powie, jak było. I powiedział. Okazało się, że skazany wcale nie był sprawcą wypadku. Samochód prowadził jego szef, a Józef D. siedział wówczas obok. Panowie się umówili, że Józef D. zaprzeczając wszystkiemu, osłoni jednocześnie rzeczywistego sprawcę przestępstwa. Wszystko, co odbyło się później, było już tylko realizacją zmywy. Dopóki Józef D. uważał, że ma szansę na wyrok uniewinniający — dopóty milczał. Gdy został skazany — powiedział wszystko, jak również dostarczył dowodów, że tym razem nie jest to już nowa taktyka obrony a najświętsza prawda.

Na tle tej sprawy zacząłem weryfikować mój pogląd, że obrońca powinien — jeśli wymaga tego sztuka — bronić klienta nawet wbrew jego własnej wersji. Gdyby adwokat Józefa D., nieświadomy całej mistyfikacji, oparł swą obronę na koncepcji, że oskarżony spowodował wypadek, trafiłby jak kulą w płot. I co tu mówić o sztuce?

Nie jestem entuzjastą medycyny. Myślę, że lekarze niewiele wiedzą o wcale licznych schorzeniach i często nie potrafią ich leczyć. A jednak ludzie bywają bardziej skomplikowani w swych reakcjach, postawach i wymyślanych na własny użytek koncepcjach niż w... chorobach. Być może właśnie dlatego praca sędziego, adwokata czy prokuratora stanowi trud szczególny i znacznie wykracza poza wiedzę akademicką.

1 TAK, I NIE

Po latach pracy prokuratorskiej, gdy pewnego dnia znalazłem się już poza tą instytucją, próbowałem zastanowić się, jaki wpływ wywarł ten zawód na moją osobowość. Czy pozostawił on jakiś ślad na mojej psychice, a jeśli tak — to jaki?

Gdy podjąłem pracę prokuratorską, rychło odniosłem wrażenie, że zawód mój jest na pewno bardzo piękny, odpowiedzialny i społecznie ważny, ale jednocześnie w jakiś sposób wstydlivy. Pewnego dnia jadąc rano z domu do pracy, spotkałem w tramwaju adwokata Z., który w czasie rozmowy zwracał się do mnie „panie prokuratorze”. Zauważyłem, że wszyscy stojący obok pasażerowie słysząc ten tytuł, bacznie się nam przyglądali. Gdybym był lekarzem czy inżynierem, byłoby zapewne inaczej, tylko właściwie dlaczego? Prokuratorów jest w Polsce na pewno mniej niż lekarzy, ale chyba nie w tym sedno rzeczy. Myślę, że „wstydlivość” prokuratorskiego tytułu jest po prostu funkcją wstydlivości kontaktu z tym urzędem, bo przecież niejedyn człowiek na dowód swej bezwarunkowej uczciwości wypowiada stereotypowe zdanie: „Ja, panie, przeżyłem tyle a tyle lat i nigdy nie byłem jeszcze w sądzie”.

Mam przyjaciela, lekarza wenerologa, który od lat praktykuje w pewnym niewielkim mieście. Gdy spaceruje on w niedzielę po parku, ludzie pierzchają ' w boczne alejki. Nie uklonić się nie wypada, uklonić się — tym bardziej. Trudno przecież tłumaczyć wszystkim, że miało się tylko „zimno” na wardze a nie coś stokroć gorszego. Myślę, że ze stosunkiem do prokuratora może być podobnie. Tak to w każdym razie odbierałem, być może bez uzasadnionej racji. Dość, że nigdy nie lubiłem, jak mnie publicznie tytułowano. Przyznam też, że miałem również nie-

2Bt

chęć do tytułu „panie magistrze”, jakim w publicznych miejscach obdarzali mnie co delikatniejsi rozmówcy. Nie kończyłem nigdy farmacji i nie lubiłem przywłaszczać sobie cudzych tytułów. Dziś co innego. Tytuł „panie redaktorze” nie budzi zainteresowania otoczenia, co zaś ciekawsze nikt z moich rozmówców nie zamienia go na „panie magistrze”, nawet jeżeli doskonale wie, że ukończyłem prawo i taka jest specjalność mojej publicystyki.

Byłem swego czasu u znajomych nie opodal Warszawy, których akurat odwiedziła kobiecina ze wsi — stała dostawczym cielęciny. Gdy dowiedziała się, jaką reprezentuję profesję, szybko podała tyły, pozostawiając rodzinę S. bez zaopatrzenia, i to na długie lata. Właśnie od tej pory pan S. tytułował mnie „magistrem”, jako że lichy nie śpi i nigdy nie wiadomo, kogo mój zawód potrafi wypłoszyć —■ tak mi to objaśnił.

A przecież, w gruncie rzeczy, pozostawiając na uboczu cielęcinę, coś w tym jest. Taki na przykład inżynier, powiedzmy, elektryk, wyjdzie sobie po południu z zakładu i może spokojnie zapomnieć o swym zawodzie. Z prokuratorem jest inaczej. Człowiek nosi ciężar swej godności przez okrągłą dobę. Musi reprezentować postawę zasadniczą reagując na zło, zawsze bez możliwości ucieczki w — nazwijmy to — „prywatność”. I tu widziałbym pewną analogię z lekarzem. Tylko że lekarz zawsze pomaga, a prokurator wprawdzie również, ale produktem ubocznym jego działań na rzecz społeczeństwa jest zawsze czyjaś dolegliwość, wprawdzie zasłużona, a jednak...

Mówiąc o wstydlivosti stanowiska prokuratora nie chciałbym być źle rozumiany. Nigdy nie wstydziłem się swego zawodu; odwrotnie — byłem z niego dumny. Myślę, że tylko obiegowe odczucia moralne nie zawsze pokrywają się z prawnymi i stąd cała sprawa. Zawsze, gdy oskarżałem bandytę, wyczuwałem sympatię sądowej publiczności. Tylko rodziny oskarżonych występowały milcząco przeciwko mnie, co było zrozumiałe. Pamiętam jednak wiele procesów, na których wyraźnie odczuwałem niechęć ludzi przysłuchujących się rozprawie i nie czułem się z tym dobrze. Jakże to były sprawy?

Na przykład lekarz, którego oskarżałem przed laty 0 nielegalne spędzenie płodu, a nawet przestępca gospodarczy. W marcu 1953 r. ukazał się tzw. mały dekret o ochronie własności społecznej przed drobnymi kradzieżami. W pierwszym okresie stosowania tego przepisu kurs był nader surowy. Stosowaliśmy areszty tymczasowe za zabór mienia groszowej nawet wartości, a sądy wymierzały kary pozbawienia wolności bez warunkowego ich zawieszenia.

Pamiętam, że któregoś dnia milicja doprowadziła do mnie pewnego inżyniera. Był to człowiek już po pięćdziesiątce, przyzwoity pracownik jednej z warszawskich budów, nigdy nie karany. Okazało się, że hoduje on króliki i żeby naprawić kilka klatek, po prostu zabrał z budowy trochę desek, drutu i siatki. Jegomość ów został potraktowany przeze mnie jak 1 przez sąd z całą surowością ówczesnego prawa, tylko gdy go oskarżałem nie odbierałem społecznej aprobaty publiczności dla tak ostrych przepisów.

Atmosfera niechęci zdarzała się niekiedy w sprawach o przestępstwa drogowe, przede wszystkim wówczas, gdy sprawca nie był pijany. Muszę powiedzieć, że nigdy w czasie swej pracy nie oskarżałem nikogo wbrew własnemu przekonaniu. Z drugiej jednak strony potrafiłem niekiedy zrozumieć, dlaczego czyn o określonym stopniu społecznego niebezpieczeństwa z punktu widzenia prawodawcy i interesu publicznego nie spotyka się z należywym potępieniem ogółu i jakie działają tu mechanizmy.

PI***mmr r

Dam jednak spokój rozważaniom o „wstydlivości” zawodu, problem ten bowiem należałoby potraktować znacznie szerzej, niż mogę stobie na to pozwolić. Być może ta wstydlivość przestałaby w ogóle wy! stępować, gdyby społeczeństwo zdawało sobie spra* wę z roli i znaczenia licznych prokuratorskich działań niejako poza i na marginesie prawa karnego. Pa., nuje tu jednak niezrozumiała dezinformacja. Z po, jęciem „prokurator” łączy się zawsze tylko ściganie i oskarżanie. Inne tereny działalności urzędu, jak np. kontrola przestrzegania prawa, uczestnictwo w pro-; cesie cywilnym itd. pozostają poza sferą wiedzy lu. dzi i jest to źle.

Leżałem swego czasu w szpitalu. Pewnego dnia w czasie obchodu któryś z lekarzy nazwał mnie „roz

lanym wyrostkiem robaczkowym”. Poczułem

ii

wówczas kimś bez imienia i nazwiska. Okazuje się* że byłem poważnym przypadkiem chirurgiczny^!

i niczym więcej. Dla lekarza chory może być kiszka”, dla prokuratora podejrzany rzadziej jest je dynie problemem prawnym określonym artykułem kodeksu karnego, za którym kryje się tylko jego przestępstwo. W wielu prowadzonych śledztwach, szczególnie po latach pracy, zdarzało mi się odrywać czy wyizolować czyn sprawcy od całego jego życia, którym przecież nie zawsze mogłem się zajmować, I choćby z braku czasu. Osoba złodzieja, łapownika czy bandyty interesowała mnie często tylko w okresie od — do, limitowanym granicą zarzutu. Przez tań w istocie patrzyłem czasem na swych „klientów” Ij trochę tak jak niektórzy lekarze na pacjentów: „po | rutyniarsku”. Ma to swoje złe, ale i dobre strony. J Za dobrą można by uznać brak uprzedzeń, emocjo* 1 naJnego, pozytywnego bądź negatywnego stosunku I do sprawcy, a w konsekwencji, za obiektywizm ocen. I Zła strona takiej postawy to przede wszystkim nie- I

możność pełnego zrozumienia, dlaczego właśnie X czy Y postąpił tak, a nie inaczej. Jaki zespół czynników odegrał dominującą rolę i gdzie szukać autentycznych powodów kolizji z prawem, które pozostawały w sferze mojego bezpośredniego profesjonalnego zainteresowania.

Tempo życia utrudnia bardzo wiele. Lekarz dysponujący anamnezą, historią choroby sprzed lat, a nawet szeregiem specjalistycznych badań dodatkowych, wie o swym pacjencie dużo mniej niż lekarz domowy w XIX w. Nigdy nie miałem czasu, aby poznać podejrzanego tak, jak sędzia śledczy ze „Zbrodni i kary” znał Raskolnikowa — i tego mi brakowało. Odpowiednikami lekarskiej anamnezy są dane z rejestru skazanych, arkusze osobopoznawcze, opinie i ankiety. A jednak mimo starań, aby uzyskać o podejrzanym pełną wiedzę, bywa to bardzo trudne. Istnieje przestępstwo, które bada się najbardziej wszechstronnie, a człowiek pozostaje niekiedy na uboczu, choć oczywiście mie zawsze, ale jakim kosztem. Zawodowa rutyna w ocenie przestępstwa doprowadza niekiedy poza służbą do rutyny w ocenie ludzi. Ponieważ przestępstwo jest czymś złym, sprawca jest też równie jednoznacznie „zły”, i tu właśnie może tkwić błąd. Wspomniany sposób widzenia ludzi przenosi się czasem na obszar życia prywatnego.

Już po odejściu z Prokuratury obserwowałem u siebie konsekwencje wspomnianego nawyku. Z jednej strony sądenie ludzi po ich czynach nie jest przecież błędem, z drugiej jednak stałem się w życiu towarzyskim dużo bardziej krytycznym wobec otoczenia. Wystarczyło, by ktoś zrobił coś nie tak jak należy, abym uogólnił jego czyn choćby sporadyczny, posuwając się do totalnie ujemnej oceny człowieka, nie zawsze przecież sprawiedliwej. Wszystko brało się stąd, że do oceny nie czynu a czło-

wieka zdarzało mi się podchodzić formalnie. Fety- ;j szyzowałem to, co -zrobił, nie umiając zrozumieć mo- i tywacji bądź szufladkując ją według formalnych schematów. Francuzi powiadają: „Wszystko zrozu- M mieć, to wszystko przebaczyć”. Prokurator nie może hołdować tej dewizie choćby dlatego, że stoi on na straży prawa i musi reprezentować najszerzej pojęty interes społeczny. Filozofując można na dobrą sprawę zrozumieć nawet mordercę seksualnego, nie sposób mu jednak wybaczyć, choćby w imię ochrony życia i zdrowia ludzkiego jako wartości bezwzględ- ; nej. Jeżeli prokurator nie może wybaczać, to w konsekwencji chyba nie zawsze musi rzeczywiście wszystko do końca rozumieć. Można oskarżyć i sprawiedliwie skazać przestępcę tylko przy niezbędnej wie- dzy o nim samym, bez potrzeby dokonywania nie zawsze realnych zabiegów, aby wiedzieć wszystko. |

W swej pracy zawodowej zawsze starałem się wie- I dzieć wszystko o przestępstwie i dość dużo o sprawcy. Nigdy nie odwracałem tych proporcji chyba dlatego, że pełna wiedza o człowieku wymaga bardziej lat niż akt, a przecież nie sposób zjeść z kimś bez- < kę soli, zanim się go oskarży.

Chirurg spotyka się poza szpitalem z przypadkiem chirurgicznym chyba dużo rzadziej niż prokurator z czynem w większym lub mniejszym stopniu bezprawnym. Tak na co dzień to ludzi chorych jest I chyba mniej... Ci, którzy chorują, pozostają w mniej- ą szości w stosunku do ludzi mniej lub bardziej niemoralnych. Myślę, że łatwiej jest «zrobić świństwo niż poważnie zachorować. Stąd też lekarze rzadziej przenoszą swą zawodową rutynę do stosunków poza- szpitalnych niż prokuratorzy do stosunków poza swym urzędem, na konsekwencję zaś tego stanu rzeczy nie trzeba długo czekać.

•Byłem niedawno w delegacji służbowej już nie jako prokurator, a jako dziennikarz. W urzędzie, który odwiedziłem, ktoś życzliwy zaproponował mi poświadczenie delegacji w taki sposób, abym mógł pozostać w atrakcyjnej miejscowości kuracyjnej o dwa dni dłużej, niż było to niezbędne, i oczywiście na koszt redakcji. Gdybym nigdy nie był prokuratorem albo bym odmówił, albo skorzystał z propo- zycji, i na tym koniec. Ja zaś straciłem do tego człowieka szacunek. Widziałem w nim przestępcę, który zamierza dokonać fałszerstwa dokumentu, poświadczyć niej^wdę co do okoliczności mającej znaczenie prawne, a mnie wciągnąć w orbitę zamierzonej kombinacji, choćby nawet w moim tylko interesie. Może celowo nieco przesadzam, ale tok mojego myślenia był trochę właśnie taki. Podobnych przykładów można by mnożyć wiele. Praca w Prokuraturze pozostawia trudny do zatarcia ślad pewnej krańcowości w ocenach ludzi poprzez odrywanie konkretnego faktu, konkretnego zachowania się zarówno od innych cech tychże ludzi, jak i od pewnych obyczajów, w ramach których określona postawa mieści się w naciągniętych nieco normach moralnych, nie mieszcząc się jednak w formalnych normach prawnych, bardziej wymagających. Znajomy, który po wypiciu dwóch kieliszków koniaku siada za kierownicą samochodu, bywa dla mnie niekiedy tylko określonym przepisem kodeksu wykroczeń. Czasem zapominam, mówię to oczywiście w przenośni — kto to jest, a widzę jedynie to, co zrobił. Jego konflikt z prawem przenosi się w sferę ocen generalnych. Nie jest to chyba'dobrze, ale cóż —• nawyk.

W podobny sposób oceniłem podczas pewnej wy. ciecarki skądinąd przyzwoitego człowieka, który wywiózł na teren NPvD nielegalnie 100 czy 200 zakupionych uprzednio na warszawskim bazarze marek, aby kupić maszynę do p»isania.

Pojęcie występku dewizowego czy celnego w świecie | domości wielu ludzi po prostu nie istnieje. Myślę i oczywiście o ocenie społecznego niebezpieczeństwa takich czynów, formalne nakazy prawa bowiem spopularyzowane są znakomicie. Być może jest w tym cień przesady. A jednak dla lekarza czarna kropka J na policzku przygodnie spotkanego człowieka może J kojarzyć się z nader złośliwym rakiem. Ta kropka | przesłania wszystko inne, trzeba tylko wiedzieć, co ona znaczy i co może być dalej. Chodzi tu o „ostrość” 3 i wybiórczość profesjonalnie ukierunkowanego wyjudzenia. Lekarz zawsze skłonny jest do przesady J w niekorzystnym rokowaniu schorzenia. Prokurator | przesadza podobnie, ale w ocenie ludzkich przywar, i Piętno zawodu to nie tylko kwestia ocen ludzi, ale i również własnego postępowania. Człowiek staje się bardziej wymagającym nie tylko wobec innych, ale również wobec siebie, a przecież żyć trzeba. Obserwując niektórych kolegów czy znajomych spoza zawodu prawniczego odnoszę wrażenie, że wiele rzeczy im przychodzi łatwiej. Niedawno ktoś z mojego środowiska otoczenia sprzedawał leśną działkę. Obie strony transakcji bardzo się spieszyły i wszystko zależało od geodety, a konkretnie od terminu, w jakim J dokonałby on stosownych oględzin. Geodeta powiedział, że przyjedzie za dwa miesiące, a mój znajomy z góry wiedział, że uda mu się skłonić zacnego urzędnika, żeby się pospieszył. Otóż, ja bym tego załatwić | nie potrafił, tak jak wielu podobnych spraw.

Wprowadzałem się swego czasu do nowego mieszkania. Pewien dzentelmen, od którego dużo zależało, asystował przy przeprowadzce. Był to elegancki mężczyzna w średnim wieku, bardzo nobliwy i nieskazitainie ubrany. Wręczając mi klucze powiedział:

— Widzi pan, w tym bloku nie wszyscy lokatorzy [mają piwnicę, ale pan będzie miał podziękowałem.

Mój rozmówca ciągnął dalej:

— Tu nie wszyscy otrzymują automatyczne bezpieczniki, ale dla pana mam cały komplet. Byłem wdzięczny.

Gdy dzentelmen zapewnił mnie, że dzięki jego staraniom mam w łazience najnowszy typ baterii, a w kuchni zlewozmywak z importu — zrozumiałem, że ograniczając się do suchych podziękowań robię świństwo. Było to coś w rodzaju moralnego kaca. Czułem, że człowiek ten na coś czeka, a ja nie tyle nie chcę, co nie potrafię stanąć na wysokości zadania i że funkcjonują tu swoiste zawodowe obciążenia, z których nie sposób się już wyzwolić.

Innym piętnem zawodu jest brak odporności na fałsz i obsesyjne dążenie do ujawnienia kłamstwa, nawet wbrew własnemu interesowi. Prokurator ma do czynienia z podejrzanymi, którzy kłamią, i ze świadkami, którzy mijają się «z prawdą. Ktoś niegłupi powiedział, że świadek to albo kłamca, albo świnia — tertium non datur. Kłamliwych świadków, przesłuchiwałem w swym życiu wielu. Przyjęcie za dobrą monetę prezentowanych przez nich kłamstw byłoby prokuratorским błędem w sztuce. Stąd też zawsze dążyłem do tego, aby przez wydobywanie z ich zeznań zawartych sprzeczności — sprowadzić kłamstwa do absurdu i zmusić do wyjawienia prawdy. Takie postępowanie niezbędne w śledztwie nie ma dużego sensu w życiu. A mimo to pozostaje jako signum zawodu i to chyba na zawsze. Kłamstwo w śledztwie może być niezbędne podejrzanemu, korzystne dla świadka, zdarza się nawet, i to przy racjonalnym uzasadnieniu, niektórym pokrzywdzonym. Prokurator nie jest zainteresowany w zaprotokołowaniu fałszywych enuncjacji. Ponieważ istotą postępowania karnego jest ujaw-

nienie całej prawdy o ludziach i zdarzeniach, przeto dąży się do niej zawsze. Co innego w życiu. Często dobrze jest być okłamanym, czasem prawda wcale nie jest człowiekowi potrzebna, a nawet przeszkadza. Dobrze jest czasem w życiu towarzyskim, rodzinnym czy nawet uczuciowym przymykać oczy na wiele spraw, umieć ich nie widzieć. Prokurator czy j nawet były prokurator nie jest tu w najlepszej sytuacji. Dążenie do ujawnienia kłamstwa staje się odruchem, nawykiem czy choćby jednym i drugim. Rozmowa zamienia się w przesłuchanie, a w kon? sekwencji człowiek dowiadyuje się prawdy, która' wcale mu nie jest niezbędna ani potrzebna. Z dążeniem do ustalenia faktów łączy się podejrzliwość. W śledztwie bywa ona uzasadniona, stanowiąc naturalną konsekwencję procesu dochodzenia do prawdy wobec tych, którzy dla oczywistego własnego interesu zawsze próbują ją zaciemnić. Prokurator przyzwyczajają się niejako na co dzień do „przeciwników”, śledztwo stanowi jawną grę interesów: z jednej strony interes publiczny, z drugiej — interes prywatny oskarżonego, zawsze sprzeczny z tym, który repre- zentuje prokurator. W imię zasady prawdy obiektywnej prokurator musi nieustannie weryfikować zdo- byte ustalenia, a jeżeli weryfikować — to wątpić. Jest tu poczesne miejsce dla czynnika odpowiednio ukierunkowanej podejrzliwości, bez której o wykonywaniu zawodu prokuratora nie może być mowy. Podejrzliwość zawodowa, warunek sine qua non powodzenia w śledztwie, może być niekiedy przyczyną niepowodzenia w życiu. Człowiek podejrzany w śledztwie, nie może się o to obrazić, nawet jeżeli zbiegiem okoliczności okaże się niewinny. W życiu bywa zupełnie inaczej. Obrażają się nie tylko niewinni, może właśnie przede wszystkim winni. Właśnie za to, że wątpi się w prawdziwość ich zapew-

nień — to ich gniewa. Często łapałem się na tym, że mój stosunek do ludzi — przed laty i dziś — bywa nacechowany podejrzliwością. Wydaje mi się zawsze, że mam do czynienia z jakąś koncepcją ściśle egoistyczną, na własny użytek tego, który ją reprezentuje. Przeniesienie tego domniemania — i to jako zasady — na grunt prywatny może doprowadzić do swoistej alienacji, stanowiącej niebezpieczne piętno zawodu. Mówię, rzecz jasna, tylko o sobie. Są ludzie^ którzy potrafią lepiej lub gorzej myśleć kategoriami przedstawiciela określonego zawodu i kategoriami „cywila” w zależności od sytuacji chwili, warunków. Muszę przyznać, że nie zawsze mi się to udawało. Nie zawsze potrafiłem pozbyć się podejrzliwości, jakby życie było przedłużeniem śledztwa, ze wszystkimi faktami tego konsekwencjami.

A jednak mimo licznych aberracji zawód prokuratora daje wielką wiedzę o życiu i ludziach, wiedzę, która w pewnym sensie jest skrzywiona właśnie przez ekstrema, ale przecież w sytuacjach ekstremalnych osobowość człowieka rysuje się najostrzej.

Będąc poza Prokuraturą przez wiele lat nie napotkałem tylu ludzkich świństw, z jakimi zetknąłem się w toku jednego śledztwa. Praca śledcza daje wyobrażenie o ogromie ludzkich możliwości, oczywiście w najbardziej pejoratywnym tego słowa znaczeniu. Po latach wykonywania zawodu można się nie tylko przestać niczemu dziwić, ale i suponować najgorsze. Tu właśnie tkwi największe niebezpieczeństwo. Przez ponad 20 lat każdy dzień dostarczał mi danych, że człowiek to wcale nie brzmi dumnie. Trzeba dużo dojrzałości i odporności, aby nieustannie wierzyć, że to, z czym styka się prokurator — to przecież tylko margines, że w życiu jest inaczej. Czy naprawdę zachowałem tę odporność —j trudno powiedzieć. Myślę, że i tak, i nie.

TADEUSZ GROMNICKI
PRZESTĘPCY I DETEKTYWI

Najciekawsze sprawy kryminalne, kulisy śledztw, tajemnice kryminalistycznych
laboratoriów

PORTRET MORDERCY

Był ciepły wieczór 30 września 1977 roku. Magda Kłosowska, młoda, opalona blondynka, wracała samotnie z teatru. Kiedy wchodziła do swojego bloku na jednym z nowych warszawskich osiedli mieszkaniowych, była godzina 22.40. Przeszła kilkanaście metrów pustym, jasno oświetlonym korytarzem i stanęła przed windą. Czekając, aż ta zjedzie z któregoś z najwyższych pięter, nie zauważyła, że do budynku wszedł cicho jak cień jakiś mężczyzna. Zwróciła na niego uwagę dopiero wówczas, gdy wślizgnął się tuż za jej plecami do środka. Ruszyli razem ona na VI, a on na XI, najwyższe piętro. Po przejechaniu zaledwie kilkunastu metrów poczuła na szyi gwałtowny, żelazny uścisk. Zaczęła słabnąć, nie wiedziała, co się z nią dzieje. — Ściągaj złoto, k... — słyszała chrapliwy, dyszący głos, a wśród ciemnych płatów — wirujących jej przed oczami - ujrzała połyskujące w świetle ostrze noża czy sztyletu. Resztkami sił zaczęła się bronić, machając na oślep rękami i kopiąc nogami. W tym momencie poczuła ostry, piekący ból twarzy. Nóż napastnika ugodził ją w skroń, a następnie przeorał policzek aż do brody. Instynktownie złapała się za głowę; ciepła, tryskająca z rany krew zalewała oczy, spływała po szyi i rękach.

Tego już nie wytrzymała, osunęła się na podłogę tuż pod nogi napastnika. Nie wiedziała, że tamten zatrzymał windę między piętrami, zerwał z jej rąk złotą bransoletkę i dwa pierścionki, przetrząsnął terebkę, a następnie nieprzytomną zgwałcił. Pół godziny później znalazł ją ledwie żywą pewien kolejarz, mieszkaniec tego

hinku wracający po pracy na nocnej zmianie do domu. H Magda odzyskała przytomność już w karetce pogo- JBHP towia ratunkowego. Straciła ją jednak ponownie, gdy leżąc na noszach zobaczyła swoje zakrwawione ręce i pochylonego nad sobą lekarza. Kiedy wieziono ją do bloku operacyjnego, krzyczała, wzywała pomocy, usiłowała uciekać. Nie wiedziała jeszcze wówczas, że blizna po ranie zadanej przez złoczyńcę pozostanie na jej twarzy już do końca życia.

Szpital, w którym operowano Magdę Kłosowską, powiadomił właściwą miejscowo Komendę Dzielnicową Warszawa-Praga Północ w dniu 1 października o godz. 2.00. Praga Północ jest jedną z dzielnic stolicy najbardziej zagrożoną przestępczością kryminalną. Tutaj w ciągu roku statystyki milicyjno-prokuratorskie rejestrują kilka tysięcy przestępstw, nie licząc wielokrotnie większej liczby wykroczeń, kolizji drogowych, awantur w domach i na ulicach oraz innych zdarzeń, wymagających interwencji służb porządkowych i organów ścigania karnego. W potoku zabójstw, włamań i kradzieży przestępstwa takie jak to, którego ofiarą padła Magda Kłosowska, nie stanowią żadnego nadzwyczajnego zdarzenia, chociaż traktuje się je z należytą powagą. Inspektor Wydziału Dochodzeniowego, któremu powierzono tę sprawę, sporządził protokół przyjęcia zawiadomienia o przestępstwie, przesłuchał poszkodowaną i wszczął dochodzenie. Napadnięta niewiele mogła powiedzieć o napastniku. Warunki, w jakich ją zaatakował, błyskawiczny przebieg zdarzenia, pełne zaskoczenie i głęboki szok, którego doznała, wykluczały możliwość zapamiętania jakichkolwiek szczegółów rysopisu czy wyglądu złoczyńcy. Na trop sprawcy nie doprowadziło również rozpoznanie osobowe wśród mieszkańców bloku. Czterech zamieszkałych w tym bloku recydywistów legitymowało się murowanym alibi, a pozostali mężczyźni nie wchodzili w rachubę ze względu na wiek, osobowość i stan sprawności fizycznej. Po upływie miesiąca dochodzenie zostało umorzone ze wzglę-

du na niewykrycie sprawcy, a meldunek o przestępstwie i jego okolicznościach trafił do milicyjnej kartoteki. Wtedy, w dniu 2 listopada 1977 roku, nikt jeszcze nie domyślał się, że niebawem sprawa ta wpisze się na stałe do kronik najciekawszych kasusów kryminalnych polskiej kryminalistyki, dzięki swojemu związkowi z innymi, jeszcze bardziej dramatycznymi zdarzeniami.

Zaledwie w pięć dni po umorzeniu dochodzenia w sprawie napadu na Magdę Kłosowską w stolicy otworzyło się, piekło. Siódmego listopada tylko na terenie dzielnic Śródmieście i Mokotów ujawniono kilkadziesiąt groźnych przestępstw, a wśród nich tajemnicze zabójstwo kobiety i cztery niezwykle zuchwałe napady na kobiety w windach.

Wiadomość o zabójstwie przekazała dyżurnemu Komendy Stołecznej MO pewna prostytutka. Oznajmiła ona, że tego dnia o godz 9.00 udała się do mieszkania swojej koleżanki po profesji Barbary Młynek pseudonim „Zielona” przy ulicy Senatorskiej. Na dzwonek i pukanie nikt jej nie odpowiedział, otworzyła więc drzwi zapasowymi kluczami, które kiedyś otrzymała od koleżanki. Z przerażeniem stwierdziła, że Młynek leży martwa w upiornej scenerii. Delegowana niezwłocznie na miejsce zdarzenia grupa operacyjno-śledcza stwierdziła, że przerażenie zgłaszającej nie było bezpodstawne. Całkowicie obnażone zwłoki właścicielki mieszkania leżały w wannie napełnionej po brzegi wodą. Na szyi denatki była silnie zadziergnięta pętla z prześcieradła, zakończona fantazyjną kokardą. Meble i sprzęt domowy znajdowały się w straszliwym nieładzie i nie ulegało wątpliwości, że ktoś czegoś tutaj bardzo uporczywie poszukiwał. Badania sądowo-lekarskie wykazały, że Barbara Młynek poniosła śmierć prawdopodobnie już 3 listopada w wyniku uduszenia przez zadziergnięcie prześcieradłem, a w momencie wrzucenia jej do wody była już martwa. Jak zwykle w sprawach o zabójstwa i inne poważne przestępstwa, grupa operacyjno-śledcza i przydzieleni jej do pomocy specjaliści z zakresu krymi-

I

nalistyki rozpoczęli pracę non stop w dzień i w nocy. A nie była to praca łatwa.

Zabójstwa prostytutek z reguły należą do spraw trudnych i skomplikowanych, a przypadek „Zielonej” nie był wyjątkiem od tej reguły. Zamordowana miała 30 lat, była rozwódką, miała liczne powiązania ze światkiem przestępczym, znała też wielu mężczyzn w białych kołnierzykach, prowadziła podejrzone operacje finansowe, znali ją dobrze handlarze obcą walutą i niebieskie ptaki. Spenetrowane mieszkanie sugerowało, że motywem zbrodni był rabunek. Ale równie dobrze mogło to być zabójstwo z zemsty, nieporozumień osobistych lub seksualne. Fantazyjna kokarda na pętli śmierci mogła być przejawem jakiejś zbrodni rytualnej, a biorąc pod uwagę osobowość denatki nie można było wykluczyć, że musiała umrzeć, ponieważ za dużo wiedziała o pewnych sprawach i pewnych osobach. Jej były mąż, mężczyzna, od którego wynajmowała na stałe za wysoką opłatę luksusowe mieszkanie z telefonem, kochanek, któremu w przeszłości kupiła w prezencie samochód marki „Volkswagen”, sutenerzy, cinkciarze, trzech znanych milicji zbrodniców korzystających często z jej usług — była to tylko część kandydatów do kręgu osób podejrzanych. A przecież nie można było nie włączyć do tego kręgu kilkuset anonimowych mężczyzn — jej codziennych klientów. Jednego z nich milicja zatrzymała jeszcze tego samego dnia wieczorem. Odgrażał się on kiedyś „Zielonej”, że wrzuci ją do Wisły za to, iż oszukała go przy transakcji dolarami. Był wyraźnie speszony wizytą funkcjonariuszy, płatał się w zeznaniach i podał fałszywe alibi. Nie miał alibi również inny stały przyjaciel zamordowanej prostytutki, karany za pobicie, znany kobietom z półświatka jako bezwzględny brutal i sadysta. Ale najbardziej podejrzany wydawał się być niejaki Jerzy Małysz. Jak ustalono, kilka dni przed ujawnieniem zabójstwa gorączkowo poszukiwał on Barbary Młynek po całym mieście, a na pytanie, czego od niej chce, zgrzytał z nienawiścią zębami. W dniu 6 listopada wygadał się komuś, że musi w ciągu kilku godzin zdobyć większą kwotę marek albo dolarów i wyjechać do NRD, a stamtąd zamierza czmychnąć na Zachód. Załoga radiowozu, której polecono niezwłocznie zatrzymać i przywieźć do Komendy Małysza, zastała jego mieszkanie puste. W związku z tym zaalarmowano błyskawicznie wszystkie punkty kontroli granicznej, przekazując im zadanie niewypószczenia poszukiwanego z kraju. Tej samej nocy zatrzymano do wyjaśnienia dalszych dwóch mężczyzn i jedną kobietę. Osoby te, każda niezależnie od pozostałych, usiłowały wejść do mieszkania, w którym rozegrał się krwawy dramat, pod osłoną ciemności. Tam już czekała na nie milicja. Bezpośrednio bowiem po zakończeniu oględzin w mieszkaniu tym zorganizowano zasadzkę. Było to konieczne nie tylko ze względu na znaną teorię o powrocie przestępcy na miejsce zbrodni, ale przede wszystkim dlatego, że wiedziano, iż sprawca zabójstwa zabrał ze sobą klucze od mieszkania denatki. A każdy z zatrzymanych, włącznie z kobietą, miał przy sobie różne klucze, a jeden usiłował nawet manipulować nimi przy zamkach drzwi. Ale zadaniem funkcjonariuszy, skierowanych do zasadzki, było nie tylko zatrzymywanie tych, którzy skradali się do mieszkania po cichu jak koty, nie sprawdzając uprzednio telefonicznie, czy ktoś w nim jest. Wśród trzymających „kocioł” znajdowała się też inspektorka obyczajówki, doskonale znająca mentalność i słownictwo prostytutek oraz środowisk z nimi związanych. Ona to właśnie, podając się za „Zieloną”, odbierała wszystkie telefony, nie omieszkując szczerze i przekonywająco zapraszać każdego z rozmówców do złożenia natychmiastowej wizyty. Dzięki temu nad ranem — najpierw w mieszkaniu, a później w Komendzie — znalazły się następne cztery osoby płci obojga.

Zeznania tej czwórki wniosły do sprawy bardzo istotne okoliczności, związane zwłaszcza z osobowością, kontaktami, stylem życia i zwyczajami zamordowanej. Na ich podstawie można było przyjąć, że 3 listopada,

§

czyli w dniu, kiedy według sugestii lekarzy medycyny sądowej z Wydziału Kryminalistyki Komendy Stołeczna- MO popełniono zabójstwo, Barbara Młynek była w, dziana po raz ostatni przed południem. Przebywała wówczas w znanej warszawskiej kawiarni „Roxana” w pewnym momencie do jej stolika podszedł jakiś mężczyzna, nie znany ani w środowisku prostytutek ani stałych bywalców lokali. Po zamianieniu kilku słów których nikt z otoczenia nie słyszał, oboje opuścili Sł kal. Świadkowie tej sceny zapamiętali, że ten, który wyszedł z „Zieloną”, był średniej budowy ciała, miał wzrost około 175—180 centymetrów, włosy koloru blond i łagodny, dobrotliwy wyraz twarzy. Niestety rysopis tego mężczyzny nie korespondował ani z rysopisem żadnego z tych, których zatrzymano w nocy, ani z rysopisem znanych milicji innych kontaktów i przyjaciół denatki. Był to zresztą rysopis bardzo nieselektywny i nie mogący stanowić skutecznej podstawy do szerokiego typowania kręgu osób podejrzanych i działań rozpoznawczo-poszukiwawczych. Tak więc olbrzymi nakład pracy, wykonanej w dniu 7 listopada i w ciągu nocy z 7 na 8 listopada, poszedł na marne. Śledztwo w sprawie zagadkowego zabójstwa „Zielonej” utknęło w martwym punkcie. Podobnie rzecz się miała w sprawie wspomnianych czterech napadów na kobiety w windach. Wszystkich tych czynów dokonano w biały dzień w centrum stolicy. Ulica Hoża, Okrąg, Puławska i Czerniakowska — to przecież główne arterie i najbardziej warszawskie z warszawskich miejsc. Modus operandi sprawcy był we wszystkich sytuacjach niemal identyczny. Po wejściu do windy napastnik terroryzował ofiary żyletką czy też nożem i — grożąc poderżnięciem gardła lub pocięciem twarzy — zmuszał je do perwersyjnych czynów nierządnych, po czym rabował złote pierścionki, obrączki, łańcuszki, medaliony i pieniądze, a następnie szybko zniknął. Sparaliżowane strachem kobiety dopiero po minięciu szoku były zdolne do wzywania pomocy czy

powiadomienia milicji. Pierwszy napad wydarzył się o godz. 11.40, drugi o 12.00, trzeci o 13.15, a czwarty o 15.15. Pomimo że ofiary podały rysopisy różniące się wieloma istotnymi szczegółami, należało liczyć się z tym, że sprawcą wszystkich napadów był jeden i ten sam mężczyzna. Milicja brała pod uwagę to, że napadnięte miały bardzo krótki kontakt ze złoczyńcą i znajdowały się w stanie głębokiego szoku, a niektóre z nich wręcz bały się odpowiadać na pytania dotyczące wyglądu bandyty z obawy przed krwawą zemstą z jego strony. Z tych samych względów prowadzący sprawę krytycznie ocenili zeznania pokrzywdzonych na temat narzędzia, którym sprawca posługiwał się albo groził. Wszystkie napadnięte były zgodne co do tego, że widziały w ręce napastnika coś ostrego i błyszczącego. Jedne z nich identyfikowały to narzędzie z żyletką, a inne z nożem w rodzaju finki czy sztyletu. W świetle tego, okoliczności wszystkich czterech napadów z dnia 7 listopada korespondowały wiernie z okolicznościami zamachu na Magdę Kłosowską, dokonanego 30 września. To, że pierwsze przestępstwa zdarzyły się w godzinach południowych, a ostatnie w porze wieczorno-noc-nej nie mogło stanowić czynnika wykluczającego związek podmiotowy. Za istnieniem bowiem tego związku przemawiało podobieństwo rysopisu sprawcy. Opis przestępcy, który podała Magda Kłosowska, niewiele odbiegał od opisów przedstawionych w zeznaniach ofiar ostatnich napadów. Ale w praktyce wykrywczej milicji problem związków podmiotowych i przedmiotowych, w różnych przestępstwach badany jest zawsze szeroko. Jest to zasługą służby informacyjno-rozpoznawczej, będącej już od kilkudziesięciu lat mózgiem każdej nowoczesnie zorganizowanej policji czy milicji. W kartotekach tej służby koncentrują się wiadomości o przestępcach i przestępstwach kryminalnych

zarówno tych dokonanych, jak i dopiero planowanych przez świątek złoczyńców. Dzięki tym wiadomościom można kojarzyć ze sobą albo wykluczać wzajemne związki pomiędzy

o

różnymi zdarzeniami kryminalnymi, bez względu na czas zdarzeń, miejsce i okoliczności. To właśnie dzięki wiedzy zawartej w kartotekach służby informacyjno- -rozpoznawczej MO skonstatowano w swoim czasie, że zatrzymany w 1968 roku w Warszawie sprawca zabójstwa pewnej staruszki — Stanisław Modzelewski — piętnaście lat wcześniej na terenie Łodzi i województw ościennych dopuścił się 11 zabójstw kobiet na tle seksualnym. W ten sposób udaje się różnym jednostkom MO z całego kraju stwierdzać, że wielu zatrzymanych włamywaczy, bandytów, gwałcicieli, oszustów i złodziei ma na swoim koncie dziesiątki albo nawet setki innych przestępstw dokonanych w różnym czasie i w różnych miejscowościach. Rola służby informacyjno-rozpoznawczej nie sprowadza się jednak do matematycznego sumowania przestępstw podobnych do siebie z uwagi na metodę postępowania sprawcy. Dane, które ta służba przygotowuje, stanowią podstawę do wszechstronnych analiz, przeprowadzanych przez tych specjalistów milicji, którzy zajmują się bezpośrednio tropieniem przestępców, opracowywaniem prognoz zagrożenia i koncepcji działań profilaktycznych. W tym przypadku z informacji kartotek wynikało, że napady w windach nie były w stolicy żadną nowością. W poprzednich latach zarejestrowano ich kilkadziesiąt. Ale były to czyny zupełnie inne od tych, w związku z którymi teraz prowadzono postępowania przygotowawcze. Tamte napady miały charakter przypadkowy. Ich sprawcami były osoby nietrzeźwe, nieletni, psychicznie chorzy i grupy awanturujących się chuliganów. W żadnym z poprzednich przestępstw nie występowały tak mocno elementy działalności przestępczej typu seryjnego, zimnego okrucieństwa i brutalności. Cztery napady, popełnione 7 listopada w biały dzień w środku stolicy przez jednego zdeterminowanego sprawcę, to już było bardzo poważne zagrożenie dla porządku publicznego i bezpieczeństwa mieszkańców Warszawy. Przestępca seryjny, a sprawca tych czynów taki właśnie był, z reguły nigdy nie rezygnuje z kontynuowania swojej działalności. Aby położyć kres przestępstwom seryjnym, ich sprawcę należy wytropić, zatrzymać i aresztować. O tym, że w takich przypadkach nie ma alternatywy, dobrze wiedzieli pracownicy Wydziału Kryminalnego Komendy Stołecznej MO w Warszawie, który od tej pory miał bezpośrednio koordynować działania operacyjno-rozpoznawcze komend dzielnicowych we wszystkich sprawach o napady w windach. Zadanie, które postawiono przed tym Wydziałem, było jasne: uniemożliwić „windziarzowi” dalszą działalność przestępczą i jak najszybciej ująć go. Ale, jak to zwykle w życiu bywa, jasność zadania nie zmniejszyła trudności związanych z jego wykonaniem. Przecież w takim molochu urbanistycznym jak Warszawa nie sposób jest obstarwić wszystkie dźwigi osobowe milicjantami. Nie można też nakłonić mieszkańców, aby zrezygnowali z korzystania z tego nieodzownego środka przemieszczania się w górę i w dół. Z tego faktu, że w dniu 7 listopada „windziarz” operował tylko na terenie dwóch dzielnic, nie wynikało wcale, że w najbliższej przyszłości nie przeniesie on swoich okrutnych akcji na Wolę, Żoliborz czy Pragę. Zresztą Pragi Północ nie można było wyłączyć spod zabezpieczenia z uwagi na to, że właśnie tam miał miejsce napad na Magdę Kłosowską. Tego rodzaju dylematów kierujący działaniami mieli znacznie więcej, ale na ich rozważenie nie było czasu. Już wieczorem dnia 7 listopada kilkuset wywiadowców i innych pracowników milicji po cywilnemu obstawiało wytypowane budynki i bloki mieszkalne z rejonu Mokotowa, Śródmieścia i dwóch dzielnic sąsiednich. Niezależnie od tego, w rejonach tych zwiększono

liczbę radiowozów patrolowych i posterunków milicji mundurowej. W tym samym czasie grupa operacyjno-śledcza przystąpiła do typowania kręgu osób podejrzanych i szerokiego sprawdzania osób. W pierwszej kolejności zainteresowano się mężczyznami, co do których były informacje, że planują dokonywanie napadów na kobiety w miejscach

n,iblicznych. Listę tych osób otwierał Jan Piechura! pseudonim „Porzeczką”, 22-letni recydywista z Prag/ Południe. Jako dziecko pijackiej rodziny „Porzeczką”¹ wkroczył na drogę przestępczą już w wieku 12 Przez ponad rok udało mu się bezkarnie okradać shwK py samoobsługowe i opróżniać torebki kobiet, zaaferowanych zakupami na bazarze Różyckiego. Kiedy powinęła mu się noga, trafił do zakładu poprawczego, -Którego zresztą, uciekł już po dwóch miesiącach.ytJkry* wając się w różnych melinach, wszedł w. kontakt * grupą młodocianych przestępców, w której wiodła prym jedna z piękności warszawskiego Targówka L. jasnowłosa Zośka. Kończący już wówczas 18 lat „Porzeczką” zapalał wielkim afektem do nadobnej złodziejki, a w jego rozpalonej do czerwoności głowie zaczęły się roić plany matrymonialne. Zośka miała już jednak swojego wybranka i wspólnie z nim postanowiła skutecznie ostudzić zapędy nowego adoratora. Pewnego pięknego dnia zadzwoniła anonimowo do KomisariatO MO, przekazując dokładną informację o tym, co „Porzeczką” już zdziałał i co zdziałać zamierza. Zgodnie z jej poradą trzy dni później milicja otoczyła dyskretnie pewien sklep wielobranżowy na Pradze. Zatrzymany z bogatym łupem w rękach „Porzeczką” nie miał żadnych szans na obronę i dwa miesiące później „zainkasował” wyrok prawie pięciu lat więzienia. Po wyjściu na wolność bez trudu ustalił, kto był powodem jego klęski związanej z nieudanymi zalotami i jeszcze bardziej nieudanym włamaniem. Żądny zemsty, postanowił odszukać Zośkę i jej gacha. Ale pierwszej nie było już wśród żywych, a drugi przebywał w więzieniu. Zdawać by się mogło, że tragiczne losy zakochanej pary usatysfakcjonują „Porzeczką”, czyniąc jego zemstę bezprzedmiotową. Ale dziś na warszawskiej Pradze zemsta jest rzeczą tak samo świętą, jak to było sto lat temu. W skołatanej głowie pechowego „Porzeczką” zrodziła się myśl, że skoro nie można zemścić się na Zośce, to należy wziąć odwet na całym gatunku żeńskim. Ponieważ te informacje bardzo kojarzyły się z napadami popełnionymi 7 listopada, a na milicyjnej fotografii sygnali- tycznej „Porzeczką” był podobny do bandyty opisanego przez ofiary — jeszcze tego dnia o godz. 21.00 pod budynek, w którym mieszkał „Porzeczką” podjechał milicyjny „Fiat” z cywilnymi tablicami rejestracyjnymi.

Wywiadowcy wrócili jednak z niczym. Poszukiwany wyszedł z domu przed godziną 9.00 rano i przepadł jak kamień w wodzie. Dzielnicy, wywiadowcy i pracownicy służb operacyjnych otrzymali polecenie odnalezienia Piechury za wszelką cenę. Noc, która nadchodziła, zwiastowała ciężkie godziny dla znajomych poszukiwanego. Przesłuchano 26 osób, przetrząsnęto kilkadziesiąt melin, zorganizowano zasadzki i obserwacje w miejscach, w których kiedykolwiek stanęła stopa „Porzeczką”. W trakcie tego uzyskano informację, że poszukiwany wieczorem 7 listopada wyjechał do Krakowa. Osobie, której przed wyjazdem zwierzał się ze' swoich planów, podobno powiedział, że w Warszawie robi mu się gorąco i musi na jakiś czas przechować się u kumpli na południu Polski. — Na chleb mam — dodał, pobrękując przed swoim powiernikiem garścią wyjętych z kieszeni pierścionków i obrączek. W celu pokrzyżowania planów poszukiwanego, o godz. 4.00 rano delegowano do Krakowa trzech inspektorów służby kryminalnej Komendy Stołecznej MO w Warszawie. Nie wiedziano jeszcze wówczas, że dzień 8 listopada przyniesie nowe wydarzenia, eliminujące same przez się „Porzeczką” z kręgu osób podejrzanych.

Już o godz. 9.40 Komenda Dzielnicy MO Warszawa-Śródmieście została powiadomiona o napadzie, dokonany w windzie budynku mieszkalnego przy Alei 3 Maja. Przebieg i okoliczności tego przestępstwa były identyczne jak przy zdarzeniach z dnia poprzedniego. Zanim zdążono przesłuchać rozdygotaną z przerażenia pokrzywdzoną, wpłynął następny meldunek. Tym razem chodziło o podobny napad przy ulicy Boya-Żeleńskie- go. Później, o godz 13.00, 14.00, 15.10 i 18.00, kome-

mm i

dv dzielnicowe i komisariaty MO otrzymały zgłoszenia o następnych czterech napadach, dokonanych na oby szarze dzielnic Śródmieście, Mokotów i Wola. Ofiarami tych przestępstw były kobiety w różnym wieku, o różnym wyglądzie i zawodzie. Na podstawie ich zeznań nietrudno było domyśleć się, że zostały napadnięte przez tego samego sprawcę, który rozpoczął swoją okrutną działalność w dniu poprzednim. Napastnik używał takich samych gróźb, wymuszał tego samego rodzaju perwersyjne usługi seksualne i rabował takie/same przedmioty. W stosunku do jednej z ofiar odsłąpił od realizacji swoich zamiarów, ulegając jej prośbom motywowanym pozostawieniem w domu samotnego niemowlęcia i złym stanem zdrowia po przebyciu niedawno skomplikowanego porodu. Natomiast z inną usiłował się umówić na randkę, podając jej nawet czas i miejsce. Niestety, zszokowana dziewczyna nie zapamiętała tych danych, chociaż — nie mając innego wyjścia — przyrzekła przybycie na to niezwykle rendez-vous z bandytą.

Więść o napadach na kobiety w windach rozchodziła się lotem błyskawicy po stolicy. Jak to zwykle wówczas bywa, do prawdy ludzie dodawali własne komentarze, przypuszczenia i domysły. W biurach, tramwajach, kawiarniach i na ulicy znaleźli się tacy, którzy mieli rzekomo widzieć na własne oczy, jak lekarze i milicjanci wynosili z dźwigów trupy poszarpanych, ociekających krwią dziewczyn i kobiet. Takie i podobne plotki sprzyjały narastaniu psychozy zagrożenia. Kobiety, bez względu na wiek, bały się opuszczać mieszkania i miejsca pracy. Milicja wiedziała o tej psychozie, ale była bezsilna. W ciągu godziny funkcjonariusze różnych służb i jednostek MO z Warszawy zatrzymywali po kilkunastu podejrzanych mężczyzn, wylapanych pod blokami i kamienicami, wytypowanych do sprawdzenia na podstawie kartotek informacyjno-rozpoznawczych, wymienionych w przekazach informatorów czy wskazanych przez mieszkańców stolicy. Prawie każdy z zatrzymanych miał coś na sumieniu — włamania, burdy chuligańskie, kradzieże, zaczepianie kobiet, praktyki ekshibicjonistyczne w miejscach publicznych, a nawet zgwałcenia. Niektórzy nie mieli alibi, odpowiadali rysopisowi poszukiwanego bandyty, znani byli z wrogiego usposobienia do kobiet lub perwersyjnych czynów nierządnych, mieli biżuterię nieznanego pochodzenia, podobną do tej, którą „windziarz” zrabował napadniętym.

Te masowe i prowadzone ad hoc działania rozpoznawczo-wykrywcze były tylko jednym z elementów kompleksowego programu taktycznego, opracowanego przez sztab grupy operacyjno-śledczej, powołanej w związku ze sprawą. Już o godz. 10.30 dnia 8 listopada do przedsięwzięć profilaktyczno-rozpoznawczych zostały włączone wszystkie służby i jednostki warszawskiej milicji. Trzeba było przekonać zuchwałego bandytę, że rozpoczęło się wielkie polowanie na niego, że musi chociaż na jakiś czas przerwać swoją działalność. Radiowozy patrolowały w dzień i w nocy osiedla mieszkaniowe, patrole milicji mundurowej nie odstępowały od kilkuset wytypowanych bloków mieszkalnych w rejonie Śródmieścia i sąsiednich dzielnic, a za kilkudziesięcioma wyselekcjonowanymi osobami podejrzаныmi chodzili jak cienie wywiadowcy. Te i inne czynności wynikały z analizy zagrożenia i szczegółowej oceny modus operandi sprawcy. Przede wszystkim zwrócono uwagę na to, że bandyta koncentruje swoje akcje przestępcze tylko na terenie określonych dzielnic Warszawy i nigdy nie atakuje po raz drugi w tych samych budynkach czy blokach mieszkalnych. Można było przypuszczać, że działa według określonego klucza, który da się rozszyfrować. Do ciekawych wniosków doprowadziła analiza rytmu czasowego serii przestępczej, czyli dni tygodnia i godzin poszczególnych czynów. Wynikało z niej, że złoczyńca nie dysponuje żadnym własnym środkiem lokomocji i zmuszony jest korzystać z tramwajów, autobusów, taksówek itp. Nie udało się natomiast odpowiedzieć jednoznacznie na pytanie, czym

m

1

£

1

icipruie się sprawca przy wyborze ofiar i w jakim momencie podejmuje decyzję zaatakowania tej, a nie innej kobiety. Kilka pokrzywdzonych zeznało, że były śle-/ dzone na krótko przed atakiem, to znaczy od momentii wyjścia ze sklepu, autobusu itp. do momentu wejśc/a do windy. Pozostałe jednak były zdania, że przestępca czychał na nie przed budynkiem, na korytarzu albo wręcz przy drzwiach dźwigu.

Biorąc to pod uwagę milicja nawiązała kontakty z dozorcami i pracownikami środków kom u n i kac j i/m iej- skiej. Dzięki temu w ciągu kilku godzin uzyskano wiele interesujących informacji, głównie od taksówkarzy. Najciekawsza była informacja o pewnym młodym mężczyźnie, który w dniu 7 listopada około godz- 16.00 zatrzymał taksówkę przy ulicy Czarniakowskiej, w odległości niespełna 200 metrów od budynku, w którym miał miejsce jeden z napadów, zamawiając kurs na Dworzec Centralny. Na kierowcy robił wrażenie kogoś, komu bardzo zależy na jak najszybszym oddaleniu się od miejsca, w którym się znajduje. Kiedy taksówka zatrzymała się przed dworcem, pasażer oznajmił, że nie ma przy sobie pieniędzy i jest gotów zapłacić za kurs złotym pierścionkiem. Nie czekając na odpowiedź kierowcy, rzucił mu na kolana pierścionek i zniknął za drzwiami dworcowego hallu. Taksówkarz sprzedał po kilku dniach pierścionek na bazarze Różyckiego, ponieważ nie chciał go dłużej trzymać, gdyż wydawał mu się podejrzany. Zapamiętał tylko, że pierścionek miał różowe małe oczko i był „ruskiej roboty”. Wszystko to było niezwykle istotne, ponieważ jedna z ofiar była latem tego roku na wycieczce „Almaturu” w Związku Radzieckim, skąd przywiozła sobie taki właśnie pierścionek, którym cieszyła się do chwili napadu. Sugerowana przez taksówkarza opinia, że jego pasażer był spoza Warszawy i spieszył się na pociąg, nie zdziwiła milicji. Jedna z przyjętych już wcześniej wersji śledczych zakładała, że poszukiwany bandyta może pochodzić z

V

#

cc m

jednej z podwarszawskich miejscowości i w związku z tym wielu milicyjnych „cichociemnych” miało baczenie na niektóre dworce kolejowe. Teraz po relacji taksówkarza wzmocniono obserwację na Dworcu Centralnym. Nie zapomniano też o poszukiwaniu osoby, której taksówkarz sprzedał pierścionek. Ale pierwsze penetracje bazaru Różyckiego i wywiady oraz przesłuchania jego bywalców nie dały na razie żadnych rezultatów. Ten trop się urwał, lecz pojawiło się wiele następnych.

Duża była w tym zasługa funkcjonariuszek MO, które postanowiono wykorzystać w charakterze wabików. Od godz. 11.00 dnia 8 listopada zaczęły one nieustannie krążyć w dzień i w nocy wokół bloków i domów mieszkalnych na wytypowanych ulicach i osiedlach kilku dzielnic oraz w pobliżu przystanków komunikacyjnych, a przede wszystkim jeździć windami. Była to służba nie tylko uciążliwa, prowadzona non stop bez możliwości przerw na posiłki i wypoczynek, lecz również niebezpieczna. Tylko część milicjantek miała łączność radiową z grupami operacyjnymi, rozlokowanymi w mieszkaniach, piwnicach i na klatkach schodowych bloków, zapewniającymi w każdej chwili pomoc. Pozostałe działały samotnie, będąc zdane wyłącznie na swój spryt i siły. Wszystkie były celowo dobrane pod względem wieku, wzrostu, sylwetki, aparycji i ubioru oraz ucharakteryzowane tak, aby jak najbardziej odpowiadać domniemanym gustom „windziarza”. Od normalnych kobiet, które wracały do domów z pracy, kina i randek, różniły się tym, że nie unikały, lecz same szukały nie-

bezpieczeństw. Obładowane ciężkimi siatkami z zakupami albo wystrojone i wymalowane jak na uroczyste przyjęcie w „Victorii” wyglądały naturalnie i prowokująco dla takich jak tropiony przestępca. Amatorów miały sporo, poczynając od rozbawionych młodzieńców powracających z dyskotek i dancingów, a na pijanych typach. poszukujących melin alkoholowych kończąc, poza tym miały oczy i uszy otwarte na wszystko inne, co zwykle interesuje milicję. Ich uwagi nie uchodzili ludzie

a

urpracv się podejrzanie przy drzwiach mieszkań. ^{pru} Stvtutk» taszczące podpitych klientów do swoich kwa- ter paserzy i złodzieje dźwigający łupy w wypchanych walizkach czy plecakach. Kiedy nastał wieczór i noc załogi współdziałających z milicjantkami radiowozów odwiozły do aresztu kilka osób, zatrzymanych w podejrzanych okolicznościach. W ten sposób został zatrzy- many między innymi pewien włamywacz, który okradł w nocy, podczas snu domowników, wolnostojący dom jednorodzinny. Właściciel posesji i jego liczna rodzina nie chcieli uwierzyć, że z salonu, usytuowanego obok ich sypialni, wyniesiony został kolorowy telewizor, radio — magnetofon i wielki dywan. Ale polowania na pospolitych rzezimieszków były tylko ubocznym zajęciem milicjantek — wabików. Jednej z nich jeszcze przed nastaniem mroku nawinął się adorator o nie najlepszych manierach. Zaczepił ją na przystanku w chwili, kiedy wysiadła z autobusu, i idąc z nią ramię w ramię w kierunku bloków nowego osiedla począł czynić propozycje bardzo dalekie od przyzwoitych. Początkowo był nawet miły i układny, później napastliwy i brutalny. Kiedy dochodzili do klatki schodowej pierwszego budynku, chwycił ją za szyję. W ułamku sekundy zmienił się nie do poznania, wpadł w szał, zaczął czegoś szukać po kieszeniach, chrapliwym głosem krzyczał, że załatwi ją tak, jak się załatwia kobiety w windach. Dzięki radiotelefonowi, który kobieta miała ukryty w torebce, cały dialog włącznie z ostatnimi pogroźkami był transmitowany do patrolu milicyjnego, zajmującego stanowisko za pobliskim kioskiem Ruchu. Dwóch milicjantów uznało, że pora zakończyć zabawę, gdyż przybiera ona obrót niebezpieczny dla ich koleżanki. Zatrzymanym okazał się 26-letni Ryszard Kajana, karany w przeszłości za udział w bójce i pobiciu, alkoholik, pacjent przychodni zdrowia psychicznego, stanu wolnego, zatrudniony w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania. W jego kieszeni znaleziono składany nóż z długim ostrzem, a w mieszkaniu sweter i sportową koszulę ze siadami substancji przypominającej świeżą krew. Kiedy grupa operacyjno-śledcza z całą powagą przystąpiła do sprawdzania Kajana w związku z napadami, żeńska brygada MO zatrzymała następnego amatora wymuszanych amorów. Był to silny, dobrze zbudowany blondyn, w dużym stopniu odpowiadający rysopisowi sprawcy, podanemu przez większość ofiar. Aż trudno było uwierzyć, że tego osiłka obezwładniła niska, szczupła blondynka, sierżant Anna Misztela. Ale pani sierżant pracowała na stałe w grupie antyterrorystycznej i w normalnych wyrunkach stać by ją było na skuteczne obezwładnienie co najmniej dwóch takich opryszków. W tym przypadku postąpiła wyjątkowo delikatnie, ograniczając się do wykręcenia rąk napastnika i rzucenia go na podłogę. Ponury drab, którego obezwładniła Anna. pochodził spoza Warszawy, pracował jako pomocnik murarza w jednym z przedsiębiorstw budownictwa przemysłowego i od czterech miesięcy mieszkał w hotelu robotniczym. W pokoju, który zajmował wspólnie z trzema innymi pracownikami fizycznymi tego przedsiębiorstwa, milicja znalazła ukryte pod klepką parkietu dwa złote damskie łańcuszki, pierścionek i obrączkę. Wyjaśnienia podejrzanego, że przedmioty te zabrał ze swojego domu w związku z zamiarem rozwodzenia się z żoną, okazały się po sprawdzeniu prawdziwe. Podejrzanym wykazał się też niezbitym alibi.

W czasie, kiedy grupa operacyjno-śledcza wyjaśniała wersję Kajana, murarza i kilkunastu innych podejrzanych, brygada kobieca polowała na niebezpiecznych sadystów, milicjanci mundurowi ubezpieczali bloki i budynki trzech dzielnic i kilkunastu osiedli mieszkaniowych, a wywiadowcy i pracownicy tajnych służb MO penetrowali dworce i środowiska przestępców kryminalnych — eksperci Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej pracowali nad odtwarzaniem portretu pamięciowego „windziarza” na

podstawie zeznań napadniętych kobiet oraz świadków, którzy 3 listopada widzieli w „Roxanie” zamordowaną prostytutkę

£

4

i jej towarzysza. Każda z tych osób jeszcze raz musiała być poddana przesłuchaniom na temat wyglądu sprawcy. Okazało się, że podczas przesłuchań prowadzonych z udziałem ekspertów świadkowie byli w stanie podać znacznie więcej szczegółów na ten temat niż w toku poprzednich, rutynowych badań śledczych. To, co dla inspektora służby dochodzeniowo-śledczej było mało istotne, dla eksperta nabierało wagi złota. Zresztą teraz prowadzono badania w zupełnie innych warunkach. W ciszy laboratoriów wypełnionych planszami, rysunkami i fotografiami różnych elementów budowy człowieka oraz specjalnymi katalogami barw z zachowaniem ścisłej, naukowej terminologii i parametrów pomiarowych — można było jednoznacznie wyjaśnić różne wątpliwości, skonkretyzować domysły i przypuszczenia, a nawet ocenić zdolności pokrzywdzonych do postrzegania. Stopień indywidualizacji wrażeń, spostrzeżeń i ocen zaobserwowanych przedmiotów i zjawisk jest wśród ludzi bardzo zróżnicowany. Na przykład przeciętny człowiek odróżnia tylko dwa do trzech odcieni czerni, a słynni tkacze lyońscy odróżniają ich około czterdziestu. Wszystko zresztą zależy od warunków postrzegania, stanu właściwych narządów i procesów emocjonalnych oraz intelektualnych w danym czasie. Ofiary napadów podlegały tym wszystkim prawidłowościom, ale każda z nich inaczej rejestrowała, przechowywała w pamięci i oceniała wygląd bandyty. Wreszcie każda z nich innymi słowami przekazywała podczas poprzednich przesłuchań swoją relację na ten temat. Tak samo było zresztą z przesłuchującymi, którzy bardzo często się zmieniali. Wszystkie te okoliczności eksperci antropologii musieli wziąć pod uwagę, co wcale nie było ani łatwe, ani proste. Ale włożony w to trud nie poszedł na marne. Prace ekspertów przede wszystkim potwierdziły w sposób naukowy, że istotnie sprawcą wszystkich przestępstw był jeden i ten sam mężczyzna. Różne stroje i ubiory, w których dokonywał swoich czynów, zmyliły ofiary napadów, ale nie eksper-

20

tów. Najistotniejsze jednak było to, że eksperci przekazali do dyspozycji prowadzących śledztwo i czynności operacyjno-rozpoznawcze dokładny portret poszukiwanego przestępcy. O tym, czy był to portret wierny, świadczyła reakcja jednej z pokrzywdzonych. Kobiecie tej okazano ostateczną wersję portretu z prośbą, aby oceniła jego podobieństwo do napastnika. Podobieństwo było tak duże, że w jej świadomości odżyły poszczególne sceny dramatu i osoba samego przestępcy. A była to kobieta, która stosunkowo długo przebywała z bandytą oko w oko i miała czas oraz warunki ku temu, aby dokładnie mu się przyjrzeć i zapamiętać jego wygląd. Pozostałe ofiary różnie oceniły wierność portretu; jedne go zaakceptowały, inne odrzuciły, a wreszcie inne nie były w stanie wypowiedzieć się wiążąco na ten temat. Ale eksperci byli pewni swego. Podobnie rzecz się miała z portretem rysunkowym mężczyzny, który 3 lipca wyszedł z kawiarni „Roxana” w towarzystwie „Zielonej”¹. Eksperci Zakładu Kryminalistyki nie tylko odtworzyli jego portret, lecz również porównali go z portretem sprawcy napadów zarejestrowanych w dniu 7 i 8 listopada. Wynik ekspertyzy był jednoznaczny i szokujący: to ten sam mężczyzna. W związku z tym zapadła decyzja o opublikowaniu w telewizji portretu pamięciowego poszukiwanego mordercy i bandyty, a także wyposażeniu w jego odbitki fotograficzne wszystkich funkcjonariuszy MO, informatorów, kierowników środków komunikacji i innych cywilnych służb miejskich. Ósmego listopada w głównym wydaniu dziennika TV ukazano rysunkowy wizerunek przestępcy i ogłoszono apel MO o pomoc w jego ujęciu.

Apele milicji do społeczeństwa, publikowane w telewizji, radiu i prasie, zawsze trafiają na żywy oddźwięk, powodują wpływ wielu ciekawych i istotnych informacji. Tak też było i tym razem. W ciągu pierwszych trzech godzin różne jednostki Milicji Obywatelskiej z terenu

Warszawy odebrały ponad 90 telefonów, z czego większość była anonimowa. Takie informacje milicja

21

jrjff * I ■■M aPV

traktuje niezmiennie z całą powagą i wszystkie skrupulatnie sprawdza. Skrupulatnie, ale równocześnie z dużą dozą krytycyzmu i ostrożności. Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, że sytuacje tego rodzaju stwarzają nieuczciwym okazję do prób załatwiania różnych porachunków osobistych. Takie, niskie motywy dały o sobie znać również i w tej sprawie. Pewien mężczyzna przekazał na przykład przez telefon informację, że taki to a taki napada na kobiety, ma w domu rewolwer i sporządził listę swoich następnych ofiar. Sądził w swojej naiwności, że na tej podstawie tamten zostanie wtrącony do więzienia na co najmniej kilka tygodni, co by go urządziło, ponieważ — jak wykazały milicyjne ustalenia — informator zaciągnął u obwinionego poważną pożyczkę i był w trakcie załatwiania formalności związanych z wyjazdem na wycieczkę zagraniczną, z której zamierzał nie powrócić. Nie licząc tego dłużnika i kilku dziewczyn ze skołatanymi serduszkami, które chciały wziąć odwet na swoich niesłownych, byłych narzeczonych, pozostali informatorzy działali w jak najlepszej wierze. Nauczycielka ze szkoły zawodowej zgłosiła o absolwencie, który na co dzień wykazywał wiele cech sadystycznych, kłując swoje rówieśniczki nożem, wiążąc je | dusząc, a emerytowany podoficer Wojska Polskiego o znanym sobie awanturniku i chuliganie, karanym sądownie, włóczącym się po osiedlu po nocach i oferującym kilkakrotnie do sprzedaży damskie pierścionki, bransolety i łańcuszki. Dla grupy operacyjno-śledczej najbardziej elektryzująca była jednak informacja pochodząca od pewnej pracownicy banku zamieszkałej na Mokotowie. Najpierw telefonicznie, a później podczas oficjalnego przesłuchania, zwierzyła się ona, że jej dorosły już syn, robotnik w Hucie Warszawa, poznał niedawno na meczu piłkarskim podejrzanego mężczyznę w wieku około 24 lat, bardzo podobnego do portretu poszukiwanego bandyty. Mężczyzna ten miał zbiec z więzienia, gdzie odbywał wyrok za ciężkie zranienie kobiety nożem. Do Warszawy przybył w po

łowię października, nigdzie nie pracuje, nie wiadomo gdzie mieszka i z czego żyje, posługuje się prawdopodobnie fałszywymi dokumentami tożsamości, skradzionymi jakimś pijakowi na dworcu kolejowym. Relację kobiety potwierdził jej syn, który też zgodził się udzielić pomocy w odszukaniu kryminalisty. Ale jego wiadomości na temat miejsc, w których tamten bywa, okazały się więcej niż skromne. Wiedział tylko, że zbieg jest zagorzałym kibicem piłki nożnej i nie opuszcza żadnego meczu ligowego. Od tej chwili świadek w towarzystwie dwóch wywiadowców MO miał zacząć chodzić na wszystkie mecze „Legii” i „Gwardii”. Niezależnie od tego, grupa operacyjno-śledcza przystąpiła do analizowania wykazów przestępców kryminalnych, zbiegłych z konwojów więziennych i zakładów karnych w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Łącznie wykazy te obejmowały nazwiska 174 osób, z których 28 było karanych za uszkodzenie ciała, bójki i pobicia oraz inne czyny przeciwko życiu i zdrowiu. Tak więc zidentyfikowanie przestępcy-kibica wydawało się być kwestią najbliższych dni, a może nawet godzin. Zanim jednak to nastąpiło, dyżurny centralnego stanowiska kierowania Komendy Stołecznej MO w Warszawie odebrał tajemniczy i intrygujący telefon. Anonimowy mężczyzna, po upewnieniu się, że rozmawia rzeczywiście z komendą milicji, powiedział: „kupcie sobie dwa samochody do wywożenia trupów kobiet z wind” i odłożył słuchawkę. Był dzień 8 listopada, godz. 22.37.

Dla grupy operacyjno-śledczej i całej milicji warszawskiej nastał czas trwogi. Cóż można było uczynić więcej poza tym, co już uczyniono? Pracownikom specjalistycznych służb wydłużono pracę do 18 godzin na dobę, zmieniono system dziennych i nocnych dyżurów, kierując najwięcej patroli do dzielnic i rejonów miasta najbardziej zagrożonych napadami w windach. Objęto ciągłą obserwacją 57 osób podejrzanych o związek z tymi przestępstwami, postawiono w stan pogotowia drużyny ORMÓ, postanowiono ponownie zweryfikować

wyeliminowane wersje osobowe w przekonaniu, że wskutek jakiegoś błędu czy przeoczenia rzeczywisty sprawca prześliznął się przez sito sprawdzeń. Tej właśnie nocy o godz. 23.40 zadzwonił lekarz dyżurny pogotowia ratunkowego służby zdrowia. Wiadomość, którą przekazał, była okrutna: w windzie wysokościorowca na Stegnach znaleziono martwą kobietę. Kapitan Marecki pędząc chwilę później na miejsce zdarzenia ze swoją ekipą samochodem z włączonymi wszystkimi sygnałami, był spocony, pomimo chłodu jesiennej nocy. Do końca nie wierzył, że zbrodniarzowi uda się zrealizować zapowiedź uśmiercenia następnej ofiary, Co on, ten zwyrodnialec teraz robi, gdzie się znajduje, czy napawa się tym, że odebrał dzieciom matkę, rodzicom córkę — myślał młody inspektor, kiedy samochód podjechał pod blok. Kilkoma susami wbiegł po schodach na II piętro, gdzie natknął się na lekarza, dwóch milicjantów, skierowanych drogą radiową przez stanowisko kierowania w celu zabezpieczenia miejsca zdarzenia oraz kilkunastu gapiów z dozorcą. Zwłoki kobiety w starszym wieku leżały na korytarzu tuż obok drzwi windy. Kapitan bacznie rozejrzał się wokół, potem nachylił się nad trupem. Kiedy się podniósł, miał już swoją wstępną opinię na ten temat. Ani w windzie, ani na korytarzu nie zauważył żadnego śladu krwi. Na odsłoniętych częściach ciała zmarłej nie było jakichkolwiek ran czy nawet zadrapań, a szyja była nienaruszona. Krew spływała z części skroniowej głowy. To mógł być zgon naturalny, jakiś zawał czy wylew, a uszkodzenie głowy mogło powstać od upadku martwego już ciała na posadzkę — pomyślał, polecając równocześnie swoim ludziom przystąpić do rutynowych czynności. W pracy śledczej i kryminalistycznej, tak jak w innej działalności poznawczej, każdy może mieć swoje wnioski i oceny wcześniej lub później, ale pod warunkiem, że nie sugeruje się nimi i nie zaniecha niczego, co służy ustaleniu prawdy obiektywnej. Kapitan i jego koledzy znali ten warunek. Kilka godzin później, na podstawie oględzin miejsca znalezienia zwłok, sekcji sądowo-lekarskiej, dokumentacji poradni kardiologicznej i innych danych można było przyjąć bezspornie, że przyczyną zgonu kobiety był rozległy zawał serca. Zmarła mieszkała w tym budynku na VII piętrze. Tej nocy bardzo zmęczona wracała z dworca, po powrocie od rodziny zamieszkałej koło Szczecina. Pech chciał, że dźwig był zepsuty. Wysilek, związany z wejściem na II piętro, nic nie znaczący dla człowieka zdrowego, dla niej okazał się śmiertelny, tym bardziej że na dolegliwości serca leczyła się już od wielu lat. Padając, uderzyła głową o posadzkę korytarza, a powstała w następstwie rana i upływ krwi w powiązaniu z bliskością drzwi windy mogły sugerować kolejną zbrodnię nieuchwytnego przestępcy.

Ułga i spokój nastąpił po wyjaśnieniu tego przypadku nie trwały długo. Jeszcze tej samej nocy milicja otrzymała kilka zgłoszeń o zaczepianiu czy napastowaniu kobiet w windach lub na korytarzach. Były to skutki psychozy i przewrażliwienia niektórych mieszkanek stolicy. Wiele kobiet w różnym wieku normalne próby nawiązania znajomości czy nawet dłuższe spojrzenie mężczyzny kojarzyło sobie z osobą bandyty. Ale przewrażliwiona była też sama milicja, która każdą z takich informacji traktowała z całą powagą, bo gra szła o wysoką stawkę — czyjeś życie. Sprawdzanie tego rodzaju zgłoszeń jest zawsze bardzo pracołłonne, a jeśli jest ich dużo, to wiążą one znaczne siły aparatu ścigania, czyli przede wszystkim milicji. W stanie skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego — jeśli ma się świadomość, że nie wolno popełnić żadnego błędu, który mógłby przeszkodzić w ujęciu mordercy i bandyty — nie jest łatwo dochować wszelkich formalnych paragrafów instrukcji służbowych. Przekonali się o tym dwaj wywiadowcy, którym zlecono wyjaśnienie informacji przekazanej przez 21-letnią mieszkankę Śródmieścia, studentkę Politechniki Warszawskiej. Bezpośrednio po obejrzeniu dziennika telewizyjnego zgłosiła ona, że od trzech dni, wracając z wieczornych zajęć

lub kina, jest obserwowana przez jakieś podejrzane, groźnie wyglądające indywiduum. Ten tajemniczy obserwator kręcił się koło jej bloku, a raz nawet chciał wsiąść za nią do windy, lecz się wycofał na widok wchodzącej do klatki grupy osób. Wywiadowcy ruszyli gorącym jeszcze tropem, obstawiając pół godziny później blok, w którym mieszkała studentka. Ptaszek pojawił się kilka minut po 22.00, kiedy dziewczyna w strugach deszczu skręciła z zadrzewionej alejki w stronę swojego budynku. Wyrósł jak spod ziemi w odległości jakichś 80 metrów za nią. Następnie zaczął przyspieszać kroku, dystans malał w oka mgnieniu, studentka rzuciła się do ucieczki, przeraźliwie krzycząc. Wywiadowcy nie mogli dłużej czekać, nie wiedzieli, jakie ma zamiary, nie mogli wykluczyć, że ma w ręku nóż, żyłtkę lub inne niebezpieczne narzędzie. W takich sytuacjach regulaminowe „stój! milicja” byłoby gestem teatralnym i mogłoby dużo kosztować osobę chronioną. Rzucili się jak żbiki na napastnika, aby go obezwładnić. Ten jednak był niezwykle silny i walczył jak tur. Podczas szamotaniny otrzymał cios pięścią w nos i wykręcono mu rękę w nadgarstku. Jak niebawem stwierdzono, nie miał żadnych złych zamiarów wobec dziewczyny. Od dawna bardzo mu się podobała, ale nie śmiał się do niej zbliżyć. Tego wieczora zebrał w sobie całą odwagę, postanawiając uczynić jej płomienne wyznanie. Tych dwóch, którzy się na niego rzucili, wziął za zbirów i chuliganów. Gdyby przedtem któryś z nich powiedział, że są z milicji, posłusznie poddałby się. A ponieważ było inaczej, uważa że milicjanci złamali praworządność i powinni zostać za to surowo ukarani przez sąd.

Minęła noc, nastał pochmurny, ale ciepły poranek 9 listopada. Blisko 2-milionowa stolica zaczynała tętnić swoim normalnym życiem. Chodnikami, alejami parków, halami magazynów handlowych i środkami komunikacji przelewały się tłumy spieszących, nieznanym sobie ludzi. Troje z tych dwóch milionów — blondyn w ciemnej kurtce, młoda kobieta z żółtym szalikiem i niewysoki mężczyzna w dżynsowej bluzie — nie wiedziało, że najbliższe godziny uwikłają ich w jedną, wspólną sytuację i uczynią głównymi aktorami tego samego dramatu.

Mężczyzna w ciemnej kurtce wyszedł przed godziną 9.00 z budynku, położonego przy jednej z niewielkich, zacisznych uliczek Dolnego Mokotowa. Był sam. Rozglądając się bacznie na wszystkie strony, wolnym krokiem przeszedł niecałe 150 metrów i zatrzymał się na przystanku. Przepuścił dwa pierwsze autobusy i wskoczył niemal już w biegu do trzeciego. Wóz nie był przepełniony i jechał w kierunku Śródmieścia. Na czwartym przystanku wgramolił się do niego jakiś grubas, kobieta z dzieckiem w wózku, grupka hałaśliwych młodych ludzi i milicjant w mundurze z dystynkcjami sierżanta. Na jego widok mężczyzna w ciemnej kurtce odwrócił się w kierunku okna. Na następnym przystanku wysiadł pospiesznie z autobusu. Zmieszany z tłumem przechodniów wałęsał się przez przeszło pół godziny w pobliżu dużych budynków mieszkalnych dzielnicy Śródmieście, uważnie obserwując mijające go kobiety. Za jedną z nich ruszył wolnym krokiem. Kiedy zbliżyła się do starej, pięciopiętrowej kamienicy, przyspieszył. W tym momencie pod budynek podjechał milicyjny radiowóz. Mężczyzna wykonał w miejscu zwrot o 180 stopni i prawie biegnąc, zniknął za rogiem. Tam przez 10 minut przyglądał się wystawom sklepowym, aż jego wzrok padł na szczupłą szatynkę, która mijając go otarła się niemal o jego plecy. Kiedy szatynka zbliżyła się do bramy budynku z bladozielonymi gzymsami, dzieliła go od niej odległość nie większa niż 8 metrów. W tym momencie zobaczył odwróconego tyłem do siebie młodego mężczyznę, stojącego w ciemnej czeluści bramy, tuż przy wejściu do korytarza z windą. Jeszcze szybciej niż poprzednio skręcił w lewo, przepuścił nadeżdżający na dużej szybkości zielony samochód i po kilkunastu minutach zatrzymał się za kioskiem „Ruchu”. Przez moment patrzył na tytuły gazet i książek, przebi

jających kolorami zza szyb, a następnie ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. Po minięciu kilku ulic, około godz. 10.20, znalazł się na niewielkim placu gęsto zastawionym domami i biurami starego oraz nowego budownictwa. Okrążył plac do połowy i zatrzymał się w niewielkiej odległości od wysokiego budynku, tuż za dużym, ciężarowym samochodem. Miał stąd jak na dłoni widok na wszystkich, którzy opuszczali budynek albo zbliżali się do niego. Po niespełna 4-minutowej obserwacji ruszył za młodą kobietą z torebką w ręce. Szybko pokonał dzielącą ich odległość i kiedy tamta otworzyła drzwi windy, wśliznął się za nią do środka. Czując na swojej szyi, a później na twarzy ostrze żyłki, słysząc zdecydowane groźby podcięcia gardła i oszpececia do końca życia, napadnięta jak automat spełniała jego żądania. Nikt nie słyszał jej rozpaczliwych krzyków i błagań o pomoc. Po niespełna dwóch minutach mężczyzna w ciemnej kurtce wyszedł spokojnie z windy, poprawił spodnie i obejrzał wyjęty z kieszeni złoty łańcuszek oraz zwitek banknotów. Po niespełna 40 minutach był już w swoim mieszkaniu. Opuścił je ponownie późnym popołudniem. Kiedy już zaczynało szarzeć, wysiadł z autobusu w okolicy domów handlowych „Centrum”. Lubił widocznie zmrok, bo teraz swobodnie poruszał się wśród tłumu na ulicy Rutkowskiego i śmiało przyglądał się idącym przed nim kobietom. W pewnej chwili zaintrygowała go młoda, może 20-letnia dziewczyna, ubrana krótko, z szerokim żółtym szalikiem przerzuconym -fantazyjnie przez szyję i ramię. Kiedy szedł za nią jak wiedziony jakąś magnetyczną siłą, przystanęła nagle, lekko się uśmiechnęła, po czym ruszyła znowu przed siebie, ale znacznie wolniejszym krokiem. Mąż- czyzna w ciemnej kurtce też zwolnił. Kiedy tamta skręciła w prawo, zmierzając w stronę wysokiego budynku, raptownie przyspieszył, a jego prawa ręka zanurzyła się gwałtownie w kieszeni.

Dziewczyna w żółtym szaliku wyszła z pracy kilka minut po godz. 16.00. Był to dla niej trudny dzień. Do

SfT

sf^r f m

m m AjL ^JF jmk

piero wczoraj późnym wieczorem wróciła do kraju po 3-tygodniowym pobycie za granicą. Osiem godzin, które musiała spędzić przy stole kreślarskim, wlokły się w nieskończoność. Z dzielnicy Ochota, gdzie pracowała w biurze konstrukcyjnym, udała się autobusem do Śródmieścia. Tam mieszkała jej koleżanka, obchodząca dzisiaj urodziny. Niespełna 40 minut, jakie dzieliły ją od wizyty, chciała wykorzystać na zakup jakiegoś prezentu. Ale nie miała szczęścia. W kilku dużych sklepach nie znalazła nic interesującego. Dopiero na ulicy Rutkowskiego, w małym prywatnym sklepiku, natrafiła na bluzeczkę z modnie wydłużonym kołnierzem i w cenie w granicach jej możliwości finansowych. Sklepik znajdował się w odległości niecałych 7 minut wolnego spaceru od budynku jubilatki. Idąc tam bez pośpiechu, poczuła instynktownie, że ktpś ją obserwuje. Odwróciła się dyskretnie i kątem oka zobaczyła idącego w jej kierunku wysokiego blóndyna o pełnej, dobrodusznej twarzy. Uśmiechnęła się bezwiednie i odruchowo zwolniła kroku. — Nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie zagadnął, może wsiądzie ze mną do windy — pomyślała przelotnie, mijając jakiegoś niewysokiego mężczyznę w dzinsowej bluzie.

Niewysoki mężczyzna w dzinsowej bluzie znał dzielnicę Śródmieście jak własną kieszeń, a w rejonie domów handlowych „Centrum” i ulicy Rutkowskiego mógłby poruszać się z zamkniętymi oczami. Wieczorem tego dnia spacerował w tym rejonie jak ktoś, kto nie ma co zrobić z czasem i którego nikt ani nic nie potrafi zainteresować. Nie licząc trzech krótkich przerw na posiłki, spożyte w pobliskim barze samoobsługowym, był na nogach już drugą dobę. W pewnym momencie Spojrzał na zegarek, dochodziła 17.00. Minął grupkę młodych ludzi z gitarą i omal nie zderzył się twarzą z twarzą z wysoką dziewczyną w żółtym szaliku.

Chciał nawet ją przeprosić, ale poszła dalej nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem. — Zrozumiała gęś — pomyślał, przesuwając się nieco w kierunku ściany budynku. W tym momencie zobaczył wysokiego blón-

dyna w ciemnej kurtce. Ten też nie zwrócił na niego uwagi, bo był zapatrzony w idącą przed nim w odległości kilkunastu metrów dziewczynę w żółtym szaliku. — On ją śledzi, to jest on — uprzytomnił sobie nagle i zacisnął usta, aby nie zdradzić się słowem wypowiedzianym na głos. Tymczasem dziewczyna zbliżała się już do drzwi klatki wejściowej wysokiego budynku, a wysoki blondyn był przy niej tuż tuż. — Bierzemy go, to on — krzyknął na całe gardło, pędząc długimi susami do drzwi. W tym samym kierunku zaczęły też biec, wyrosłe jak spod ziemi, cienie dwóch innych mężczyzn. Po krótkiej szamotaninie wszyscy trzej obezwładnili blondyna, zatrzaszczając na jego rękach czarne, oksydowane kajdanki. Nieuchwytny „windziarz” — morderca, gwałcieciel i bandyta — nie zdążył zaatakować następnej, upatrzonej już ofiary. Niewysoki mężczyzna w dżinsowej bluzie, wywiadowca XVII Komisariatu MO w Warszawie i jego koledzy, też „cichociemni” z tej samej jednostki, osobiście zawieźli go do aresztu.

Zatrzymanym był Kazimierz Chrzanowiec, urodzony 10 maja 1956 r. w Warszawie, w rodzinie inteligenckiej, zamieszkały na stałe w Warszawie, o wykształceniu podstawowym, z zawodu tokarz, skazany w przeszłości za uświłowienie zgwałcenia na karę dwóch lat pozbawienia wolności z zawieszeniem jej wykonania na okres czterech lat, odbywający od kwietnia 1977 roku zasadniczą służbę wojskową koło Zielonej Góry, przebywający od kilkunastu dni na urlopie u rodziców w Warszawie. Już podczas pierwszych przesłuchań, pod naporem zgromadzonych przeciwko niemu i umiejętnie wykorzystanych dowodów, przyznał się do popełnienia zabójstwa Barbary Młynek w dniu 3 listopada i 11 napadów na kobiety w windach w dniach od 7 do 9 listopada. Natomiast napad na Magdę Kłosowską nie był jego dziełem; sprawcę tego czynu ustalono kilka miesięcy później. Nie on również był tym tajemniczym rozmówcą, który 8 listopada przekazał Komendzie Stołecznej MO telefoniczną pogroźkę o tym, że posypią 9je trupy kobiet w windach. Tego, kto rzeczywiście telefonował, nie ustalono. Należy sądzić, że chodziło tu o czyjś głupi i bardzo nie na czasie dowcip.

W toku śledztwa i na rozprawie sądowej nie udało się jednoznacznie określić motywów okrutnej działalności przestępczej Kazimierza Chrzanowca. On sam, nawet w chwilach największej szczerości, nie był tego w stanie określić. Opisuując okoliczności i przyczyny zabójstwa prostytutki Barbary Młynek, stwierdził, że udał się z kawiarni do jej mieszkania w tym celu, aby odbyć stosunek płciowy. Kiedy tamta po akcie wycierała sobie szyję prześcieradłem, poczuł nieodpartą chęć uduszenia jej. Fantazyjny węzeł wyszedł mu sam przez się; nawet nie wie, jak do tego doszło. Nie wie też, czym kierował się napuszczając wodę do wanny i zanurzając w niej zwłoki. Pierwszą czynnością, którą wykonał po zabójstwie, było przeszukanie torebki ofiary i zabranie z niej pieniędzy, które jej wręczył uprzednio a konto usługi. Natomiast mieszkanie splądrował dlatego, że chciał wiedzieć, co jego lokatorka ma w szafach, jaką dysponuje garderobą itp. Wychodząc, zamknął starannie drzwi na klucze, które następnie wrzucił do kosza na śmieci przy Placu Unii Lubelskiej. Podobnie niezdecydowane wyjaśnienia złożył podejrzany na temat motywów napadów na kobiety w windach. Tego, co było dla niego pierwsze i najważniejsze: czy chęć zaspokojenia popędu płciowego, czy wejście w posiadanie przedmiotów o dużej wartości materialnej, czy wreszcie widok śmiertelnie przerażonych ofiar, nie potrafił jednoznacznie powiedzieć. Wydaje się, że z kryminalistycznego punktu widzenia, oceniając motywy przestępstw Kazimierza Chrzanowca najistotniejsze jest to, iż wykazywał on niezwykle wybujały popęd płciowy, wyraźne skłonności do perwersyjnego zaspokajania tego popędu, sadyzm i okrucieństwo oraz prymitywizm etyczno- -moralny. Te zdecydowane negatywne cechy osobowości zbrodniarza rażąco nie korespondowały z jego łagodnym, dobrotliwym wyrazem twarzy i miłą dla oka

powierzchnością. Ten miły wyraz twarzy i powierz/ chowność były doskonałą maską mordercy, podarowa- wana mu przez naturę. Ale nie tylko ta maska ułatwiała mu działalność przestępczą. Największym atutem zbrodniarza w rozgrywce o wszystko z milicyjnymi detektywami było jego uniwersalne alibi związane z odbywaniem służby wojskowej na drugim krańcu Polski. Jako karany za usiłowanie zgwałcenia Chrzanowiec mieścił się w kryteriach typowania kręgu osób podejrzanych, opracowanych przez sztab grupy operacyjno-śledczej. Został jednak wyeliminowany w toku wstępnych sprawdzeń, po stwierdzeniu, że pięć miesięcy wcześniej powołano go do służby wojskowej. Nie ulega wątpliwości, że w dalszym toku czynności rozpoznawczo-wykryw- czych, gdyby ich wyniki były negatywne, prowadzący sprawę nie omieszkaliby prześledzić dokładniej jego losów, sprawdzić, czy nie został przeniesiony do Warszawy, czy nie korzystał z urlopów i-tp. Byłoby to zgodne z metodyką działań wykrywczych, opartą na stopniowym zwięźnieniu oczek sita eliminacji kręgu osób podejrzanych. Ile jednak zbrodni mógłby Chrzanowiec dokonać w tym czasie, jak wielkiego nakładu pracy wymagałoby wytropienie go w tej drodze?

Olbrzymią rolę w szybkim ujęciu nieuchwytnego przestępcy i przerwaniu jego okrutnej serii odegrał portret pamięciowy wykonany przez ekspertów Zakładu Kryminalistyki KG MO. Dzięki temu portretowi i dalszym badaniom kryminalistyczno-identyfikacyjnym udało się bezbłędnie stwierdzić, że zabójstwo prostytutki i 11 napadów w windach — to dzieło jednego sprawcy. Dzięki temu portretowi wywiadowca XVII Komisariatu MO — niewysoki mężczyzna w dżinsowej bluzie — rozpoznał, że śledzący dziewczynę w żółtym szaliku jest tym, którego poszukuje cała warszawska milicja. Tego wieczoru był jednym z 1500 „cichociemnych”, po

lujących na tamtego. Fotografii portretu pamięciowego sprawcy, którą miał w kieszeni, znał na pamięć w najdrobniejszych szczegółach. Wystarczyło mu, że twarz tamtego tylko przez chwilę przesunęła się przed jego oczami. Czym jest zatem kryminalistyczny portret pamięciowy, jakie są podstawy naukowe jego bytu i wykorzystania w praktyce śledczej?

Pierwsze historyczne przekazy źródłowe o stosowaniu opisów przestępców na potrzeby związane ze ściganiem karnym i wymiarem sprawiedliwości pochodzą sprzed naszej ery. Wynika z nich, że w starożytności wiele listów gończych opatrzonych było obszernym albo skróconym opisem cech poszukiwanych złoczyńców. Pierwszy zawierał informacje o nazwisku, wzroście, sylwetce, kształcie twarzy, nosa i ust oraz kolorze włosów i znakach szczególnych, a drugi — informacje o wieku i cechach szczególnych. W miarę upływu wieków o metodzie tej wspomniano w piśmiennictwie coraz rzadziej, choć nie ulega wątpliwości, że w niezmienionej formie była ona nadal wykorzystywana. Świadczyć może o tym rozprawa „Tractato deli pittura” Leonarda da Vinci, nie tylko wybitnego malarza, rzeźbiarza, architekta i teoretyka sztuki, lecz również znawcy geometrii, anatomii i wielu innych dziedzin nauki o człowieku. W rozprawie tej autor przedstawił swoje wywody na temat systematyki opisu człowieka, dając w ten sposób początek przyszłych prac innych teoretyków i praktyków, które czterysta lat później zakończone zostały stworzeniem metody tak zwanego portretu pamięciowego. Ale jeszcze wcześniej, bo już w XVIII wieku, w praktyce organów porządku i bezpieczeństwa publicznego znowu wzrosło zainteresowanie wykorzystywaniem opisu osób jako skutecznego środka w takich czynnościach taktycznych, jak poszukiwania, za sadzki itp.; jednakże ówczesny stan antropologii, antropometrii i wielu innych nauk przyrodniczych i technicznych uniemożliwiał dokonanie dalszego postępu w tym zakresie.

Postęp ten nastąpił dopiero w XIX wieku, wieku rewolucji naukowo-technicznej, wielkich odkryć i wynalazków, wieku, w którym zaczęła powstawać nowa nauka — kryminalistyka. Pierwszym, który opracował na potrzeby kryminalistyki naukowe podstawy identyfikacji osób i który stworzył naukową metodologię rysopisu człowieka w ujęciu kryminalistycznym, był Francuz Alfons Bertillon. Wykorzystując wyniki długoletnich badań własnych i innych specjalistów, utrwalone w postaci niezwykle bogatych serii fotografii poszczególnych organów i części głowy, uczony ten uporządkował w sposób precyzyjny wszystkie cechy morfologiczne, charakteryzujące opisywanego człowieka. Bertillonowski system portretu pamięciowego był w różnych wersjach stosowany przez około 100 lat, a w niektórych policjach można się z nim spotkać nawet dzisiaj. System ten jednak obarczony był od początku wieloma wadami. Przede wszystkim opierał się na dowolności opisu człowieka, stwarzającej możliwość dowolnych i różnorodnych interpretacji danych pomiarowych. Poza tym uniemożliwiał on ustalenie indywidualnych cech wyglądu człowieka, a zwłaszcza jego fizjonomii.

Mała skuteczność portretu pamięciowego, zawierającego tylko opis wyglądu człowieka, w praktyce policyjnej (milicyjnej) zainspirowała po II wojnie światowej w kilku krajach próby poszukiwania nowych rozwiązań. Ich celem było zastąpienie słownego opisu wyglądu człowieka wizualnym obrazem, a także większe zobiektywizowanie metod identyfikacyjnych. Próby takie zostały podjęte między innymi we Francji, Stanach Zjednoczonych, Japonii, Republice Federalnej Niemiec i w Polsce, a na ich rezultaty nie trzeba było długo czekać. Już w 1952 roku komisarz lyońskiej policji Pierre Chabot opracował metodę fotomontażu, która polegała na składaniu obrazu wyglądu człowieka z elementów, utrwalonych na fotografiach wielu osób. System ten nie spotkał się z szerszym zastosowaniem ze względu na swoją pracochłonność i niezapewnienie możliwości zindywidualizowania wizerunku człowieka. W związku z

tym w kilku państwach kontynuowano dalsze badania w tym kierunku. Ich efektem było opracowanie dalszych, udoskonalonych systemów, a w szczególności systemu rzeźbiarsko-plastycznego, graficznego i identy-kit. Długoletnia praktyka i eksperymenty wykazały, że najlepszy jest system ostatni. W Stanach Zjednoczonych jego twórcą był kierownik Urzędu Szeryfa w Los Angeles — Hugh C. McDonald, a w Polsce — kierownik Pracowni Antroposkopii Zakładu Kryminalistyki KG MO ppłk artysta plastyk Zygmunt Niziałek. Ten znany i doświadczony polski kryminalistyk, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, współpracując z innymi specjalistami i naukowcami, już w latach 1964—1965 opracował unikalny identyfikator kompozycyjno-rysunkowy. Metoda i identyfikator Zygmunta Niziałka spotkała się z dużym zainteresowaniem i uznaniem specjalistów zagranicznych i została przejęta przez kilkanaście państw. Identi-kit jest metodą opartą na zbiorze poszczególnych elementów twarzy ludzkiej, wykonanych na przezroczystych foliach i sklasyfikowanych według specjalnej formuły. Dzięki temu świadek, który widział przestępcę, może stosunkowo łatwo i szybko wybierać te elementy wyglądu twarzy przestępcy, które najlepiej spostrzegł i zapamiętał. Mając do dyspozycji te elementy, ekspert łączy je w całość metodą ręcznej grafiki (rysunek, szkic, cieniowanie itp.). Polska wersja identy-kitu ma szereg zalet, preferujących ją wśród podobnych metod stosowanych w innych państwach. Przede wszystkim daje ona możliwość złożenia portretu osoby nie tylko en face, lecz również z profilu. Poza tym, dzięki zastosowaniu wspomnianej już formuły klasyfikacyjnej, umożliwia ona przekazywanie najistotniejszych elementów portretu pamięciowego na odległość drogą radiową lub telefoniczną. Jeśli dowolna jednostka MO w kraju jest wyposażona w identyfikator kompozycyjno-rysunkowy, to obsługujący go specjalista na podstawie przekazanej mu formuły klasyfikacyjnej może w krótkim czasie

uzyskać taki sam portret, jakim dy

UW

sponuje centrala. Wszystkie większe jednostki MO w Polsce już od wielu lat dysponują identyfikatorami j przeszkolonymi przez Zakład Kryminalistyki fachowcami. Najistotniejsze jednak jest to, że opracowany w Zakładzie Kryminalistyki system odtwarzania wyglądu człowieka na podstawie zeznań świadków umożliwia wydobycie indywidualnych cech portretowanej osoby. Ekspert, chcąc dać organowi śledczemu instrument ułatwiający poszukiwania, celowo akcentuje te cechy indywidualne, przejaskrawia je kosztem przyciemnienia albo nawet pominięcia cech ogólnych, nie indywidualnych. Wskutek tych świadomych przejaskrawień, a nie wskutek miernych zdolności plastycznych czy artystycznych eksperta, wizerunek człowieka z portretu pamięciowego jest nienaturalny, a podczas eksponowania go w prasie czy TV budzi niekiedy śmiech oglądających. Ale właśnie dzięki temu taki portret zyskuje walor selektywności i jest przydatny w poszukiwaniach.

To, czym w zakresie portretu pamięciowego dysponuje dziś kryminalistyka na świecie i w Polsce, nie odpowiada już w pełni potrzebom praktyki i możliwościom aktualnego stanu techniki. W związku z tym w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Austrii, Anglii i Republice Federalnej Niemiec, Polsce i kilku innych państwach już od przeszło 10 lat prowadzone są intensywne prace nad dalszą modernizacją i doskonaleniem metod poszukiwania i identyfikacji sprawców przestępstw. W Zakładzie Kryminalistyki prace te prowadzą wspomniany już ppłk Z. Niziałek, płk dr T. Kozieł i ppłk artysta plastyk Z. Dębiński. Członkowie tego zespołu naukowo-badawczego ściśle współpracują z naukowymi konsultantami Zakładu Kryminalistyki, wybitnymi polskimi antropologami i elektronikami, a także ze specjalistami najbardziej renomowanych placówek zagranicznych, między innymi ze Szwajcarii. Głównym celem tych prac i eksperymentów jest wdrożenie komputerowych metod odtwarzania wyglądu poszukiwanych przestępców. Dziś w Zakładzie Kryminalistyki są to już prace bardzo zaawansowane.

NOC ARCHANIOLÓW

Była ciemna, marcowa noc. Zagubiona wśród lasów wieś już dawno zapadła w sen. Nie wszyscy jednak spali. Zza ściany drzew wyłoniły się dwa cienie. Byli to mężczyźni w maskach, ubrani na czarno; wyższy niósł ciężką, olbrzymich rozmiarów maczugę i długi przedmiot, przypominający strzelbę czy łom, niższy co chwila poprawiał zawieszony u pasa nóż, z długim połyskującym ostrzem. Nisko pochyleni przebiegli niecałe trzysta metrów, zatrzymując się przy zabudowaniach, położonych na północnym skraju wioski. Ciężko dysząc, szeptali sobie coś na ucho. Następnie niższy z kocią zręcznością zaczął się wspinać po rynnie na stromy, wyłożony dachówką dach budynku mieszkalnego. Kiedy się tam już znalazł, podważył nożem niewielkie okienko, zwinął się w kłębek i zniknął w ciemnym otworze. Wysoki podszedł do drzwi wejściowych, które za chwilę skrzypnęły, a na ich progu pojawił się niższy. Po cichu weszli obaj do przestronnej izby, umeblowanej w typowy wiejski sposób: duży stół na środku, piec kaflowy w kącie, kilka krzeseł i dwa szerokie drewniane łóżka pod ścianami. Wysoki wziął do ręki swoją wielką maczugę o wadze przeszło kilograma i z olbrzymią siłą uderzył nią w stół. Huk jak potężny grzmot rozdarł ciszę. Domownicy, 69-letni Teodor Dima i jego żona, poderwali się z łóżek, ale oślepiające smugi światła latarek i razy w głowę wcisnęły ich w pościel. Wysoki bił na oślep gospodarza maczugą, a niski okładał kobietę łomem. — Dzieńgi, dawaj dzieńgi, ubiju ciebia, swołocz — krzyczeli do napadnię-

tych. Ale ci, ogłuszeni razami, nie reagowali, co do reszty rozwścieczyło bandytów. Związali starszków i zakneblowali im usta. Wysoki podszedł do pieca, rozgrzał do czerwoności pogrzbacz i zaczął nim przypiekać ofiary. Najpierw starego potem kobietę, a następnie znowu gospodarza, ciągle żądając po rosyjsku wydania pieniędzy, złota i zegarków. Kiedy trwające prawie godzinę tortury nic nie dały, napastnicy zaczęli na własną rękę przeszukiwać mieszkanie. Wywrócili wszystko do góry nogami, ale znaleźli nędzny łup: 130 złotych w bilonie i męski zegarek na rękę. Przed odejściem wysoki dołożył staremu kilka razy w brzuch i głowę, klnąc przy tym po rosyjsku. W trzy godziny po wyjściu bandytów, kiedy już nastał biały dzień, Dimowa wyzwoliła się z więzów i wyczołgała się z największym trudem na próg. Tam nieprzytomną znaleźli sąsiedzi. Niebawem wraz z mężem znalazła się na sali operacyjnej szpitala powiatowego w Żaganiu.

Trzy dni później porucznik Radek, inspektor Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Zielonej Górze, specjalnie oddelegowany do tej sprawy, siedział z mikrofonem przy łóżku szpitalnym Teodora Di- my. Pokrzywdzony niedawno odzyskał po raz pierwszy przytomność i nie było mowy o formalnym przesłuchaniu go w charakterze świadka. Przykuty do łóżka, cały w bandażach, ledwie poruszał ustami, ale najistotniejsze informacje o przebiegu napadu i wyglądzie oraz zachowaniu sprawców można było z niego wyciągnąć. Powiedział, tylko znacznie ogólniej i chaotycznie, to co jego żona, która nieco mniej ucierpiała z rąk bandytów. Dodał tylko, że przestępcy działali w rękawiczkach, o czym zresztą porucznik już wiedział na podstawie wyników oględzin mieszkania. Oględziny, przeprowadzone bardzo starannie przez grupę operacyjno-dochodzeniową z Komendy Powiatowej MO w Żaganiu, dały bardzo niekorzystne rezultaty: kilkadziesiąt odcisków palców, ujawnionych na różnych meblach, sprzętach, klamkach i szybach należało do domowników i ich sąsiadów. Natomiast nie znaleziono żadnych odcisków

38

na przedmiotach, które z całą pewnością bandyci mieli w rękach. W izbie było oczywiście mnóstwo śladów krwi, ale nie ulega wątpliwości, że była to krew bitych, a nie bijących. Podobnie skromne rezultaty przyniosła penetracja terenu wokół zabudowań. Pies tropiący obiegł dookoła dom kilka razy, a następnie ruszył w kierunku lasu. Biegł jak po sznurku przez 700 metrów, potem zatrzymał się i zaczął się cofać. Na twardym, zamrażającym, ogołoconym ze śniegu gruncie czerniała się plama jakiejś cuchnącej cieczy. Jeden z kilku funkcjonariuszy, przeczesujących koncentrycznie najbliższy teren, w odległości niespełna 150 metrów od tej plamy ujawnił odcisk spodu buta. Ślad odcisnięty był w garstce śniegu, nawianego jakimś sposobem w to miejsce. Był mało widoczny, bardzo płytki i zniekształcony. Technik kryminalistyki, który sfotografował go, a następnie odwzorował w postaci odlewu, kręcił z niedowierzaniem głową. Bardzo wątpił, czy z tego dowodu rzeczowego eksperci cokolwiek wyczytają. On sam był pewien tylko jednego — to nie był ślad zwykłego buta, to był ślad buta typu wojskowego. Miejsce, w którym ślad się znajdował, było oddalone o około 600 metrów od koszar jednostki Armii Radzieckiej. A trasa dojścia sprawców do zabudowań Di- mów i trasa ich odwrotu pokrywały się z kierunkiem położenia tych samych koszar. No i to, że przestępcy mówili wyłącznie po rosyjsku...

Porucznik Radek i komendant powiatowy MO jeszcze tego dnia zapoznali z tymi poszlakami dowództwo jednostki Armii Radzieckiej, które niezwłocznie skontaktowało się ze swoim prokuratorem. Polacy oznajmili, że są zainteresowani w otrzymaniu sprawdzonych i jednoznacznych odpowiedzi na następujące pytania: czy tej nocy którykolwiek z żołnierzy radzieckich korzystał z przepustki; czy istniała możliwość, aby tej nocy którykolwiek z żołnierzy oddalił się samowolnie z koszar; czy dowództwo albo którykolwiek z podległych

mu żołnierzy ma informacje, mogące mieć związek z napadem na rodzinę Dimów lub mogące przyczynić się do wy-

39

fIBB'

fH

krycia sprawców; czy w razie potrzeby będzie można liczyć na udostępnienie do kryminalistycznych badań porównawczych obuwia, które noszą żołnierze jednostki; na jaką inną pomoc ze strony prokuratury i dowództwa jednostki mogą liczyć prowadzący sprawę? Strona radziecka zapewniła, że z całą powagą spełni wszystkie wnioski i niezwłocznie podejmie odpowiednie działania. Ale odpowiedzi, sukcesywnie przekazywane prowadzącym śledztwo, nie wniosły do sprawy ani nic nowego, ani nic istotnego. Tylko jedna informacja zasługiwała na uwagę; wartownik, pełniący służbę tamtej nocy, zauważył około godz 3.00 dwóch mężczyzn, którzy wyszli z południowego skraju lasu, zbliżyli się na niewielką odległość do koszar, a następnie ruszyli przez północną część lasu w kierunku wioski. Żołnierz był absolutnie pewny, że obaj mieli na sobie ubrania cywilne. Z punktu widzenia prowadzących sprawę, relacja ta oczywiście niczego jeszcze ani nie wyjaśniała ani nie wykluczała. Zeznania jednego świadka, który ze względu na ciemną noc i dużą odległość miał bardzo trudne warunki do obserwacji tak rozległego terenu, nie mogły zniweczyć mocy dowodowej ujawnionych śladów, wyników wykorzystania psa tropiącego i bezspornego faktu, że sprawcy napadu mówili wyłącznie po rosyjsku. A przecież szereg okoliczności wymagało jeszcze szczegółowego zbadania i wydawało się, że wyniki tych badań jeszcze bardziej wzmocnią zasadność wersji „Koszary”. Trzeba było określić rodzaj i właściwości fizykochemiczne substancji, którą bandyci celowo wylali na drodze swojego odwrotu, zwrócić się do ekspertów z zakresu kryminalistyki o podjęcie próby określenia na podstawie odcisku butów niektórych cech osoby, która ten ślad pozostawiła, sprawdzić, czy ktokolwiek z mieszkańców wioski nie widział krytycznej nocy jakichś podejrzanych osób. Poza tym skądinąd było wiadomo, że niektórzy mieszkańcy wsi byli bardzo zaprzyjaźnieni z wieloma żołnierzami radzieckimi; ci ostatni odwiedzali ich domy podczas przepustek i służbowych pobytów poza koszarami. Ten wątek śledztwa już wkrótce zresztą okazał się bardzo interesujący. Jak bowiem ustalono w drodze wywiadów, pewien gospodarz kilka godzin przed napadem na Dimów, ale już o zmroku, widział jakiegoś żołnierza, idącego szybkim krokiem od strony koszar jednostki wojsk radzieckich w kierunku wsi. Świadek wspominał o jednym żołnierzu, ale nie wykluczał, że mógł on być w towarzystwie jeszcze kogoś. Swoje przypuszczenia na ten temat opierał na tym, że ten, którego widział, zatrzymał się w pewnym momencie i odwrócił do tyłu w taki sposób, jakby chciał do kogoś coś powiedzieć. Ale zanim zdążono formalnie przesłuchać tego świadka wpłynęła informacja, która przyćmiła wszystko, co wiedziano do tej pory. Wynikało z niej, że sześć dni po napadzie na Dimów jakiś żołnierz radziecki oferował w sąsiedniej wiosce do sprzedaży męski zegarek na rękę marki „Pobieda”, a więc taki sam, jaki bandyci zrabowali podczas napadu. To była bardzo ważna poszlaka, zasługująca na natychmiastowe sprawdzenie. Sprawdzenia te podjęto we współpracy z dowództwem i prokuraturą jednostki armii radzieckiej.

Tymczasem były kontynuowane szerokie działania rozpoznawczo-operacyjne wśród mieszkańców wioski i miejscowego elementu przestępczego. Bezpośrednio po ujawnieniu napadu wytypowano w celu wstępnego sprawdzenia 28 mężczyzn, karanych za tego typu przestępstwa albo podejrzanych o ich dokonanie. Znajdował się wśród nich między innymi „Adapter”, 23-letni kryminalista z Łodzi. Zwolniony niedawno z więzienia wałęsał się w nieznanych celach po kraju, a cztery dni przed napadem na Dimów przyjechał do sąsiedniej wsi w odwiedziny do kolegi, z którym spędził kilka lat w zakładzie karnym. „Adapter” liczył sobie więcej niż 180 cm wzrostu, a jego przyjaciel z kryminału nie przekraczał 170 cm. Lista przestępczych wyczynów wysokiego była długa i obejmowała dwa napady rabunkowe na mieszkania osób w starszym wieku, cztery włamania i nieumyślne spowodowanie śmierci. Niski wiele mu nie ustępował: odpo

wiadał za ciężkie uszkodzenie ciała, rozbój na ulicy i handel przedmiotami pochodzącymi z włamań i kradzieży mieszkaniowych. Rewizja, przeprowadzona w jego domu, dała wynik negatywny, on sam zaś wykazał się murowanym alibi, potwierdzonym przez sześć osób. Sprawdzający tę wersję referent operacyjno-dochodzeniowy miejscowej Komendy Powiatowej MO sierżant Koziak, wielkie chłopisko z sumiastym wąsem, nie miał przekonania do murowanych alibi. Rozliczając z każdej minuty całe towarzystwo, dowiódł, że tamtej nocy po godz. 23.00 nikt niskiego nigdzie już nie widział. Ale najciekawsze było to, że na drugi dzień po napadzie na Dimów zniknął z wioski „Adapter”, a jego przyjaciel nie mógł nic na ten temat powiedzieć. Najpierw próbowano odnaleźć go w okolicy i licznych melinach na terenie Żagania, a kiedy to nie dało rezultatu, zwrócono się do Komendy Wojewódzkiej o zarządzenie rutynowych poszukiwań w skali województwa i całego kraju. Niskiego objęto ścisłą inwigilacją, podczas której stwierdzono, że utrzymuje on szerokie kontakty z osobami, którymi milicja interesowała się od dawna. Niektóre z tych osób miały hobby, polegające na chodzeniu po bazarach i targowiskach oraz wypytywaniu: kto, co, komu i za ile sprzedał. A stary Dima tydzień przed napadem sprzedał za wysoką cenę krowę.

Ale takich, którzy interesowali się stanem majątkowym najbogatszych właścicieli prywatnych gospodarstw rolnych, było w okolicy więcej. Czynił to między innymi Andrzej Rywalski i jego nieodłączny kolega Zenon Kaczoń. Rywalski, wysoki, przystojny, kruczowłosy młodzieniec w wieku 22 lat był karany za napad rabunkowy i nielegalne posiadanie broni palnej. Kaczoń był znacznie niższy od swojego przyjaciela, miał 19 lat, płową czuprynę, zawsze dziecięco uśmiechniętą twarz i czyste konto kryminalne. Obaj młodzieńcy kilka miesięcy przedtem porzucili pracę i pozostawali na utrzymaniu swoich rodziców. Ludzie z bogatą przeszłością kryminalną, młodzi, pełnosprawni, a mimo to nie pracujący, powinni pozo-

stawać pod kontrolą milicji. W stosunku do Rywalskiego wymaganie to było spełnione. Ale podczas prowadzonej inwigilacji nie uzyskano o nim żadnych niepokojących sygnałów. Wprost przeciwnie, Rywalski pomagał swojemu staremu ojcu w pracy na roli, nie widywano go w lokalach, nie brał udziału w żadnych burdach, których na terenie wiejskim nigdy nie brakuje, nie utrzymywał kontaktów z elementem przestępczym. O to, że przyjaźnił się z Kaczońcem, nie można było mieć do niego pretensji. A jednak tych dwóch intrygowało milicję. Znany ze swojej podejrzliwości sierżant Koziak był zdania, że Rywalski po prostu maskuje się, a w rzeczywistości prawdopodobnie dokonuje włamań na innym terenie albo przygotowuje się do jakiegoś większego skoku. W związku z tym już w dwie godziny po ujawnieniu napadu na Dimów wpadł jak burza Koziak wraz z trzema posterunkowymi do mieszkania Rywalskiego, a później jego kolegi. Wrócił do Komendy z kwaśną miną. Obaj młodzieńcy, podobnie jak reszta domowników, spali twardym snem. Na ich butach i ubraniach nie było żdźbła błota, śniegu ani żadnych innych śladów, mogących świadczyć o tym, że mają za sobą jakąś niedawną, nocną eskapadę. Nic nie dały również przeszukania. Nie można było pominąć faktu, że obaj mieszkali w odległości ponad 13 km od zabudowań Dimów, nie mieli samochodów, motocykli ani nawet rowerów. W ciągu dwóch godzin nie byłoby prawdopodobnie w stanie powrócić z miejsca przestępstwa pieszo, wysuszyć ubrania, ukryć narzędzia przestępstwa i łupy. Nie zdążyliby też w porę dojść na miejsce napadu, ponieważ jeszcze kilkanaście minut po północy każdy z nich przebywał w swoim mieszkaniu. Rywalskiego widzieli w tym czasie nie tylko domownicy, lecz również osoby postronne, a między innymi pewien żołnierz Wojska Polskiego, narzeczony jego siostry. Żołnierz ten zeznał, że Rywalski przez całą noc nie wychodził z domu, ponieważ wówczas musiałby przejść przez pokój, w którym on spał. To przypieczę-

towało losy wersji Rywalskiego i Kaczonia, a jej największy zwolennik, podejrzliwy sierżant Koziak, został oddelegowany do wyjaśniania innych informacji. A było ich niemało.

Najciekawsza wpłynęła w dziesiątym dniu śledztwa. Wynikało z niej, że 18-letni syn organisty z tych stron, młodzieniec bardzo niefrasobliwy, uczestnik wszystkich okolicznych zabaw i towarzyszących im bójek, podobno sprzedał w pobliskim mieście męski zegarek marki „Pobieda”. Przesłuchany w tej sprawie zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył, ale właśnie na to milicja czekała. W tym czasie bowiem znane już jednak było nazwisko i adres nabywcy zegarka. Pech jednak chciał, że wyjechał on na dłuższy czas w odwiedzinach do swojej rodziny w województwie szczecińskim. Nie chcąc przewlekać sprawy w nieskończoność, prowadzący śledztwo zwrócili się do Komendy Wojewódzkiej MO w Szczecinie o pilne odnalezienie świadka i przesłuchanie go. Zanim szczecińska milicja ustaliła aktualne miejsce pobytu poszukiwanego, minęło pięć dni. Kiedy szóstego dnia do mieszkania rodziny świadka wszedł dzielnicowy, zastał wszystkich w głębokiej żałobie. Wszystkich poza samym świadkiem — bo jego właśnie pochowano. Dzielnicowy wycofał się dyskretnie, bo nie wypadało w dzień po pogrzebie upominać się o zegarek po nieboszczyku. Nie wiedział jednak, że nie tylko on jest tym przedmiotem zainteresowany. Zegarka szukała już cała rodzina. Okazało się, że świadek po przyjeździe w odwiedzinach miał na ręce jakiś czasomierz, ale po kilku dniach oddał go do naprawy, ponieważ przestał chodzić po wpadnięciu do miednicy z wodą. Ale nie udał się z nim do zakładu zegarmistrzowskiego, lecz do jakiegoś bliżej nie znanego rodziny kolegi, znajomego. A ponieważ „złoty rączek” są w kraju miliony, a w samym Szczecinie było ich na pewno nie mniej niż kilkadziesiąt tysięcy, poszukiwania tego niekoncesjowanego majstra zapowiadały się na długie miesiące, a może nawet lata. Wobec tego milicja żagańska, robiąc to, co

w tym zakresie było możliwe, zajęła się bliżej samym sprzedawcą zegarka. Okazało się, że synalek organisty nie jest takim niewiniątkiem, na którego pozował. Przede wszystkim dosyć często dysponował pokaźnymi kwotami pieniędzy. Znali go też handlarze z bazaru jako systematycznego dostawcę różnych towarów po bardzo atrakcyjnych cenach. Najtaniej sprzedaje się zawsze to, co łatwo przyszło, a więc synalek „czwartej osoby” w parafii mógł maczać palce w jakiejś kradzieży, włamaniu, napadzie czy oszustwie. Przewertowano akta wielu nie wykrytych spraw o te czyny z ostatnich trzech lat dopasowując do nich gagatka, ale nic interesującego z tego nie wyniknęło. Kiedy już zanosilo się na to, że młodzian wyjdzie z opresji obronną ręką, uzyskano informację, że niespełna rok temu sprzedał handlarzowi obcą walutę, cztery „świnki”, to jest złote monety rublowe. Kilkanaście takich monet i sporą ilość biżuterii skradziono ojcu podejrzanego w poprzednim roku, o czym sam zgłosił milicji. Z akt dochodzenia, które zostało umorzone ze względu na niewykrycie sprawcy, wynikało, że pokrzywdzony wykluczał związek syna i wszystkich członków rodziny z tym przestępstwem. Kradzież została dokonana w niedzielę między godz. 9.00 a 10.00, kiedy cała rodzina w komplecie była w kościele. Teraz, słysząc, że syn sprzedawał takie same monety, jakie zostały skradzione, organista złapał się za głowę, ale później oznajmił, iż i tak jego syn jest niewinny, on sam zaś nigdy w życiu nie złożył wniosku o jego ściganie. Brak takiego wniosku — to rzecz święta dla prokuratury i milicji, ale ta ostatnia chciała poznać prawdę o tej kradzieży po to, aby wyrobić sobie właściwy pogląd na temat syna pokrzywdzonego i jego ewentualnych związków z napadem. Ponieważ było jasne, że synalek zainspirował i nadał kradzież złotych monet osobom trzecim, trzeba było jeszcze raz przyjrzeć się jego kontaktom. Dzięki temu wyszło na jaw, że do grona jego bliskich znajomych należy między innymi Rywalski i Kaczoń. To było niezwykle ważne ogniwo

w łańcuchu poszlak, opasującym tych trzech. Zakładając, że syn organisty zlecił kompanom okradzenie swojego ojca, równie zasadnie można było przypuszczać, że ci kompani mogli zlecić jemu i jakiejś drugiej, dobrze mu znanej osobie, napad na rodzinę Dimów. Biorąc to pod uwagę, zatrzymano organistę-juryniera. Bezspornie udowodniona sprzedaż zegarka, wątpliwe alibi na czas napadu, podejrzany tryb życia, fałszywe zeznania w trakcie pierwszego przesłuchania — stanowiły wystarczającą podstawę prawną do tego | posunięcia. Doszły do tego jeszcze wyniki przeszukania. W pokoju zatrzymanego znaleziono strzępy porwanej kartki, na której udało się odczytać: „...dał konia za 40." Można było wnioskować, że był to koniec zdania o tym, że ktoś sprzedał konia za 40 tysięcy złotych. Poza tym w szopie, znajdującej się w obrębie zabudowań rodziny organisty, natrafiono na kawałek damskiej pończochy z wyciętymi otworami na oczy. To była maska, podobna do tych, jakie według ofiar napadu mieli na twarzach bandyci. Podejrzany był wyraźnie wystraszony faktem zatrzymania i rezultatami przeszukań, odmówił odpowiedzi na zadawane mu pytania, prosząc o danie mu czasu do namysłu. Nazajutrz sam zaczął się domagać rozmowy z prowadzącym sprawę. Kiedy jego prośbę spełniono, oznajmił, że istotnie sprzedał zegarek marki „Pobieda” znanemu sobie z widzenia mężczyźnie. Początkowo zaprzeczał temu, ponieważ zegarek ten ukraść właścicielowi pewnego prywatnego zakładu zegarmistrzowskiego. Jeżeli natomiast chodzi o maskę z pończochy, to stanowi ona część stroju diabła, którego odgrywał dwa lata wcześniej podczas świątecznego przedstawienia w szkole zawodowej. Maskę tę wykonała mu jego koleżanka z klasy i nawet nie wiedział, że leży ona do tej pory w szopie. To, co powiedział o zegarku, potwierdziło się w całej rozciągłości. Zegarmistrz, którego, bez trudu zidentyfikowano, zeznał, że istotnie zginął mu kiedyś w nieznanych okolicznościach zegarek „Pobieda”, należący do jednego z klientów. Dzięki zapisom w książce przyjętych zleceń ustalono nazwisko tego klienta i przesłuchano go co do okoliczności, wyglądu i cech fabrycznych utraconego czasomierza, a następnie z tymi danymi zapoznano małżonków Dimów. Ci kategorycznie stwierdzili, że tu nie może chodzić o ich zegarek. W związku z tym ten wątek śledztwa trzeba było uznać za ostatecznie wyjaśniony w sposób korzystny dla zatrzymanego. Bardziej złożona była kwestia maski. Wskazana przez podejrzanego koleżanka z klasy potwierdziła własnoręczne wykonanie takiego rekwizytu, dodając, że użyła do tego starej pończochy koloru brązowego, którą po-farbowała na czarno. Tymczasem maska, znaleziona u syna organisty, była wykonana z pończochy ufarbowanej na czarno według technologii i z użyciem barwników fabrycznych, co niezbitnie wykazała przeprowadzona ekspertyza. Ten mały znak zapytania nie mógł mieć jednak wpływu na zwolnienie podejrzanego z aresztu. Odpadła kolejna, bardzo obiecująco zapowiadająca się na początku wersja śledcza. Teraz nie pozostawało nic innego, jak kontynuować poszukiwania zrabowanego Dimom zegarka, czekać na wyniki zarządzonych ekspertyz i rozszerzać zakres czynności operacyjno-śledczych związanych z wersją dotyczącą koszar. Wersja ostatnia powracała niczym bumerang. Miejscowa ludność i część milicjantów zaangażowanych do prowadzenia sprawy wymieniała ją odruchowo we wszystkich rozmowach i dyskusjach. I trudno się dziwić, ponieważ zebrane poszlaki były niezwykle sugestywne, a sam napad i jego okrutny przebieg ciągle żyły w pamięci wszystkich. Opinie miejscowej ludności, początkowo bardzo przychylnie milicji, zaczęły się zmieniać w miarę jak upływał czas, a sprawcy byli na wolności. Głosy o nieporadności MO i o tym, że kryje ona znanych już sobie przestępców, padały coraz częściej.

Porucznik Radek znał te opinie, starał się rozumieć ich autorów, ale robił swoje. Ujęcie sprawców napadu na mieszkanie Dimów stanowiło tylko jedno z zadań

objętych jego misją. W okresie dwóch miesięcy, to znaczy w lutym i marcu, na terenie województwa zielonogórskiego zarejestrowano aż 11 podobnych przestępstw. Była to czarna seria, nie spotykana w dotychczasowych kronikach kryminalnych tego regionu. Zapoczątkował ją napad dokonany w nocy z 21 na 22 lutego w miejscowości Przytok, graniczącej z Zieloną Górą. Jego ofiarą padła samotnie mieszkająca 60-letnia kobieta. Po północy do jej mieszkania wtargnęło przez okno dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy zażądali wydania pieniędzy, biżuterii i innych kosztowności. Gdy napadnięta oznajmiła, że jest biedną kobietą i nie ma tego rodzaju walorów, sprawcy zaczęli ją torturować ze szczególnym okrucieństwem. Podrzynali gardło nożem, bili wałkiem do ciasta po piętach i żebrach, dusili i grozili zabiciem. Półprzytomna z bólu ofiara wydała w końcu wszystkie swoje oszczędności, tylko prosząc bandytów o darowanie życia. Jeszcze większe okrucieństwo wykazali przestępcy, którzy w marcu włamali się do mieszkania 62-letniej rencistki, mieszkającej samotnie we wsi Jeziorki koło Sulęcina! Rabusie byli przygotowani na to, że zastaną staruszkę w mieszkaniu. Najpierw bili ją gumowymi pałkami po całym ciele, później zaczęli zaciskać na szyi pętlę ze sznura. Ledwie żywa wskazała im miejsce ukrycia pieniędzy, bo oprócz gotówki nie miała nic wartościowego. Pozostałe rozboje były równie niebezpieczne i charakteryzowały się bezwzględnością okrucieństwa sprawców, brakiem jakichkolwiek śladów lub dowodów pomocnych w procesie typowania i eliminacji kręgu osób podejrzanych, użyciem przez bandytów masek i groźnych dla życia narzędzi oraz tym, że ofiarami były osoby samotne albo niedołążne ze względu na wiek czy stan zdrowia. Wstępne czynności operacyjno-śledcze, podjęte przez właściwe miejscowe komendy powiatowe MO, nie doprowadziły do ujęcia sprawców któregośkolwiek z tych przestępstw. Głównym zadaniem porucznika Radka było rozstrzygnięcie, czy wszystkie te rozboje są dziełem tych samych czy też różnych sprawców. Przed przyjazdem do Zagania w związku z napadem na Dimów porucznik dokładnie przeanalizował akta postępowań przygotowawczych, wszczętych o te czyny, dlatego też wiedział o nich wszystko, co wiedzieć powinien. Jego uwagę zwróciło przede wszystkim to, że odstępy czasu między datami poszczególnych zdarzeń i odległości między miejscowościami, w których one wystąpiły, nie wykluczały sprawstwa tych samych osób. Najbardziej jednak zaintrygowało go to, że we wszystkich sytuacjach występowało dwóch sprawców: wysoki i niski. Analizując różne aspekty tego faktu, uświadomił sobie, że wraz z innymi uległ sugestii zeznań pokrzywdzonych. Stwierdzenie, że jeden bandyta był wyższy od drugiego, bardzo działa na wyobraźnię, podsuwając gotowy stereotyp metodyki prowadzenia śledztwa i kryteriów typowania kręgu podejrzanych. A przecież w życiu codziennym, na spacerze, na ulicy, w kolejce sklepowej, nierówność wzrostu osób występujących ramię w ramię jest znacznie częstsza niż równość. A zatem tej okoliczności nie należy przeceniać. Co innego sposób działania przestępcy, który jest z reguły w jakimś sensie odzwierciedleniem osobowości, nawyków manualnych, doświadczeń i rutyny kryminalnej. A w analizowanych przypadkach modus operandi był tylko pozornie identyczny. Działanie w rękawiczkach, zacieranie śladów obuwia, unikanie niepotrzebnych rozmów z ofiarami i wchodzenie do mieszkań za pomocą siły fizycznej, a nie uciekania się do podstępów — to były niewątpliwe cechy wspólne. Tak postępują tylko najbardziej szczeni kryminaliści, mający za sobą poważne wyroki, pobyty w zakładach karnych i przeczytany niejeden podręcznik z kryminalistyki. Ale w zakresie modus operandi tych wszystkich 11 przestępstw były też istotne różnice. Inne były narzędzia, inna taktyka wymuszenia od ofiar informacji o miejscu ukrycia pieniędzy i inne godziny napadów. Biorąc pod uwagę te i wiele innych konstatacji, Radek doszedł do wniosku,

że na terenie każdego z trzech powiatów, objętych serią napadów, działają odrębne i niezależne o siebie grupy bandyckie. Przeczując, że jego koncepcja natrafi na wielu przeciwników, przygotował jeszcze dwa dodatkowe argumenty: analiza dróg dojścia i odwrotu sprawców przemawia za tym, że pomimo nocy orientowali się oni w terenie tak dobrze, jakby na nim mieszkali; we wszystkich przypadkach sprawcy wiedzieli, że ich ofiary w ostatnim czasie weszły w posiadanie większych kwot z tytułu sprzedaży żywego inwentarza, pobrania pożyczki z banku itp. Napad na Dimów nie był żadnym wyjątkiem pod tym względem. Pokrzywdzony, po ustąpieniu amnezji wstecznej, której doznał wskutek otrzymanych razów w głowę, przypomniał sobie, że w pewnym momencie jeden z bandytów powiedział: „ty imiejesz dzieńgi, ty sprzedał korowu.” Członkowie sztabu KW MO, na posiedzeniu którego porucznik zreferował swoje wywody, zaakceptowali jego oceny i wnioski. Decyzją komendanta wojewódzkiego w każdym z trzech powiatów powołano specjalne grupy operacyjno-śledcze, powierzając im zadanie wykrycia sprawców napadów zaistniałych na ich terenie. Nadzór nad grupą utworzoną w Żaganiu przejął Radek.

Pierwszym jego krokiem była kompleksowa analiza rozmiarów i form zagrożenia powiatu przestępczością. Okazało się, że zagrożenie to było znaczne. Poza napadem na Dimów, w ciągu krótkiego okresu zanotowano tam 9 innych niebezpiecznych przestępstw, w tym 2 rozboje i 4 zuchwałe kradzieże z włamaniem. Sprawcy tych czynów nie zostali ustaleni, a były podstawy do przypuszczeń, że są one dziełem tych samych osób. Wszystkie te czyny miały miejsce na terenie wiejskim, wywołując duży niepokój wśród okolicznej ludności. Wielu rolników tarasowało drzwi i okna swoich domów, czuwając nocami z widłami i siekierami, a niektórzy myśleli nawet o przeniesieniu się w inne strony. Psychoza zagrożenia i strach ma zawsze wielkie oczy i tak też było w tym przypadku. Co kilka dni do jednostek

A/IO wpływały fałszywe zawiadomienia o przestępstwach. Ten, który przepił albo przegrał w karty pieniądze, zgłaszał, że padł ofiarą napadu. Dziewczyny, które przedłużyły sobie randkę, opowiadały niezwykle barwne historie o tym, jak usiłowano je gwałcić i jak się dzielnie przed tym obroniły. Ci, którzy stracili czas i pieniądze u prostytutek, salwowali się legendami o szantażowaniu, wykupywaniu się z rąk porywaczy, więzieniu ich przez zamaskowanych dryblasów w piwnicach pełnych szczurów. Dorosłych zaczęły naśladować dzieci. Pewna kobieta otrzymała kiedyś przez pocztę anonim podpisany przez „Tygrysa”. Jakiś straszliwy szantażysta ukrywający się pod tym drapieżnym pseudonimem groził, że jeżeli syn adresatki, Jasio — uczeń IV klasy szkoły podstawowej — nie przestanie wypluwać na podłogę pestek słonecznika podczas przerw, to zginie, a przedtem będzie męczony. Matka, zamiast wygłosić swojemu milusińskiemu reprimendę na temat wypluwania pestek, przybiegła z anonimem na milicję. Wyjaśnienie sprawy powierzono dzielnicowemu. Jak się okazało, „Tygrysem” był dobry kolega Jasia, ubiegający się od dawna o palmę pierwszeństwa wśród dyżurnych klasy. A ponieważ Jasio notorycznie robił mu-sabotaże z pestkami, palnął anonim z groźbami karalnymi. Ale były też zdarzenia poważniejsze, jak na przykład próba wymuszenia od pewnego rolnika 30 tysięcy złotych, pod groźbą spalenia zabudowań. Tę sprawę milicja potraktowała bardzo serio, uruchamiając przepisane dla takich przypadków czynności rutynowe. Podczas zasadzki na miejscu, w którym zgodnie z żądaniem szantażysty miał być złożony okup, ujęto 15-letniego chłopca w masce z pończochy na twarzy, a ekspertyza pisma wykazała, że był on autorem anonimu. Ale wszystko to było niczym w porównaniu z wyczynami osób, chcących zdobyć sławę i rozgłos wykorzystując rzeczywiste zagrożenie przestępczością albo cierpiących na zaburzenia czynności psychicznych. Jedna z tych osób postawiła pewnej nocy całą milicję na nogi. zmu

szając ją do blokady dróg, przeczesania lasów i przeprowadzenia przeszukań w wielu mieszkaniach. Sprawcą fałszywego alarmu był 58-letni rencista, reemigrant z Francji, człowiek samotny, mający w swoim środowisku opinię niezguły i fajtłapy. Pewnej nocy wybiegł na ulicę z krzykiem, że przed chwilą był na niego napad. Dwóch zamaskowanych mężczyzn, jeden wysoki a drugi niski, wyłamało drzwi łomem i grożąc zabójstwem zażądali pieniędzy, które dwa dni wcześniej przyniósł mu listonosz — jako wypłatę renty. Nie uląkł się jednak napastników: jednemu złamał albo wykręcił w stawie rękę, a drugiego zrzucił ze schodów. Podekscytowani sąsiedzi nie mieli czasu na analizowanie tej relacji, a jeden z nich wsiadł na motocykl i za 20 minut znalazł się w Komendzie Powiatowej MO. Dyżurny zarządził alarm dla całej jednostki, uruchamiając równocześnie system działań, przewidzianych dla pościgu za najbardziej niebezpiecznymi przestępcami. Postąpił słusznie, ponieważ wszystko wskazywało na to, że sprawcy napadu na Teodora Dimę i jego żonę dali znowu o sobie znać. Milicjanci mundurowi skierowani zostali do okrążenia i przeczesania lasu, patroli służby ruchu drogowego obstawili skrzyżowania i ścieżki, pracownicy operacyjnych pchnięto do mieszkań osób podejrzewanych o napad na Dimów, a między innymi do Rywalskiego i Kaczonia w celu sprawdzenia, czy są na miejscu, a dochodzeniowcy udali się do domu pokrzywdzonego, aby przesłuchać go w charakterze świadka i przeprowadzić oględziny miejsca zdarzenia. I kto wie, jak długo trwałyby te działania, gdyby nie ustalenia grupy ostatniej. Rencista sfingował napad, wkładając w to niemało wysiłku. Postarał się nawet o to, aby w mieszkaniu były ślady krwi napastnika, którego zepchnął ze schodów; tylko że w tej krwi znajdowało się kurze pierze. Drzwi, przez które mieli włamać się przestępcy, były uszkodzone, ale od strony wewnętrznej. Wzięty w krzyżowy ogień pytań przyznał się do mistyfikacji, motywując ją chęcią podreperowania swojej opinii w oczach sąsiadów. Chciał uchodzić za supermena, a ostatecznie trafił do prokuratora jako podejrzany o fałszywe zawiadomienie o przestępstwie. Znacznie korzystniej wyszedł z podobnej opresji mieszkaniec sąsiedniej wsi 70-letni Paweł Nowik. Był to staruszek godny współczucia, samotny, opuszczony przez rodzinę, dogorywający, psychicznie upośledzony. Nawet najstarsi mieszkańcy wsi nie pamiętali, kiedy się osiedlił w tym miejscu i skąd go losy przywiodły. Czas nie miał wpływu na jego wygląd i zachowanie, zawsze był chory, dziwny, jednakowo spokojny, dobrotliwy i łagodny. Lubił dzieci, częstował je cukierkami, bo był nieźle sytuowany dzięki przekazom otrzymywanym regularnie co miesiąc od brata i synów z Krakowa i Częstochowy. Chodziły słuchy, że upośledzenie psychiczne miało być skutkiem kontuzji doznanej podczas jednej z akcji podziemnego ruchu oporu, którego był członkiem. Wiosną i latem siedział na przyzbie swojej walącej się chaty, a jesienią i zimą w ogóle nie wychodził na dwór. Kiedyś, gdy tak siedział na słońcu, przechodząca obok sąsiadka zauważyła, że ma podrapaną i posiniaczoną twarz. Zapytany przez nią o przyczyny tego odpowiedział, że napadły go nieczyste siły. Kobieta machnęła ręką i poszła dalej, ale o incydencie opowiedziała innym. Nazajutrz cała wioska mówiła o napadzie na starego Nowika, a strzępy tych rozmów po kilku godzinach dotarły do posterunkowego. Ten udał się do staruszka w asyście lekarza. Wynik obdukcji był jednoznaczny: sińce na rękach i szyi, rozległe zadrapania na policzkach i w okolicach prawego uda. Na pościeli czerwieniły się niewielkie plamy, przypominające do złudzenia krew. Posterunkowy powiadomił o wszystkim swoich przełożonych. Jeszcze tego samego dnia w mieszkaniu Nowika zjawił się referent operacyjno-dochodzeniowy Komendy Powiatowej MO w towarzystwie technika kryminalistyki. Wspólnie przeprowadzili oględziny mieszkania, sfotografowali i opisali w protokole obrażenia cielesne pokrzywdzonego i sporządzili for

malna dokumentację przyjęcia ustnego zawiadomienia o przestępstwie. Nowik, przesłuchany w charakterze świadka, nie mówił o niczym innym tylko o nieczystych siłach. Zeznał, że krytycznego wieczora bolała go głowa. czuł się bardzo źle i dlatego wcześniej niż zwykle położył się spać. Nie wie, jak długo spał, ale kiedy otworzył oczy, było już zupełnie ciemno. Oczy otworzył dlatego, że trzaskały okiennice. Skierował wzrok w tamtą stronę i bardzo się przestraszył. Przez otwarte okno zaczęły wbiegać do pokoju diabły — czterech, a może pięciu. Miały czarne gęby i rogi. Czy miały również ogony, tego nie zauważył, ponieważ przez cały czas byli zwrócenii do niego przodem. Diabły rzuciły się na niego, zaczęły szarpać go. i wiązać ręce. Później zaczęły tańczyć po mieszkaniu i przesuwać meble. Nawet jego chciały wciągnąć do tych harców; ale zaparł się na łóżku całym ciałem i nie pozwolił się ruszyć. Wówczas jeden z diabłów, zaczął go kłuć swoim rogiem, a pozostali chichotali, wymachując mu przed oczyma czarnymi łapami. Nie mógł na to patrzeć i zamknął ze strachu oczy. Kiedy je otworzył, diabłów już nie było, natomiast przy jego łóżku stało dwóch archaniołów. Wie, że byli to archaniołowie, a nie zwykli aniołowie, ponieważ trzymali w rękach srebrne miecze. To na pewno właśnie oni przepędzili diabłów tymi mieczami i uratowali go przed porwaniem do piekła. W ogóle byli dla niego bardzo dobrzy. Jeden pochylił się nad nim i zapytał: „chcesz dziadku do nieba”. Ale był przy tym trochę nieostrożny, bo oparł swój srebrny miecz na jego szyi, co było bardzo bolesne. W jaki sposób archaniołowie weszli do mieszkania, tego nie wie, ale widział, że wyszli drzwiami. Teraz będzie czekał, aż archaniołowie znowu do niego przyjdą. Musi ich poprosić, aby odzyskali pieniądze, które zabrały mu diabły. Te pieniądze miał wieczorem w kieszeni i w szafie, a z rana już ich nie było. Resztę pieniędzy ma ukrytą w korytarzu pod cegłami, ale one nie zginęły, bo ich czarci nie znaleźli. Kiedy świadek zaczął opowiadać, że nocne

N

A

mM

kontakty z czartami, diabłami, aniołami i archaniołami miewał również poprzednio, przesłuchujący uznał, iż najwyższa pora, aby zamknąć protokół. Obawiał się bowiem, że jego przełożeni nie będą zbyt skwapliwie czytać i tak już przydługich wynurzeń o siłach czystych i nieczystych. I nie mylił się. Postanowienie o odmowie ścigania, wydane i zatwierdzone dwa dni później, zamknęło sprawę nocy archaniołów. Ale porucznik Radek był konsekwentny. Skoro wyszedł z założenia, że należy zainteresować się wszystkimi przestępstwami, które zostały popełnione w tym rejonie, a których sprawców nie ustalono, to uważał, że nie powinno wśród nich zabraknąć również tego przypadku. Dla niego nie był to przypadek wyjaśniony do końca. Zaintrygowały go obrażenia na szyi starca. Zadrapania na twarzy i rękach mogły powstać przy upadku, otarcia się o ostry przedmiot czy podczas prac w ogrodzie, ale przyczyn zasinień na szyi nie można było wytłumaczyć takimi czy podobnymi okolicznościami. Polecając wydobyć z archiwum materiały tej sprawy, Radek nie zdobył sławy w komendzie, ale lepiej wtajemniczeni przepowiadali szeptem, że za kilka dni zostanie odwołany do centrali. Jedynym, który nie zdziwił się jego decyzji, był ów zawsze podejrzliwy sierżant Koziak. Na szczęście dla tych dwóch w sprawie napadu na Dimów zaczęły wychodzić na jaw nowe okoliczności i zwałił się huk roboty, co przysłoniło tamten niesławny incydent.

Źródłem nowych okoliczności były wyniki ekspertyz kryminalistycznych. Badania plamy nieznannej substancji, zabezpieczonej na drodze odwrotu sprawców, wykazały, że pochodzi ona ze smaru krajowej produkcji, stosowanego powszechnie we wszystkich zakładach i warsztatach mechanicznych. Jeżeli natomiast chodzi o odcisk buta, to biegli stwierdzili, że

zawiera on cechy grupowe charakterystyczne dla spodów obuwia, będącego na wyposażeniu polskich sił zbrojnych. Zdaniem ekspertów, bardzo nikła głębokość śladu i rodzaj podłoża, na którym ślad ten ujawniono, przemawiają za

tym, że siła nacisku buta na podłoże odpowiadała wadze od 15 do 20 kilogramów. Praktyczna interpretacja tego sformułowania prowadziła do absurdalnych wniosków. Czego jak czego, ale bandyty ważącego tyle co kilkuletnie dziecko i ubranego w dodatku w wojskowe buciorzy nikt nie był w stanie sobie wyobrazić. Pocieszywszy się tym, że eksperci też się mylą, prowadzący sprawę uchwycili się opinii, mówiącej o rodzaju buta, od którego pochodził dowodowy ślad. Bogusz, szeregowy Jan Bogusz, narzeczony siostry Andrzeja Rywalskiego — krzyknął podnieconym głosem sierżant Koziak, a pozostali tym razem przytaknęli mu głowami. Jeszcze tego dnia skontaktowano się z właściwą delegaturą Wojskowej Służby Wewnętrznej i zorganizowano wspólną naradę operacyjną. Zgodnie z przyjętą koncepcją, szef kompanii zarządził nazajutrz wymianę butów w plutonie, w którym służył Bogusz. Poprzednie buty narzeczony siostry Rywalskiego zawiezione zostały przez umyślnego posłańca do Wydziału Kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej MO w Zielonej Górze. Dla ekspertów nie była to sprawa prosta. Fragmentaryczność śladu, jego zniekształcenie na nietypowym podłożu, stosunkowo mały stopień zniszczenia spodów butów porównawczych, a przede wszystkim niepełny obrys odcisku buta to czynniki bardzo utrudniające proces identyfikacji. Wstępna opinia, którą przekazano telefonicznie prowadzącym śledztwo przed godz 6.00 rano, brzmiała: dowodowy ślad może pochodzić od lewego buta nadesłanego do badań w charakterze materiału porównawczego. Może, to znaczy nie musi. Pracownicy służb śledczych i operacyjnych dobrze znają to sformułowanie i bardzo go nie lubią, chociaż wiedzą, że ekspert nie jest Pytią i nie może stwierdzić niczego ponad to, co wynika z badań. Ale w tym przypadku nawet ta niekategoryczna opinia znaczyła bardzo dużo. Szeregowy Bogusz miał 171 cm wzrostu, był więc wyraźnie niższy od swojego przyszłego szwagra Andrzeja Rywalskiego. Jego rodzice pochodzili z kresów wschodnich

nich, mógł więc przejąć od nich akcent i wiele rosyjskich zwrotów. Nie miał wprawdzie żadnego doświadczenia kryminalnego, ale jako narzędzie w rękach takiego mistrza jak Rywalski mógł z powodzeniem wystąpić. Poza tym to przecież oni obaj dali sobie nawzajem alibi. Uznano, że należy zatrzymać samego Bogusza, i to w taki sposób, żeby nie wiedział o tym Rywalski. Żołnierz jest żółtodziobem, będzie można łatwiej zmylić jego czujność i skłonić do szczerych wynurzeń, które siłą rzeczy pogrążą jego współnika. Zatrzymanego zabrano z jednostki w obecności oficerów WSW i przewieziono do Komendy. Był zdenerwowany, trzęsły mu się ręce. Pierwsze pytania, rzucone w pokoju przesłuchań, załamały go jeszcze bardziej. Kiedy doszedł do siebie, oznajmił, że wszystko to, co poprzednio zeznał na temat alibi Rywalskiego, jest nieprawdą. W rzeczywistości nie jest w stanie powiedzieć, czy Rywalski był krytycznej nocy w mieszkaniu. On go nie widział i nie miał możliwości widzieć, ponieważ całą noc spędził nie w pokoju połączonym jednym przejściem z pokojem Rywalskiego, lecz w sypialni swojej narzeczonej. Nie wie, w jaki sposób w pobliżu miejsca napadu znalazły się ślady jego buta. Sam nigdy nie był w tym rejonie, a krytycznej nocy odbył pielgrzymkę do sypialni narzeczonej boso, pozostawiając buty w tym pokoju, w którym miał spać. Rano, kiedy się ubierał, nie oglądał butów i nie wie, czy nie były one zabłocone bądź mokre. Tym zaskakującym wyjaśnieniom trzeba było dać wiarę. Były logiczne i spójne. Żołnierz bardzo spokojnie wybrnął też z pytań-pułapek, których nie omieszkął zaserwować mu obecny przy przesłuchaniu sierżant Koziak. A więc znowu śledztwo zabrnęło w ciemny zaułek, ale jedna okoliczność uległa zmianie. Od tej pory Rywalski nie miał alibi i znowu, ku nie ukrywaniemu zadowoleniu Koziaka, znalazł się w kręgu osób podejrzanych. Siłą rzeczy jego los podzielił także Zenon Kaczoń.

Ale możliwości dalszego rozpracowania podejrzanych, wykrycia dowodów świadczących o ich winie albo nie

winności były już w zasadzie wyczerpane. Milicja nie miała nowych atutów w tej rozgrywce, a tej wersji osobowej nie można było pozostawić w takim stadium, w jakim się znalazła po zeznaniach żołnierza. Z braku lepszych koncepcji postanowiono zastosować stary, wypróbowany chwyt taktyczny. Polega on na tym, że osobie podejrzanej wysyła się formalne wezwanie na przesłuchanie, z podaniem odległego terminu, a równocześnie zapewnia się możliwość kontrolowania i obserwowania w tym czasie wezwanego. W wielu przypadkach taki wezwany podejmuje nerwowe działania, przygotowuje sobie obronę, nakłania świadków do złożenia korzystnych dlań zeznań, popełnia w popłochu poważne błędy. Stało się tak, jak postanowiono. Pierwsze sygnały o zachowaniu się obu młodzieńców nie zapowiadały żadnych rewelacji, ale cisza nie była zbyt długa. Najpierw nie wytrzymał Kaczoń.

Prowadzona obserwacja wykazała, że odwiedził swoją dziewczynę, o istnieniu której milicja dotychczas nic nie wiedziała. Przesłuchiwana w charakterze świadka nie była skłonna sypać informacjami o swoim przyjacielu, ale umiejętnie podpytana wygadała się z wielu historii nie obojętnych dla śledztwa. Okazało się na przykład, że Kaczoń dysponował zawsze sporymi kwotami pieniędzy, a nawet kupował jej wartościowe upominki. Dziewczynę wzięto pod obserwację, dzięki czemu uzyskano następane informacje. Wynikało z nich, że zwierzyła się koleżankom, iż była wzywana na przesłuchanie i ma skrupuły, czy nie powiedziała za dużo. Pocieszała się jednak, że tego, o co Zenek prosił ją dwa miesiące temu, żeby w razie czego stwierdziła, że razem spędzili noc z soboty na niedzielę, nie powiedziała milicji. Analizując ten przekaz, skonstatowano, że Kaczoniowi nie chodziło o zapewnienie sobie alibi w związku z napadem na Dimów, który miał miejsce niewiele ponad miesiąc temu. Zenon Kaczoń chciał sobie zapewnić alibi na jakieś inne przestępstwo, prawdopodobnie na włamanie do niejakiego

Stecia, bogatego gospodarza z sąsiedniej wioski. To włamanie znajdowało się w wykazie spraw mogących mieć związek podmiotowy z napadem na Dimów, sporządzonym przez porucznika Radka. Podobnie interesujące wiadomości uzyskano o Rywalskim. Zwrócił się on do pewnego człowieka z zapytaniem, czy istnieje możliwość szybkiego kupienia lewych dokumentów. Miał pecha, bo człowiek ten był informatorem milicji. Nie ulegało wątpliwości, że Rywalski zamierza zbiec i ukrywać się.

Dłużej nie można było czekać. Zebrane poszlaki, aczkolwiek wątłe, ale liczne i nawzajem się uzupełniające, uzasadniały wystąpienie do prokuratury z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie obu podejrzanych. Nadzorujący śledztwo prokurator znalazł się w trudnej sytuacji. On również był przekonany o winie Kaczonia i Rywalskiego, ale sądził, że poszlaki są niedostateczne. Ostatecznie zgodził się na zatrzymanie podejrzanych i przedstawienie im zarzutów: napad na Dimów i pozostałe siedem przestępstw wytypowanych przez Radka, z wyłączeniem sprawy archaniołów. Ostateczną decyzję w kwestii aresztowania uzależnił od tego, jakie wyjaśnienia złożą podejrzani podczas formalnego przesłuchania.

Ustalono, że obaj zostaną zatrzymani w momencie stawienia się w Komendzie, zgodnie z otrzymanymi uprzednio wezwaniami. Stawili się z dokładnością co do minuty. Rywalski oświadczył, że w ogóle nie rozumie treści przedstawionych mu zarzutów, jest oburzony takimi insynuacjami i odmawia złożenia jakichkolwiek wyjaśnień. Kaczoń nie był taki hardy. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, powołał się na uprzednio podane alibi na czas napadu i wyparł się tego, aby kiedykolwiek jego noga stanęła w domu Dimów, Stecia i innych pokrzywdzonych. Podejrzanych odprowadzono do aresztu, gdzie mieli czekać na ostateczną decyzję prokuratora. Ale dzień następny zakłócił ustalony harmonogram czynności wobec zatrzymanych. Kilka minut po godz. 10.00 do Komendy wpłynęło zawiadomienie o

napadzie rabunkowym w miejscowości oddalonej o 4 km od wioski, w której mieszkali Dimowie. Jego ofiarą padła kobieta w podeszłym wieku. Wracając do domu została nagle uderzona w głowę jakimś ciężkim narzędziem, wskutek czego padła nieprzytomna na ziemię. Kiedy doszła do siebie, stwierdziła, że jest zakrwawiona, a z portmonetki zniknęły pieniądze w kwocie 5 tys. złotych. Sprawcy nie widziała, gdyż był on prawdopodobnie ukryty za drzewami. Nie wie też, czy zaatakowały ją dwie czy jedna osoba. Ten napad był argumentem na korzyść zatrzymanych. Dotychczasowe sugestie milicji, że sprawcami napadów, włamań i innych nieszczęść w tej okolicy są Rywalski i Kaczoń, straciły swoją moc. Prokurator bezradnie rozłożył ręce. Ponieważ jednak do ustawowej granicy 46-godzinnego zatrzymania było jeszcze dużo czasu, a należało podejrzanych skonfrontować z kilkoma świadkami, wyraził zgodę na pozostawienie obu w areszcie do dnia następnego. Miał to być dzień porażki milicji i prokuratury, ale stało się inaczej. Porucznik Radek wpadł na pomysł, aby wykorzystać jeszcze dwie możliwości wyjaśnienia wersji Rywalskiego i Kaczonia w jedną bądź drugą stronę. Miał na myśli próbę rozpoznania sprawców napadu przez pokrzywdzonych na podstawie sylwetek i głosu. Z samego rana zebrano w pokoju przesłuchań 10 mężczyzn, z których żaden nie był znany Teodorowi Dimie i jego żonie. Wśród nich znajdowali się obaj podejrzani. Każdy z mężczyzn miał przeczytać na głos przygotowany uprzednio tekst, w który były wplecione między innymi rosyjskie słowa, wypowiedziane przez bandytów w mieszkaniu pokrzywdzonych. Samych pokrzywdzonych umieszczono w sąsiednim pokoju, tak aby nie widzieli tamtych dziesięciu, a równocześnie mogli słyszeć ich głosy. Próbę powtórzono trzykrotnie i za każdym razem Dimowa rozpoznała głos Rywalskiego jako wyższego z napastników, natomiast jej mąż oznajmił, że nie rozpoznał żadnego głosu. Było to zupełnie zrozumiałe, ponieważ miał on słuch znacznie gorszy od żony. a podczas napadu doznał cięższych obrażeń i częściej tracił przytomność. Następnie okazano im na dziedzińcu komendy również 10 nieznanym mężczyznom, ubranych w identyczne kombinezony i maski na twarzach, ustawionych parami. Jedną z par stanowili podejrzani. Dimowa kategorycznie wskazała na Rywalskiego i Kaczonia. jej mąż zaś uczynił tak samo. z tym zastrzeżeniem, że nie miał pewności, czy się nie myli. Wyniki tych prób. należycie udokumentowanych pod względem formalno-procesowym. przeważały szalę przekonania o winie .zatrzymanych i zostali oni aresztowani. Prokurator wziął tu pod uwagę również i to. że Dimowa już na pierwszym przesłuchaniu zeznała, że wyższy bandyta miał „nienormalny głos”, który dobrze zapamiętała. Istotnie głos Rywalskiego był bardzo charakterystyczny.

Obu podejrzanych przewieziono do aresztu Komendy Wojewódzkiej MO i rozpoczęła się kolejna, bynajmniej nie łatwiejsza faza śledztwa. W tej fazie sprawę miał prowadzić najzdolniejszy i najbardziej doświadczony oficer Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KW MO kapitan Bukiński. Ale już pierwsze przesłuchania wykazały. że i on może połamać sobie zęby. Obaj aresztowani kontynuowali taktykę przyjętą w Żaganiu. Nie przyznawali się do zarzucanych im czynów i odmówili jakichkolwiek wyjaśnień. Na wszystkie pytania, bardzo starannie przygotowane przez Bukińskiego. odpowiadali niezmiennie: jesteśmy niewinni, nie macie dowodów i nie znajdziecie ich. Byli niezwykle pewni siebie, butni i nonszalancy. Rywalski już po upływie tygodnia od aresztowania napisał zażalenie do Prokuratury Generalnej. w którym zarzucił milicji łamanie praworządności. bezpodstawne nękanie go w okresie ostatnich trzech tygodni, nocne rewizje w mieszkaniu i wymuszanie zeznań na narzeczonej. Równocześnie obaj rozpoczęli głodówkę. Takie zachowanie mogło oznaczać, że przed aresztowaniem starannie ukryli bądź pozbyli się dowodów rzeczowych i szczegółowo uzgodnili tak

tykę obrony. Równie dobrze można je było tłumaczyć jako przejaw niewinności. Bukiński i Radek nie mieli najmniejszych wątpliwości co do tego, że jeśli ten impas utrzyma się przez miesiąc, to areszty zostaną uchylone, podejrzani wyjdą na wolność i będą już nieosiągalni dla wymiaru sprawiedliwości. Wspólnie ułożyli plan działania i wspólnie przystąpili do jego realizacji. Postanowili szukać takich dowodów, których wyrafinowani bandyci nie byli w stanie zatrzeć, usunąć ani zniszczyć.

Zaczęli od ponownego zbadania miejsca włamania do mieszkania Stecia. Ten wybór nie był przypadkowy. Inspektorzy wzięli tu pod uwagę fakt, że właśnie na miejscu tego przestępstwa zachowały się do tej pory ślady bytności sprawców, które — w powiązaniu z odpowiednimi eksperymentami karno procesowymi — mogą umożliwić dokładne odtworzenie przebiegu czynu i zachowania się tych, którzy go dokonali. Liczyli na to, że podejrzany, który zostanie zapoznany z tak zrekonstruowanym przebiegiem zdarzenia, poweźmie przekonanie, iż jego współlnik przyznał się i przyzna się sam. Na przykład podczas pierwszych oględzin stwierdzono, że sprawcy przed przystąpieniem do włamania oddali strzał z procy w szybę, prawdopodobnie po to, aby się upewnić o tym, że w domu nie ma nikogo. Wówczas jednak nie próbowano tego ustalenia wykorzystać. Teraz, po przeprowadzeniu serii eksperymentów przy udziale milicyjnego eksperta z zakresu mechanoskopii, można było przyjąć, że ten, kto oddał strzał, musiał klęczeć na prawym kolanie i że nie mógł to być tęgi Kaczoń, ponieważ nie przecisnąłby się przez wąską szczelinę w szapie. W podobny sposób udało się też ustalić, co robił każdy ze sprawców włamania już po wejściu do mieszkania pokrzywdzonych. Z pierwszych oględzin wynikało, że przestępcy raczyli się winem, które znaleźli w pokoju stołowym. Na stole pozostawili szklanki, które poprzednio stały na półce regału. Po uwzględnieniu wzrostu Rywalskiego i Kaczonia oraz wysokości półki można było przyjąć, że szklanki zdjął ten pierwszy, ponieważ drugiemu nie pozwoliłby na to niski wzrost i krótkie ręce. O tym, jak tego typu ustalenia należy wykorzystać podczas przesłuchania, obaj inspektorzy wiedzieli dobrze. Nietrudno było przewidzieć, jakie wrażenie może zrobić na Kaczoni niewinne pytanie w rodzaju: co podejrzany robił w tym momencie, kiedy Rywalski zdejmował z półki orzechowego regału w pokoju stołowym dwie kryształowe szklanki, z których później piliście wino? albo: czy Rywalski po oddaniu strzału z procy miał pobrudzone spodnie na prawym kolanie, na którym klęczał? Takie pytania i takie triki taktyczne są w śledztwie dozwolone, bo z tego, że podejrzany ma prawo odmówić składania wyjaśnień i kłamać nie wynika wcale, że prowadzący sprawę musi w to wszystko wierzyć i być zdany na jego widzimisię.

Plan Radka i Bukińskiego zakładał też ponowne przesłuchanie wszystkich pokrzywdzonych na temat rodzaju i ilości skradzionych lub zrabowanych im przedmiotów. Inspektorzy liczyli się z tym, że pokrzywdzeni wymienili poprzednio przede wszystkim te przedmioty, które były dla nich najbardziej wartościowe i bliskie, i których brak od razu zauważyli. W związku z tym zwrócili się do wszystkich z prośbą, aby jeszcze raz w spokoju i dokładnie zlustrowali swoje mieszkanie, piwnice strychnie i komórki, zwracając uwagę przede wszystkim na drobiazgi. Kilka dni później jeden z pokrzywdzonych zawiadomił, że brakuje mu starego pasa wojskowego, który miał od 1943 roku. Świadek niezwykle dokładnie opisał cechy tego paska, występujące na nim uszkodzenia, miejsca własnoręcznego zszywania itp. Pas ten znaleziono nazajutrz w mieszkaniu Kaczonia. Leżał w widocznym miejscu i widzieli go uczestnicy pięciu poprzednich rewizji, lecz nie mieli powodów, aby się nim zainteresować. Był to pierwszy mocny dowód rzeczowy w tej sprawie. Następny znalazł porucznik Radek podczas przeszukania w mieszkaniu Ry-

walskiego. Było to już ósme przeszukanie, ale pierwsze z udziałem Radka, a zainspirował je Koziak. Sierżant, który kierował poprzednimi przeszukaniami, ciągle miał przecucie, że w tym mieszkaniu muszą znajdować się dowody czy ślady przestępczej działalności Rywalskiego. Ale początkowo wszystko wskazywało na to, że również tym razem nikt tych dowodów nie odnajdzie. Kiedy zniechęceni mieli już opuszczać zabudowania, Radek zainteresował się stertą starego żelastwa, złożonego pod płótnem na podwórku. Postanowił przejrzeć to złomowisko tylko dlatego, że w toku poprzednich rewizji nikt tego nie uczynił. Czego tam nie było: lemieszki pługów, zębate koła, osie od wozów, ponemieckie hełmy, przeżarte rdzą ponemieckie bagnety. Ojciec podejrzanego oznajmił, że wszystko to zbiera na jedną kupę, aby sprzedać jako złom. I wtedy Radek zobaczył, że na jednym z dwóch zardzewiałych bagnetów jest jakaś malutka, ledwie widoczna srebrząca się kropeczka. Zabezpieczył oba bagnety, zabierając je ze sobą w celu przekazania do badań w Zakładzie Kryminalistyki KG MO. Z odpowiedzi, którą otrzymał dwa tygodnie później, wynikało, że ta kropeczka to nic innego jak okruch folii aluminiowej, tak zwanego sreberka, używanego w przemyśle i życiu codziennym między innymi do opakowań wyrobów czekoladowych. Teraz już wiedział, jacy to archaniołowie złożyli nocną wizytę psychicznie upośledzonemu Nowikowi i skąd mieli swoje srebrne miecze.

Zdobyte z takim trudem poszlaki i dowody zostały po mistrzowsku wykorzystane podczas przesłuchań podejrzanych. Starannie opracowana taktyka, poparta bogatym doświadczeniem kapitana Bukińskiego, przyniosła pełny sukces. Podejrzani przyznali się do zarzucanych im czynów i wskazali miejsca, w których ukryli łupy z przestępstw. Wydali także współnika, który nie biorąc bezpośredniego udziału w napadach i włamaniach zbierał dane o stanie majątkowym przyszłych ofiar. Był nim wspomniany już syn organisty. Pomimo młodego wieku

ni tri
Anr
i. Wpl u
l lii m
N—<
Jrj
CM !
S I 1
W i 5

podejrzani byli nie tylko niebezpiecznymi, ale i do-
I świadczonymi, rutynowanymi przestępcami. Inicjatorem i szefem wszystkich akcji był Andrzej Rywalski. On właśnie ze zwierzęcym niemal okrucieństwem torturował ofiary. Od niego wyszedł pomysł używania masek i rękawiczek, przygotowywania — jeszcze przed przestępstwem — wiarygodnego alibi oraz zacierania śla- aów obuwia. Przed wyruszeniem na każdy skok podejrzani nakładali inne buty, które bezpośrednio po czynie palili. Podobnie postępowali z ubraniami. Znali bardzo dobrze możliwości kryminalistyki w zakresie identyfikacji śladów. Ale podręczniki z kryminalistyki, z których korzystali, i informacje przekazane na ten temat Rywal- skiemu przez recydywistów — kolegów z więziennej celi. były spóźnione. Nie uwzględniały one postępu, który w tej dziedzinie nastąpił. Dowodem wyjątkowej przezorności w zacieraniu śladów przestępstwa może być to, że Rywalski nie omieszkał zniszczyć piły, której użył

Ido wykonania maczugi, oraz spalić trocin i wiórów. Wierzył, że jego zbrodnie i występki są doskonałe i nie do wykrycia. Jak mógł, przygotowywał do przestępczego fachu swojego młodszego kolegę — Zenona Kaczonia. Patrzył mu na ręce. kontrolował każdą jego wypo- wiedź. Podczas włamania do mieszkania Stecia zabronił mu zabierania pasa wojskowego, na

który ten miał ochotę. Był to bowiem rok 1966, okres powstawania w Polsce mody dżinsowej i lansowania zespołów muzyki młodzieżowej, takich jak „Polanie”, „Czerwone Gitary” czy „Breakout”, których członkowie gustowali w podobnych pasach. Kaczoń nie posłuchał go jednak i za-

Ibrał pasek bez jego wiedzy. Szpanował nim kilka razy przed swoją narzeczoną, a później bezwiednie rzucił do szafy. Napad na Dimów, najpoważniejsze z dokonanych przestępstw, był przygotowany wyjątkowo starannie. Nawet jego termin nie był dziełem przypadku. Rywalski wiedział kiedy narzeczony jego siostry będzie miał przepustkę i przyjdzie do nich na noc. Wiedział też, że jak domownicy usną, to żołnierz przemknie ze swojego

pokoju do pokoju siostry, gdzie zostanie do rana. Kiedy to nastąpiło, zabrał spod łóżka lewy but żołnierza i udał się z nim na umówione z Kaczoniem spotkanie. Wracając z domu Dimów odcisnął spód tego buta w pobliżu koszar jednostki Radzieckiej, a po powrocie do siebie postawił go tam, skąd go zabrał. Tym sposobem na bucie nie mogło być śladów błota, śniegu czy podobnych zanieczyszczeń. Siła ręki, użyta przy wykonaniu odcisku spodu buta na podłożu, nie była zbyt wielka, co bardzo trafnie skonstatowali milicyjni eksperci z zakresu mechanoskopii. Ale największym majstersztykiem Rywalskiego było to, co uczynił w przerwie między terminem otrzymania wezwania do Komendy MO a terminem stawiennictwa. Ten tygodniowy okres wykorzystwała nie tylko milicja przeciwko przestępcom, lecz również przestępcy przeciwko milicji. Rywalski nawiązał w tym czasie kontakt ze swoim bratem, przebywającym w zakładzie poprawczym. Byli ze sobą związani nie tylko pokrewieństwem, lecz również wspólnymi zainteresowaniami przestępczymi, wieloma dokonanymi kradzieżami i rozliczeniami finansowymi. Andrzej wspomagał brata w poprawczaku paczkami, przekazami pieniężnymi i pomagał finansowo jego dziewczynie. Miał więc prawo zażądać rewanżu. Wymógł na bracie, aby ten dokonał napadu w czasie, kiedy on będzie przebywał w Komendzie MO na przesłuchaniu. Jednodniowa ucieczka z zakładu poprawczego i znalezienie odpowiedniego współnika wśród wychowanków nie były problemem nie do pokonania, a wskazówki Andrzeja co do osoby ofiary i innych okoliczności planowanego skoku bardzo upraszczały wykonanie zadania. Zimna kalkulacja Andrzeja, że taki napad będzie miał poważne znaczenie ekskulpujące dla niego i Kaczonia, okazała się słuszna. Rywalski był też mistrzem w planowaniu i urządzaniu skrytek na łupy i przedmioty oraz narzędzia służące do popełniania przestępstw. Na przykład skradzione pieniądze, biżuterię i zegarek zrabowany z mieszkania Dimów przechowywał w

własnoręcznie wydrążonej od spodu nodze od łóżka. Łóżko to stało w jego pokoju, który milicja przeszukiwała kilkanaście razy. Sierżant Koziak, wyznawca zasady, że najciemniej jest pod latarnią, nie mylił się zatem w swoich przecuciach, ale tak zmyślnie skonstruowanych skrytek nie ógł przewidzieć, chociaż niejedno widział i słyszał w swojej 30-letniej praktyce milicyjnej. Żadnego natomiast wysiłku ani sprytu taktycznego nie wymagało od Rywalskiego i jego współnika Kaczonia przygotowanie napadu na Nowika. Wszystko sprowadzało się do owinięcia bagnetów sreberkiem, aby zrobiły wrażenie na pokrzywdzonym. Rywalski wziął je ze złomowiska, a po wykorzystaniu do napadu i odwinięciu ze sreberka — ponownie je tam wyrzucił. Nie zauważył tylko tej jednej, malutkiej srebrzystej kropeczki. Jednak przedziwny zbieg okoliczności i osobowość samego pokrzywdzonego sprawiły, że zdarzenie to nabrało cech niezwykłości i absurdalności. Porucznik Radek, który w okresie studiów prawniczych przez pięć lat chodził wolontarystycznie na wykłady znanego polskiego psychiatry prof. Dreszera, od samego początku miał na tę sprawę inny pogląd niż jego koledzy. Kiedy dzięki znalezieniu bagnetów i wynikom ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki udało mu się ustalić, kim byli archaniołowie i skąd mieli swoje srebrne miecze, postanowił pójść za ciosem i odnaleźć również diabłów. Po wielogodzinnych rozmowach ze staruszką, przesłuchaniu kilkunastu mieszkańców wioski i własnych medytacjach odnalazł trop, który doprowadził go do celu. Nowik lubił dzieci, często je gościł w swoim domu, częstując cukierkami i podobnymi przysmakami, bardzo miłymi ich podniebieniom. Wieczorem, w dniu kiedy czuł się wyjątkowo źle i bolała go głowa, czereda malców w wieku od 5 do 9 lat wpadła jak zwykle po należne jej dary. Ale gospodarz, ledwie trzymający się na nogach i nie mający nastroju do urządzania w tym dniu przyjęć, wyrzucił całe bractwo za drzwi. Malcy odebrali to jako afront, po- przysięgając rychłą zemstę. Kiedy się zupełnie ściemni

ło. w darli się do mieszkania staruszka przez okno. Na twarzach mieli papierowe maski diabłów, sprzedawane od kilku tygodni w kioskach „Ruchu” w cenie 12 złotych, a ich ręce czerniły się od sadzy. Nie chcieli nic mówić, aby dziadek któregoś z nich nie poznał po głosie; ograniczyli się zatem do wydawania nieartykułowanych dźwięków, zawierających możliwie największą liczbę decybeli oraz jak najdzikszych harców. Po około 40 minutach zabawa im się znudziła, więc czmychnęli tą samą drogą, którą przyszli. Starzec, wystraszony i skrajnie wyczerpany tym szatańskim misterium, zapadł w sen. Kiedy się obudził, miał nad głową archaniołów — czyli Rywalskiego i Kaczonia, wymachujących bagnetami owiniętymi w srebrną folię. Jeden z nich zaczął dusić go za gardło, żądając wydania pieniędzy. Groził, że jeśli ich nie otrzyma to pošle gospodarza do nieba.

Rozprawa przeciwko Andrzejowi Rywalskiemu i Zenonowi Kaczoniowi rozpoczęła się w dniu 14 lipca 1966 roku przed Sądem Wojewódzkim w Zielonej Górze. Oskarżeni odpowiadali w trybie doraźnym. Prokurator w toku przewodu sądowego i mowy oskarżycielskiej z niezwykłą precyzją zaprezentował sądowi zebrane dowody i poszlaki, okrucieństwo popełnionych przez oskarżonych przestępstw oraz zdecydowanie negatywne ich postawy moralne. Wyrokiem tego sądu Rywalski został skazany na karę 14, a Kaczon na karę 9 lat więzienia. Nazajutrz w miejscowej prasie ukazało się obszernie sprawozdanie z procesu wraz z informacją o zapadłych wyrokach. Tydzień później w małym, starym kościółku w parafii Dimów zebrał się wyjątkowo liczny tłum wiernych. Z ust celebrującego mszę księdza padały nazwiska funkcjonariuszy MO, którzy prowadzili sprawę przeciwko Rywalskiemu i Kaczoniowi — porucznika Radka, kapitana Bukińskiego, sierżanta Koziaka ... Była to bowiem msza dziękczynna, zamówiona na cześć milicji przez Dimów i innych mieszkańców okolicznych wiosek, wdzięcznych za to, że teraz ich noce będą spokojne.

ZIELONY POTOK

Pieniądz — niekoronowany władca świata, magiczna siła wzlotów i upadków państw, narodów i jednostek, przyczyna ludzkich dramatów i nieszczęść, zarzewie krwawych rozgrywek, przedmiot pożądania i nienawiści — ma długą historię, sięgającą zamierzchłych czasów starożytności. Długa, sensacyjna i osnuta legendami jest również historia fałszerstw pieniędzy. Niezwykła osobowość fałszerzy, ich genialne uzdolnienia i awanturnicze biografie były tematem wielu fascynujących powieści, domysłów i poważnych rozpraw naukowych. Archeolodzy, historycy, znawcy sztuki i banków emisyjnych, prawnicy i kryminaliści wydarli przeszłości dużo tajemnic z tego zakresu, odsłanili kulisy największych afer fałszerskich. Niedawno, podczas prac wykopaliskowych w ruinach zasypanych ziemią grobowców i mogił średniowiecznego cmentarza kościelnego w Słowacji, odkryto szczątki dobrze zachowanych miedziowych matryc do bicia monet. Matryce były podrabiane, stanowiły więc część dobrze zamaskowanego laboratorium fałszerskiego — funkcjonującego bezpiecznie pod bokiem władz kościelnych i służb ówczesnych władców tej ziemi — strzegącego swoich tajemnic przez prawie pięć wieków.

Może w podobny sposób, za kilkadziesiąt czy kilkaset lat, zostaną ujawnione niektóre laboratoria fałszerskie stworzone w drugiej połowie XX wieku. Aktualnie bowiem nikt nie jest w stanie określić, ile ich dzisiaj działa, gdzie są zlokalizowane, jak zamaskowane i przez kogo są kierowane oraz eksploatowane. Wiadomo jest

tylko, że ich liczba i zdolności produkcyjne są bardzo 1 Znaczne. Według danych Interpolu fałszerstwa pieniędzy 1 dzy występują dziś we wszystkich państwach świata. 1 Najbardziej zagrożonych jest 26 krajów. Sam dolar I amerykański był dotychczas fałszowany w ponad 50 J państwach, a najczęściej w Stanach Zjednoczonych, I Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Belgii, Francji, Ko- j lumbii, Libanie, Wielkiej Brytanii i Republice Federalnej j Niemiec. Ze sprawozdania Interpolu przedstawionego w] 1977 roku wynika, że ujawniono 415 tajnych laborato- I riów, specjalizujących się w produkcji fałszyfikatów ban- I knotów dolarowych. Banknoty dobrze sfalszowane były] w legalnym obiegu nawet po upływie kilkudziesięciu lat od ich wyprodukowania. Fala fałszywych banknotów i monet zarówno obiegowych, jak i numizmatycznych j coraz bardziej zalewa świat i nie sposób ją powstrzy- mać.

Międzynarodowe konwencje, wysiłki Interpolu, j starania policji i milicji poszczególnych państw, współpraca organów ścigania karnego z instytucjami banko- | wymi nie przełamały eskalacji tego zjawiska. Każdy sukces organów porządku publicznego w walce z przestępstwami tej kategorii jest na wagę złota i trafia do kronik światowej kryminologii. Dzięki temu światowa opinia publiczna mogła dowiedzieć się o szczegółach wielu kazuśowych afer fałszerskich, takich jak sprawa gangu produkującego szwajcarskie banknoty 100-fran- kowe na terytorium Wielkiej Brytanii, ujęcie w New Delhi obywatela hinduskiego z pięciuset fałszyfikatami banknotów USA i funtów angielskich, aresztowanie pewnego Kanadyjczyka, u którego zakwestionowano 3200 fałszywych banknotów dolarów kanadyjskich, kol- portowanych na terytorium RFN, Szwajcarii i Włoch. Najnowszy, trzymany jeszcze ciągle w tajemnicy ze względu na dobro prowadzonego śledztwa, przypadek z tego zakresu związany jest z zatrzymaniem w Republice Federalnej- Niemiec pewnego obywatela francuskiego polskiej narodowości i jego współników z Włoch i innych krajów, produkujących bardzo udane banknoty

marek, które przez wiele lat były przemycane również do naszego kraju. Do światowych osiągnięć w zwalczaniu przestępstw tej kategorii zalicza się też sprawa, która w milicyjnych archiwach oznaczona została kryptonimem „Zielony potok”.

Początek tej sprawy przypada na letnie miesiące 1968 roku. Wtedy to właśnie do właściwych wydziałów i służb Komendy Stołecznej MO w Warszawie zaczęły wpływać pierwsze informacje o pojawieniu się na terenie miasta i jego najbliższych okolic fałszywych banknotów dolarów amerykańskich. Dane na ten temat pochodziły z różnych źródeł: od informatorów, z inwigilacji środowisk kryminalnych, obserwacji nielegalnych melin i kasyn gry, rozpracowań grup specjalizujących się w przemyśle i handlu złotem oraz obcymi walutami. Wszystko były t<3 przekazy bardzo ogólne, nie zawierające żadnych wzmianek na temat pochodzenia fałszyfikatów, metod ich wytworzenia, ośrodka fałszerskiego, a tym bardziej kręgu producentów, kolporterów i odbiorców. Najistotniejsza była odpowiedź na pytanie, skąd pochodzą fałszyfikaty: z kraju czy z zagranicy. Były podstawy do przypuszczeń, że prawdziwa jest ewentualność druga.' W tym bowiem czasie brygady do zwalczania przestępstw dewizowo-przemysłniczych MO z Wrocławia, Krakowa i Warszawy miały na oku kilkunastu Jugosłowian, podejrzanych o przynależność do międzynarodowego gangu, zajmującego się kontrabandą złotych monet, bitych w południowej Afryce, i fałszywych banknotów dolarów USA, wytwarzanych przez tropiony od dawna przez Interpol ośrodek fałszerski we Włoszech. Jeden z Jugosłowian został niebawem zatrzymany wraz z dziesięcioma banknotami o nominale 100 dolarów. Ekspertyza wykonana w Zakładzie Kryminalistyki KG MO wykazała, że są to fałszyfikaty wykonane w sposób wyjątkowo dokładny i przy zastosowaniu nieznanymi dotychczas w Polsce technik i urządzeń. Brak tego rodzaju informacji o banknotach rozprowadzanych w Warszawie uniemożliwiał na razie

stwierdzenie, czy należy je kojarzyć z działalnością międzynarodowego gangu. Należało wejść w posiadanie chociaż jednego banknotu z warszawskiej serii I i poddać go ekspertyzie. W związku z tym kapitan Ziolo, kierujący całością działań milicji w tej sprawie, zdecydował, że konieczne jest zebranie bliższych danych o wytypowanych grupach przestępczych i ich melinach oraz miejscach, w których są rozprowadzane fałszyfikaty. Aby tego dokonać, nie wystarczyło obserwować podejrzane osoby i miejsca. Do tych środowisk i melin milicja musiała wprowadzić swoich ludzi, aby byli tam jej oczami i uszami. Takie przedsięwzięcia są zawsze bardzo trudne i ryzykowne, wymagają dużego doświadczenia, mocnych nerwów, polotu i pomysłowości, a przede wszystkim doskonałej znajomości zwyczajów i psychiki środowisk przestępczych. Świat przestępczy jest czujny i podejrzliwy, zna albo domyśla się wielu metod i sztuczek organów ścigania, stosuje wiele systemów własnej kontroli, jest pamiętliwy i bezlitośnie mściwy. A posiadane już wówczas informacje sugerowały, że niektórzy z rozpracowanych przestępców dysponują bronią palną.

Wszystko jednak poszło zgodnie z planem. Milicja zaczęła przejmować kontrolę nad niektórymi podejrzаныmi i ich ruchami.

Dzięki temu pod koniec sierpnia posiadano między innymi dokładne rozpoznanie sytuacji w lokalu gastronomicznym „Eden”. Lokal ten od dawna stanowił miejsce spotkań hochsztaplerów, kontrahentów nielegalnych transakcji złotem i obcymi walutami, tutaj można było kupić biżuterię z włamań czy kradzieży, fałszywe świadectwo szkolne bądź dyplom ukończenia studiów wyższych, załatwić za odpowiednią zapłatą protekcję przy staraniach o atrakcyjną pracę, uzyskać zameldowanie w stolicy czy przydział mieszkania. Ale i tu obowiązywały zasady przestępczej konspiracji; każdy wiedział tyle, ile wiedzieć powinien i nic więcej. Specjalnie opłacani ludzie dbali o to, aby żaden przypadek kowemu gościowi nie zabawił w „Edenie” długo, a ten, kto wykazywał zbytnią ciekawość stałymi bywalcami lokalu i treścią prowadzonych przez nich rozmów, mógł znaleźć się z rozbitą głową w rynsztoku czy Wiśle. Dobrze musieli być umiejscowieni i zakonspirowani w tym gnieździe osi ludzie kapitana Zioly, skoro pewnego dnia uzyskali informację, która całą grupę postawiła w stan pogotowia. Informacja była krótka: w „Edenie” przebywa niejaki Michał Naumiec, który jest naszpikowany fałszywymi dolarami. Takie nazwisko nic nie mówiło kapitanowi ani jego ludziom, nie występowało ono również w aktach sprawy, a na jakiegokolwiek sprawdzenie nie było czasu. Akcja zatrzymania Naumca została przeprowadzona błyskawicznie; pod odpowiednim pretekstem wywabiono go z lokalu na ulicę, gdzie czekał już milicyjny samochód z cywilnymi tablicami rejestracyjnymi. Pomimo pełnego zaskoczenia, zatrzymany nie stracił zimnej krwi. Tylko dzięki wyjątkowej uwadze funkcjonariuszy nie udało mu się pozbyć posiadanych przy sobie 9 banknotów 20-dolarowych. Zdziwiająca przytomność umysłu i opanowanie wykazał podejrzany również podczas przeszukania w jego mieszkaniu. W obecności patrzących mu na ręce milicjantów omal nie ukrył skutecznie dalszych 30 banknotów o tym samym nominale. Gdyby nie doświadczenie przeprowadzających rewizję, pieniędzy tych można byłoby prawdopodobnie szukać do dziś.

Udana akcja zawsze zachęca do kontynuowania działań, a kapitan Ziolo znany był z tego, że lubił iść za ciosem. Na jego polecenie 11 zorganizowanych naprędce ekip wkroczyło do mieszkań osób, co do których istniały informacje, że biorą udział w procederze fałszowania bądź kolportowania banknotów dolarowych. Ale wszystkie przeszukania dały wynik negatywny. Fakt ten skłaniał do różnych refleksji. Większość osób, których mieszkania objęto przeszukaniem, należała do grona dobrze milicji znanych od dawna zawodowych fałszerzy pieniędzy i handlarzy obcymi walutami.

tami. a ewentualność, że ktoś ich ostrzegł bądź poin* formował o zatrzymaniu Naumca nie wchodziła w rachubę. A zatem ci, którzy stanowią główny cel działań milicyjnych — wytwarzają oraz kolportują fałszyfikaty dolarów — mogą nie być profesjonalistami, mogą być nie karani i nie notowani w kartotekach MO. O tym, że istotnie tak może być, zdawał się świadczyć sam zatrzymany Naumiec. Nie należał on do osób, które się widuje w melinach przestępczych lub na ławach oskarżonych. Naumiec był człowiekiem w białym kołnierzyku, magistrem prawa zatrudnionym na posadzie państwowej. Eloquentny, z dobrymi manierami, błyskotliwy, bardzo rzeczowo i konkretnie odpowiadał na pytania dotyczące źródeł pochodzenia zakwestionowanych u niego dolarów. Oznajmił, że przed wyjazdem na letni urlop wynajął swoje mieszkanie bliżej nieznanemu mężczyźnie, który dał mu na przechowanie te pieniądze. W dniu, kiedy go zatrzymano, był umówiony z tym mężczyzną w „Edenie”, aby przekazać mu część depozytu. O tym, że dolary są fałszywe nie miał zielonego pojęcia. Te i pozostałe wyjaśnienia były bardzo sprytnie i stanowiły konsekwentną realizację przyjętej przez zatrzymanego linii obrony. Doskonale zorientowany w prawnych i kryminalistycznych aspektach swojej sprawy dążył do oddalenia od siebie zarzutu o czyn z art. 12 obowiązującego wówczas tzw. małego kodeksu karnego, ustawy wyjątkowej, przewidującej najwyższe kary za przestępstwa szczególnie niebezpieczne, w tej liczbie również za fałszerstwa pieniędzy polskich lub zagranicznych. Wprawdzie to, co sam wyjaśnił, dawało podstawy do przedstawienia mu zarzutu z art. 45 ustawy karnej skarbowej, jednakże wówczas- jego sytuacja procesowa byłaby bardzo korzystna. Zamiast zarzutu o zbrodnię miałby przedstawiony zarzut o występki, popełniony w łagodzących okolicznościach i nie uzasadniający zastosowania środka zapobiegającego w postaci tymczasowego aresztowania. Przeciwno takiemu rozstrzygnięciu przemawiały nie tylko względy prawne.

lecz również- taktyczno-kryminalistyczne. W rękach prokuratury i milicji znajdowało się tylko jedno ogniwo długiego łańcucha fałszerskiego i tylko okruszek tego, co fałszerze sfabrykowali. Ekspertyza zakwestionowanych u Naumca banknotów, przeprowadzona w Zakładzie Kryminalistyki KG MO w ciągu zaledwie jednej nocy, bezspornie wykazała, że chodzi tu o bardzo dobrze wykonane fałszyfikaty. Zdaniem ekspertów, metody i techniki, którymi posłużyli się przestępcy, były bardzo wydajne i gwarantowały wytworzenie w ciągu krótkiego czasu olbrzymich ilości fałszyfikatów. Sam Naumiec był kluczem do rozwiązania zagadki fałszerskiego gangu i wszystko zależało od tego, jak się z nim postąpi. W grę wchodziły dwie koncepcje taktyczne: pierwsza zakładała aresztowanie podejrzanego i liczenie na to, że w toku dalszych przesłuchań ujawni on znane sobie szczegóły na temat składu gangu, lokalizacji ośrodka fałszerskiego, kolporterów itp.; druga sprowadzała się do zwolnienia podejrzanego, z równoczesnym objęciem kontroli nad tym, co będzie począł, z kim nawiąże kontakty i jakie miejsca odwiedzi. Każda z tych koncepcji miała swoje wady i zalety. Nadzieja na to, że po aresztowaniu Naumiec ujawni szczegóły i okoliczności przestępstw gangu, była znikoma w świetle jego dotychczasowej postawy, a poza tym nikt nie mógł mieć pewności co do tego, że podejrzany nie jest pionkiem i kulisy fałszerstw są mu znane. Trzeba było też liczyć się z tym, że po zwolnieniu z aresztu wymknie się spod kontroli milicji i zacznie się ukrywać bądź będzie wodził za nos inwigilujących go i nigdy nie doprowadzi ich tam, gdzie sobie tego życzą. Pomimo tych zastrzeżeń i uwag, ostatecznie wybrano koncepcję drugą. Kapitan Ziolo, który ją preferował, osobiście dopilnował tego, aby informacje o tym, co zrobi lub powie Naumiec. trafiały na jego biurko o każdej porze dnia i nocy. Rozpoczął się wielki poker inspektora z fałszerzem.

Naumiec tylko przez pierwsze dni zachowywał pełną samokontrolę i czujność. Ponieważ nie zauważył, aby

^ktokolwiek go obserwował bądź interesował się tym, o czym i z kim. rozmawia, zaczął czuć się swobodniej i śmieiej sobie poczynać. W następnym tygodniu skontaktował się z kilkudziesięcioma osobami. Ze znanych milicji jego wypowiedzi i sposobu, w jaki go przyjmowano i traktowano w różnych środowiskach, wynikało, że nie zwierzył się nikomu z tego, iż był zatrzymany i przesłuchiwany przez milicję. Kto wychodzi z aresztu jest spalony w swoim środowisku przestępczym, współnicy i kumple odsuwają się od niego jak od zarażonego, nie dopuszczają go do swoich ciemnych spraw i sprawek. Lody nieufności i podejrzliwości topnieją dopiero po pomyślnym przejściu kwarantanny, swoistego testu szczerości, który nieraz może trwać długo i łączyć się z różnymi próbami, nie wykluczając tortur. Dyskrecja inwigilowanego była milicji bardzo na rękę, dając nadzieję na rozpoznanie i identyfikację nowych osób i środowisk. O tym, że Naumiec może doprowadzić do takich osób i środowisk, kapitan przekonał się już niebawem. Do ludzi Zioly dotarły wypowiedzi obserwowanego, że fałszyfikaty banknotów dolarowych są dziełem dużego, zorganizowanego gangu z Warszawy, największego, jaki kiedykolwiek w Polsce istniał i działał, a on jest jego członkiem. W związku z tym należało bliżej zainteresować się osobami, z którymi Naumiec skontaktował się na wolności. Przede wszystkim zwrócono uwagę na Leona Kurzaja, 36-letniego mężczyznę o wykształceniu podstawowym, z zawodu szlifierza, zatrudnionego w prywatnym zakładzie meblarskim, zamieszkałego w Warszawie. Był on dobrze znany milicji z racji swoich wyczynów kryminalnych, awantur i kontaktów z podejrzanymi środowiskami. W 1961 roku Komenda Dzielnicowa MO Warszawa — Żoliborz prowadziła przeciwko niemu dochodzenie o spekulację, a kilka miesięcy później trafił do więzienia za czyn o charakterze chuligańskim. Miał rozległe znajomości wśród handlarzy obcą walutą, paserów i właścicieli melin, widywano u niego duże sumy pieniędzy polskich i zagranicznych. I tylko te ostatnie ustalenia sugerowały, że może on mieć jakiś związek z grupą fałszerzy dolarów, bo pozostałe cechy jego osobowości czyniły te skojarzenia bardzo wątpliwymi. Prymitywny kryminalista, umiejący zaledwie pisać i czytać, obracający się w rynsztokowym towarzystwie, ubrany i zachowujący się jak śmieć miałby tkwić w grupie, mającej dostęp do najnowocześniejszej techniki poligraficznej, złożonej z prawników oraz dżentelmenów tej klasy co Naumiec? Nie. takiej ewentualności kapitan Ziolo nie dopuszczał i kto wie, czy Kurzaj nie zostałby wyeliminowany z kręgu podejrzeń, gdyby nie wpłynęła następna informacja. Ciągłe obstawiony ludźmi kapitana Naumiec wygadał się, że Kurzaj współdziała z pewnym Cyganem, któremu przekazał w celu dalszej odprzedaży 5000 fałszywych dolarów. Cygan nie dotrzymał jednak warunków umowy i przepadł gdzieś w sienie doli. Prowadzący sprawę uznali, że warto byłoby odnaleźć Cygana i jego depozyt. ale zarządzone w skali kraju poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Wobec tego ponownie powrócono do osoby Kurzaja. człowieka już w tej chwili bardziej interesującego niż Cygan i Naumiec. Ale pierwsze próby zorganizowania kontroli nad nim spełzły na niczym. Kurzaj był wyjątkowo przebiegłym i czujnym przestępcą. Palił ludzi kapitana jak zapałki, kilku z nich o mało co nie przypłaciło tego życiem. Trzeba było zabrać się do dzieła bardziej koronkowo, a narzędziem umożliwiającym osiągnięcie tego celu miała być kochanka Kurzaja. O kobiecie tej wiedziano tylko to, że ma na imię lub nosi pseudonim Hanka. Nikt nie znał jej nazwiska, miejsca pracy, adresu, zawodu, wieku, wyglądu. Dopiero po kilku dniach udało się ustalić, że od miesiąca pracuje ona w zakładzie fryzjerskim na Pradze, którego właścicielka nie cieszy się specjalnymi względami milicji. Wywiadowca MO plutonowa Barbara Tadek długo przygotowywała się do wykonania zleconego jej zadania — bliższego zidentyfikowania i rozpoznania Hanka oraz jej środowiska. Zapoznała się do-

kładnte ze wszystkimi materiałami dotyczącymi nie tylko poszukiwanej, lecz również właścicielki zakładu i klientek. Dostosowawszy swój ubiór, wygląd i sposób bycia do zwyczajów panujących w tym środowisku, udała się do zakładu. Zastała tam tylko właścicielkę. Na pytanie „Zastałam Hankę” właścicielka odpowiedziała krótkim „nie”, dającym przy tym równie niegrzecznie, co stanowczo, do zrozumienia, że dalszy dialog uważa za zbyteczny. Wywiadowczyni nie zrażona tą niegościnnością zapytała tonem idiotki „a kiedy będzie Hanka?”. Właścicielka, przeradzając się w mgnieniu oka z obojętnej w podejrzliwą, odpowiedziała na pytanie pytaniem: „a co ma pani do niej?”. Funkcjonariuszka tylko na to czekała: jej odpowiedź („pożyczyłam Hance pieniądze”) zmieniła właścicielkę nie do poznania, ponieważ obie wiedziały, że słowo „Hanka” i „pożyczka” to synonimy. Prowadząc rozmowę w atmosferze wzajemnego zaufania, milicjantka dowiedziała się, że kilka miesięcy wcześniej Hanka pożyczyła od właścicielki zakładu pokaźną sumę na wynajęcie mieszkania dla Leona, czyli Kurzaja. Dług zwróciła niedawno w całości, ponieważ sytuacja finansowa jej przyjaciela uległa ostanio zdecydowanej poprawie. „Nawet oddał te 300 tysięcy pożyczone na bazarze” -r. dodała fryzjerka, aby nieznaną jej dotychczas koleżanką Hanki nie miała skrupułów w wyegzekwowaniu swoich należności. Rozgadana coraz bardziej, zaczęła sypać takimi faktami o tej parze, że wywiadowczyni ledwie mogła je zapamiętać. O tym, jak ważne były te fakty dla dalszego rozpracowania gangu fałszerzy, wiedział tylko kapitan Ziolo, któremu zdała sprawę z wyników swojej misji. Ale nie dane jej było usłyszeć słowa pochwały, bo właśnie odezwał się telefon: — Zdobyć jedną sztukę na próbę i podrzucić na ekspres do Zakładu, jego trzymać pod obserwacją, a jak wynik będzie trefny to zwinąć — rzucił podniecony Ziolo do słuchawki i wybiegł z pokoju.

Był to telefon od jednego z ludzi kapitana, który dowiedział się, że w pobliżu „Bristolu” przebywał mężczyzna oferujący do sprzedaży banknoty 20-dolarowe. Mężczyznę tym okazał się znany milicji hochsztapler, degenerat z przedwojennej rodziny arystokratycznej, handlarz walutą i starą biżuterią, występujący w środowiskach przestępczych pod pseudonimem „Baron”. Polecenie, które Ziolo przekazał telefonującemu jednym zdaniem, dałoby się rozpisać na całą stronę. Miało ono oznaczać, że natychmiastowe zatrzymanie „Barona” na ulicy wraz z depozytem nie jest wskazane, ponieważ nie wiadomo, czy dolary, które ma handlarz, są fałszywe czy autentyczne. Należy więc pod odpowiednim pretekstem wypożyczyć lub w inny sposób zdobyć choć jeden taki banknot, pojechać z nim niezwłocznie do Zakładu Kryminalistyki i tak długo stać tam ekspertom nad głowami, aż przeprowadzą badania. Wynik ekspertyzy trzeba od razu przekazać drogą radiową grupie, która w tym czasie obserwuje „Barona”. Jeśli eksperci stwierdzą, że banknot jest fałszywy, to grupa obserwacyjna powinna natychmiast zatrzymać handlarza, odebrać mu banknoty, które ma przy sobie, a następnie zawieźć go na przeszukanie do jego mieszkania. Stało się tak, jak szef zarządził. Uzyskanie próbki towaru poszło gładko, widać było, że „Baronowi” zależy bardzo na szybkim sprzedaniu towaru. Wydanie wstępnej opinii o tym, że dostarczony do badań banknot jest nie tylko fałszywy, lecz równocześnie nosi ślady tej samej techniki i metody, które były zastosowane przy wytworzeniu banknotów zakwestionowanych Naumcowi, zajęło ekspertom Zakładu Kryminalistyki nie więcej niż kilka minut. Dzięki temu, już po upływie pół godziny od chwili przekazania meldunku kapitanowi Ziolo, skuty kajdankami „Baron” jechał bezpłatnie do swojego domu milicyjnym fiatem, a 51 banknotów 20- dolarowych, które miał przy sobie w chwili zatrzymania, leżało w teczce jednego z inspektorów. Za chwilę zawartość teczki powiększyła się o dalsze 49 banknotów, bo właśnie tyle znaleziono w mieszkaniu zatrzymanego. Błyskawiczna akcja milicji zaskoczyła całko

fjjsPl

wicie handlarza, pozbawiając go możliwości przygotowania się do obrony. Najpierw milczał, później wykrztusił kilka niedorzeczności, a wreszcie powiedział, że wszystkie banknoty otrzymał do sprzedaży od znanego sobie Leona Kurzaja. Prokurator aresztował go pod zarzutem popełnienia przestępstwa określonego w art. 12 małego kodeksu karnego.

Wyjaśnienia, które złożył po swoim aresztowaniu „Baron”, i będące w dyspozycji milicji informacje, pozwoliły na wysunięcie pierwszych wniosków na temat składu osobowego, organizacji i struktury grupy fałszerskiej oraz form i zakresu jej działania. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie zakwestionowane banknoty zostały wyprodukowane przez gang, na czele którego stał Leon Kurzaj. W skład grupy musiało wchodzić kilku zawodowych poligrafów, mających dostęp do nowoczesnych urządzeń i środków technicznych, zainstalowanych najprawdopodobniej w dużej drukarni lub państwowych zakładach poligraficznych. Gang miał na swoich usługach co najmniej kilkunastu kolporterów o różnym stopniu wtajemniczenia i udziału w przestępstwie. Łączna liczba członków ścisłej grupy fałszerskiej mogła wahać się w granicach od 9 do 17 osób. Wyprodukowane już falsyfikaty są zapewne bardzo dobrze ukryte, a schowki, w których je złożono, znają tylko członkowie ścisłego kierownictwa grupy. Gang tworzą przestępcy niezwykle doświadczeni, solidni i nawzajem się kontrolujący. Kapitan Ziolo postanowił rozsadzić gang od wewnątrz, skłócić jego członków, przekonać ich, że wszystko się sypie i każdy powinien myśleć o własnej skórze. Jeśli się to uda — myślał — sami doprowadzą nas do swoich melin, jeden będzie sprzedawał drugiego, a moi ludzie i informatorzy zyskają większą swobodę działania bez obawy o dekonspirację.

Przede wszystkim milicja rozpuściła wśród przestępców za pośrednictwem swoich wtyczek wiadomość o tym, że Naumiec przez dwa dni przebywał w areszcie, skąd został zwolniony w nagrodę za przekazane informacje. Następnie w podobny sposób rozkolportowano informację, że „Baron” wcale nie przebywa w areszcie, lecz zgodził się współpracować z milicją i ukrywa się w bezpiecznym miejscu. I wreszcie dla tych samych celów wykorzystano wszystko to, czego dowiedziano się dzięki inwigilowaniu Kurzaja i jego dziewczyny Hanki. W gangu zawrzało jak w ulu. Niektórzy podejrzani zaczęli rozważać ewentualność przerwania procederu, inni ucieczki za granicę, a jeszcze inni — ujawnienia się. U podstaw tych ostatnich kalkulacji nie leżały bynajmniej motywy skruchy czy czynnego żalu, lecz wykalibrowany na zimno zamiar wyprowadzenia w pole tak kumpli — przestępców, jak i prowadzących śledztwo. Pierwszym, który zastosował taki trick, był Stefan Zarzecki, lat 32, o wykształceniu średnim, karany sądownie, bez zawodu, notowany w kartotekach MO za handel dewizami. Pewnego dnia zgłosił się on z własnej woli w Komendzie MO, gdzie złożył w sposób spontaniczny zeznania w charakterze świadka w trybie art. 96 ówczesnego kodeksu postępowania karnego, to znaczy z zagwarantowanym prawem do nieodpowiadania na pytania dla niego niebezpieczne. Był to gracz nad gracze. Stosunkowo szybko uświadomił sobie nieuchronne fiasko przestępczej maszyny i postanowił ratować tylko swoją głowę. W zeznaniach przedstawił siebie jako tego, który został zmuszony do przystąpienia do gangu fałszerskiego za pomocą nie tylko kuszących perswazji, lecz również gróźb, bicia i tortur. Nie powiedział tylko kto go namawiał i bił, ani tego — ile falsyfikatów widział, gdzie one są, kto i gdzie je wyprodukował itp. Kapitan Ziolo słuchał tych wynurzeń, przytakując. Już wtedy wiedział, że Zarzecki był jednym z głównych organizatorów i szefów gangu i jeśli on, Ziolo, wyda polecenie, jego ludzie w ciągu kilkunastu godzin zdobędą dowody uzasadniające aresztowanie elokwentnego świadka pod zarzutem z art 12 mkk. Ale to nie wyszłoby śledztwu na dobre, ponieważ tylko Zarzecki znał miejsce ukrycia falsyfikatów i nigdy by dobrowolnie

tych miejsc nie ujawnił. Rozstali się obaj jak ludzie, którzy mają sobie jeszcze bardzo wiele do powiedzenia!

Sterowana przez milicję panika i zamieszanie w szeregach gangu rosły z każdym dniem, chociaż jego przywódcy starali się kontrolować i uspokajać najbardziej nerwowych współników. — Nigdy nie znajdą przeciwko nam dowodów, zadołowaliśmy je tak, że sam czort ich nie znajdzie — pocieszał jeden; jesteśmy tak nadziani, że nawet po 10 latach mamra wystarczy nam szmalu — dodawał drugi: zastrzelę jak psa każdego, kto nie będzie pewny — krzyczał trzeci, wymachując nabitym pistoletem. Ale zarówno pocieszani, jak i pocieszający wiedzieli swoje. Wszyscy byli zgodni co do tego, że jak najszybciej należy sprzedać zapasy wyprodukowanych falsyfikatów, ulotnić się z pieniędzmi w Bieszczady bądź na Zachód, przeczekać, aż sprawa pójdzie w zapomnienie, a później rozkręcić nowy interes. Tym nowym interesem miała być produkcja falsyfikatów banknotów koron szwedzkich i marek zachodnoniemieckich. Informacje o tych planach w porę trafiły do milicji. Kapitanowi najbardziej na rękę był pierwszy punkt tego planu — szybkie pozbycie się przez gang zapasu falsyfikatów — ponieważ dawał on szansę zdobycia dowodów rzeczowych i zlikwidowanie laboratorium fałszerskiego. Od tej chwili oczekiwał od swoich ludzi tylko jednego — wiadomości z kim, gdzie i kiedy gang zamierza dokonać swojej największej transakcji. Nie czekał długo. W połowie sierpnia jeden z jego inspektorów ustalił, że w ciągu najbliższych godzin falsyfikaty ze wszystkich melin mają być zwiezione w jakieś miejsce, ponieważ szefowie grupy prowadzą zaawansowane rozmowy z kupcem-hurtownikiem. Kim ma być kupiec, na jaką wartość będzie opiewała transakcja i w jakim miejscu oraz czasie zostanie ona dokonana — tego nie udało się ustalić. Pomimo tak skąpych danych, kapitan postanowił podjąć ryzykowną grę. Nie miał zresztą innego wyjścia, czekanie z założonymi rękami równało się utracie wszelkich szans na zdobycie dolarów. W grze tej miał zresztą kilka atutów. Trzymając pod obserwacją każdego z tej trójki musiał w końcu dowiedzieć się, gdzie i kiedy zetkną się ze sobą oraz tego, który z nich skontaktuje się z kupcem. Jeśli tamci się spotkają to albo będą mieli towar przy sobie, albo jeden z nich po ten towar pojedzie. Ale życie płata figle i nie zawsze układa się zgodnie z logiką. Pech chciał, że jedna z grup obserwacyjnych zgubiła swojego podopiecznego, a próby jego odnalezienia spełzły na niczym. Na domiar złego drugi z tej trójki przebywał cały czas w swoim mieszkaniu, sam nigdzie nie wychodził i nikt z nim się nie kontaktował. Może właśnie » w tym mieszkaniu znajduje się cały towar i tu odbędzie się transakcja — myślał Ziolo, ale nie był wcale pewien, czy ma rację. Nie wiedział, że przestępcy są inteligentniejsi niż przypuszczał. Trzej szefowie, licząc się z tym, że mogą być obserwowani przez milicję, zlecieli przeprowadzenie transakcji jednemu ze swoich pionków. Ten pionek miał otrzymać cały towar i z nim udać się na spotkanie z kupcem.

Mijały minuty i godziny, a Ziolo wiedział tyle samo co poprzednio. Meldunki, które wpływały od grup obserwacyjnych drogą radiową, były coraz rzadsze i niezmiennie lakoniczne: sytuacja bez zmian. Uznał, że dłużej nie można czekać. — Zarządzam akcją przeciwko całemu gangowi — rzucił twardym głosem w eter. Oznaczało to, że prowadzący obserwację mają natychmiast zatrzymać swoich podopiecznych, a inni, czekający w pogotowiu funkcjonariusze powinni pojechać do mieszkań wszystkich pozostałych członków grupy fałszerskiej i dokonać tam przeszukań oraz zatrzymań. Operacja trwała non stop przez dwa dni i dwie noce, a jej wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Zatrzymano łącznie 27 osób, z których 11 zostało aresztowanych. W mieszkaniach i melinach członków gangu na terenie Warszawy, Wawra i innych miejscowości podwarszawskich znaleziono i zakwestionowano znaczne ilości fałszywych dolarów, matryce do ich produkcji, fałszywe

świadczenia szkolne, papier i chemikalia, polskie pieniądze obiegowe uzyskane ze sprzedaży falsyfikatów i wiele podobnych dowodów rzeczowych. Przedmioty te były przemyślnie ukryte w ścianach, w piwnicach, zakopane w ogrodach. Gang został zlikwidowany, a był to gang niezwykle groźny.

Głównym śledztwem objętych zostało ostatecznie 10 osób, a materiały w stosunku do pozostałych 37 wydzielono w celu przeprowadzenia odrębnych postępowań przygotowawczych. Organizatorami, twórcami \ szefami gangu było pięć osób, a jego mózgiem jego Leon Kurzaj, szczęśliwy wybranek pięknej Hanki. Kurzaj nie był zawodowym falszerzem, nie miał w tym względzie żadnych kwalifikacji, doświadczeń ani wiadomości. Obracając się jednak przez długie lata w środowisku niebieskich ptaków, hochsztaplerów, jednodniowych milionerów i handlarzy złotem oraz obcymi walutami wiedział, na czym może zrobić wielki szmal. Myśl zorganizowania grupy zajmującej się produkcją fałszywych dolarów zrodziła się w nim na początku drugiej połowy 1967 roku. Pomysł przypadł do gustu jego długoletniemu kompanowi Stefanowi Zarzyckiemu. Dwa tygodnie później obaj nawiązali kontakt z Januszem Lechockim, 28-letnim technikiem poligrafii, nie karany, nie notowanym w kartotekach MO, człowiekiem równie inteligentnym, jak zdecydowanym. Pomimo tak nieposzlakowanego życiorysu Lechocki miał już na swoim sumieniu niejedną ciemną sprawę. Kilka lat wcześniej służył Zarzyckiemu radą i pomocą przy produkcji fałszywych świadectw, zaświadczeń urzędowych i podobnych dokumentów. Pomysł zorganizowania wielkiej fabryki dolarów, opartej na wykorzystaniu nowoczesnych urządzeń, metod technicznych i środków chemicznych, stosowanych w przemyśle poligraficznym, bardzo przypadł mu do gustu. Jako ten, któremu miało być powierzone kierownictwo nad techniczną stroną przedsięwzięcia, w ciągu kilku dni przedstawił opinię na temat zalet i wad poszczególnych metod fałszerstw, organizacji produkcji falsyfikatów, źródeł zdobycia papieru, urządzeń, do których należy uzyskać dostęp itp. Jego koncepcja została przyjęta bez zastrzeżeń i rozpoczęły się przygotowania organizacyjno- -personalne. Przede wszystkim wciągnięto do przestępczej spółki jeszcze jednego specjalistę — Jerzego Więcha, lat 38, również technika poligrafii, zatrudnionego w zakładach poligraficznych na stanowisku fotografa- -kopisty, nie karanego. Niechęć i wahania, które w pierwszej fazie pertraktacji zdradzał, zostały skutecznie przełamane dzięki obietnicy kilkumilionowej nagrody za wykonanie zadania. A było to zadanie o znaczeniu decydującym dla całego przedsięwzięcia — do jego realizacji Więcha przystąpił niezwłocznie. Już pod koniec 1967 roku wykonał pierwsze prace związane z przygotowaniem próbek odbitek banknotów dolarowych. Wytworzone przez niego odbitki zawierały jednak szereg usterek technicznych, toteż Leon Kurzaj ocenił je jako nieudane. Po dłuższej dyskusji postanowiono wypróbować technikę matryc, przeznaczonych do druku offsetowego. Do tego potrzebny był jednak dodatkowy fachowiec. Wybór padł na 28-letniego maszynistę offsetowego, o średnim wykształceniu z zakresu poligrafii, nie karanego, zatrudnionego w zakładach poligraficznych. Pod koniec maja 1968 roku dwójka ta przedstawiła swoim mocodawcom do oceny matryce banknotów 50- i 20-dolarowych wraz z tablicami montażowymi i matrycami numeracji. Matryce przyjął od fachowców Leon Kurzaj, którego zadaniem było zdobycie wysokogatunkowego papieru. Kiedy już go zdobył, wraz z matrycami przekazał Januszowi Lechockiemu. Ten zajął się teraz ostatnimi czynnościami przygotowawczymi — laminowaniem papieru i doborem odpowiedniej farby drukarskiej, z czym uporał się bardzo szybko. Produkcję falsyfikatów rozpoczęto w połowie czerwca 1968 roku. W ciągu jednej niedzieli, w zakładach poligraficznych, w których był zatrudniony Lechocki, odbili pierwszą partię fałszywych dolarów —

2000 arkuszy banknotów 20- i 50-dolarowych, z których każdy zawierał 4 banknoty. Fakt ten daje wyobrażenie o nadzwyczajnej wydajności zastosowanej przez fałszerzy metody i nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że gdyby gang nie został w porę zlikwidowany, to wyprodukowane przez niego fałszyfikaty zalałyby w krótkim czasie cały kraj, a następnie trafiłyby z pewnością za granicę. Taki był zresztą plan szefów fałszer- skiej grupy.

Po wyprodukowaniu pierwszej partii fałszyfikatów do akcji wkroczył Zarzecki, który — zgodnie z przyjętym, podziałem ról — był odpowiedzialny za kolportaż. Już w dniu 25 czerwca sprzedał w Warszawie 2000 dolarów, a kilka dni później taką samą sumę rozprowadził w Krakowie. W celu przyspieszenia upłynniania pieniędzy, w następnym tygodniu zorganizował i uruchomił siatkę pomocników, werbując do niej między innymi wspomnianego już prawnika Naumca, „Barona”, pewnego reżysera i kilkunastu handlarzy wartościami dewizowymi. W toku śledztwa nie udało się ustalić pełnego kręgu kolporterów, obejmującego prawdopodobnie około 100 osób, działających na terenie stolicy i kilku innych miast wojewódzkich. Z około 600 000 dolarów, które fałszerze zdążyli wyprodukować w pierwszej fazie swojej działalności, organy Milicji Obywatelskiej przejęły 220 000. Pozostałą część fałszyfikatów przestępcy zdążyli rozprowadzić na terenie kraju, a część zniszczyli bądź ukryli. Mając wykonane matryce, farby drukarskie, zapasy odpowiedniego papieru, opracowaną technologię i dostęp do urządzeń poligraficznych w państwowych zakładach — fałszerze mogli w każdej chwili wznowić swoją produkcję.

Sprawa gangu fałszerskiego zakończyła się surowymi wyrokami skazującymi i przepadkiem wszystkich zakwestionowanych fałszyfikatów i środków oraz narzędzi służących do ich produkcji. Ale nawet dzisiaj, po 20 latach, jej echa trafiają co jakiś czas do różnych jednostek MO, a zwłaszcza do Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO. Wyprodukowane przez gang banknoty pojawiają się co jakiś czas w legalnym (zakupy w Pewexie, wpłaty na konta dewizowe) i nielegalnym (prywatne transakcje, operacje handlarzy walutami) obiegu. Tylko eksperci tego Zakładu mogą stwierdzić, czy rzeczywiście pochodzą one z tej serii, czy też zostały wytworzone w jakimś nowym, nie znanym jeszcze laboratorium fałszerskim z kraju lub za granicą.

W każdym śledztwie o fałszerstwo pieniędzy polskich lub obcych ekspertyzy kryminalistyczne spełniają decydującą funkcję. Tak też było w sprawie o kryptonimie „Zielony potok”. Pierwsze ekspertyzy w tej sprawie wykonano w Zakładzie Kryminalistyki już w dniu 26 lipca 1968 r. Ich przedmiotem były banknoty zakwestionowane u dwóch różnych osób, działających w różnych miejscach i nie mających ze sobą żadnych powiązań przestępczych. Kategorieczne stwierdzenie biegłych, że w obu przypadkach są to banknoty fałszywe, stanowiło wystarczającą podstawę do wszczęcia postępowania przygotowawczego i podjęcia odpowiednich działań rozpoznawczo-penetracyjnych przez właściwe służby operacyjne milicji. Ale eksperci nie poprzestali na tym. Na podstawie dalszych badań doszli do wniosku, że obie partie zakwestionowanych banknotów zostały bezspornie wyprodukowane w tym samym ośrodku fałszerskim, za pomocą tych samych klisz, urządzeń technicznych, farb drukarskich, papierów i metod. Poza tym porównali oni dowodowe dolary z dolarami sfalszowanymi w Polsce i za granicą w latach 1946—1968. Na tej podstawie wykazali, że pierwsze wykazują istotne różnice w stosunku do tamtych, co świadczy o powstaniu nowego, dotychczas nikomu nie znanego ośrodka fałszerskiego, skupiającego osoby odznaczające się swoistą oryginalnością w uprawianiu tego procederu, będące nowicjuszami w tym fachu i najprawdopodobniej nie znane jeszcze milicji. Oznaczało to, że w toku śledztwa z kręgu podejrzanych można wyeliminować rutynowaną kadrę notowanych fałszerzy, bardzo

trudną do sprawdzenia i obejmującą kilka tysięcy osób. Słuszność tych opinii potwierdziła się w całej rozciągłości w końcowym stadium postępowania przygotowawczego, a na jego początku stanowiła konkretną wskazówkę, ukierunkowującą czynności rozpoznawczo-wykrywcze. Poszukując dalszych możliwości zacieśnienia kręgu osób podejrzanych, eksperci Zakładu Kryminalistyki doszli do wniosku, że producenci nadesłanych do badań banknotów dolarowych charakteryzują się tym, iż: zajmują się na co dzień i zawodowo poligrafią, mają odpowiednie wiadomości teoretyczne i praktyczne z zakresu fotografii, mają dostęp do urządzeń technicznych i środków stosowanych w poligrafii, w związku z czym prawdopodobnie w danej chwili są pracownikami dużych zakładów poligraficznych bądź są w zażyłych kontaktach z takimi pracownikami. Również i te sugestie potwierdziły się później w całej rozciągłości.

W ekspertyzie Zakładu Kryminalistyki najwięcej miejsca zajął opis techniki wykonania banknotów. Spośród wielu konkluzji biegłych, zweryfikowanych później z pozytywnymi rezultatami przez śledztwo i przewód sądowy, wymienić należy przede wszystkim trafną ocenę możliwości produkcyjnych fałszerskiego laboratorium. Teza biegłych, że stosowana przez przestępców metoda i technika pozwala w krótkim czasie wytworzyć kilkaset tysięcy egzemplarzy banknotów, nie pozostała bez wpływu na zakres i tempo działań milicyjnych. Gdyby nie to stwierdzenie specjalistów, kapitan Ziolo nigdy nie otrzymałby do swojej dyspozycji niezbędnej liczby samochodów, ludzi i środków technicznych. Opinia Zakładu określiła też w orientacyjny sposób środowiska, z których mogą się wywodzić kolporterzy i bezpośredni nabywcy fałszyfikatów. Są to banknoty bardzo dobrze wykonane pod względem technicznym, przy oględzinach nielaboratoryjnych nie różniące się w zasadzie od oryginałów, bardzo trudne do zdemaskowania nawet przez osoby mające wiadomości i doświadczenie z tego zakresu — napisano w ekspertyzie.

A skoro tak, to należało się liczyć, że kolportażu banknotów chętnie podejmą się zawodowi handlarze, a ich nabywcami będą wszyscy, którzy poszukują walut wymiennalnych. Biorąc pod uwagę potrzeby prowadzących śledztwo, związane z zapewnieniem skuteczności przeszukań, typowania i oględzin pomieszczeń, w których mogła być zlokalizowana fabryka dolarów, i innych czynności procesowych i taktycznych, eksperci opracowali obszerny wykaz śladów, mogących mieć znaczenie w procesie identyfikacji sprawców, sposobów produkcji i środków oraz urządzeń technicznych. W ten sposób wyniki badań kryminalistycznych nie tylko wspierały przedsięwzięcia rozpoznawcze, operacyjne i śledczo-dochodzeniowe, lecz w wielu przypadkach wyprzedzały je. Najistotniejsze jednak było to, że dzięki wskazówkom biegłych, służby operacyjno-śledcze MO mogły w porę korygować błędne wersje i hipotezy oraz dementować nieprawdziwe informacje. Jedną z takich informacji dotyczyła lokalizacji produkcji banknotów, a więc zagadnienia centralnego w całym śledztwie. Uzyskano ją w pierwszych dniach września, czyli bezpośrednio po zatrzymaniu wszystkich członków gangu, wówczas gdy istniały jeszcze wątpliwości co do tego, z ilu i jakich ośrodków fałszerskich sprawcy korzystali. Wynikało z niej, że wśród sterty złomu ołowiu i cynku, zakupionego przez pewne duże przedsiębiorstwo produkcyjne z Warszawy, znajduje się klisza fotograficzna 100-dolarowego banknotu. Wyjaśniając tę okoliczność ustalono, że dostawcą złomu był Dom Słowa Polskiego. Ponieważ w tym czasie nie można było wykluczyć, że gang produkował również fałszyfikaty banknotów o nominale 100 dolarów, a równocześnie było wiadomo, że korzysta on z urządzeń i technik właściwych dla zakładów dużej poligrafii, wszystko wskazywało na to, iż trop prowadzi do Domu Słowa Polskiego. W ramach podjętych w związku z tym czynności sprawdzających, prowadzący śledztwo zarządzili ekspertyzę znalezionej kliszy. Badań podjął się zespół, złożony ze specjalistów

Narodowego Banku Polskiego i Zakładu Kryminalistyki. Wykazały one, że znaleziona klisza była wykonana na blasze cynkowej metodą chemigraficzną z wykorzystaniem rastra. Skala i inne właściwości reprodukcji wykluczały możliwość użycia jej do druku falsyfikatów banknotów 100-dolarowych. Natomiast ze względu na swoje cechy klisza ta mogła być wykorzystana do takich celów, jak wydruk wizerunku banknotu w bliżej nie określonym wydawnictwie książkowym lub czasopiśmie. Tę hipotezę specjalistów postanowiono sprawdzić w drodze czynności operacyjno-śledczych. Wykazały one, że klisza została wykonana w dziale chemi- grafii drukarni na zamówienie redakcji pewnego dziennika, przygotowującego się do opublikowania serii artykułów poświęconych ... śledztwu w sprawie fałszerstwa banknotów dolarowych. Zamówione przez tę redakcję klisze posłużyły do wykonania materiału ilustracyjnego do tych reportaży. Jak z tego widać, nie tylko przestępcy potrafią płać organom ścigania figle i zadawać zaskakujące łamigłówki.

Ekspertyzy środków płatniczych mają w Zakładzie Kryminalistyki długą i bogatą tradycję. Pierwsze badania z tego zakresu zostały wykonane w tej placówce już w 1946 roku. Życie i potrzeby walki z tą kategorią przestępstw zadecydowały o szybkim i wszechstronnym rozwoju tego podstawowego działu kryminalistyki. Zagrożenie fałszerstwami pieniędzy polskich i zagranicznych było duże już w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości. Na terenie całego kraju rozsianych było wówczas kilka tysięcy fałszerzy, wywodzących się ze starej, przedwojennej recydywy kryminalnej. Byli to uczniowie różnych tzw. szkół fałszerskich, a zwłaszcza lwowskiej, krakowskiej i warszawskiej. Niektórzy z nich ledwo umieli pisać i czytać, ale wrodzone talenty, wsparte wieloletnimi doświadczeniami, uczyniły z nich mistrzów nad mistrzami. Stosowane przez nich metody fałszerstw były zazwyczaj proste, nieraz wręcz prymitywne, i opierały się na zdolnościach manualnych (me tody rysunku odręcznego, przecinanki, doklejanki, preparowanie, rozwarstwienie itp.). Nawet początkującym ekspertom nie sprawiały one. poważniejszych trudności identyfikacyjnych. Dlatego też starzy mistrzowie bardzo często wpadali w sieci zastawiane przez milicję. Niektórzy wycofywali się z procederu, przerzucając się na inne przestępstwa; swoje robił też wiek i stan zdrowia. Ale miejsca po starych mistrzach zajmowali ochoczo młodzi, bardziej wykształceni i rzutcy. Tych nie interesowały mało wydajne metody, wymagające długiego dłubania. Oni byli pionierami wykorzystania nowoczesnej techniki w procederze fałszerskim. Dlatego też w następnych dziesięcioleciach pojawiały się falsyfikaty wytworzone za pomocą metod fotograficznych, kserograficznych, poligraficznych itp.

Rozwój i rozbudowa Wydziału Badań Dokumentów Zakładu Kryminalistyki KG MO, specjalizującego się między innymi w ekspertyzach banknotów pieniędzy polskich i zagranicznych, był zawsze dostosowany do przeobrażeń zachodzących w sferze przestępczości i osobowości sprawców. Znajdowało to wyraz w formach kształcenia ekspertów, wyposażeniu aparaturowo-tech- nicznych laboratoriów wydziału i kierunkach prowadzonych prac badawczo-naukowych. Już ponad 30 lat temu przyjęto zasadę, że kandydatem do pracy w Wydziale może być jedynie osoba legitymująca się wyższym wykształceniem. Jeszcze wcześniej, bo w latach pięćdziesiątych, nawiązano współpracę z katedrami kryminalistyki uniwersyteckich wydziałów prawa i innymi placówkami naukowymi w kraju i za granicą, owocnie kontynuowaną po dzień dzisiejszy. Twórcą i długoletnim szefem Wydziału Badań Dokumentów był pułkownik Władysław Wójcik, wybitny specjalista, znany zarówno w kraju, jak i za granicą, autor wielu prac z zakresu pismoznawstwa, nie kwestionowany przez naukowców i praktyków autorytet w tej dziedzinie. Pod jego kierunkiem Wydział opracował wiele własnych, oryginalnych metod badania i ekspertyzy dokumentów

i zdobył wysoką pozycję w kryminalistyce międzynarodowej. Dziś jest on na wskroś nowoczesnym laboratorium zatrudniającym specjalistów z kilkunastu dziedzin nauk technicznych, przyrodniczych i humanistycznych, a między innymi chemików, filologów, psychologów, poligrafów i elektroników. Niektórzy eksperci legitymują się podwójnymi dyplomami i dyplomami kierunkowych studiów odbytych za granicą. Wydział wyposażony jest w rzadką aparaturę, pochodzącą nie tylko z zakupów od renomowanych firm zagranicznych, specjalizujących się w produkcji sprzętu kryminalistycznego lecz również skonstruowaną w Polsce w wyniku współpracy ekspertów z naukowcami i placówkami badawczymi. W codziennej pracy Wydziału stosuje się najnowsze techniki badawcze, między innymi komputerowe i laserowe. Już od dawna prowadzone są prace nad wykorzystaniem holografii, techniki identyfikacji pisma elektronicznego i przekazywanego na odległość za pośrednictwem supernowoczesnych urządzeń telekomunikacyjnych.

Ekspertyza dokumentów, w tym również banknotów pieniężnych, już dawno zajęła należną jej rangę w hierarchii prawnie dopuszczalnych środków dowodowych. Pozycję tę ugruntowało orzecznictwo Sądu Najwyższego, nauka prawa procesowego i praktyka organów ścigania oraz wymiaru sprawiedliwości. Dziś trudno byłoby wyobrazić sobie proces karny czy cywilny bez możliwości korzystania z tego środka dowodowego.